

462

A. August

[Faint, illegible text]

[Faint, illegible text]

1.50

DWUTYGODNIK

LITERACKI.

W Drukuć Szaconku : przyjaciel
przyjacielowi Józefowi Mikulowsk
prowizorem. Walecjan Morsost
Poznań 5 12 Lipca 1844

INTRODUCTION

BY THE AUTHOR

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text is written in a cursive script and is mostly illegible due to fading and the angle of the page. Some words are difficult to decipher but appear to include "The", "of", "and", "in", "the", "year", "1848".

DWUTYGODNIK LITERACKI

POD REDAKCYĄ

WALERYANA KUROWSKIEGO.

Trzeba orać ziemię z wiarą i nadzieją.
E. W.

TOM I.

W KRAKOWIE

NAKŁADEM JÓZEFA CYPCERA

W Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego

1844.

DWUTYTYCZNY

J. I. T. E. R. A. C. H. I.

POD REDAKCYĄ

WARSZAWA



Tytuł oraz numer tytułu w zbiorze i nakładzie



P. I. 521

W ZAKŁADZIE

WARSZAWA

W DZIAŁACH KSIĘGARNI I WYDAWNIWA

1921

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 1. KRAKÓW dnia 1 Kwietnia 1844.

Treść: Krakowiak przez E. W. — Humorystyka §. 1 o sobie samym p. Hilarego Meciszewskiego. — Józef K. N. Bogucicki nap. J. Muozkowski. — O dwóch rzadkich medalach polskich p. T. Z. — Początek przysłówia: „Siedzi jak na niemieckim kazaniu“ p. J. M.

KRAKOWIAK.

Zapomniane skrzypki moje zagrajcie od ucha,
Lasy, wzgórza i doliny zapalcie w nich ducha —
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmia na okół,
A ty myśli moja podlatuj jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarna na tę glebę a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną, z wiarą i nadzieją,
Niedbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją.
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo, maj, wiosny kochanek.
Dalej razem jak te wółki idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony miło rzucić okiem!

Ty fujarko brzmij po drzewach niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście,
Uroczyście zagra, jakby przy niedzieli,
Jak piosnka kochanki, serca rozweseli.
A więc skrzypki i fujarko na ojczystej grzędzie,
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem plywa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni.
Polny mak się płoni, juści go wstyd ima,
Że błyszczą purpurą, lecz zapachu nie ma,
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica gdy kłos ciężki schyli!

Daléj skrzypki grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jej brzegach rosna lasy, słowiki są w lesie.
Słowiki są w lesie, na dzióbkach zanućą,
I całą naturę zbudzą, rozesmućą!
A gdy żniwo już skończymy wtedy na dożynek,
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Kraków d. 9 marca 1844 r.

E. W.

HUMORYSTYKA.

§. 1. O SOBIE SAMYM.

Ist es nicht möglich zu tadeln ohne zu spotten?..
und zu spotten ohne zu verwunden?.. Müssen Auf-
klärer den Licht-scheren gleich seyn, die nur dann
helle machen, indem sie schneiden?.. Verdrüssliche
Nothwendigkeit!

Börne.

Czém się to dzieje... dalibóg że nie wiem... ale tyle jest
pewna, że przez 40ci lat życia mojego, przeznaczenie,
ten kamienny reżysser towarzystwa ludzkiego, wzięwszy
mnie sobie znać w awersyą jakąś... na teatrze tego mi-
zernego świata, lub gdyby się komu zdać miało, że za
szeroki horyzont zakreślam dla méj figury, więc na ma-
łym teatryku naszego miasta Krakowa, przydziałało mi

zawsze do odegrania role, albo tak trudne, że im podobać nie mogłem; albo też tak niewłaściwe, że je mniej więcej grałem zawsze fałszywie... Przekonanie też że w tym wielkim rozdawniku ról na tej ziemi, mam systematycznego i niczém nieubłaganego nieprzyjaciela — przekonanie, które utwierdza każdy nieledwie dzień i godzina, które umacnia każda nowa a dla mnie pominięta sposobność — każda świeża, a zawiedziona nadzieja moja... przekonanie to sprawi zapewne rychło... że mi nareszcie zbrzydnie i powołanie aktora, jakim jest każdy z nas na tym świecie, i teatr nawet, na którym moje role odgrywam.

Bo pytam się wszystkich, którzy mnie czytać będą... albo też czytają... nie jestże to jawne urągawisko zazdrosnego jakiegoś *fatum*, że kiedy wszyscy nieledwie towarzysze młodości mojej... koledzy szkolni i nieszkolni, puścili się w drogę życia każdy odrazu właściwym dla siebie torem, kiedy każdego z nich los przyjazny ujął, że tak powiem, za rękę od lat dziecińczych, i przeprowadziwszy przez manowce... postawił u żłobu dopisującego na włos rozmiarom jego postaci, żołądka i głowy... ja tylko jeden... ścieżką, na którą mnie wprowadzono, zaszedłem w jakieś bezdroża... i przez 20 lat z górą, szukam napróżno właściwej dla siebie mety; szukam daremnie dogodnego dla mnie żłobu...

Pamiętam dobrze, że kiedy mnie w 5tym roku życia mojego (było to ile sobie przypominam w r. 1808) zanieśiono na rękach do ś. Barbary, ażeby przed nieboszczykiem Berskim, dyrektorem tej szkoły, odbyć pierwszy tentamen w życiu, z umiejętności przepisanych dla szkół normalnych krakowskich, szanowny ten pedagog, zdziwiony biegłością moją w katechizmie, zachwycony przytomnością umysłu z jaką rozwiązywałem najtrudniejsze

pensa wydanego przezeń elementarza, rzekł uroczyście,.. kładąc rękę na mojej głowie, jak niegdyś Laiguille w Brienne o Napoleonie, (z tą tylko różnicą, że Berski mówił po niemiecku), rzekł tedy: „*Der kann's weit bringen!*„ Skutek przekonał— że ś. p. Berski, lubo nauczyciel pierwszej biegłości w nauce elementarza, w sztuce wrózenia przyszłości był jeszcze studentem;.. bo od ś. Barbary na Floryańską ulicę, nie można powiedzieć, żebym miał zajść bardzo daleko!.. Otóż tedy wracając do tego co powiedziałem o nieprzychylności z jaką mnie los traktuje,.. tego samego dnia i razem nawet ze mną, zdawał examen pan Ignacy... serdeczny mój przyjaciel i w dalszym zawodzie naukowym nieodstępny kollega. Pan Ignacy pod ówczas jeszcze Ignas... pocił się niesłychanie nad zadaniami mu pytaniami, i rzadko na nie trafnie odpowiadał... W oczach naszego sędziego malowała się wyraźna pogarda dla malca, który w tak łatwych umiejętnościach, jakimi są katechizm i elementarz, pokazał się być takim nieukiem! Biedny więc Ignas... zmieszany surowém obliczem poważnego dyrektora, popisał się jak najgorzej... i ledwie instancyom rodziców i wpływowi wujaszka, podówczas konsyliarza, udało się wyrobić dla niego świadectwo,.. rodzaj *absolutorium* z elementarnego przedsonka nauk, upoważniające małego adepta, aby zasiadł w ławce licealnej. Zyskał więc pan Ignacy świadectwo z postępkim „*sehr gering*“ i usprawiedliwił je też przez 6 lat pobytu swego w gimnazyum. Na naukę bowiem tego, czegośmy drudzy uczyli się w pół godziny, potrzebował pan Ignacy dzień cały... a czasem i nocy dołożył... i jeszcze mimo pracy, ustępować nam zawsze musiał krędy przed tablicą; bo ani nieboszczyk Gaudziński... ani nie odżałowanej nigdy pamięci Karkoszyński, nie mogli z nim nigdy trafić do końca.

Wprawdzie nie należał Ignas nigdy do naszych wypraw studenckich, na tych szerokich i skłniących jeziorach jakie pod ówczas oblęwały Kraków, zacząwszy od Szewskiej furtki, aż do Sławkowskiej bramy; nie latał nigdy ślizgawką;.. nie chodził też w lecie z nami na majówkę... na rozmiary;.. nie grywał w piłkę na błoniach ani pod Kapucynami;.. i nie należał ani razu do bandy, stale pomiędzy nami uorganizowanej,.. która, rok w rok peryodycznie, objadała pożyczki i wiśnie w ogrodzie pod młynami do nieboszczyka Kucińskiego należącym, Ignas, jak mówię nie należał nigdy do żadnej z tych pustot: bo nie miał czasu,.. bo się uczył, pracował... Ale rzecz dziwna, chociaż się uczył i pracował, umiał zawsze jakoś mniej od nas.. i może też dla tego właśnie zrobiono go cenzorem szkolnym, i przez całe 6 lat, nie wydarzyło mu się nigdy być zaproszonym do gabinetu p. Prorektora!..

W końcu nareszcie, kiedy wybiła godzina wyswobodzenia naszego ze szkół licealnych, i kiedy ja, dumny zyskaną eminencją, ruszyłem do Lwowa szukać światła w tamtejszym uniwersytecie, kiedym później i do warszawskiego zabłądził, p. Ignacy, a raczej jego rodzice, przestając skromnie na porcy wiedzy nabytej przez niego w gimnazjum nowodworskiem, na zyskanę przez niego *sekundzie*... i wnosząc, słusznie może,.. żeby słaba jego zkad inąd głowa nie przetrawiła jak należy umysłowej strawy, jaką dawano w ówczas na salach jagiellońskich, zabastowali dla niego w zawodzie naukowym, i osadzili go w kancelaryi jednego z celniejszych *alias* bogatszych adwokatów.

Patrzac na takie początki nas obu, pytam się wszystkich,.. czy można było przypuścić, że w 10 lat zaledwie potem, będę musiał przed panem Ignacym zdejmować z uszanowaniem czapkę;.. że go znajdę dyguitarzem, ozdo-

bionego honorowym znakiem, rozpięrającego się w urzędowym krześle, tak jak gdyby Krasickiego nigdy nie było na świecie,.. i jakby nie był napisał:

„Że nie dość zasiąść w krześle dużym i wygodnym,
„Trzeba jeszcze coś więcej!.. być siedzenia godnym!..“

A przecież tak się stało... I niechże tu teraz kto powie, że w przeznaczeniu mojem, nie mam zawistnego sobie nieprzyjaciela... Nie!.. nie podobna mi się obronić tej myśli, i albo los zawziętym jest przeciw mnie oczywiście; albo jest prawdą to, co mi już nie raz na myśl przychodziło, że ja, i mnie podobni, urodziliśmy się na świat albo zawczasie, albo też za późno;.. pan Ignacy zaś i jego koledzy, że się na nim zjawili w samą porę!..

Nastaly bowiem czasy, w których na ukolysanie wzburzonego i występującego z swych brzegów morza... szukano substancyj... zdolnych pohamować rozhukane jego fale... Oliwę więc i wszelkie tłuszcze... lepiące się wszędzie... przenikające wszystko... przeciskające się przez najstalsze ciała... ciężkie a więc do rozruszania trudne... i samą wagą martwości swojej gniotące życie, i łamiące siłę, uznano właściwemi do zaradzenia złemu. Oliwę też i tłuszczem oblano powoli świat cały, gdziekolwiek dodano smoly, a, rzecz cudowna, burza ucichła, ryk zamilkł, i wszystko wróciło w dawne koryta.— Możnaż się więc dziwić, że ja, który od młodości mojej byłem zawsze chudy, blady, suchy, a zatem palny, nie mogłem się w żaden sposób przydać do nowego preparatu. P. Ignacy zaś który był zawsze rumiany, tłusty i okrągły,.. a zatem ciężki, p. Ignacy, który ciekawością nie zgrzeszył nigdy, który żadnej zasłony nie odważył się w życiu uchylić, i który, mimo teoryi wykładanej wymownemi usty Karkoszyńskie-

go, wierzy do dziś dnia, że grzmot jest znamieniem gnie-
wu nieba, a piorun narzędziem jego kary; p. Ignacy po-
wtarzam, chodzące na dwóch nogach sadło,.. użytym
został do nowego lekarstwa, z nie małą korzyścią i pa-
cyenta i własną...

Wspomnienie to przywodzi mi na pamięć fenomen,
zatrudniający nie dopióro myśl moję, i na który zwrócić
uwagę czytelnika, nie będzie może od rzeczy... Uważa-
łem, że ludziom otyłym zawsze się jakoś lepiej na świe-
cie wiedzie, aniżeli chudym; i myślę, że zbadanie przy-
czyn tego szczególnego zjawiska, mogłoby być zadaniem
godnym analizy, nie jednego z współczesnych fizyologów.
Rzecz nie zawodna, że dobra tusza, w praktycznym życiu,
uprzedza na korzyść jej possesora wszystkich, z którymi
tylko possesor ten w jakichkolwiek zostaje stosunkach. —
Człowiek otyły, rumiany, budzi mimowolnie od razu jakąś
ufność w każdym;.. i choć to rzecz na pozór śmieszna,
niemniej jednakże jest pewna, że brzuch duży i obwisłe
podbródki uchodzą w świecie za pewien rodzaj rękojmi,
jeżeli nie poczciwości, to przynajmniej dobroduszości ja-
kiejs. U płci też pięknej, w tysiącnych interesach pra-
wnych lub przemysłowych, przed sądami i w obec wszel-
kiej władzy na świecie, dawanym bywa zawsze prym lu-
dziom spasyłym lub zaokrąglonym. Niesłyszałem jeszcze
kobięty mającej otyłego męża, żeby narzekała na stan
małżeński. Adwokaci, notaryusze, stręczyciele interesów,
faktorzy kupna i sprzedaży, wolą mieć zawsze do czynie-
nia z klientem tłustym, aniżeli z chudym. W sali ustępów
sądowych rzadko zobaczysz figurę, którejby linije cyrkum-
wallacyjne przechodziły miarę, przepisaną naturalnemu
stanowi człowieka przez dowcipnego Legouvé; a jeżeli
się nawet zjawi niekiedy, sto można stawić naprzeciw je-

dnemu, że ma sprawę jaśniejszą od słońca, i że z wyrokiem pomyślnym w kieszeni, pożegna izby sądowe. Rządy nareszcie, sprawujące swą władzę nad poddanymi cyrcumferencyi mniej więcej do Falstaffa podobnej, mogą spać spokojnie, i z politowaniem spoglądać na sąsiadów, których poddanym robi frak krawiec z 2ch łokci; bo historia, najlepszy świadek podobnych rzeczy na świecie, uczy nas wymownie, że Alby dopiero potrzeba było, żeby rozruszać spasyłych Hollendrów. Lecz nie tu koniec dowodów, jakieby się stawić dały na stwierdzenie prawdy założenia mojego. W zgromadzeniach publicznych, w obradach sejmowych, w parlamentach, ludzie otyli, są i będą... zawsze i wszędzie, obrońcami zasad konserwacyjnych, i nie zobaczysz nigdzie opozycyi złożonej z ludzi innych jak tylko chudych, cienkich i wymokłych.— Fox i Canning niegdyś, Roebuk, Schiel i Oconnel dzisiaj, koryfeowie opozycyi angielskiej, tój *nota bene*, która nigdy, albo bardzo rzadko i to na krótko, przychodzi do władzy,.. byli i są ludzie szczupluchni, o cienkich nogach i zapadłych policzkach; a panów Thiers, Dupont de l'Eure i Odillona Barrot... możnaby, że tak powiem, przewlec przez ucho od igły. Dzisiejszy lord Brougham, słynny niegdyś obrońca królowej Karoliny,.. był chudym kiedy jój bronił; i natychmiast jak tylko dostał brzucha, zrobiono go lordem i przeniesiono do Izby wyższej angielskiej.

Apropos Izby wyższej, kiedy mi już o niej mówić wypadło! Przypominam sobie, że w czasie bytności mojej w Paryżu w r. 1835, dzięki uprzejmości księcia Décazes, referendarza podówczas Izby parów, udało mi się dostać bilet wejścia na jedno z jój posiedzeń w Luxemburgu, i to bilet do trybuny jój prezydenta P. Pasquier... Izba parów funkcjonowała podówczas jako trybunał najwyższy

w sprawie fakcyonistów lionskich, — i na posiedzeniu na którym byłem obecny, miał być właśnie ferowany wyrok przeciw obwinionym. Ścisk ludzi był niesłychany, trybuny wszystkie pełne, sala zaś na dole jeszcze pusta, bo szanowni członkowie tego poważnego zgromadzenia, obradowali w sali ustępowej, a panującej tam ciszy nie przerywały nawet stąpania licznych sług sądowych (*huissiers*), którzy w stroju urzędowym, w pończochach i trzewikach, przechodzili się z powagą po wysłanej kobiercem podłodze. Wyznam, że byłem nie pomaluszku ciekawy ujrzeć siedzące na trybunale tak dojrzałe ciało polityczne, i poznać zewnętrzną jego fizyonomiją... chociaż nie spodziewałem się nigdy, żeby fizyonomija ta, miała tak mało odpowiedzieć powziętym o niej wyobrażeniom moim. — Kiedy bowiem, po dalszym długiem oczekiwaniu, jeden z owych woźnych otworzył drzwi średnie amfiteatru na oścież, i głosem donośnym zawołał: „*Messieurs! la haute Cour!*“ stopnie jego zaczęły zaludniać postacie... godne prawdziwie ideałów w obrazach Rubensa. Po jednym... po dwóch... po trzech... a wszystko z powagą i powoli... to w sile wieku, to znów srebrną okryci siwizną... oparci albo na laskach, lub też na ramionach usługnych woźnych, pokazywali się na wzniesionej widowni, zielonym obitej dywanem, poważni członkowie najwyższego politycznego areopagu Francyi!.. Nie wiem dla czego, ale ich widok pomimo otaczającej ich uroczystej pompy, nie bardzo korzystne uczynił na mnie wrażenie. Patrzałem na te massy ciała, przesuwające się po pod memi oczyma i tonące kolejno w obszernych pluszowych fotelach, z pewnym rodzajem zadziwienia; bom nie mógł pojąć, żeby magistratura złożona z członków, wegetujących zaledwie, mogła się na co przydać, a tym więcej mogła funkcjonować z jakąkolwiek korzyścią,

w organizmie ciała takiego, jakim jest i powinien być rząd w każdym kraju, — ciała, którego zdrowia najpierwszym warunkiem musi być, i jest wszędzie, pełnia życia i siły. Oprócz jednego p. Montalembert, nie widziałem ani jednego para, o którymby można powiedzieć, że waży mniej jak 2 cetnary, i patrząc się dopiero własnymi oczyma na tę Izbę, o której istnienie przed trzema laty, tak zwawę toczono spory, zrozumiałem słowa P. Guizot, który wtedy powiedział o niej: „*La chambre des Pairs, messieurs, est une portion du Roi*, i znaczenie wyrazów p. Perrier kiedy ją nazwał — „*le contre poids du mouvement demesuré*.“ — Myślę nawet, że Perrier trafniej skreślił charakter tego zgromadzenia, .. gdy nie podobna zaprzeczyć, że waga *takimi obłożona gwichtami*, zdolna jest odpowiedzieć przeznaczeniu swemu w całym znaczeniu tego słowa i może przeciw - ważyć wszystko, co tylko przeciw - ważyć potrzeba.

Już więc sam skład fizyczny *du pouvoir modérateur* we Francji naprzykład, przemawia za prawdą tego wniosku: że dobra tusza w życiu nawet publiczném, i w obec wszelkiej zwierzchniej władzy, jest pewnym rodzajem moralnej kaucyi, budzącej ufność i uspasabiającej tę władzę do wydzielenia jej znamienitych funkcj w organizmie publicznym, funkcj jakimi są naprzykład: miarkowanie wydzierającego się naprzód zapału, lub hamowanie niewczesnych rozpędów burzliwej wyobraźni, ambicyi, lub innych szkodliwych namiętności: i przeciwnie, że *nous autres* na cienkich nogach, lżejszej nieco wagi śmiertelnicy, stronnicy prawie wszędzie mniemań sprzecznych z powszechnie przyjętymi i kurs momentalny mającemi, nie możemy sobie rościć prawa do zaufania władzy, nie posiadamy go w istocie nigdzie i musimy poprzestać na pozostaniu w głębi

tęj sceny, na której okrągłsi bracia nasi tak znamienite i korzystne odgrywają role. — Historia nawet małego naszego kraju, a nastrocza nam przecie dowodu, że spostrzeżenia moje nie są bezasadne. Ś. p. Jakub Czerniński, głowa opozycji na sejmach niegdy krakowskich, był także chudy, jak każdy z nas pamięta. Że zaś najwięksi nawet sternicy przeznaczeń ludzkich z niechęcią tylko patrzyli na ludzi chudych i wywiedłych, starożytnie, równie jak i nowsze dzieje, tysiąc nam stawiają przykładów. Cezar obawiał się Kassjusza dla tego tylko, że był chudy, i przeciwnie sprzyjał Antoniuszowi dla tego, że Antoniusz był ciężki i otyły. — Napoleon miał zawsze jakąś awersją przeciw generałom Moreau i Bernadotte, którzy jak wiadomo, nie mieli na sobie nigdy zbyt wiele ciała, a lubił znów generała Caulaincourt dla tego, jak sam powiada, że to był poczciwy tłusciuch. Cerwantes mawiał zawsze, że nie było i nigdy nie będzie na świecie demagogów z tłustemi brzuchami i obwisłemi podbródkami. I trzeba oddać sprawiedliwość Cerwantesowi, że miał słuszność; bo jak powszechnie wiadomo, Marat i Robespierre byli chudzi niesłychanie. Do podobnie pomyslnych wniosków, na korzyść *tuszy*, prowadzi nas i rozbiór fizyologiczny nie tylko ludzi ale i innych ciał, jak np. książek. — W wielkiem księstwie Badeńskiem, książka o 20tu arkuszach druku wolną jest od cenzury; a wszystkie cieńsze, chudsze pisma, książki i broszury, poddane jęj są bezwarunkowo. Nie jestże to najlepszym dowodem, że tusza znaleziona gdziekolwiek, budzi zawsze ufność i uchodzi na całym świecie za rękojmią prawych chęci, w otyłych rzeczach i ludziach!?

(Dokończenie nastąpi).

WSPOMNIENIA.

JÓZEF KANTY NEPOMUCEN BOGUCIŃSKI

NAPISAŁ

JÓZEF MUCZKOWSKI.

Jeszcze w pierwszej połowie zeszłego stulecia, w okolicy teraz z uzdrawiających wód słynnego Buska, niegdyś w województwie sandomierskiem położonego, w wiosce parafialnym kościołem ozdobionój, osiadł był na karczmie starozakonny Lewek Berkowicz i w niej się arendą bawił. Czworu dziątek, to jest trzech synów i jedna córka, było nie liczném jego potomstwem. Czyto wieloletnie wśród chrześciańskich zagród przemieszkiwanie, czyli téż, co podobniejsza do prawdy, ciągle namowy osób, do których Lewka jego zatrudnienie zbliżało, tak silnie na jego umysł z czasem wpłynęły, iż tenże najgoręcej zapragnął przejść na łono kościoła katolickiego. Tą myślą wiedziony w podeszłym wieku, bo około 60 lat liczący L. przybył do Krakowa, gdzie w kościele archiprezbiterialnym N. Maryi Panny przez ówczesnego archiprezbitera ks. Jacka Łopackiego, w dniu 16tym grudnia 1757 roku, do grona prawowiernych pod imionami Antoniego Wincentego Ferraryusza został przypuszczony; przy czém mu Jan Puszet, starosta duminowski, tudzież Maryanna Wielopolska, wojewodzina sandomierska, usługę religijną świadczyli.

Zaledwie sześć tygodni ubiegło od czasu kiedy nasz Antoni wodą zbawienia był oczyszczony, aliści nowy ten nauki Chrystusowój zwolennik, w dniu 27mym stycznia 1758 roku do świątyni Pańskiej, w której sam niedawno

1.



2.





ś. chrzest był przyjął, przywiódł swych dwóch synaczków, czternastoletniego Wolfa i w dziesiątej wiosnie życia będącego Izraela, z tém gorącym życzeniem, żeby i oni uczestnikami zbawienia stać się mogli. Tu młodzi Lewkowiczowie, których Ignacy Scypio, starosta lidzki, tudzież wspomniana wyżej Maryanna Wielopolska, do chrztu trzymali, do kościoła Chrystusowego przez archiprezbitera Łopackiego przyjęci zostali; przy czém starszy z nich Stanisława, młodszy zaś Józefa imię na chrzcie otrzymał (1). Odtąd tak ojciec jak i ochrzczeni dwaj synowie od rodzinnéj wioski Bogucic, w której tamten później życie zakończył, Bogucickimi nazywać się zaczęli. Matka ich dopiero w roku następnym (1759) w dniu 22 stycznia w téjże saméj co i oni świątyni ochrzczoną została. Ale trzeci brat Mardke (Mardehej, Marek) w wierze swych przodków pozostał, i w niéj w Pinczowie, zostawiwszy potomstwo, w r. 1798 życia dokonał; gdzie téż i starsza od ochrzczonych Bogucickich siostra Katarzyna, niegdyś Brandle zwana, która później niż bracia w Busku religią katoliczką przyjęła była, w r. 1793 z tego zesła świata, zostawiwszy z pierwszego męża Sadkowskiego obojéj płci potomstwo.

Taki jest rodowód Józefa Bogucickiego, męża głębokiej i rozległej nauki, niezrównanej o dobro powszechné gorliwości oraz rzadkich przymiotów duszy i serca, które w swych pismach, testamencie i pięknej przez siebie uczynionéj fundacyi uwiecznił.

(1) Na wydanych później przez B. pisemkach prócz imienia Józefa i dwa inne to jest Kantego i Nepomucena zwykle dodawane znajdujemy, lubo według metryki tylko pierwsze na chrzcie był otrzymał.

W jedynastym roku życia swego (1759) Bogucicki wraz z starszym bratem Stanisławem ⁽²⁾, do szkół krakowskich oddany, z tak wielkim pożytkiem przepędził czas ku nabyciu początkowych nauk przeznaczony, że już w r. 1764 d. 25 maja nauk wyzwolonych i filozofii bakałarza stopień otrzymał. Dobre obyczaje, wzorowa pilność, niepoślednim zdolnościom wyrównywająca, połączone z miłą i ujmującą powierczowością dobrego młodzieńca, tak dalece zjednały mu względy u jego przełożonych, iż ośm-nastoletniemu Bogucickiemu zarząd szkoły ś. Szczepana czyli seniorstwo w niej Uniwersytet powierzył.

Młody nasz nauczyciel, pomimo wielkiej od tak ważnego powołania nieoddzielnej pracy, nie tylko, że, mając już mniejsze święcenia, na kurs teologii w tym czasie najpilniej uczył; ale też przez swoją rzadką i w późniejszym wieku podziwianą w sobie pracowitość oraz nie

- (2) Stanisław Bogucicki po nabyciu potrzebnych do stanu duchownego nauk, powołanie pasterskie za najwyższy kres życia swego zamierzył i później jako komendarz w Chorzęcinie na chwałę Bożą pracował.
- (3) *Cultus Dulciae B. Isaias Bonerio S. Th. D. Ord. Fren. S. Aug. Provin. Polonae Convent. Crac. ad aedes S. Catharinae Virg. et Martyris exhibitus per dedicationem Thesium Theologicarum disputationis publicae in Alma Universitate Cracov. defendente Conclusiones Excel. Dno. M. Josepho Bogucicki Ph. D. Scholae S. Steph. Seniore. Sub assistentia M. Stanisłai Patelski S. Th. Prof. Collegae majoris etc. Anno Dni 1767 mense Martio. 4. Fol. v. wizerunek Izaiasza z podpisem Sc. Elev. Crac. Dedykacyi do B. Izaiasza Bonera przez Bogucickiego uczynionej 2½ k. Tu wprost do Izaiasza mówi i znowu jego życie jako trzeciej osoby opisuje. Po tém następuje *Synopsis vitae B. Isaias Boner S. Th. Doct. Cracoviensis Poloni* 4½ k. Kończą pismo *Conclusiones*.*

zrażające się trudnościami zamiłowanie nauk, tyle doka-
zał, iż w r. 1767 dnia 23 stycznia mistrzem nauk wyzwo-
lonych i filozofii doktorem został uczyniony. W tym też
roku odprawił dwie teologiczne dysputy, jedną w miesiącu
marcu, w której popierał naukę o czci świętych i modle-
niu się do nich ⁽³⁾; w drugiej zaś, w dniu 5 listopada
odbytej, bronił konkluzyj z teologii moralnej według za-
sad Tomasza świętego ⁽⁴⁾. We dwa lata później to jest
w r. 1769 d. 5 marca jako alumn akademicko-dyeczal-
nego seminaryum oraz kaznodziejskiej wymowy już od
roku professor, przewodniczył swym uczniom podczas
gdy ci w wymowie kaznodziejskiej publicznie odprawiali
ćwiczenia. ⁽⁵⁾.

Atoli Bogucicki nie samą tylko teologią wyłącznie się
zajmował. Obdarzony bowiem od natury bystrym poję-
ciem, z łatwością ogarniał on cały obszar nauk i wza-
jemne ich związki i wpływy przenikliwie odgadywał. Dla
tego też młody ten nauk miłośnik lubo sobie w teologii
szczególniej ulubił, jednakże i innych nie zaniedbywał
nauk: zwłaszcza tych, które z nią w ściślejszym będąc
związku, nabyte w niej wiadomości rozjaśniają, utwier-
dzają i rozszerzają.

(4) *Conclusiones theologicae ex cursu morali menti D. Thomae
Angelici et Eccls. Doct. conformes. Crac. typ. Acad. Coll.
maj. 4.*

(5) *Exercitatio scholastica ex praeceptis Sacrae Rhetorices et
praecipue de genere concionandi morali concinnata atque
per eximios eiusdem sacrae lectionis auditores sub assis-
tentia M. Jos. Cantii Nepomuceni Bogucicki AA. LL. et
Phiae Doct. Seminarii academico-dioecesani alumni ac
interea Sacrae Rhetorices professoris, in Collegio majori
Universitatis Cracovien. die 3tia mensis Martii A. D. 1769
publice demonstrata. 8.*

Tento wzgląd na wzajemne skojarzenie nauk był mu pochopelem, że mimo zatrudnienia do seniorstwa szkoły przywiązane, już jako filozofii doktor i zewnętrzny professor, na lekcye prawa pilnie i z taką korzyścią uczęszczał, że w r. 1771, jako bakałarz prawa podczas poniedziałkowej wydziału prawnego dysputy d. 28 lutego, ośmiu kwestyj tyczących się przysięgi bronił^(o). Jasne tłumaczenie się i gruntowne zbijanie zdań przeciwników, uutorowało umiejętnemu szermierzowi drogę do seniorstwa bursy prawnej, którym go w dniu 26 czerwca t. r. Uniwersytet zaszczycił.

Usilne Bogucickiego do nauk przykładanie się, które najpiękniejsze o nim rokowało nadzieje, skłoniło Uniwersytet, że proszącemu o pozwolenie wyjechania do Rzymu w celu nauczania się języka greckiego, nie tylko takowe w dniu 21 lipca 1773 r. najchętniej udzielił; ale też w dowód uznania jego pilności i położonych przy Uniwersytecie zasług, już podówczas proboszczem w Mucharzu będącemu, miejsce w swém gronie zapewnił, postanowiwszy, żeby przez czas swój naukowej podróży, za czynnego profesora był uważany.

Jeszcze dwa lata spełna nie ubiegły od czasu jak Bogucicki otrzymał od Uniwersytetu wolność udania się za granicę, aliści już w dniu 28 kwietnia 1775go roku, po uzyskaniu w dniu 17 kwietnia t. r. od Piusa VI, papieża, przypuszczenia do rzymskiego kollegium zakonu kaznodziejskiego, skoro odbył ścisły examen w témże kollegium przed wysadzonymi ku temu celowi mężami, przez tajemne głosowanie za godnego wieńca doktora ś. teologii jednomyślnie uznany i uroczyste ozdobiony nim został⁽¹⁾.

(o) *Continuatio controversarum quaestionum juris ad disputandum expositarum. 1771. 4.*

(1) *R. P. Mag. Fr. Ludovicus Cebrian, Collegii S. Thomas de*

Z okwitym nauk plonem wrócił do kraju Bogucicki i w r. 1778 jako professor zwyczajny, tytułem członka literatów warszawskich zaszczycony ⁽⁶⁾, zajął miejsce w kolegium mniejszem, które Uniwersytet jeszcze w r. 1774 bawiącemu za granicą życzliwie był przeznaczył i zachował. Uzyskanie w tym samym czasie plebanstwa w Igołomii, do którego przez kollatorkę Humiecką, wdowę po stolniku koronnym, Uniwersytetowi był przedstawiony i usilnie zalecony, było dla niego nową pobudką do gorliwego pracowania w winnicy Chrystusowej i około rozkrzewienia w narodzie oświaty, którą za węgielny kamień pomysłności krajowej zwykł był uważać.

Zaprowadzona w dniu 29 września 1780 roku, jako w uroczystość imieniu Michała księcia Poniatowskiego, prymasa królestwa i szczególniejszego Uniwersytetu dobroczyńcy i opiekuna, nowa szkoła Jagiellońskiej reforma, wywiodła Bogucickiego na rozleglejsze działania naukowego pole. Nie tylko bowiem że w tym roku miał so-

Urbe Regens et Praefectus, praemissa solemnī fidei professione, praestitoque juramento de sectanda angelica S. Thomae Aquinatis doctrina, eundem promovit, adscripsit et incorporavit per annuli traditionem impositionemque bireti.
Z dyplomu promocyi.

- (6) Cobyto było za towarzystwo literatów warszawskich trudno teraz oznaczyć. Wszakże Bentkowski w swojej Histor. lit. pol. t. I. str. 134, przed trzydziestą lat o niem wspominający, pomimo, iż bliższy był owych czasów i przy źródle nieszał, zaspokajającej nawet wiadomości nie mógł o niem zasięgnąć. Nie uzasadnionem jednak zdaje się być jego twierdzenie, jakoby to towarzystwo nie długo trwać miało; boć od r. 1766, który przywodzi, do 1780 r. w którym między Bogucickiego zaszczytami i ten wspomniany znajduję, 24 lat upłynęło.

bie powierzony stér szkół wydziałowych krakowskich, których rektorem został mianowany; ale téż jako professor historii kościelnej umieszczony w kollegium teologiczném i sekretarstwo w niem sprawował (*). Oceniając usposobienie Bogucickiego wizytator Uniwersytetu i jego reformator Hugo Kołłątaj, mimo ważności już powierzonych mu dwóch urzędów, któreby same dostateczne były do zupełnego zajęcia człowieka mniejsze niż Bogucicki posiadającego zdolności, w tymże czasie powołał go na sekretarza Szkoły głównej, której uroczyste otwarcie uświetnił mąż ten pięknie powiedzianą mową łacińską drukiem ogłoszoną. A kiedy na przełożenie Kołłątaja, Kommissya Edukacyjna swoim postanowieniem z dnia 17 czerwca 1782 roku wizytatorowi Szkoły głównej ośmiu profesorów przydała do pomocy przy dokończeniu reformy, jako téż dla wprawienia tychże osób zgromadzenie Uniwersytetu składających w zupełne poznanie interesów stanu akademickiego i zamiarów, jakie sobie w urzędzeniu edukacji publicznej założyła, i Bogucickiego téż w ich liczbie umieszczono.

Tyle i tak rozlicznych zatrudnień nie mógł Bogucicki bez uszczerbku dobra powszechnego na długo połączyć z nader ważném powołaniem gimnazyalnego rek-

(*) Z okoliczności posunięcia się Bogucickiego na katedrę w kollegium teologiczném, jakiś niewiadomy w liście z Krakowa do Warszawy d. 2go października 1782 r. pisanym, którego dwie kopie czytało mi się zdarzyło, donosząc swemu, z nazwiska tu nieoznaczonemu, przyjacielowi o reformie Szkoły głównej i o zatrudnieniach jakie w niej dawnym profesorom wskazano, to zaszczytne o Bogucickim napisał zdanie: „Rektor wydziałowy historii kościelnej dawać będzie. Z tym Bóg cud uczyni, i on korresponduje łasce Boga.“

tora. Wszakże, potrzeba pilnego czuwania nad szkołami w których zaprowadzona przed kilką lat (1777) reforma nie najlepiej trafiała do smaku według innych pojęć usposobionym professorom, wymagała szczególnego poświęcenia się temu zawodowi. Skoro więc Bogucicki kilkoletniem doświadczeniem utwierdził się w przekonaniu, że mimo największą usilność wszystkiemu podołać nie może; nie długo się namyślał, którąby z tylu posad opuścić mu wypadało. Jakoż przejęty ważnością obowiązków rektora szkoły, którego gruntowna nauka, gorliwość, tudzież ujmujące z nauczycielami, a prawdziwie ojcowskie z młodzieżą obejście się, do utrzymania, nie owęj surowej najpospolicięj chybiającej celu karności, ale do chwalebnej z obopólnego przywiązania wynikłej uległości uczniów, do wzbudzania w nich zamiłowania do nauk i do ożywiania najpotrzebniejszej w nauczycielach gorliwości i wytrwałości najdzielniej się przyczyniać mogą i powinny; skoro się przekonał, iż tak ważny urząd z innemi pogodzić się nie da, już w r. 1782 d. 30 września, idąc za natchnieniem miłości dobra powszechnego, złożył korzystne sekretarstwo Uniwersytetu, aby się bezpłatnemu powołaniu rektora tym gorliwiej mógł poświęcić ⁽¹⁰⁾.

Ale Bogucicki tylko przez trzy lata mógł się zajmować szkołą, do której go wdzięczność jako dawnego jęj wychowawca szczególniej przywiązywała. Kiedy bowiem w skutek zaprowadzonej nauk reformy Kommissya Edu-

(10) Bogucicki prócz plebanii w Mucharzu i Igołomii, jako prof. historii kościelnej brał pensyi 5000 złp. jako kanonik kollegiaty ś. Anny należał do podziału dochodów kollegiaty, jako sekretarz Collegii theollogici złp. 1000 jako sekretarz Uniwersytetu 2000 złp. pobierał. Protokół obrad Szkoły głównej r. 1780 str. 15.

kacyjna Uniwersytetowi krakowskiemu w Koronie, a wileńskiemu w W. Księstwie Litewskim stér naukowy i najbliższy nadzór nad szkołami poruczyła, i z tego względu te dwa Uniwersytety odtąd Szkołami głównymi nazywać kazala, Szkoła główna koronna przekonana, iż, przy braku należycie usposobionych nauczycieli szkolnych, trafny wybór wizytatorów, którzyby swą nauką i doświadczeniem mniej usposobionych młodzi przewodników oświecali i wspierali, najwięcej na podźwignienie edukacji narodowej wpłynąć zdoła, zaszczytnię w tym względzie znanego Bogucickiego w dniu 27 października 1783 r. na wizytatora jednomyślnie wybrała i najprzód go do wielkopolskiej, a następnie w roku 1785 i do małopolskiej prowincyi na wizytę wysłała. Jak chlubnie nowy wizytator odpowiedział położonemu w sobie zaufaniu, świadczą nie tylko raporta, które o zakładach przez siebie niekiedy o własnym koszcie zwiedzanych ⁽¹⁾, przed zebraną Szkołą główną był poczynił; ale téż i owe liczne pochwalne wiérsze, które i młódz i nauczyciele szkolni na cześć jego pisali, uwielbiając w nim obok rozległej nauki, rzadką o dobro edukacyi gorliwość, oraz to wjmujące ze wszystkimi obejście się, którém zarówno i młodzi i nauczycieli serca do siebie przygarniał, i do usilności i wytrwałości zagrzewał. Z kilku pochwał tego rodzaju, które szczęśliwe zdarzenie podało mi w ręce, ze względu na piszącego, szczególnież zasługuje na uwagę oda Franciszka Xaw. Dmochowskie-

(1) Szkoła główna na swém posiedzeniu d. 15 listopada 1785 r. uchwaliła, że poniesione przez Bogucickiego koszta wizyty 500 złp. wynoszące, mają mu być wypłacone aż na końcu b. r. szkolnego, po opłaconych wszystkich Szkoły głównej wydatkach, i przy pokazanym remanencie szkolnego roku. Protokół N. 4. str. 378.

go ⁽¹²⁾, w której poczynający naukowy i nauczycielski zawód ten znakomity tłumacz Homera, między innymi w te się do Bogucickiego odzywa słowa:

Meżu, którego kocham, wielbię cnoty,
Twój rozum niech mi będzie przewodnikiem.
Ty mi do pracy dodajesz ochoty,
Kraszając ją słodkich względów Twoich likiem.
Ty na nas Twojem łaskawem wejrzeniem,
Dajesz skuteczne do nauk pobudki.
Ileś mię nowym zapalił płomieniem,
Pokaż dalsze oczywiście skutki.
Na Twoje względy zarabiać się kuszę,
Twojej mądrości hołdować na wieki.
Tchnę i tchnąć będę miłością Twój dusze,
Aż do zamknięcia śmiertelnej powieki.

Obok nauczycielskich zatrudnień i wizytatorstwa, które Bogucicki sprawował przez dwa lata z chlubą dla siebie a dla nauk z pożytkiem, musiał on w tym czasie i inne załatwiać czynności, do których go powszechnie zaufanie wielokrotnie powoływało. Pomijając tu wiele drobniejszych, lubo mimo to ważnych, nie można tego przemilczeć, iż jeszcze w roku 1784 w dniu 16tym grudnia Szkoła główna uznawszy potrzebę katedry literatury, postanowiła, żeby do jój wykładu na miejsce historii kościelnej wezwać Bogucickiego, który na tém samym posiedzeniu zgromadze-

(12) W r. 1784 w czasie czynionej przez Bogucickiego wizyty, 22letni Dmochowski był nauczycielem w szkołach radomskich pod zarządem Piarów zostających.

nie upraszał o pośrednictwo do Kommissyi Edukacyjnej, by mu logikę za lekcją przydatkową kandydatom tak długo wykładać dozwoliła, dopóki by książki elementarnej téj nauki drukiem nie ogłoszono.

Rok 1787 pamiętny w dziejach miasta i Uniwersytetu naszego, iż w nim, od 23ch lat panujący król Stanisław August, po raz pierwszy zwiedził dawną Jagiełłów stolicę, w życiu Bogucickiego nader smutną stanowi epokę; bo odtąd zaczęły się jego ciągle prześladowania, które mu resztę życia zatrwały. Nim atoli o nich mówić nam przyjdzie, związek rzeczy wymaga, żebyśmy o królewskim w Krakowie bawieniu, choć w kilku słowach wspomnieli.

Okrzyki ludu krakowskiego, upojonego radością z oglądania Króla w murach wawelskiego grodu, gdzie już od pół wieku grobowa cisza była zasiadła, tudzież nie odłączne od tak uroczystych zdarzeń zabawy i uczt, nie wstrzymały w Królu, nauk czcicielu, chęci okazania swéj ojcowskiej troskliwości około dobra Szkoły głównej koronnej, która przed czterema wieki przez jego poprzednika Jagiełłę wspaniale wzniesiona, po kolejach świętności i upadku, nakoniec za jego staraniem z umysłowego otrętwienia ocucona, nowym blaskiem jaśnieć i błogą oświatę w kraju rozniecać zaczęła. Wszakże dostojny Monarcha, nie tylko że nazajutrz po swém do Krakowa przybyciu, to jest w dniu 17tym czerwca zaraz po Województwie krakowskiem publiczne dał posłuchanie Szkole głównej w akademickie ubiory przybranéj, od której przez jéj rektora Felixa Oraczewskiego był witany ⁽¹³⁾; ale téż

(13) Powitanie to wraz z królewską odpowiedzią wyszło najprzód w 2 ark. in fol., a później w Dyaryuszu przyjazdu króla Stanisława Augusta do Krakowa w t. r. wydanym na str. 24—32 umieszczono zostało.

w sposób dla niej zaszczytny najlaskawiej z tronu odpowiadając i oddając jej swoje królewską dziękę, iż jak się wyraził, tém się jedynie zatrudnia, co naród oświecać, ulepszyć i wslawić może, mowę swą temi pamiętnemi zakończył słowy: „Przystąpcie do mnie, podaję wam rękę na znak i zadatek najskłonniejszego affektu i szacunku mego“. Te wyrazy Króla, nauk miłośnika, później nieraz żalose w sercach akademików wzbudzały wspomnienia, kiedy im z zaszczytną, dla siebie niegdyś uprzejmością królewską przychodziło porównywać owo lekceważenie siebie w słowach i obejściu się, jakiego w czasach następnych wielokrotnie doświadczali od nieznających ważności nauk; a tém samém i poświęcających się im osób cenię nie umiejących.

(Dokończenie nastąpi).

OPIS

DWÓCH RZADKICH MEDALI POLSKICH.

Wiadomo jest, iż dwóch bywało w Polsce podskarbich, jeden koronny, drugi litewski, którym, dla różnicy od podskarbich nadwornych królewskich, tytuł *wielkich* dodawano. Do obowiązków tych ministrów należał szczególnież zarząd mennic, dla tego na monetach tak koronnych jako i litewskich, widzimy herby ich umieszczone, a niekiedy i cyfry. Prócz tego był zwyczaj wybijania medala na pamiątkę podskarbiego. Taki medal zwykle wyrażał imię, nazwisko, godność i herb, a czasem myśl ściągającą się do jego osoby lub urzędu. Szereg podskarbich wielkich wymienia Bandtkie na wstępie swojej numizmatyki, lecz z medali ich pamięci poświęconych cztery tylko dotąd znajdujemy opisane w dziełach Bentkowskiego i Ra-

czyńskiego: mianowicie, jeden dla Jana Firleja, dwa dla Jędrzeja Morsztyna i jeden dla Jana Chlebowicza; dwaj inni bowiem, Jan Lubomirski i Stanisław Miłoszewski, uczczeni także medalami w dziełach wspomnianych opisaniami, byli podskarbiemi nadwornymi.

Na medalu miedzianym, którego tu rysy załączamy, jeden cal i dwie linije w średnicy miary nowój polskiej mającym dotąd nigdzie nieopisanym, przedstawia:

Str. gl. Herb Przegonią zwany, to jest na tarczy miecz ostrzem na dół stojący, wedle którego dwa półksiężyce, rogami ku bokom tarczy położone. Nad hełmem smok do połowy widzialny, w prawą obrócony (w lewą względem patrzącego na medal) z skrzydłem w górę wzniesioném i sterczącą łapą. Z jego otwartej paszczy, wśród płomieni, wystrzela podobnyż miecz z półksiężycami. Hełm i tarcza przystrojone są po bokach w ozdobne liście. Wokoło między sznureczkiem i wieńcem napis: IOANES (sic.) * DULSKI * * CASTEL * COLMEN (Castellanus Colmensis) to jest Jan Dulski kasztelan chełmiński.

Str. odwr. W kwadratowej ramce, której boki ozdobione fioresami podobnie jak na holenderskich dukatach, ośm równych więrszy dopełnia powyższy napis, w wyrazach:

REGNI . POLONI

TERRARVMQ

PRVSSIAE . THES

AVRARIVS . BRAN

ROGENH . SVRA

SI . SVECIAE . EC.

CAPITANEI (sic.)

. 1 . 5 * 8 . 5 .

(regni Poloniae, terrarumque Prussiae thesaurarius, Branscensis, Rogenhausensis, Surasiensis, Sveciae, etc. capitaneus

1585); to jest, Królestwa Polskiego i ziem Pruskich podskarbi, Brański, Rogoziński, Surazki, Świecki i t. d. starosta (*).

Monety polskie za króla Stefana bite od roku 1581, i za Zygmunta III do roku 1589, noszą na sobie herb Dułskiego. W tym jednak przeciągu czasu zdarzają się niektóre z odmiennymi znamionami: i tak n. p. talar koronny z roku 1585 przez Bandkiego pod liczbą 173, jako też i dukat koronny z 1586 r. pod liczbą 720 opisane, mają na sobie strzałę z podwójnym krzyżem czyli herb Lis zwany, Jędrzeja Sapięhy, podskarbiego litewskiego; trojak zaś koronny z r. 1586 pod liczbą 722 wyrażony w rzeczonyj numizmatyce, nie tylko herbem Glaubicz (ryba) Jakuba Rokossowskiego, który był Dułskiego poprzednikiem, ale też i cyfrą jego I. R. jest oznaczony. Wyjaśnienie tego spostrzeżenia zostawiamy bieglej szym numizmatykom.

Drugi medal na dołączonej rycinie przedstawiony, jeden cal i 5 linii w średnicy mający, a blisko ćwierć cala gruby, wyrobiony z szarego marmuru, wyobraża na

Str. gł. Popiersie męzkie w prawą stronę obrócone. Pierś i ramię odziane są zbroją, przystrojoną w liściowe ozdoby. Na głowie prosty szyszak z przyłbicą, w której broda schowana; w około napis: PRVDENCZY MYSLIKO.....AWY; a pod ramieniem AETA: 48 (aetatis 48) to jest w 48 roku życia. Samym brzegiem idzie wążka opaska, jak gdyby z drobnych ostrych listeczków złożona.

Str. odwr. Herbowa tarcza poprzecznie przedzielona. Wierzchnią jej połowę zajmuje szachownica ukośna, dolna

(*) Brańsk i Suraz miasta w podlaskiem, Rogosno (Rogenhausen) m. w chełmińskim wojew., drugie zaś po łacinie Rossna zwane w poznańskim; Świecie (Schwetz) m. w województwie pomorskiem nad Wisłą położone.

ma próżne pole. Nad tarczą hełm, z którego w górę dwie trąby nakształt słoniowych sterczą; z boków zaś hełmu wychodzą ozdobne liście, rozciągające się aż po bokach tarczy. Na brzegu w około znajduje się wążka obwódka, podobnie jak na stronie głównej. Napisu nie ma żadnego.

Z poprawnej pisowni polskiej w napisie, z postaci głosek i rodzaju zbroi, niewątpliwie wnosić można, iż medal ten do polskich należy i jest dziełem polskiego artysty; obcy bowiem, kiedy naszego używali języka, zwykle w pisowni robili uchybienia. Medal ten pięknie wykonany tak w modelowaniu twarzy jako też w subtelności ozdób i głosek napisowych, jeżeli nie jest jednym z najdawniejszych tego rodzaju narodowych zabytków, to przynajmniej do końca 15 lub początku 16 wieku z pewnością liczyć się może. Jest on znacznie uszkodzony. Utrącona część zajmowała na stronie głównej wierzch szyszaka i resztę napisu, który, wnosząc z rozmiaru, około dwunastu głosek mógł zawierać. Z tych cztery zajmowały dokończenie nazwiska WSKI lub WICZ, ośm zaś z pozostałemi AWY, wyrażały zapewne miejsce z którego się pisał Myślikowski. Na odwrotnej stronie przez utracenie medalu brak jednej trąby nad hełmem, którego powierzchnia przez umyślne zestruganie uszkodzona została. Dziwić się należy, iż tak nazwisko Myślikowskiego lub Myślikowicza, jako też i herb jego wyżej opisany żadnemu z polskich heraldyków nie były znane.

T. Ż.

POCZĄTEK PRZYSŁOWIA

„SIEDZI JAK NA NIEMIECKIEM KAZANIU.“

W XItej księdze historyi Długosza na str. 211 pod rokiem 1410 czytamy: iż zesłani do Pragi posłowie polscy do Wacława, króla czeskiego, uproszonego od Jagiełły, aby między nim a mistrzem krzyżackim i zakonem toczące się spory w sposób zaspokajający rozstrzygnąć zechciał; kiedy na złożoném w tém celu zebraniu wyrok sprawiedliwym Władysława żądaniom uwłaczający w języku niemieckim czytać zaczęto, lubo, jak tenże autor pisze, niektórzy z nich mowę tę dostatecznie rozumieli, nie mówiąc, powstali i z sali obrad wychodzić zaczęli. A gdy ich król zapytał, dla czego by to czynili, tę mu odpowiedź dali: *Tu jest niemieckie kazanie, a my Polacy, którzy tego języka nie rozumiemy, tam pójdziemy, gdzie po polsku kazac będą.*

Na tymto historycznym wątku p. Kazimierz Wójcicki, znakomity nasz pisarz, osnował początek rzeczzonego przysłowia; bo powiedziawszy w szacowném swém dziele, przysłowia narodowe obejmującém (t. III. str. 44), że posłowie oświadczyli, iż *tój mowy nie świadomi, na niemieckim kazaniu siedzieć nie powinni*, dodaje: iż ta udawana niewiedomość rozeszła się po kraju, i odtąd gdy kto czego słucha a nie rozumie, zwykło się mówić: „*Siedzi jak na niemieckim kazaniu.*“

Ale okoliczność, że według Długosza wcale innój osnowy było oświadczenie posłów polskich, w którém najmniejszej nie masz wzmianki o siedzeniu; tudzież to, że czytanie wyroku nie ma żadnego związku wyobrażeń z ka-

zaniem, przez któryby je na pamięć przywodziło, powinno było zwrócić uwagę Autora, iż przysłowie to nie z tego poczęło się zdarzenia: ale raczej, że obecnym tam posłom brzmienie czytanego wyroku mimowolnie nasunęło na myśl od niepamiętnych czasów o niemieckim kazaniu powtarzane w kraju przysłowie, i że stąd czytanie to niemieckim kazaniem nazwali.

I cóż więc temu przysłowiu mogło dać początek? Oto zwyczaj w dawniejszych wiekach u nas zaprowadzony, że w niedziele i dni świąteczne w jednym z najcelniejszych kościołów stolicy królestwa, do prezenty panującego należącym, słowem w kościele archiprezbiterialnym N. Maryi Panny przy rynku krakowskim położonym, w języku niemieckim kazania czyniono. Wtedy bowiem pobożni Polacy na nabożeństwo do téj świątyni uczęszczający, dla wysłuchania całej summy, na tych niezrozumiałych dla siebie kazaniach przesiadywać musieli.

Aczkolwiek Iwo Odrowąż, biskup krakowski, w uczynionej przez siebie w dniu 10go września 1226 r. erekcyi rzeczzonego kościoła wyraźnie zalecił, żeby w téj nowéj świątyni, jak dawniej w kościele ś. Trójcy (niegdyś farnym, a przez niego po wybudowaniu kościoła P. Maryi, dla Dominikanów przeznaczonym), dla nauki ludu polskiego kazania w języku narodowym zwykle bywały (1); stém-wszystkiém, jeżeli nie liczniejsza to jednak oświata i przemyśłem przeważniejsza część osiadłych w Krakowie Niemców, tak dalece nadużyła powolności potulnych krajowców, że ich z czasem do kaplicy ś. Barbary przed r. 1394, nie zaś, jak dotąd mylnie utrzymywano, spółcześnie z kościołem N. Maryi Panny wybudowanój, dla słuchania polskiego kazania zřęcznie usunęła; a tutaj swego kaznodzieje

(1) Rękopis w Archiwum uniwersyteckim N. 330 k. 517 f. v.

osadziła. Kiedyby to nastąpiło trudno z pewnością oznaczyć, nie mając pod ręką erekcyi téj kaplicy, o której Piotr Wysz, biskup krakowski, wspomina, kiedy w poniedziałek przed ś. Franciszkiem r. 1394, zatwierdziwszy wyżej rzeczoną Iwona erekcyą, dodaje: żeby wzniesienie i fundacya kaplicy ś. Barbary świeżo przez niego pozwolona kościołowi N. Maryi Panny, szczególnież zaś czynieniu w niém kazań w języku polskim bynajmniej nie uwłaczała; o czém téż, jak dalej mówi, i w erekcyi wspomnianej kaplicy ś. Barbary wzmianka była uczyniona. Bądź jak bądź w układzie względem nowej fundacyi na kaznodzieję niemieckiego przy kościele archiprezbiterialnym w r. 1511 w piątek przed ś. Janem Chrzcicielem, między archiprezbiterem Janem Heydecke z Damm w Pomeranii, a burmistrzem i magistratem krakowskim uczynionym, wyraźnie powiedziano: iż przy tym kościele kaznodzieja niemiecki od niepamiętnych czasów był utrzymywany (2).

Kiedy pod błogiém panowaniem Zygmunta Igo z szerczącą się oświatą i prawa społeczności rozbiierać, i właściwiej pojmovać je zaczęto, sprawiedliwy Król, na przełożenie sejmujących Stanów, tudzież rajców i ludu krakowskiego, aby odtąd po polsku kazywano w kościele N. Maryi Panny, z którego krajowcy wbrew sprawiedliwości i służącym sobie prawom usunięci zostali, mimo odwoływań się rajców pochodzenia niemieckiego do zwyczaju, który się przez przeciąg czasu niejako w prawo zamienił, ze względu, iż niegodną byłoby rzeczą, żeby język obcy w stolicy i najcelniejszym królestwa kościele przed krajowym miał pierwszeństwo, a przytém zawiadomiony, że liczba mieszkańców polskich do téj parafii należących tak dalece

(2) *In qua ab aevo semper et ultra memoriam hominum theutonica lingua verbum Dei praedicatur. l. c. k. 345. f. r.*

wzrosła, iż ci w kaplicy ś. Barbary, do której dla słuchania kazania polskiego przez Niemców niegdyś usunięci zostali, pomieścić się nie mogli, przez co nie tylko niewiasty brzemienne wielokrotnie na wielkie niebezpieczeństwo narażane bywały, ale też z przyczyny wielkiego tłoku przybyła do miasta szlachta dla słuchania kazania do kaplicy nieraz i wcisnąć się nie mogła; za zgodą sejmujących Stanów w pierwszy poniedziałek po *Invocavit* r. 1537, postanowił: żeby kazania polskie, które dotąd przed południem zawsze w kaplicy ś. Barbary bywały, w przyszłości w kościele N. Maryi Panny miewano; dla Niemców zaś, których i mniejsza była liczba, i do tego wszyscy po polsku dobrze umieli, żeby odtąd u ś. Barbary kazywano. Nadto nakazał, żeby po południu w dni niedzielne i świąteczne w kościele N. M. P. dla Niemców, a u ś. Barbary dla Polaków w tymże czasie kazania czyniono (3).

Odtąd aż do roku 1583, kazania niemieckie bywały w kościele ś. Barbary. W tym czasie po ustąpieniu tej świątynicy na użytek Jezuitów, Piotr Myszkowski, biskup krakowski, postanowieniem swém z d. 1 lutego t. r. tu-tejszych mansyonarzy przeniósł do kościoła N. M. P., a kaznodzieję niemieckiego u ś. Wojciecha umieścił, nakazawszy, żeby tu, rano co niedziela i święto, po południu zaś u N. Maryi Panny, według dawnego zwyczaju, po niemiecku kazywano (4). W późniejszym czasie kaznodzieję tego stąd do księży Marków przeniesiono, gdzie dotąd w języku niemieckim kazania bywają.

Aczkolwiek powyższe o ustanowieniu kaznodziei niemieckiego wspomnienie dostatecznie przekonywa, iż miasto nasze, w najświetniejszych narodu czasach, mieszkańcami pochodzenia niemieckiego było przepelnione; dla

(3) l. c. karta 329 f. r. (4) l. c. karta 409 f. v.

poparcia jednak téj prawdy nie od rzeczy będzie przywieść tu niektóre szczegóły z urządzeń kościelnych w różnych czasach ze względu na napływ cudzoziemców pochynionych, które za nowy dowód posłużą, jak dalece łagodny i względny rząd krajowy, szczególnież zaś swobody miast na prawie magdeburskiém zasadzone, pracowitych i użytecznych osadników do grodu naszego zwabiały.

Wszakże Jan Welsz, znakomity akademik w wieku XVtym żyjący, nauczyciel synów króla Kazimiérza Jagiellończyka, założywszy swym kosztem cmentarz na przedmieściu Garbarach (Piasek), przy wymurowanej tam przez siebie znacznej kaplicy osadził był penitencyarza polski i niemiecki język posiadającego ⁽³⁾. W połowie tegoż wieku, w skutek zaniesionój od Uniwersytetu skargi przeciw mistrzowi Janowi Pragerowi, ś. Anny proboszczowi, w r. 1471 zmarłemu, iż tenże zaniedbuje chwały Bożej, w kościele sobie powierzonym, nie mając do religijnój posługi sposobnych wikaryuszów, ówczasowy biskup krakowski nakazał, żeby dwóch wikaryuszów utrzymywał, z którychby jeden po polsku drugi zaś po niemiecku należycie umiał ⁽⁴⁾; lub żeby probostwo złożył.

Jeszcze w r. 1527mym d. 14go października rajcy krakowscy do Piotra Tomickiego, bisk. krak., zanieśli skargę na Mikołaja Wartka, archipresbitera kościoła N. Maryi Panny, iż

(3) Sołtykiewicz o stanie akad. krak. str. 176.


(4) *Ut quemadmodum superioribus tantisque temporibus, quod inicitii et contrarii eorum memorie non existat, fuit per plebanos prefate ecclesie tentum et observatum, modernus etiam plebanus duos vicarios, unum polonici, alterum alemnici idiomatum pro bene agenda cura plebis eiusdem ecclesie necessarios secum haberet.* Dokument w Archiwum uniwersyteckiem pod liczbą 13004.

tenże był obojętnym w utrzymywaniu nabożeństwa w swoim kościele; bo kiedy sześciu wikaryuszów, tak polski jak i niemiecki język posiadających przy kościele utrzymywać był winien, nietylko że ich nie miał w przepisanej liczbie: ale nawet między tymi znajdowało się dwóch, którzy po niemiecku ani słowa nie rozumieli. Na to przełożenie urzędu miejskiego, archipresbiterowi oświadczającemu, iż ma trzech wikaryuszów, co obadwa języki posiadają, biskup nakazał: żeby odtąd miał ich sześciu w obu językach biegłych ⁽¹⁾. Wreszcie zachowany w bibliotece uniwersyteckiej pergaminowy rękopis statutu bractwa maryackiego w roku 1481 w języku niemieckim napisanego, najmocniej przekonywa: że w kościele N. Maryi Panny, w tym języku modliło się to bractwo, do którego się też król Kazimierz Jagiellończyk wraz z królową Elżbietą z domu Rakuskiego, tudzież z trzema królewiczami Albertem, Alexandrem i Fryderykiem był zapisał.

(1) l. c. 562 f. v.

J. Muczkowski.

Dwutygodnik literacki wychodzi dwa razy w miesiąc to jest 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą s góry; kwartalna dla nicoroszywania całości tomów, nie przyjmuje się. Staraniem będzie wydawcy, aby i w urzędach pocztowych Królestwa Polskiego, Galicyi i W. Księstwa Poznańskiego ułatwić zadane zapisy; tu zaś w Krakowie przyjmuje się przedpłatą w Nowej Księgarni.



DWUTYGODNIK

LITERACKI.

N. 2.

KRAKÓW dnia 15 Kwietnia

1844.

Treść: Humorystyka p. Hilarego Meciszewskiego (dokończenie).—
Józef K. N. Bogucicki nap. J. Muczkowski (dalszy ciąg). — Wiado-
mość o związku filantropijnym w Krakowie przez t. — Panna Mars.

HUMORYSTYKA.

(Dokończenie).

Lecz spyta mnie może nie jeden, przeczytawszy ten wstęp rozwlekły i długi, do czego to wszystko prowadzi?.. lub co obchodzić może kogo, żem albo z moim losem jest w zwadzie, albo też z niego nie kontent? Na to odpowiem, że znajomość tego wszystkiego, potrzebną jest koniecznie każdemu z czytelników *Dwutygodnika*, jeżeli humorystyczne artykuły tego pisma nie mają mu się wydawać blademi, jeżeli ich w ogóle ma jak należy zrozumieć.— Boć że się przeznaczenie nie poprzestało patrzeć na mnie żywym, że mi w każdym kroku życia mojego najtrudniejsze tylko przydziela rolę, dowodem jest nawet i ten nowo rodzący się dziennik, planta hodowana u nas niegdys obficie, dziś prawie całkiem zaniedbana. Kiedy bowiem dojrzała nareszcie myśl wydawania znów u nas literackiego pisma... ci co się podjęli téj roboty, poczęli myśleć o pomocnikach... i obejrżeli się naprzód w około siebie... czy ich na miejscu nie znajdują?.. Tymczasem trzeba wiedzieć, że lubo w Krakowie ludzi myślących wielki dostatek, piszących przecie, a przynajmniej takich, co się niekiedy

rwą do pióra, nie wiele; boby ich podobno na palcach policzył, i jeszczeby może palców zostało!.. W tém położeniu rzeczy rachunek był nie długi, i bez wielkiego zachodu zebrało się wnet małe kółko ludzi, częścią umiejących już pisać, częścią pragnących się dopiero nauczyć tego tyle u nas korzystnego rzemiosła. Jakim tytułem znalazłem się w tém kole, niech odpowiedzą na to ci, którzy mnie do niego wezwali. Co do mnie, zapamiętały zelota nauki, wedle której *czyn dokonany jest prawem*, zapatrując się na moję obecność w tém zebraniu tém samym okiem, jakim niegdyś lord Palmerston patrzył na obecność francuzów w Algierze! to jest zapatrując się na nią jak na *fait accompli*, nie zajmowałem się dochodzeniem przyczyn, tłumaczących obecność moję w tak szanowném gronie, i byłem tylko ciekawy dowiedzieć się przy téj sposobności głównie dwóch rzeczy: raz, czy prawda, że w istocie tak śmiały pomysł, jakim jest wydawnictwo Dziennika, był celem zebrania się i narady? po drugie: czyli i jaka praca przeznaczoną jest dla mnie w tém nowém przedsięwzięciu?

Co do pierwszego. Że wydawnictwo dziennika literackiego w Krakowie nazywam śmiałym pomysłem, nikt mi zapewne za złe nie poczyta, kto tylko zna naturę podobnego przedsięwzięcia, kto zważy warunki jakich dopełnić wypada chcąc rachować na jego powodzenie, kto się z resztą zastanowi nad warunkami miejscowemi, pod jakimi go usiłować wypadnie? — P. Guizot, nazwany głową doktrynerów, ów okrzyczany dzisiaj p. Guizot, ile razy jednak otworzy usta, mówi bardzo logicznie, a ile razy weźmie pióro w rękę, pisze wcale mądrze. Otóż w jednym z dzieł jego znalazłem ustęp, który mi zawsze przychodzi na myśl, ile razy o nowym dzienniku jest mowa. P. Guizot napisał w dzieł-

ku wspomnioném: „*La société offre l'image de ce chaos si bien défini par ces paroles: Chaque chose n'y est point à sa place, et il n'y a pas une place pour chaque chose.*“ Jeżeli słowa powyższe dadzą się trafnie zastosować do towarzystwa ludzkiego w ogóle, zastosowane w szczególności do nas, pod względem osobliwie wydawnictwa Dziennika, definiują jego przyszłe położenie, jak wierniej nie można. Mimo najprzychylniejszych chęci wszystkich, którzy pośrednio lub bezpośrednio, z tytułem lub bez tytułu, wpływać będą na przyszłą postać jego, wiele w nim rzeczy nie będzie może na swoim miejscu, a jeszcze więcej miejsca dla siebie nie znajdzie. Wydawnictwo więc dziennika literackiego w Krakowie śmiałym zawsze zostanie pomysłem, a nawet Autorowi jego słusznieby z kapelanem Fredry godziło się powiedzieć: „*Nie uchodzi!*“ Boć przecie każda rzecz na świecie, jeżeli ma żyć, zakwitnąć i owoc wydać, musi mieć dane wszystko, czego do życia, zakwitnięcia i zapłodnienia potrzebuje; a więc musi mieć dane: ziemię właściwą, soki odpowiednie, słońce i klima potemu! Czy to wszystko pozwoli się znaleźć u nas w Krakowie?... wyznaję, że wątpię, i przecie pierwszy gotów jestem odstąpić méj mary, jak mi się tylko nowa objawi....

Co do drugiego. Że przy robocie wedle nowego dzieła myślano i mnie wydzielić jakąś pracę, żadnej nie zdawało się ulegać wątpliwości; lecz jaką? to było pytanie. Umiejętności wszelkie ścisłe i nieścisłe, nauki przyrodzone, literatura, historia, sztuki piękne, kunszt i cała technika... miały tam swoich mistrzów, przed którymi bym z placu ustąpić musiał, gdybym z temi rzeczami więcej nawet był obeznany, aniżelim jest w istocie! A cóż dopiero... gdy mi są prawie obce, i gdy się z niemi znam ledwie z widzenia!

I tak np. filozofia, osobliwie téż taka, jakiej uczą dzisiejsi twórcy systemów myślenia, była, jest i zostanie dla mnie na zawsze hieroglifem, nad którego odgadnieniem nie myślę sobie łamać głowy. Ma ona niby przeznaczenie uczyć ludzi myśleć, tak jak gramatyka powinna ich uczyć mówić i pisać! a przecież widząc, jak mało zna gramatykę, a jak wielu mimo to mówi i pisze poprawnie?! wyprowadzam ztąd wnioski, może być że wcale fałszywy, ale zawsze wniosek: że można umieć myśleć bardzo porządnie, nie umiając ani słowa filozofii!.. i przeciwnie, że jak nie umiający jakiego języka nie będzie nim mówił ani pisał, choćby jego gramatykę umiał na pamięć, tak nie umiającego myśleć nie nauczy ani Plato, ani Arystoteles, ani Baco, ani Locke, ani Spinoza, ani Leibnitz, ani wreszcie Kant, Fichte, Hume, Hegel, Trentowski i Szelling! — Zresztą nie wiem, czy to jest dobrze, ale to wiem z pewnością, że kiedy mnie kto częstuje filozoficzną jako książką, lub nowym myślenia systematem, to mi się tak wydaje, jak gdyby zapraszający mnie na obiad, zamiast do stołu, zaprowadził mnie w pole, i postawiwszy przed łanem żyta, zachęcał uprzejmie, żebym się najadł do woli! Nic pewniejszego, że w każdej filozoficznej książce znajduje się najzdrowszy i najpotrzebniejszy pokarm ducha ludzkiego, jak w łanie żyta są miliony ziarn, z których mąkę zemleć i chleb upiec można; lecz autor książki dalekoby lepiej uczynił, gdyby ten pokarm, który w niej zawarł, do codziennego spożycia więcej usposobił, i właściciel owego łanu grzeczniejszymby się o wiele okazał, gdyby zamiast surowego zboża położył przed gośćmi gotowy bochenek chleba. Gdyby nam przed każdym obiadem wypadło wprzód nażąć żyta, potem go omlócić,

nareszcie zemleć, zacząć i do pieca wsadzić, siadalibyśmy bardzo późno do stołu i dzieci nasze pomarłyby może z głodu! Takie to ograniczone wyobrażenia o nauce, dziś w wielkiem poważaniu będącej, zaległy oddawna moję głowę, i chociaż przekonany jestem, że wyobrażenia te nie wielki jój przynoszą zaszczyt, zostaną przy nich i umrę z nimi zapewne, bo jeżeli mnie 40letnie życie pomiędzy ludźmi myśleć jeszcze nie nauczyło, żadna mnie pewnie książka nie nauczy!

To samo mógłbym powiedzieć i o nauce prawa, do której czułem zawsze jakiś szczególny pociąg, i którą nawet ukończyłem tak, jak ją w uniwersytetach ukończyć było można. Nie wiem czyli w najobszerniejszym słowniku znajdzie wyraz, któryby wyobrażając podobnie wielką i świętą ideę, jak ją wyobraża ten wyraz *prawo*, był w życiu praktyczném równie mylnie pojętym, z taką ujmą znaczenia swego zastosowanym, do celów wreszcie tyle sprzeczných z przeznaczeniem jego użytym! — Co to jest prawo?.. niech mi na to pytanie odpowie aby jeden głos na całej kuli ziemskiej... ale niech mi na nie odpowie, nie definicyą jaką idealną, nie frazesem uprzedłym z pojęć naturalnych, jakie każda rozumem obdarzona istota chowa w głębi duszy o prawie!.. ale definicyą odpowiednią przyrodzonym o niém wyobrażeniom, lecz opartą zarazem i na praktyce gdziekolwiek! definicyą... uzbrojoną dowodem, że wedle niej urządzone są stósunki publiczne lub prywatne towarzystwa ludzkiego, choćby na najmniejszą wyrachowanego skalę! Dopóki prawa okoliczności tworzyć, a ludzie pisać będą, dopóki interes, namiętność lub fanatyzm nie przestanie rządzić ostatnimi, dopóki między nimi trwać będzie walka o mienie, o wpływ lub władzę jakąkolwiek! dopóty ustawy nie będą niczém inném, tylko manifestami zwy-

cięców w zapasach, których teatrem świat cały, dopóty nazwa *prawa* w świętém i idealném tego słowa znaczeniu będzie dla nich niewłaściwą, i dopóty odpowiedź na powyższe pytanie niepodobną!..

I niechaj nikt nie myśli, że czyniąc taką wróżbę mam na widoku te tylko wyłącznie ustawy i prawa, które stanowi władza jednego!.. Bynajmniej! ustawy stanowione tak zwaną większością, w wyższym daleko stopniu mogą ubliżyć, i często ubliżają idei prawa, więcej i dużo więcej mogą być rzeczy publicznej szkodliwe, aniżeli piérwsze! bo na ich właśnie postać i brzmienie, łatwiej aniżeli na tamtych, wpłynąć mogą i zwykle wpływają interes własny, namiętność lub fanatyzm jakowy!.. Z resztą sam zapal momentu, tyle zbawienny i święty, kiedy idzie o poniesienie ofiar dla rzeczy publicznej, jakże jest często zgubnym dla tak licznych zgromadzeń przy stanowieniu jakowego prawa!? jakże z niego zimny egoizm łatwo korzystać może, jakże go często z zawiązanemi oczyma do własnych celów prowadzi!?. Dowodem tego niestety, całe niegdyś prawodawstwo polskie!.. całe wreszcie prawodawstwo, nie już dzisiejszych izb francuzkich, ale tego nawet zgromadzenia, które obradując na pozór najswobodniej na świecie, stanowiło przecie pod wpływem najsmutniejszego obłędu, jaki tylko kiedy ujarzmił niepodległość zdania ludzkiego, bo obłędu będącego dzieckiem fanatyzmu i bojaźni!... zgromadzenia, powtarzam, będącego autorem owéj sławnej deklaracji praw człowieka, poczytywanéj przez czas tak długi za ekstrakt filozoficznych pojęć o prawie powszechném, a która, załśniwszy oczy najjaśniej widzącym, uwiodłszy najdorzalsze umysły, służąc kolejno to za bożyszczę na ołtarzach mylnie rozumianéj wolności, to znów za godło chorągwi nowato-

rów na całym świecie; potrzebowała dopiero tysiąca ofiar i trzech lat krwawej anarchii, żeby się przekonano o jej niewykonalności; i która z wysokości, na jakiej ją stał chwilowy zapał obłąkanego mnóstwa, zeszła nareszcie tak nisko, że ją najbieglejszy sektator podobnych papierowych głupstw ludzkich, a przy tém najdzielniejszy logik, jaki exystował na tej ziemi, najdzielniejszy mowie bo praktyczny, Jeremiasz Bentham, ogłosił za zbiór wszystkich sofizmatów i nonsensów, jakie kiedy napisać mogli i napisali: Mabli, Rousseau, Raynal, Condorcet, Voltaire, Diderot, de Price, Priestlej i inni, i nie poprzestając na ogłoszeniu, dowiódł niestety!.. że nie zasługuje na inne nazwisko (*). Oprócz Mojżesza, nie znam prawodawcy, któregoby ustawy wolnemi były od cechy, o jaką pomawiam wszystkie pisane prawa nasze; i dla tego téż może właśnie, że przykazania tego Archilevity, wolnemi są od niej zupełnie, że będąc wypływem prawdziwie boskiego natchnienia, są zbiorem najczystszych prawd moralności, najniezaprzeczniejszych zasad praw i obowiązków człowieka, dla tego może nie uczą ich z katedr publicznych, nie rozbierają w uczonych traktatach, nie cytują w Sądach! i szczęściem jeszcze nazwać potrzeba, że nam się godzi pamiętać o nich w codziennym naszym pacierzu!

Lecz zanadto podobno w zapale oddaliłem się od pierwotnego przedmiotu! Miałem pisać o sobie, a wdałem się w rozprawy o filozofii i prawie, które już widzę z jakim uśmiechem politowania przez nie jednego czytaniem będą. Wróćmy więc raczej do przedmiotu, to jest do

(*) *Traité des sophismes politiques, ouvrage extrais des manuscrits de M. Jérôme Bentham Jurisconsulte Anglais, par Et. Dumont...* Genève 1816, Tom. II. pag. 271.

siebie samego, bo i czas skończyć raz przecie ten długi artykuł, i czas żeby się czytelnik dowiedział nareszcie, o co tu rzeczywiście idzie?

Wracam więc z przeproszeniem do siebie. Kiedy pytanie, czyli w istocie ma być w Krakowie wydawany dziennik literacki, znalazłem *a priori* roztrzygnięte *affirmative*, i kiedy o to tylko chodziło, w jakim wydziale przyszłego pisma pracować mi wypadnie? odpowiedź na to zdawała mi się być tym trudniejszą, im bardziej rozpatrywałem się, raz w przedmiotach mających być treścią przyszłego dziennika, drugi raz w moich własnych usposobieniach.— Jak dziwne wyobrażenia mam o filozofii i prawie, wie już czytelnik z wszystkiego, com wyżej o tych dwóch umiejętnościach powiedział. Nie lepiej od nich, zapisaną jest w głowie mojej i reszta oddziałów wiedzy ludzkiej!.. W matematyce mimo eminencji zyskanej od Kodesza, kompletnym można powiedzieć jestem nieukiem, gdy 40letnie doświadczenie przekonało mnie, że ani dodawać, ani odciągać, ani mnożyć, ani dzielić jak należy nie umiem! Jeszcze słabszym się czuję w jój wykryślnym czyli pomiarowym rozdziale: gdy, jak to wsząd słyszę, mierzę wszystko na skalę jakąś wcale w Krakowie nieznaną, jedném słowem nie krakowską! i gdy téj skali krakowskiej jak z wstydem wyznać muszę, ani zrozumieć ani znaleźć nie umiem. W naukę fizyki straciłem wszelką ufność i wiarę, od czasu głównie, jak się przekonałem, że jedna z najważniejszych zasad jój teorii: *De gravitate universali corporum*, jest mylną, bo jój codzienna praktyka jawny fałsz zadaje. Gdy bowiem wedle téj teorii wszystko, co ciężkie *alias* materyalne, powinno opadać na dół! wszystko zaś co jest lotne, subtelne, duchowe, powinno dążyć i osiadać na górze; w praktyce

tymczasem dzieje się zupełnie przeciwnie, bo wszystko co ciężkie, co materyalne, widzimy jawnie na górze, co zaś lotne, duchowe, dąży wprawdzie, bo dąży do góry, ale koniec końców osiada na dnie... i zostaje sobie spokojne na dole. — Tak więc, gdy w zawodzie wszelkich umiejętności pisać nie byłbym sposobnym, bo jednych nie rozumiem tak, jak je dzisiaj rozumieć należy, drugie zaś zbrzydły mi zupełnie; przekonany byłem, że albo wróć z narady z próżnymi rękoma! albo co gorsza, że mi każą pracować w przedmiocie jakim dla mnie obcym, tém samem więc, że się znów sprawdzi na mnie to, na co od dawna narzekałem i narzekam, to jest: że w każdym zawodzie los nieprzyjazny każe mi odgrywać role niewłaściwe.

Tymczasem, gdy kolej przyszła nareszcie na mnie, zawołał ktoś z boku oczywiście dla mnie życzliwy: „Niech pisze humorystyczne artykuły.“ „Zgoda“ krzyknęła reszta, i ja sam w pierwszej chwili zawołałem z nią „Zgoda!“ bo mi się w samej rzeczy zdawało, że Humorystyka jest przedmiotem, w którym nie tylko pisać najłatwiej, lecz który nadto będzie dla mnie najwłaściwszym; bo od dzieciństwa byłem przyjacielem wesołości, lubiłem namiętnie dowcip, i byłem tego przekonania, że na drodze żartu i ironii, słowem na drodze przyzwoitej satyry, najwięcej i najłatwiej nauczyć się można!

Uradowany więc wielce, że się los aby raz przecie raczył do mnie uśmiechnąć łaskawiej, wróciłem do domu, i szczerze, *con amore*, wziąłem się zaraz do dzieła! Lecz powierzchowny nawet przegląd pola, na którym mi pracować wypadło, przekonał mnie, że się oszukałem, i że przeznaczenie wierne nieprzyjaźni, z jaką mnie od dzieciństwa traktuje, i tym razem równie jak zawsze okazało się

dla mnie ojczymem. — Zamiast najłatwiejszego przedmiotu, jak mi się z początku zdawało, dostał mi się najtrudniejszy... i przypatrzysz się bliżej wyznaczonemu dla mnie zadaniu, poczułem wnet, że mu nie podołam! Bo przyznaj sam kochany czytelniku, może być co trudniejszego na świecie, jak pisanie humorystycznych artykułów w Krakowie?

O czém tu pisać?... co zaś najgorsza, jak pisać?... to są pytania, na które prawdziwie odpowiedzieć trudno! — Humorysta albowiem, jeżeli ma w setnej tylko części odpowiedzieć powołaniu swemu, jeżeli chce iść choćby w najdalsze nawet ślady Swifta, Sternego, Suarda, Jana Pawła Rychtera i innych, musi się duchem wzbąć nad poziom, nad powszedniość, musi pogardzić wieloma prawidłami, które szanować każdy inny pisarz ma sobie za obowiązek, musi z tych prawideł żartować nawet, i przechwalać się razem, że mu to czynić jest wolno. Polem jego wojennej taktyki nie może być co innego, tylko kontrasta, głupstwa z rozumem, rzeczy wzniosłych z płaskimi, śmieszności z tém wszystkiém, co u świata w powadze i na co przywykł patrzeć z uszanowaniem; choć bronią z takich nawet kontrastów wyczerpniętą nie wolno mu wojować inaczej, tylko lekko, powierzchownie, bez draśnięcia, a przecież tak, żeby sam jój zamach skutkował: — bo skutek jój mieścić się powinien w tej niespodziance, w tém zdziwieniu, z jakimi przeciwnicy jego spozstrzegają się, że mu o takich rzeczach, i to w podobny sposób, mówić i pisać jest wolno! Obok tego, powinien łączyć wytworny dowcip z najśmielszą i najbujniejszą wyobraźnią; niepokonaną siłę myśli z tkliwością i delikatnością czucia; wytrawiony wreszcie i dojrzały rozum z surowém prawdy zamiłowaniem!.. Powinien być przyjacie-

lem ludzi, i na świat spoglądać okiem nie urągającego się jego śmiesznościom, ale ubolewającego nad niemi!— powinien w nim widzieć więcej słabości, aniżeli złej woli, więcej głupstwa aniżeli zepsucia! i nie może być nigdy niczym sędzią, lecz osobistość przede wszystkim własną, łącznie z osobistością innych, własnemu parodującemu poddawać sądowi. W oczach humorysty nie powinno być na świecie ani głupstw ani głupców pojedynczych, ale musi brać głupstwo ryczałtem, i patrzeć na ten świat jak na obszerne koczowisko szalonych! Dla tego nie wolno mu znajdować kogo bądź śmiesznym, lub pogardy godnym, lecz wszyscy powinni mieć prawo do jego współuczucia! i nad każdym litować się nieledwie powinien!.. I takie to właśnie usposobienie jego, tłumaczyć w nim winno i tę łagodną rzewność, z jaką w obrazach swoich kolejno zstępować ma to w dziedzinę Elegii! to wznosić się w górne sfery natchnienia i *Pathos!* i tę pustotę, co śmiejąc się ze łzami w oczach i żartując drżącym od rozrzewnienia głosem, pod maską dojrzałe pomyślanego libertynizmu, ogłasza wnioski i konkluzye, na pozór potworne, przyjętym wyobrażeniom dyametralnie sprzeczne, a mimo to w właściwem zastosowaniu pełne zdrowego sądu i nauki... Humorysta, powinien poniżyć wielkie, ale dla tego tylko, żeby tém łatwiej mógł obok niego postawić małe, małe zaś podnosić dla tego, żeby się lepiej przy wielkiem wydało... powinien nosić głowę *Janusa*, po jednej stronie z twarzą pełną surowej powagi, po drugiej z śmiejącą się i żartobliwą; podwójne jednak takie oblicze swoje tak układać, żeby twarz pierwsza ubolewała nad drugą, druga zaś zdawała się żartować z pierwszą... W oddaniu myśli swoich powinien używać stylu i kolorytu, równie niezwykłych, jak niezwykłym jest jego sposób widze-

nia i sądzenia świata; i sąd ten głównie, powinien się malować i odbijać w języku, jakim przemawia. W locie nareszcie swych myśli i mowy, nie może się trzymać żadnego stałego kompasu; bo sternikiem kierującym jego wyobraźnią i piórem nie może być duch inny, tylko ten duch swawoli, który Wieland tak właściwie *Capriccio* nazywa.

Otóż kochany czytelniku, jeżeli się zgodzisz ze mną na powyższą definicyą humorysty, musisz się równie zgodzić i na to, że humorystą takim nie łatwo, a nawet kto wie, może całkiem nie podobna być w Krakowie. Pomijając nawet jawny brak potrzebnych przymiotów, do którego się przedewszystkiem poczuwam;— bo ani wytwornego dowcipu, ani bujnej wyobraźni, ani silnej myśli, ani delikatnego czucia, że już nie wspomnę o dojrzałym rozumie, nie posiadam; — pomijając mówię to wszystko, i przypuściwszy nawet, żeby się we mnie te konieczne przymioty prawdziwego humorysty znalazły, to i tak jeszcze mrówki mnie przechodzą na samą myśl tego, coby za skutki sprowadzić mogło zjawienie się na horyzoncie naszym takiego naprzykład meteoru, jakim był *Sterne*, choćby tylko świecił światłem o połowę... o $\frac{1}{10}$ z resztą mdlejszém od niego.

Bo tylko proszę sobie na chwilkę wystawić, coby to było, gdyby się pomiędzy nami znalazł w istocie tak odważny, coby gardząc względami, które każdy inny pisarz szanować musi i szanuje, ośmielił się z nich żartować... i coby miał czoło przechwalać się, że mu to czynić jest wolno. Gdyby bronią z kontrastów miejscowych ukutą, chciał powojować po Krakowie, choćby najlżej, najdelikatniej... i gdyby sobie pozwolił nią machnąć... choćby raz tylko, tak np. na próbkę, pod oczyma Krakowian,..

niechby to z resztą było w jak najprzyzwoitszym oddaleniu!.. Nowy ten Ikarus skończyłby myślę wnet karierę swoją... i wątpię, czyby mu taką bronią udało się machnąć raz drugi... gdy przekonany jestem, że pierwsze zaraz machnięcie na nimby się tylko samym skrupiło, i kto wie, czyby się przy téj sposobności nie oberwało. co i szanownemu *Dwutygodnikowi*?.. Byliśmy przecię nie raz świadkami, jaki był krzyk i hałas w Krakowie, gdy kto drugiemu poważyl się wytknąć głupstwo, choćby najmniejsze, pojedyncze,.. a cóżby się to dopiero działo, gdyby się znalazł taki śmiałek, coby nas pod tym względem chciał traktować ryczałtem?.. Nie... nie... kochany Czytelniku, humorystą można być wszędzie... przypuszczam, wyjąwszy w jednym Krakowie, bo prawda, której on głównie musiałby być głosicielem, w takiem pomiędzy nami jest poszanowaniu, że ją jak klejnot jaki, chowany tylko od święta, trzymamy pod kluczem starannie w bawełnę zawiniętą,.. aniśmy przywykli widywać się z nią w dniu powszednie na ulicy.

Zresztą nie wiem, czy to jest bardzo logicznie, ale ja prawdę kładę w jednym rzędzie z tabaką, i utrzymuję, że jak szczypta tabaki, zażyta przez nieużywającego nigdy tego zienia, straszliwą w jego nosie wywołuje rewolucją, i wierci w nim dopóty, dopóki ze sto razy nie kichnie, i łzami nie spłynie, tak téż i prawda, podana temu, co albo dō niej nie przywykł, albo jój zażywać nie lubi, podobny sprowadza skutek; z tą tylko różnicą, że uczęszczany nią niespodzianie wybucha wprawdzie gniewem, alias kicha, jak po tabace; częstujący jednakże prawie zawsze łzami ten tryumf obléwa. Wprawdzie zdarzają się czasem rzadkie w tym względzie wyjątki, *selon les circonstances*, bo to się samo przez się rozumie; myślę

jednak, że nie nadwężają całości reguły, ani jej prawdy i mocy w niwczém nie osłabiają.

Summując więc teraz to wszystko, cośmy wyżej o humorystyce, o jej warunkach i skutkach powiedzieć mieli sposobność, nie podobna zaprzeczyć, że pisać humorystycznie, jest pomiędzy nami zadaniem albo zupełnie do wykonania nie podobnym, albo najtrudniejszym, o jakim tylko pomyśleć można. Chcąc bowiem pojąć, ocenić, i znieść żart *à la Sterne*, trzeba mieć angielski rozum i nerwy, a gdy my tutaj nie zaopatrzyliśmy się jeszcze dotąd w te nader potrzebne artykuły, obejść się przeto bez takich żartów możemy, i obejdziemy zapewne.

Przekonywasz się teraz kochany Czytelniku! że miałem słuszne prawo narzekać na prześladowające mnie od kolébki *fatum*, gdy, jak sam widzisz, w rozdziale nawet pracy obdarzyło mnie najniewłaściwszą pod względem usposobienia, najtrudniejszą zaś pod względem wydołania jej warunkom!.. — Przecież gdy obowłązku przyjętego należy dopełnić jak można, gdy słowa raz danego, choćby się go najlekomyślniej wyrzekło, dotrzymać zawsze wypada, musiałem i ja mimo wszystkiego, pomyśleć o uczynieniu zadość obietnicy, to jest: o napisaniu humorystycznego artykułu; chociaż, wierzaj mi kochany Czytelniku, w nie-małym i to długi czas byłem kłopotcie, o czym go i jak, napisać wypadnie.

Ten też to kłopot i ta niepewność, niech mnie przed Tobą wymówią, jeżeli nie mogąc się zgodzić z samym sobą, jakby tu bez narażenia się na twą niełaskę uiścić się mimo to z zaciągniętego długu, ośmieliłem się na pierwsze danie napisać „o sobie samym.“ Bo jakkolwiek i przedmiot artykułu nie wiele zapewne jest zajmujący, i płód ten humorystyki mojej zdawać Ci się może niewydarzonym, tę

jednak z niego spodziewam się odnieść korzyść, że się oswoisz z tego rodzaju pismem, i widząc, że pomimo napisanego przeze mnie o sobie humorystycznego artykułu, jestem zdrowy, cały, i trzymam się zawsze dość rzesko na nogach, pozwolić raczysz, że przyszedł... spróbuję napisać o TOBIE (*).

JÓZEF KANTY NEPOMUCEN BOGUCICKI.

(*Dalszy ciąg*).

W ciągu swego przez czternaście dni w Krakowie bawienia, uczony Monarcha na trzech posiedzeniach Szkoły głównej, na których wybrane przez niego rozprawy odczytywano, był obecnym; a w dniu 26 czerwca przed południem na popisach w amfiteatrze szkolnym rozdał ręką własną medale *Diligentiae*, uczniom zaleconym pilnością, postępem w naukach i obyczajami; oraz złożył w ich ręce order ś. Stanisława dla Felixa Oraczewskiego, kommissarza edukacyi narodowej, wizytatora i rektora Szkoły głównej koronnej; ażeby jako oni sami nadzwyczajnym sposobem nagrodzeni zostali, tak przelewając niejako zdarczenie to na osobę godnego Rządcy swego, nadzwyczajnie także uwieńczyli zasługi jego przez ten szczególny obecnego króla upominek.

Zaraz na pierwszym publicznym posiedzeniu Szkoły głównej, w dniu 19 czerwca po południu, w obecności Króla, Księcia Prymasa, i licznie zebranych obojęd płci znakomych gości, w sali jagiellońskiej odbył się, Bogucickie-

(*) W pierwszym numerze Dwutygodnika na karcie 10 wierszu trzecim od dołu zamiast: *kurs momentalny mającemi*, powinno być: *kurs momentalny mających*.

mu, jako ś. t. d. i historii kościelnej publicznemu profesorowi, dostał się z woli królewskiej niepośledni zaszczyt odczytania napisanych przez siebie uwag nad niektórymi znakomitszymi dziejami trzeciej epoki religii chrześcijańskiej w wieku XVym. Obszerna ta i z wielu względów ważna rozprawa, odczytana z uczuciem, jakie w mowcy ważność przedmiotu wzbudziła, lubo z powszechném zajęciem słuchana, nie jednakie na wszystkich uczyniła wrażenie. Kiedy bowiem jedni uwielbiali w autorze rozległą naukę, szczęśliwe i łatwe wysłowienie, a trwożyli się śmiałością mowcy, który przez miłość prawdy i sprawiedliwości, wyzuwszy się ze wszystkich względów, złość, przewrotność i obłudę powoływał przed sąd bezstronnej potomności; drudzy, podług swego sposobu widzenia o rzeczach sądzący, z zgorzzeniem i nie małym oburzeniem słuchali mowy, która według ich przekonania i dostojnym kościoła członkom, i religii katolickiej jawnie uwłaczała. Czyliby słuszne były ich zarzuty, o tém niechaj czytelnik sądzi; dla mnie dosyć tu będzie nadmienić, że ta rozprawa była dla Bogucickiego źródłem prześladowań i przykrości, które przed czasem o śmierć go przyprawiły. Wszakże Szkoła główna z obawy, żeby śmiałego głosu jój członka na karb ducha całego zgromadzenia niechętni nie policzyli, na posiedzeniu swoim w dniu 28 czerwca, na którym się i Bogucicki znajdował, i gotowość usprawiedliwienia się oświadczył, ściśle tego dochodziła: czyliby te uwagi przez delegowanych do przeglądania rozpraw przez profesorów publicznie czytać się mających, były zatwierdzone. Atoli w Szkole głównej rzecz ta, jak się zdaje, za wpływem rektora Oraczewskiego wnet umorzona została; bo skoro się przekonano, iż tak rektor jak i delegowani kilkakrotnie Bogucickiemu przekładali, żeby swoje rozprawę według potrzeby odmienił,

co téż uczynić był przyrzekł, zwłaszcza kiedy mu oświadczono, że gdyby ją bez zmiany odczytał, toby i na niego i na całą Szkołę główną najniepomysłniejsze skutki niewątpliwie stąd spłynęły; oświadczenie to było dla Szkoły głównej dostateczne do zasłonięcia się przed pociskami złości i potwarzy; dla tego téż na niem przestano i dalszych kroków nie czyniono.

Kiedy w Szkole głównej sprawa ta dość szczęśliwie się zakończyła, Duchowieństwo oburzone Bogucickiego postępkami, iż, sam będąc kapłanem, przeciw Soborowi konstancyjskiemu śmiało powstawał, niedługo po owęj uroczystości do księcia Prymasa, administratora diecezji krakowskiej, zaniósł przeciw mowcy ciężką i pełną gorczy żalobę, której odpis przesłało Szembekowi, biskupowi plockiemu, najgorliwyszemu, jak się wyraziło, w narodzie pasterzowi, upraszając go o skuteczne w tym względzie wsparcie. Oto jój osnowa!

JAŚNIE OŚWIECONY MOŚCI KSIĄŻĘ DOBRODZIEJU!

„Troskliwość Duchowieństwa krakowskiego, owszem całego narodu polskiego, dążąca zawsze ku statecznemu zachowaniu całości świętej religii katolickiej, nie przed kim inszym tylko przed WKs. Mością JO. Panem Dobrodziejem wynurzona być może, z tém zaufaniem i z taką skutecznością, jakiej się po WKs. Mości gorliwym, czułym i najpiérwszym w narodzie Pasterzu spodziewać należy. Zaszczycieś JOMKsiążę Dobrodzieju bytnością swoją Akademią krakowską, odbieraieś z jój czynności sprawę w formowaniu umysłów uczącój się młodzi do nieskazitelnych obyczajów i do téj świętej religii katolickiej, którą nam przedwieczna prawda, Bóg Jezus Chrystus, na zbawienne dusz prawowiernych pożycie nieomylnie na-

dal. Téj świętej religii uwłaczać i przeciw niej mówą pismem, lub uczynkiem wykraczać, przyznasz WKs. Mość za występki najsroższy, ujmujący nietylko prawom kardynalnym krajowym, ale i boskim. Takowego przestępcę przechowywać, bronić, onemu sprzyjać albo bezkarnego zostawić, byłoby to ściągnąć na siebie toż samo względem ś. religii zdanie i porozumienie, na jakie zasługuje sobie każdy bluźnierca; oraz wystawić cały naród i religią na dalsze a coraz gorsze przypadki i niebezpieczeństwa. Jesteś JOMKsiążę Dobrodzieju świadkiem owéj dySSERTACYI z historyi kościelnej czytanej przez JX. Bogucickiego, akademika i kapłana. Przekonał on aż nadto całą publiczność, jak lekce poważa Zbawiciela prawdy, kiedy Hussa i Hieronima Praskiego, owychto srogich przeciw religii buntowników, aż pod niebiosa wychwalał, a święte *Concilium*, z natchnienia Ducha Bożego ogłaszające prawa religii lub potępiające zdania bluźnierców, sam potępiał, onemu naganiał, i za najistotniejszy błąd poczytał, że się nie poznało na zdaniach tych dwu wiarołomców. Naganiać takowe czynności świętemu *Concilium* jestto nie przyznawać, iż w zamiarze religii sam Chrystus Pan zesłaniem i natchnieniem Ducha Bożego radzących na tém świętém zgromadzeniu wspiera, onych oświeca i nieomylnie naucza, co jest i być powinno artykułem wiary świętej, lub co jéj się sprzeciwia: słowem nie przyznawać téj prawdy dla świętych *Conciliów* objawionej przez samego Stanowiciela religii, jestto całą świętą Chrystusową wiarę z gruntu obalać. Że takim jest JX. Bogucicki, nie potrzeba dowodów; sam się dostatecznie wynurzył w swojej dySSERTACYI; przeto na jakie zasłużył sobie kary, nie jestto w naszej mocy Zwierzchności przepisywać: o tych tylko rozciągnięcie jak najtroskliwiej dopraszać się, które

prawem boskiem i krajowem narodu polskiego są przepi-
sane na wiarołomców.“

„Jeżeli w obecności Najjaśniejszego Pana, obrońcy i protektora ś. religii katolickiej, jeżeli w obecności WKs. Mości czulego i gorliwego pasterza i prezesa swego oraz przy znakomitým zgromadzeniu obywatelstwa duchownego i świeckiego, śmiał przeciwko religii oczywiście bluźnić; jakiej mamy po nim spodziewać się nauki z lekcyj prywatnych dla naszych alumnów sposobiących się do stanu duchownego? (14). Mamy w duchowieństwie naszym nie mało kapłanów wyszłych po części z pod edukacji i nauki JX. Bogucickiego. Wrzało aż dotąd w ich sercach nieukontentowanie z jego lekcyj, chwiała się ich umysł przy wyborze zdań nowych, a zawsze gorszących, rozsiewanych przez tegoż profesora na lekcjach swoich; dopiero teraz gdy cała publiczność wołać zaczęła o *poskromienie i niecierpienie w kraju naszym tak wielkiego bluźniercy*, wynurzać zaczynają: jakie nauki i maxymy wpajać w ich umysły starał się. Dzięki Bogu, że się publicznie tych zdań i nauki wyrzekają; ale na przyszłość któż się odważy na duchownego edukować przy podobnych lekcjach lub wyedukowanego do owczarni Bożej przypuścić? Chyba ów, któryby będąc tegoż porozumienia, chciał na wszystkie przypadki wystawić całość religii, narodu i duchowieństwa naszego. Zabraniają prawa neofitów do duchowieństwa i katedr professorskich teologicznych przyjmować; wszelako w duchowieństwie i akademii mieści się JX. Bogucicki, który mając ze krwi przodków swoich niewierności ducha, skutkiem okazuje: jak srogim a przyszłości smutnym i okropnym grozi niebezpieczeństwem, wzywać

(14) Zdanie Kołłątaja o ułożonej przez Bogucickiego historii kościelnej znajdziesz niżej przy wykazie jego prac naukowych.

neofitów do stanu duchownego i nauczycielskiego teologicznego. Poznajesz, JOMKsiążę Dobrodzieju, jak mocno skrzywdził duchowieństwo i akademią ile kapłan i nauczyciel; jakaby hańba spadła na zwierzchność duchowną i edukacyjną, gdyby przy swojej funkcji duchownej i nauczycielskiej miał dłużej zostawać, i jakieby stąd nieszczęśliwe wynikły konsekwencye, wynurzyć obowiązkiem jest naszym. Oto czekają tylko gorliwi obywatele roku szkolnego, w którym, gdyby JX. Bogucicki nie był oddalony od funkcyj swoich i z kraju się nie wyniósł, *podalby sam siebie oczywistemu niebezpieczeństwu*, a obywatele zanosiliby zażalenia swoje do wszech magistratur apostolskich i krajowych, nie przestawaliby mówić na sejmikach i sejmach; pokądby skrzywdzona publiczność przywoitéj nie wymogła sprawiedliwości.

Przyjmij, JOMKsiążę Dobrodzieju, tkliwe duchowieństwa wyrazy i prośby; chciój zaradzić téj nieprzyzwoitości i niebezpieczeństwu wypadającemu dla religii, narodu, duchowieństwa i akademii; dozwól JW. Suffraganowi krakowskiemu listem ogólnym nas wszystkich po dekanatach zapewnić o mającej wkrótce nastąpić publicznej satysfakcyi; a po tém odebraném zapewnieniu będzie naszą powinnością zajątrzone obywatelów serca i umysły uspokajać i łagodzić oraz wiecznemi czasy wielbić gorliwego Pastęrza, obrońcę i protektora religii, narodu, duchowieństwa i akademii.“

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚĆ

◊ ZWIĄZKU FILANTROPIJNYM

w Krakowie.

Aby uwiecznić w Krakowie pamięć bytności w województwie krakowskim króla Stanisława Augusta w r. 1787, nie długo po jego z tej stolicy wyjeździe, Felix Oraczewski, ówczesny rektor Szkoły głównej, ogłosił drukiem wezwanie do spółobywateli, a razem dołączył projekt związku filantropów, którzyby ku zachowaniu tej pamiątki zjednoczeni, pieniądze wnosili składki na nagrody dla osób klasy rolniczej, przemysłowej i t. p. pobożnością, moralnością, pracowitością oraz usposobieniem lub wiernością celujących. Nagrody te, w stosunku wniesionej składki i podług użyteczności wynalazku lub wysługi publicznej, jako też potrzeby istotnej, z wielką uroczystością rozdawane bywały.

Ponieważ związek ten, prócz krótko skróconego projektu przez jego założyciela, nie miał żadnych ustaw i tylko lat kilka utrzymywał się; dla zachowania więc pamiątki godnych uwielbienia i prawdziwie obywatelskich usiłowań Oraczewskiego, nie od rzeczy będzie podać tu krótki rys tego zjednoczenia, któremu, gdyby się było dłużej utrzymywało, zapis Bogucickiego przy podobnych następców chęciach, jakeimi Oraczewski był ożywiony, wieczną trwałość nie wątpliwie byłby zapewnił.

Oraczewski w ogłoszonym przez siebie projekcie oświadczywszy, iż chętnie zaczyna tę pomocną dobru powszechnemu składkę, złożywszy 5 czerw. złotych, takową summę co rok na ten cel do kassy filantropów obowiązał

się wnosić. Aby zaś ułatwić sposobność tym, którzyby do tego z wielu miar chwalebego połączenia się przystąpić chcieli, otworzono księgę w kollegium w sali jagiellońskiej, w której każdy chcący do filantropów należeć zapisywał swoje nazwisko z oznaczeniem summy, którą miał składać. Czyli ta księga była rzeczywiście utrzymywana, nie jest mi wiadomo; z wydrukowanego atoli spisu członków przy końcu mów podczas uroczystości rozdawania nagród czytanych, pokazuje się, że zapisanie się do związku filantropii tylko na rok jeden obowiązywało. Na sekretarza tego towarzystwa uproszony był bibliotekarz i prof. Jacek Przybylski. Projektujący ze względu, jak się wyraził, żeby istotniejszy był skutek tak pożytecznego zamysłu, radził, żeby mniej nad dwa dukaty nie składano. Do zbierania składek miała być przygotowana i zapieczetowana karbona zamknięta trzema kluczami różnej wielkości, z których jeden osobie duchownej, drugi obywatelowi województwa, trzeci zaś jednemu z akademików miał być powierzony.

Składającym towarzystwo filantropów służyło prawo podawania osób do nagrody bądź z rolniczego stanu z okolicy trzech mil około Krakowa, bądź z rzemieślników pierwszjej potrzeby, bądź z innej części przemysłu, bądź nakoniec z doświadczonej przynajmniej przez lat 20cia wierności i zręczności w usługach. Podani powinni byli składać wiarogodne świadectwa o swój pobożności, moralném życiu, trzeźwości i t. d. zapewniające. W niedzielę na tydzień przed uroczystością, na którą ostatnią niedzielę przed ś. Janem Chrzcicielem przeznaczono, zbierali się filantropowie na amfiteatrze szkół Władysławsko-nowodworskich celem naradzenia się i umówienia, komu z ubiegających się

nagroda większością głosów najsprawiedliwiej miała być przysądzona.

W dniu uroczystości towarzystwo wraz z osobami na poprzedniem posiedzeniu za godne nagrody uznanemi, którym na znak, że były wybrane, bukiety z róż i innych ogrodowych kwiatów u lewego boku przypinano, zgromadzało się do kościoła ś. Anny; gdzie śpiewano wotywę na intencją odbierających nagrody, oraz i tych, którzy się w tak zbawiennym celu połączyli. Wśród nabożeństwa wybrani do nagrody, po wypowiedaniu się, przystępowali do najświętszego Sakramentu, który z rąk celebrującego przyjmowali.

Po skończoném nabożeństwie cały orszak udawał się na amfiteatr szkolny tysiędem ciekawych widzów już napelniony. Skoro się liczne zgromadzenie usadowiło, wybrane do nagrody osoby zasiadały na stopniach tronu okrywającego portret króla Stanisława Augusta, od którego spadająca girlanda z kwiatów, kłosów i dębowego liścia uwita, łącząc się z wieńcami dla zasłużonych przeznaczonemi, wyobrażała związek téj szczęśliwej harmonii między cnotliwymi i królem. Gdy wszystko ucichło, zabierał głos jeden z profesorów filantropów, a po ukończeniu mowy do uroczystości zastósowanej, wzywał każdą z wybranych osób, żeby przystąpiła do odebrania nagrody jéj przyznanej; przy tém oddawał należne zalety jéj cnocie, pracowitości i t. d. Uproszona dama lub panienska wręczała te nagrody.

Skręśliwszy w krótkości zasady związku filantropów, i wspomniawszy, jakim sposobem uchwalone przez siebie rozdawało nagrody, nie odstąpię od rzeczy, kiedy i o liczbie jego członków, o jego funduszach i o ilości nagro-

dzonych osób w krótkości nadmienię; zwłaszcza, że ciekawe te szczegóły teraz całkiem są nieznane.

Przełożony Królowi tak zbawienny projekt, nie tylko że mile został przyjęty; ale nawet pełen ludzkości Monarcha chciał, żeby i jego imię w liczbie filantropów było umieszczone.

Uroczystość rozdawania nagród, która się w pierwszym roku (1787) zawiązku filantropów 30 grudnia odbyła, w roku następnym dla wygody powszechniej raz na zawsze na ostatnią niedzielę przed ś. Janem, jako najbliższą epokę czasu bawienia Króla w Krakowie, przeniesioną została.

W r. 1787, jako pierwszym swego zawiązku, towarzystwo filantropów, oprócz Króla, 27 członków liczyło: między tymi było profesorów lub do korporacji Szkoły głównej należących osób 16, tudzież dwie damy; razem 18; obywateli z prowincyi 3, obywaterek 2, mieszczan krakowskich 2, duchownych nie profesorów tylko 2 t. j. Seb. i Wacław Sierakowscy, kk. kr. Ogółem 27 osób.

Co do składek: z tych największych po 5 dukatów było 2, po 4 d. 1, po 3 d. 6, po 2 d. 18. Razem 68 dukatów. — Rozdano 9 nagród: z tych dwie po 108 a siedm po 216 złotych wynosiły. Otrzymali je: rolnik, młynarz i mechanik, pasiecznik, cieśla, akuszerka, sukiennik, dwie prządki wełny w fabryce sukiennej i kredenecz. Z pozostałych w kassie 22 dukatów, jednaście wniesiono do składki na roboty około kanałów dla czyszczenia miasta Krakowa; resztą zaś składkę na powszechny cmentarz za miastem Krakowem pomnożono.

W r. 1788 było członków 30, prócz garnizonu krakowskiego, którego ilości osób nie oznaczono: między tymi 14tu z korporacji Szkoły głównej i dam dwie, razem

16; obywateli z prowincyi 8, obywaterek 4, mieszczanin 1, duchowny 1 (Sołtyk Michał). Nagrodę po 216 złp. otrzymali: 2ch rolników, żołnierz, ogrodnik, cieśla, posługacz chorych w szpitalu, stolarz, drukarz; nadto przysłanemu z Kozienic na naukę chirurgii, a w tym roku do szkół krakowskich uczęszczającemu Janowi Mazurkiewiczowi, dano nadzwyczajną 324 złp. wynoszącą nagrodę za to: iż z narażeniem własnego życia w dniu 27mym maja t. r. stojący na téj stronie Wisły na pierwsze zasłyszenie, że na drugim brzegu toną dwaj młodzieńcy, rzucił się w rzekę, którą przebywszy, gdy pędem gwałtownej wody porwanych i już na dnie Wisły osadzonych widzieć nie mógł, płynąc pod wodę, pilnie ich wyszukał, i jednego po drugim szczęśliwie wydobywszy, przy pomocy jednego ze swych spółuczniów do życia przywrócił.

W r. 1789 związek ten liczył tylko 22 członków t. j. 12tu z grona Szkoły głównej i żona rektora, razem 13 osób; obywateli z prowincyi 4, obywaterek 3, mieszczanin 1, duchowny 1 (Michał Sołtyk). Nagrodę po 200 złp. otrzymało siedm osób, jakoto: rolnik, akuszerka, szwaczka w usłudze szpitalnej, niewidomego ojca i matkę chorą z pracy rąk swoich od lat kilkunastu utrzymująca, prządka z fabryki sukienniej, szewc, strażnik skarbowy przez 24 lat wiernie rządowi służący, ośmdziesięcioletni posługacz kościelny, niegdyś rzemieślnik i mieszczanin krakowski. Nadto przeznaczono 12cie dukatów dla patrona miejskiego, któryby się podjął stawać w obronie praw ubogich sierot.

Kiedy w drugiej połowie 1789 roku Oraczewski, od stępu Szkoły głównej koronnej do innego powołany zawodu, z Krakowa się oddalił, połączenie filantropów bez

stałego funduszu, jedynie wpływem jego i zabiegami przez lat trzy utrzymywane, zupełnie się rozchwiało.

Pisma drukowane do tego stowarzyszenia odnoszące się, są następujące: a) *Projekt związku filantropów i t. d. p. Felixa Oraczeńskiego* 4 kart 4to. b) *Trzy obwieszczenia* 4to. c) *Opisanie wtorej uroczystości* 4to. d) Dwie kartki *doniesienia* w małej 8ce. e) *Doniesienie* in fol. wykazujące, kto i ile w roku 1787 wniósł składki; nakoniec f) *Trzy mowy*, z tych jedna Marcina Fiałkowskiego na drugim, dwie zaś Jacka Przybylskiego na pierwszym i na trzecim posiedzeniu miane, w 4tce wydane.

W roku 1788 wydano ten pierwszy tom z 1788 roku. W roku 1789 wydano drugi tom z 1789 roku. W roku 1790 wydano trzeci tom z 1790 roku. W roku 1791 wydano czwarty tom z 1791 roku. W roku 1792 wydano piąty tom z 1792 roku. W roku 1793 wydano szósty tom z 1793 roku. W roku 1794 wydano siódmy tom z 1794 roku. W roku 1795 wydano ósmy tom z 1795 roku. W roku 1796 wydano dziewiąty tom z 1796 roku. W roku 1797 wydano dziesiąty tom z 1797 roku. W roku 1798 wydano jedenasty tom z 1798 roku. W roku 1799 wydano dwunasty tom z 1799 roku. W roku 1800 wydano trzynasty tom z 1800 roku. W roku 1801 wydano czternasty tom z 1801 roku. W roku 1802 wydano piętnasty tom z 1802 roku. W roku 1803 wydano szesnasty tom z 1803 roku. W roku 1804 wydano siedemnasty tom z 1804 roku. W roku 1805 wydano osiemnasty tom z 1805 roku. W roku 1806 wydano dziewiętnasty tom z 1806 roku. W roku 1807 wydano dwudziesty tom z 1807 roku. W roku 1808 wydano dwudziesty pierwszy tom z 1808 roku. W roku 1809 wydano dwudziesty drugi tom z 1809 roku. W roku 1810 wydano dwudziesty trzeci tom z 1810 roku. W roku 1811 wydano dwudziesty czwarty tom z 1811 roku. W roku 1812 wydano dwudziesty piąty tom z 1812 roku. W roku 1813 wydano dwudziesty szósty tom z 1813 roku. W roku 1814 wydano dwudziesty siódmy tom z 1814 roku. W roku 1815 wydano dwudziesty ósmy tom z 1815 roku. W roku 1816 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1816 roku. W roku 1817 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1817 roku. W roku 1818 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1818 roku. W roku 1819 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1819 roku. W roku 1820 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1820 roku. W roku 1821 wydano dwudziesty czwarty tom z 1821 roku. W roku 1822 wydano dwudziesty piąty tom z 1822 roku. W roku 1823 wydano dwudziesty szósty tom z 1823 roku. W roku 1824 wydano dwudziesty siódmy tom z 1824 roku. W roku 1825 wydano dwudziesty ósmy tom z 1825 roku. W roku 1826 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1826 roku. W roku 1827 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1827 roku. W roku 1828 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1828 roku. W roku 1829 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1829 roku. W roku 1830 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1830 roku. W roku 1831 wydano dwudziesty czwarty tom z 1831 roku. W roku 1832 wydano dwudziesty piąty tom z 1832 roku. W roku 1833 wydano dwudziesty szósty tom z 1833 roku. W roku 1834 wydano dwudziesty siódmy tom z 1834 roku. W roku 1835 wydano dwudziesty ósmy tom z 1835 roku. W roku 1836 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1836 roku. W roku 1837 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1837 roku. W roku 1838 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1838 roku. W roku 1839 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1839 roku. W roku 1840 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1840 roku. W roku 1841 wydano dwudziesty czwarty tom z 1841 roku. W roku 1842 wydano dwudziesty piąty tom z 1842 roku. W roku 1843 wydano dwudziesty szósty tom z 1843 roku. W roku 1844 wydano dwudziesty siódmy tom z 1844 roku. W roku 1845 wydano dwudziesty ósmy tom z 1845 roku. W roku 1846 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1846 roku. W roku 1847 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1847 roku. W roku 1848 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1848 roku. W roku 1849 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1849 roku. W roku 1850 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1850 roku. W roku 1851 wydano dwudziesty czwarty tom z 1851 roku. W roku 1852 wydano dwudziesty piąty tom z 1852 roku. W roku 1853 wydano dwudziesty szósty tom z 1853 roku. W roku 1854 wydano dwudziesty siódmy tom z 1854 roku. W roku 1855 wydano dwudziesty ósmy tom z 1855 roku. W roku 1856 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1856 roku. W roku 1857 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1857 roku. W roku 1858 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1858 roku. W roku 1859 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1859 roku. W roku 1860 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1860 roku. W roku 1861 wydano dwudziesty czwarty tom z 1861 roku. W roku 1862 wydano dwudziesty piąty tom z 1862 roku. W roku 1863 wydano dwudziesty szósty tom z 1863 roku. W roku 1864 wydano dwudziesty siódmy tom z 1864 roku. W roku 1865 wydano dwudziesty ósmy tom z 1865 roku. W roku 1866 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1866 roku. W roku 1867 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1867 roku. W roku 1868 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1868 roku. W roku 1869 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1869 roku. W roku 1870 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1870 roku. W roku 1871 wydano dwudziesty czwarty tom z 1871 roku. W roku 1872 wydano dwudziesty piąty tom z 1872 roku. W roku 1873 wydano dwudziesty szósty tom z 1873 roku. W roku 1874 wydano dwudziesty siódmy tom z 1874 roku. W roku 1875 wydano dwudziesty ósmy tom z 1875 roku. W roku 1876 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1876 roku. W roku 1877 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1877 roku. W roku 1878 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1878 roku. W roku 1879 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1879 roku. W roku 1880 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1880 roku. W roku 1881 wydano dwudziesty czwarty tom z 1881 roku. W roku 1882 wydano dwudziesty piąty tom z 1882 roku. W roku 1883 wydano dwudziesty szósty tom z 1883 roku. W roku 1884 wydano dwudziesty siódmy tom z 1884 roku. W roku 1885 wydano dwudziesty ósmy tom z 1885 roku. W roku 1886 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1886 roku. W roku 1887 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1887 roku. W roku 1888 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1888 roku. W roku 1889 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1889 roku. W roku 1890 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1890 roku. W roku 1891 wydano dwudziesty czwarty tom z 1891 roku. W roku 1892 wydano dwudziesty piąty tom z 1892 roku. W roku 1893 wydano dwudziesty szósty tom z 1893 roku. W roku 1894 wydano dwudziesty siódmy tom z 1894 roku. W roku 1895 wydano dwudziesty ósmy tom z 1895 roku. W roku 1896 wydano dwudziesty dziewiąty tom z 1896 roku. W roku 1897 wydano dwudziesty dziesiąty tom z 1897 roku. W roku 1898 wydano dwudziesty jedenasty tom z 1898 roku. W roku 1899 wydano dwudziesty dwunasty tom z 1899 roku. W roku 1900 wydano dwudziesty trzynasty tom z 1900 roku.

Panny Mars, Damy w Paryżu pod przybranem nazwiskiem, byłej garderobiany tej sławnej artystki, wydają w pewnym paryżkiem piśmie damskiem, wiadomości z prywatnego jej życia. Jestto szczególne zjawisko, ażeby pod oczami żyjącej osoby pozwalać sobie podobnych niedelikatności. — My niemając z indywidualnością panny Mars bliższych stosunków, pozwalamy sobie niektóre wyjątki z tych pamiętników w naszym piśmie zamieścić.

Rzućmy na chwilę okiem we wnętrze tego pełnego tajemnic i wslawionego budoaru; jest on przybytkiem drugiej Niny de l'Enclos, nad którą ani lata, ani zab czasu nie śmia swęj siły wywierać: jest on pomieszkaniem kobiety, która nie zawsze była przykładną, nie zawsze szla-

chetną, ale która urok przyjemności, rozsądek i siłę wyobraźni w najwyższym posiada stopniu.

Teraz, gdy już bożyszcze świątynią opuściło, — gdy panna Mars na scenie już nie występuje, zdaje się, że następujące szczegóły jęj życia nie będą bez powabu. — Panna Mars żyje jeszcze na wielkim świecie; w wieczór podczas przedstawień sztuk scenicznych pierwszego rzędu, widzieć można kobietę 60 letnią z krótkimi rękawkami, wygorsowaną, z rozpuszczonymi lokami, siedzącą w łoży obok swego adjutanta panny Amigo, artystki z teatru włoskiego.

Panna Mars jest nadzwyczajnie żywą, drażliwego temperamentu; jęj pamięć, która dawniej tak słynną była, niema już swęj młodociannęj siły. Czy to przypadkiem nie zazdrość, z powodu odnoszonych zwycięstw nowych koryfeów w świątyni Melpomeny, przyćmiła jęj ducha? I toby być mogło, bo coś podobnego już często dało mi się słyszeć.

Wstąpcie teraz czytelnicy ze mną do tego domu, przypatrzcie się bliżej tęj damie, która o piérwszęj godzinie po południu jeszcze w łożku leży... To panna Mars, moja pani. — Na głowie ma piękny czépek, obsyty suto blondynami, a pod poduszką leży broszura nowęj sztuki, któręj próba w tęj chwili w teatrze się odbywa. Na stoliku stoi lampa, która całą noc się pali, a przy nięj flakon napełniony wodą z kwiecia pomarańczowego, najskuteczniejsze lekarstwo na kurcze tęj sławnęj kobiety. — Trzy razy mnie dziś w nocy budziła. — Maryo, która godzina? Północ, łaskawa pani. — Północ, dopiero północ! a jak tęcz długo ta noc się ciągnie!.. Maryo, podaj mi drugi tom Marivaux, jeszcze raz muszę przeczytać! — Tu jest, proszę pani. — Maryo, popraw ogień na kominie —

ten pokój, to prawdziwa jaskinia lodowa. — I tak idzie co noc.

Pierwsza godzina bije, pukają. Lecz panna Mars nie przyjmuje w łóżku wizyt, wyjąwszy tylko zaufanych swych przyjaciół i znajomych, jak n. p. pana Scribe; ale to temi czasy gdy on na teatrze francuzkim występował. Tak, to w ten czas, gdy jeszcze pan Scribe nie był takim sławnym, był i dla mnie grzeczniejszym; bo ile razy przyszedł pani mojej role odczytywać, to wprzód poglaskał mnie po twarzy, a przymilając się bez ustanku mówił: „moja Maryniu“ „moja Maryo,“ istne miłości... ale później, jak się tylko z panną Mars lepiej zapoznał, to ledwie dzień dobry wybąknął, a w końcu już i rzadko bywał; przypada to właśnie w tój porze, gdym się oddalała ze służby.

Kamilla szwaczka zastaje panią jeszcze w łóżku. O wtenczas to były najśmieszniejsze sceny! Wtenczas gdyby nawet cała akademia francuzka była temu *lever* przytomną, panna Mars nie mogłaby się pewnie wstrzymać z wybuchem wrodzonej popędliwości.

Kamillo, to jest okropnie, to niegodziwie, oczywisty spisek, Wpanna mi robisz suknie za obszerne w talii, a za ciasne w gorsie. Wczoraj podczas sceny ledwiem nie zemdląła, a ta złośliwa Mante (*) śmiała się serdecznie z mych cierpień! jeżeli Wpanna raz jeszcze coś podobnego uczynisz, skończy się nasza znajomość!...

Bije pół.— Autorowie i szwaczki wynoszą się po cichu, aby nie przeszkadzać Bogini w rannój toalecie.—

Sądzicie może, iż ona zaraz wstanie? o! mylicie się państwo; ma ona jeszcze pilną robotę załatwić; jeszcze nie przeglądała żurnali.— Leży tam na stole, *Currier, Constitutionnel, Débats, Siècle, Presse, Globe, Indépendant, i*

(*) Aktorka.

Bóg wie jeszcze jakie, słowem wszystkie, jakie tylko Paryż posiada.

Patrzcie jak raz blednieje, to się znowu rumieni... tu pochwała, tam nagana, tu znowu krytyka, może i wiekowi nie przepuszczająca, to już zanadto goryczy....

Nieszczęsne żurnale, one to wyrokują czy pani przez cały dzień będzie w dobrym albo złym humorze!—

Przypominam sobie dobrze poczciwego Pana Wedel byłego dyrektora teatru francuzkiego. Drżał jak listek nieborak, wchodząc do naszej świątyni i pytał mię: Mario czy w dobrym humorze?— Nie bardzo. — Do djabła, to źle.— Ma migrenę.— O! tom zgubiony, pewnie jutro nie będzie chciała wystąpić na scenę.

Biędny dyrektor z przestraczem wazedł do budoaru... Mój panie, rzekła p. Mars, cóż się to panu dzieje? chcesz jutro dać tę sztukę? Firmin twierdzi, że ani słowa z swój roli nie umie, a to wchodzenie i ustępowanie ze sceny, odbywa się bez porządku; prawdziwie ta lekkomyślność jest nie do pojęcia. Apropos! wiesz P., że Janin wyśmiewa się dzisiaj z naszego teatru; niedowierzaj P. temu człowiekowi, będziesz miał z niego nieprzyjaciela — pan wiesz, a przynajmniej wiedzieć powinienes, że jest kochankiem pewnej damy, która teatr lubi, loża *Débats*, zajęta przez familią Bertin, pošlij mu pan inną... Ale! ale, byłabym zapomniała, proszę pana bardzo, aby w orkiestrze nie siadali tacy młodzi i gadatliwi muzykanci, to psuje mój efekt... to mnie gniéwa i działa na nerwy.

Odszedł dyrektor zupełnie zmieszany.

W ostatnich czasach jéj świetności, gdy już z wielkim bólem serca podzielić musiała berło z panną Rachel, usiłowała jeszcze zachowywać te kaprysy rozpiepszzonego dziecka, ale biada!.. Nowy dyrektor nie chciał

już zważać na podobne grymasy; — a następujący dialog jego z p. Mars pokazuje o ile już na swój potędzie straciła.

Pani jutro grać będziesz Elmire w Świętoszku (Tartuffe).

Nie będę grała...

Ależ to jest jedna z główniejszych ról pani.

Tym bardziej; dość, że gram, kiedy Geffroi gra świętoszka przedstawia, niech Mante weźmie tę rolę.

To nam zmniejszy dochód!

Ubolewam nad tém, ale występować nie myślę!..

Jeżeli pani grać nie będziesz, to jój za karę miesięczną pensją zatrzymam.

Co? mnie, pierwszej aktorce?

Pani, tak dobrze jak każdej innéj, wszyscy bowiem artyści w obliczu praw teatralnych są równi.

Po odejściu dyrektora, ja pierwsza garderobiana została sam na sam z panną Mars. — Natura płci naszej, po kilku uronionych łezkach, wzięła znowu górę; raz się śmiała, to znowu gniewała, to znow była dobrą, a w mieszaniu tych sprzecznych uczuć, podobną do brylanta, który tysiące promieni rozrzuca.

Maryo!.. podaj mi suknię... Maryo, zasznurowuj gorset... ach! jakaś niezgrabna, ściskasz mnie za nadto... tam... tu... przypnij chustkę, tu jedną kokardę, to za nisko, jeszcze za nisko... ach! głupie stworzenie i to chce być garderobianą... oj! gąski, gąski, tylko same siebie ubierać umieją. Jak kto przyjedzie uważaj... pan Lurine albo Soume, albo Dumas, to powiedz, że do domu nie wrócę... nie chcę, żeby mnie dzisiejszą literaturą karmiono, bo i bez niej cierpię na niestrawność. — Jeżeli zaś pani Ancelot przybędzie, to jój oświadczyć, że o 5tej powrócę, może tu swój rękopism zostawić... ot! tylko się przypatrz temu lokowi, mogą myśleć, że przyprawiony —

najmniejszego nie masz gustu, o sto lat mnie starszą ro-
bisz! Podaj mi szal... powóz czy zajechał? Nie zapomnij
tęż włożyć karmelków, którem dla dzieci p. Montrose
kupiła; pojedę tam skoro wrócę z próby... podaj mi wo-
reczek z pieniędzmi... a są w nim pieniądze? — Włóż tam
co do niego. Nie wpuszczaj do pokoju nikogo, a jeżeli
z kwitami za żurnale przyjdą, to zapłać zaraz. Jeżeliby
zaś p. Karol Maurice z redakcyi teatru *Courrier des Théâ-
tres* chciał mnie odwiedzić, to mu zgrabnie nadmienić, że
ja także mam zamiar być u niego. Bądź zdrowa, a pa-
miętaj o wszystkiem, com ci powiedziała.

Po tych kilku słowach, wszechwładczyni moja wsiada
do powozu, kazawszy woźnicy jechać do *Théâtre français*.

Po odjeździe méj pani musiałam naprawiać nieporzą-
dek będący skutkiem kunsztu, jak się czasami wyrażała
panna Mars. Na krawędzi kominka można było spostrzedz
jak gdyby od niechcienia, resztki hiszpańskiego cygara, któ-
re Alexander Dumas poprzedniego wieczora palił; to
znowu w inném miejscu, małe figurki z papieru, które
Victor Hugo mojemi nożyczkami wystrzygał.

Wiktor Hugo, jest dobrego wzrostu, przystojny mę-
szczyzna; on to niekiedy dla méj świeżości nazywał mnie
panną z jabłuszkową twarzą. Dalej były kunsztowną
robotą wykładane plamy od farb na stole rozcieranych,
pamiętka po malarzu Lépaule, owym brodatym malarzu,
prawdziwym djable hiszpańskim, który podczas wieczorów
gdy wszyscy rozmawiali, szkice sobie rysował. — A! oto!
leży tomik *Liaisons dangereuses*, w których panna Anaïs,
ta młodociana naiwność, udaje, że czyta w chwili, gdy
rozkochany w niej hrabia * * * rozplomienia się u nóg
swego bóstwa.

Tu, w tych puszkach jest róż i bielidło, dwa kolory najstósowniejsze dla każdéj aktorki, którój talent dwie postacie mieć musi. Biały przedstawia ciało, bladość, przestrah, śmierć; kolor zaś czerwony, piękność, świeżość, młodość, niewinność, miłość — jedném słowem trajedyą i komedyą...

W téj chwili nadchodzi roznosiciel listów, z tysiącem rozmaitości; bilety bez podpisu, oświadczenia miłości, wiérsze, propozycye angielskich i rossyjskich milionerów: trudnoby uwierzyć, ile tysięcy listów p. Mars corocznie odbiera. Talma już raz powiedział, że poczta znaczne jój winna wynagrodzenie.

Wybornie! już wszystko poustawiane... a moja troskliwa rączka zatarła ślady disharmonii, która jeszcze przed chwilą tu była... zadanie rozwiązane. Teraz oczekiwać trzeba odprowadzenia téj bogini Melpomeny do jój przybytku, a co się tam dzieć będzie, (NB. za kulisami), to niech posłuży za przedmiot do dalszój biografii naszój bohaterki.

Dwutygodnik literacki wychodzi dwa razy w miesiąc to jest 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą s góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Staraniem będzie wydawcy, aby i w urzędach pocztowych Królestwa Polskiego, Galicyi i W. Księstwa Poznańskiego ułatwić sądane zapisy; tu zaś w Krakowie przyjmuje się przedpłata w Nowej Księgarni.

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 3.

KRAKÓW dnia 1 Maja.

1844.

Treść: Alleluja przez Edmunda Wasilewskiego.— Humorystyka. Jeszcze cokolwiek o sobie, ale już nieco i o drugich pr. Hilarego Meciszewskiego.— Józef K. N. Bogucicki nap. J. Muczowski (dokończ.).— Napoleon i pułkownik Deléée.— Kronika bibliograficzna.

ALLELUIA.

Do góry! o bracia moi!
W niebo myśl wasza i oko;
Choć niebo chmury zawłoką,
Tam słońce wiecznie nieruchome stoi!

Na niebie jest słońce jedno,
Jedna myśl wielka w człowieku,
Raz się objawi w półwieku,
By błyszczyć nad ziemią biedną!

Z oczów miliona
Uwiążmy słońce,
Zapalmy myśli błyszczące
A ciemność skona!

Tylko w górę, tylko w niebo,
Myśli! oczy!
A nad rodzinną glebą
Nowe słońce krąg roztoczy!

Na krzyżu Zbawiciel przybity,
Gdy konał w męczarniach bez końca,
Pogodne oko w błękity
I pogodniejsze myśli wzniosł do słońca!

Bo na niebie miał Ojca we światłości stoku
Dla ziemi ojcem się stał,
I godność ojca w Jego zajaśniała oku,
I pogodną duszę miał!

W męczarniach życia, o! bracia moi,
Choć gwoździe przebiją ręce,
Wy zapomnijcie o męce
I wzrok zawieście u niebios podwoi!

Daremnie plugawe żydostwo
Plwało w twarz i ciało siekło,
I królujące ubóstwo
Wlekło pod krzyżem, aż na krzyż zawlekło!

Trzy razy upadł na głaz,
Trzy razy wstał,

Lecz zbawił nas,
Bo duszę ojca miał;
Odwalil grobowy glaz,
I Bogiem z grobu wstal!

O! i wam orlemi pióry,
Z pleśni grobowej wylecié!
Uczciwą sławą zaświecié,
Do góry bracia! do góry!

Myślą, jak laską Mojżeszą,
Bić w skałę, a źródło tryśnie;
Nad ludzką znędzniałą rzeszą,
Tęcza przymierza zabłyśnie!

O! bracia moi, ku niebu!
Bo na tym padole płaczków,
Ludzie — to naród tułaczów —
Od kolébki do pogrzebu!

Więc by tułactwo osłodzić,
Wzbić się nad siebie potrzeba,
A z siebie przyszłość urodzić.
Do nieba bracia! do nieba! —

Pisałem w Krakowie d. 16 Kwietnia 1844 r.

Edmund Wasilewski.

HUMORYSTYKA

JESZCZE COKOLWIEK O SOBIE, ALE JUŻ NIECO I O DRUGICH.

Z owego kpj najbardziej, co nos górą nosi!..
Niby Pan — niby mędrzec, a hebes i goły.
Butaj... jak się w czeladnej iabie rozkososi,
Gotów służyć z farfurą... kędy pańskie stoły.
.....
Owóz łatwo figlować, kto ma swe sposoby,
Różnych trzeba fortelów... na różne osoby.

Statut błazński Jana Dzwonkowskiego. Wydanie nowe

Jeżeli jakiego zwyczaju ojców naszych żałować szczerze wypada, — że zagasł, że się zatarł w nowszej a cudzoziemskiej oglądzie naszój, to zapewne zwyczaju utrzymywania po możniejszych domach, tak zwanych błaznow, trefnisiów, — ludzi, którzy bacząc na ich bardzo niegdyś rozciągle przywileje, — dziś podobno więcej, niż kiedy indziej, byłiby potrzebni i przydaliby się w towarzystwie naszym!... Nie przeto, żebym się ważył utrzymywać, aby towarzystwo, w którym żyjemy, nie mogło się *à la rigueur*, gdyby chciało, wykazać nie małą liczbą i to bardzo pięknie zachowanych exemplarzy figur, jeżeli nie zupełnie tego rodzaju, to przynajmniej tego samego nazwiska! — Broń mnie Boże od takiej współczesnych kałumnii!... jednakże, jak niezaprzeczoną nawet może być rzeczą, że i dziś jeszcze płaczą się błazny pomiędzy nami; — tak równie żadnej nie podpada wątpliwości, że to są błazny 19go ale nie 16go wieku; że dawne swoje przywileje wymienili na nowsze; że jednem słowem są to błazny *à rebours* tych, o których wspominają: Trztyptycki, Dzwonkowski, Rej i Siarczyński.

W jakim znaczeniu używany był u nas w 16m wieku ten przydomek *blazen*, dowiedzieć się może najłatwiej z pism Wójcickiego, ktoby nie miał ochoty, lub czasu wertować ksiąg innych, starych i zbutwiałych. Wójcicki w starożytnych obrazach swoich zebrał treściwie nie tylko wszystkie możebne definicje i rysopisy téj nader ciekawej postaci, napotykanéj niegdyś w Polsce na królewskich równie jak i na szlacheckich dworach; ale nadto obeznał nas z historją i życiem wielu z celniejszych konfraterni błazeńskiej, którzy bądź umieli sobie zarobić na imię jakiegokolwiek, bądź téż zasłynęli jakimś wyrazistym psikusem lub dowcipem! — Imiona więc i życie, figle i ucinki Bieniasza, błazna na dworze Szydłowieckiego, — Jaśka, błazna na dworze Piotra Kmity, — Gąski, na dworze Zygmunta Augusta, — Stańczyka, (którego sam poważny Bielski osobliwym błaznem nazywa), Stańczyka więc, błazna nadwornego trzech po sobie panujących królów, — Rijalta, na dworze Zygmunta III., — Słobikowskiego, Zięby, Wojtaszka i innych; — nareszcie imię i czyny Winnickiego, nadwornego błazna Jana III; co to na przekór narodowej bucie królowej Jejmości, żonie swego Pana... osadził Francuza na kurzych jajach, i w téj pozyturze okrytego kołdrą i wysiadającego kurczęta... na śmiech zgromadzonego dworu wystawił... imiona powtarzam tych wszystkich bohaterów starożytnego błazeńskiego cechu, żyć będą w historii naszej, i późnej dojdą potomności; bo każdy z nich miał swego dobrodzieja, obrońcę i wielbiciela, a wszyscy razem wzięci, mieli swych kronikarzy i bijografów...

Inaczéj się ma rzecz, niestety, z dziedzicami tego nazwiska, czy téż tytułu pomiędzy nami. I zdaje się, że los niesprawiedliwy zupełnemu zapomnieniu ich poświęcić za-

mysła. — Nie tylko bowiem nikt, ile mi przynajmniej wiadomo, nie zajmuje się utrzymywaniem porządnego rejestru współczesnych nam błaznów; nie tylko nikt nie spisuje ich życia, ani w właściwe kroniki nie zapisuje ich czynów i rozmaitych powodzeń; ale co gorsza, pomiędzy nami nawet samemi nie ma dotąd na to zgody: coto jest blazen 19go wieku, i w jakim istotnie znaczeniu starożytny ten przydomek dziś używanym bywa.

Przecież, gdy to jest przedmiot połączony ściślej, aniżeli się komu zdawać może, z moralną stroną towarzystwa naszego, godzi się nad nim zastanowić się z uwagą; godzi mu się przypatrzeć wszechstronnie, rozebrać go jak należy i zgłębić, ażeby, jeżeli można, dojść nareszcie raz do ustanowienia jasnój i nie wątpliwój definicyi stworzenia w naszym oświeconym wieku, nazywanego powszechnie *blaznem*.

Blazna o takich prerogatywach, jakich używał niegdyś w Polsce, dalekoby szukać potrzeba; anibyś w innych krajach nie napotkał podobno najmniejszego śladu! — Hiszpańskie graczyzy, niemieckie hanswursty, francuzkie truffaldyny, żokrysy, a nawet tak zwani: „*sous du Roi en titre d'office*“, byli to wszystko płatni raczej śmieszkowie, magacze koziolków, utrzymywani po dworach dla rozweselenia pana i jego przyjaciół, aniżeli trefnisie, obowiązani, albo tylko upoważnieni, do mówienia komu bądź prawdy! — W ój cki wyczytał w jakimś angielskiem piśmie, — że nawet w Anglii, za czasów Edwarda II, płacono i grubo za pobudzenie monarchy do śmiechu. „Podczas pobytu króla w Wolmir“ (mówi) „dano dwadzieścia „szylingów poganiaczowi Morris za to: że na łowach „przed królem często spadał z konia, i pocieszną swoją „figurą mocno go ubawił.“ Byli tacy, co nadymali sobie

gębę, ażeby policzki, któremi ich pan częstował, głośniej się odbijały i pobudzały do śmiechu; i takich nazywano po łacinie *buffo*. Imieniem i urzędem nadwornych błaznów, znajdziesz także zaszczyconych histryonów (kuglarzy), pętauristów (mietelników), skoczków i przedrzeźniaczy; ale napróżnobyś pomiędzy tą hałastrą szukał takiej postaci, jaką była Stańczyka, albo też Rialta w Polsce; — napróżnobyś między błaznami francuzkimi, angielskimi, lub niemieckimi, dopatrywał się powagi błaznów niegdyś polskich; napróżnobyś wreszcie w języku, jakim przemawiali tamci, chciał znaleźć dowcip, śmiałość, a nawet zuchwałość, jakie prawie zawsze cechowały mowę nadwornych trefnisiów w Polsce.

Jak wszystko w Niemczech, tak i szanowny cech błazeński znalazł swego kronikarza i historyografa... Uczony Flögel napisał: „historją nadwornych błaznów“ (*), a rozczytawszy się w niej, przekonać się dopiéro można, jak wielki przedział rozgraniczał w 16tym wieku błaznów polskich od błaznów reszty Europy. Flögel przyznaje, że we Francyi, oprócz Brusqueta i Angely nie było trefnisia w właściwem tego słowa znaczeniu; lecz że to, co się tam nazywało błaznem, zaledwie na imię Pierrota, lub Arlekina zasługiwało. — W Anglii, w długim szeregu lat, znalazł Flögel zaledwie dwie postacie, któreby się z Stańczykiem, Gąską lub Winnickim zmierzyć w przybliżeniu pozwoliły. — Tak zwany *King's fool* Henryka ósmego J. Heywood, słynął z pism dramatycznych i epigramatów, a *Sergan Famous jester* królowej Elżbiety, miał być humorystą w guście czysto angielskim.

Co do Niemiec, pomimo jawnej przychylności, z jakąby swoich rodaków pragnął odmalować i z téj nawet

(*) J. Flögel's *Geschichte der Hoffnarren*. — Leipzig 1789.

strony, nie może Flögel zaprzeczyć, że błazny niemieckie, nie potrafiły się nigdy wznieść nawet do stanowiska Brusqueta, Angelego, Hejwoda i Sergana. *Von größerem Schrotte und mitunter derb zottenhaft waren die Narren an den deutschen Höfen*, powiada w tym dziełku, przechodząc do historii błaznów swych spółrodaków... Pomiędzy koryfeami tego cechu w Niemczech wspomina tylko o błaznie nadwornym Maxymiliana I, nazwiskiem Kunz von Rosen, który, obok gimnastycznych dzieł swoich, pozwalał sobie niekiedy bawić swego pana i dowcipem; natomiast chwali się Hanswurstem typu prawdziwie niemieckiego (*von ächt deutschem Typus*), który pod imieniem Klaus der Narr albo Klaus von Ranstadt, miał słynąć swego czasu na dworach niemieckich. Klaus von Ranstadt urzędował przy boku ǳciu po sobie panujących regentów saskich i Flögel przyznaje, że sól attycka była minerałem zupełnie dla niego obcym, ale że za to używał soli kuchennój pełnemi garściami; a tak wysoko ceniono wówczas w Niemczech ten gatunek soli, że w inwentarzu sporządzonym po jednym z książąt saskich, jego panów, Klaus der Narr położony jest, jako ruchomość, w cenie jak na owe czasy niesłychanej, bo 80,000 talarów!

Zaprzeczyć wprawdzie nie można, że wpływ i użytek z utrzymywania na dworach książęcych trefnisiów, w właściwem tego słowa znaczeniu, podrzędne zaś i upokarzające stanowisko, jakie nadworne błazny zajmowały w 16tym i 17tym wieku w Niemczech, umieli czuć ludzie myślący owego czasu, jakimi byli np. Lamprechtner i Erazm z Roterdamu. Ten ostatni widząc, że błazen nadworny był wszędzie postacią *bierną* tylko, gdy wedle niego *czynną* był być powinien, że zamiast strzelać do drugich, i ranić wedle potrzeby i okoliczności, — służył

owszem tym drugim sam za tarczę, do której, jakby na celstacie jakim, ten tylko nie strzelał, kto nie chciał; Erazm więc z Rotterdamu pisał i dopominał się głośno, „że ka-
„żdy ksiązę dwóch błaznów właściwie mieć powinien: je-
„dnego, któregooby sam mógł wyśmiewać, drugiego, któ-
„remuby wolno być miało wyśmiewać i księcia i jego
„dworzan; bo inaczej instytucja błaznów, w połowie tylko
„wykonana, celu swojego chybia; i ani utrzymującym ją
„w tym stanie, ani poświęcającym się jój usłudze, nie
„wiele przynosi zaszczytu!“

Sam nawet strój błaznów niemieckich świadczy, jak niski w hierarchii i dworskiej i towarzyskiej zajmowali stopień. — Błazen w Niemczech musiał golić głowę, co tylko w ówczas u obłąkanych, niewolników, lub na ochydne skazywanych kary miewało miejsce; — tak ogoloną głowę stroił czapką błazeńską (*Narrenkappe* także *Gugel*, *Kugel*, *Kogel*, *etc.* od słowa *cucullus* zwaną), którą znowu zdobiły grzebień koguci i trzy ośle uszy. Nareszcie żeby téj barwie Hanswursta nie zbywało na niczém, błazen niemiecki musiał zdobić swoją czapkę, kryzę, a nawet obuwie dzwoneczkami, które zdaniem Erazma z Rotterdamu miały wyobrażać odbłask majestatu; rzeczywiście zaś były szyldem urzędu i rękojmią nietykalności osoby w nie przystrojonej. — Bo rzeczywiście błaznom niemieckim w wynagrodzeniu zapewne braku innych prerogatyw i swobód, których nie używali, służył przywilej nietykalności osoby, to jest: że ich nikt więzić, bić, ani do pracy ręcznej zmuszać nie miał nigdy prawa. Temuto przywilejowi przypisać zapewne trzeba, że gdy w Hiszpanii, Francji i w Niemczech czapka błazeńska z dzwoneczkami była w istocie zasłoną przeciw osobistej niewoli, gdy w nią przybrany, posiadał tém samym rodzaj żelaznego

listu, freybriefu — przeciw inkwizycyi ś. samowolności i prześladowaniu możnych; wszystko co tylko w owych krajach i czasach nie ufało własnej pięści, co tylko pracować mozolnie albo nie mogło, albo téż nie chciało, — wszystko, co tylko nie miało dość odwagi, by stawić czoło napaści, lub co się osobistych nieprzyjaciół miało lękać powody; — wszystko to garnęło się pod sztandar błazeński, wyjednywało sobie u książąt świeckich lub duchownych, u biskupów, opatów, burgrafów lub baronów, tytuły nadwornych błaznów, a ustroiwszy głowę w opiekuńcze ośle uszy, wędrowało wolno po kraju; przysiadało się śmiało do stołów pańskich, i używało pewnego rodzaju swobody i osobistej wolności. — Ważne te licencye przyznane na rzecz błaznów, prawem więcej zwyczajowym aniżeli pisany, były przyczyną, że Hiszpania, Francya i Niemcy zaludniały się wnet wędrownikami, którzy, pod opiekuńczą barwą błaznów, używali swobód nieznanych w ów czas innym klassom towarzystwa. — Niedługo téż liczba ich wzrosła do stopnia, że się poczeli łączyć w bandy, a dufając w nietykalność osób, dopuszczali się rozmaitych nadużyć, tak iż w końcu przyszło do tego, że sejmy państwa (*Reichs-tage*) w latach 1495 i 1575 musiały stanowić surowe ustawy przeciw nadużyciom nadwornych błaznów, osobiwie zaś tych, którzy, nie posiadając rzeczywiście tego urzędu, używali jednak jego przywilejów, na mocy przyznanego sobie tytułu, wyjednanego najczęściej przez fawor, lub kupionego za pieniądze (*). — (*Dal. ciąg n.*)

(*) Staatslexicon T. 8 str. 37.

JÓZEF KANTY NEPOMUCEN BOGUCICKI.

(Dokończenie).

Skarga ta, odbiwszy się o konsystorskie sklepienia, w niezliczonych zabrzmiała echach; bo Kraków podówczas liczył około kilku tysięcy duchownych świeckich i zakonnych (15). Wzbudzony jój odgłosem duch prześladowania, ze wszystkich stron spędział na głowę Bogucickiego czarne chmury tysiącem ciosów brzemienne. Wszystko odychało żądzą srogiej kary; bo tłumacze nauki Chrystusa, stłumiwszy w sobie miłość bliźniego, którą nam boski Zbawiciel szczególniej zaleca, tą zgubną namiętnością całe miasto ozioneli. Kto wie, czy Bogucicki nie uległby był losowi Husa, i nie odświeżył w pamięci Krakowian okropnej sceny, kiedy Melchiorową Weigel palono (16); gdyby nie wpływy rektora Oraczewskiego, a nadewszystko światło dostojnego dyecezyi Administratora, połączone z prawdzi-

(15) Woroniecz, bisk. krak. w raporcie swoim do Kommissyi Rząd. Wyznań Relig. i Oświeceniia publicznego w Królestwie Polskiem w dniu 24 stycznia 1824 roku, do liczby 174 podanym, pisze: „Kraków, przy wstępie na tron Stanisława Augusta odpowiadającym orszakiem duchowieństwa, do 700 osób wynoszącym, ołtarze Boże uświetniał; teraz garstka ledwie 60 ofiarników dawne dobrodziejstwa Opatrzności obecnym pokoleniom przypomina.“ Że tu tylko o duchowieństwie świeckiem mówi, przekonać się można z Rubryceli dyec. krak. na r. 1823 i 1824.

(16) Węgierski w *Slavonia reformata* pod r. 1539 str. 207 nazywa ją *Catharina Melchioris Zalasovii, senatoris Craeov. uxor*. Inni pisarze nie przywodzą jój nazwiska. Że się Weiglową nazywała, świadczą akta jój processu.

wie pobożną żarliwością o religią, której, jak Laktancjusz, ojciec kościoła chrześcijańskiego, zaleca, nie morderstwa, lecz poświęceniem życia; nie srogością, lecz cierpliwością; nie zbrodnią, lecz sumiennością bronić należy (17).

Tyle udręczeń, tyle prześladowania, tak dalece wstrząsło już dwudziestotrzechletnią pracą w zawodzie nauczycielskim nadwątlone Bogucickiego siły; iż, upadając na sercu i wąpiąc azali go, otoczonego zewsząd niebezpieczeństw, opieka ludzka od grożącej mu zguby zasłonić zdoła, ostateczne w tym czasie majątku swego uczynił rozrządenie. Testament ten, na wpół złamanym arkuszu, bez daty, w tym czasie napisany (18), jako najgruntowniej-

(17) Defendenda religio est, non occidendo, sed moriendo; non saevitia, sed patientia; non scelere, sed fide: illa enim malorum sunt, haec bonorum: et necesse est, bonum in religione versari non malum. Lactantii *Divinarum Institutionum* ed. Bipont. lib. V. c. 19.

(18) W papierach processu o majątek po śmierci Bogucickiego, w protokule gdzie jest mowa o tém, czy się jego testament znalazł, napisano: „*Testament teras nie znajduje się, gdyż nagle umarł. Dawniej w r. 1787 ucsyniony znajduje się w magistracie krakowskim przez konsystors przesłany.*“ Sama treść testamentu dowodzi, że w tym roku musiał być pisany. Wspomina w nim bowiem o swoim w kolegium mieszkaniu, gdzie na dole drugą od bramy izbę po prawej ręce zajmował; a więc jeszcze był professorem. Najważniejszym atoli dowodem, że ten testament przed drugą połową 1789 roku był napisany, jest ta okoliczność, że w nim Bogucicki 600 czerw. złotych zapisał filantropów związkowi, który jak się niżej pokaże z wyjazdem Oraczewskiego z Krakowa w r. 1789, zupełnie się rozchwiał. Wreszcie to, że Bogucicki uprasza Kommissyą Edukacyjną, żeby tę jego ostatnią wolą, powagą i wziętością swoją w narodzie utrzymała, tudzież owo wzywianie śmierci i zapewnienie, iż go znajdzie spokojnego, domyślać się każe, że nie,

sza i prawdziwie chrześcijańska odpowiedź na uczynione mu bezbożności zarzuty, i najrzetelniejsze odbicie się jego zacnej i szlachetnej duszy, która dla dobra bliźnich była wylana, godzien jest zachowania; i dla tego przepisany ze znajdującego się w aktach sądowych oryginału w całości tu umieszczamy ⁽¹⁰⁾.

„W imię Boga wiecznego. Znając się być śmiertelnym, wzbudzam najprzód w sobie tę pocieszającą wiarę, która mnie we wszystkich goryczach i prześladowaniach wspierała; że Bóg najłitościwszy, któremu otwarta jest niewinność serca mojego, mieć będzie miłosierdzie nad ułomnościami i słabościami nędznego i skazitelnego stworzenia, a jednak dzieła wszechmocnej ręki i niezgrunтовanej mądrości. Byłem człowiekiem podobnym wszystkim innym ludziom, ale nie był złośliwym, czarnym i zdrajcą względem mojego bliźniego tak jak wielu było względem mnie, którzy za dobre przysługi oddawali mi najszkaradniejszą niewdzięcznością, przez potwarze, podstępny i najniegodziwsze sposoby, usiłując mnie gubić na majątku i honorze. W rzeczy samej do tego ich wszystkie dążyły kroki, aby mnie od wszelkiej w stanie tak duchownym jako i akademickim promocyi oddalili. Wiadomy będzie sprawiedliwej potomności rok 1787, w którym za moją dySSERTACYĄ utrzymującą świętość, dobroć i

chorobą złożony pisał ten testament; ale w ciężkiem udręczeniu serca i niebezpieczeństwie, jakim mu zagrażało owo oświadczenie duchowieństwa w skardze do administratora uczynione; iż gdyby się nie wyniósł z kraju na oczywistąby się zgubę naraził.

(10) J. S. Bandtkie w swęj Historji Biblioteki Uniwers. Jagiellońskiego na str. 151 przedrukował go w mylnęj kopii, i dla tego w kilku miejscach jest tam niezrozumiały.

łagodność religii chrześcijańskiej przeciwko dzikiemu fanatyzmowi, chytrój obłudzie, nienasyconej chciwości, gorszącej dumie i zmyślonej gorliwości, największem wycierpiał prześladowania, i znaczny na zdrowiu mojem poniósłem uszczerbek. Wszakże ja tym, co mię prześladowali, odpuszczam z całej duszy, jako chrześcjanin i uczeń ewangelii Jezusa Chrystusa, mówiąc: *Dimitte illis, Pater, quia nesciunt quid faciunt.*

„Powtóre: Co się tycze mego majątku własną pracą nabytego, a przykrą oszczędnością w swojej całości utrzymanego, takowe czynię rozrządzenie. Mam dwa tysiące czerwonych złotych, lokowanych na Opatkowicach u Jaśnie Wielmożnych Grabowskich, z tych:

1mo. Sześćset czerwonych złotych leguję Szpitalowi jeneralnemu krakowskiemu dla ubogich chorych i nędznych jakiegokolwiek bądź religii, mając wzgląd na to, co ludzie cierpią, a nie na to co wierzą; zostawując samemu Bogu sumienie i serce ludzkie. Jegoto jest sprawą, i on potrafi, gdy zechce, nawrócić do jedności religii wszystkie obłąkane umysły.

2do. Oddaję w zupełne prawo i własność z wyżej rzeczonych summy kapitalnej również sześćset czerwonych złotych filantropijnemu ustanowieniu ⁽²⁰⁾. Chcę umierać

(20) Zapisane przez Bogucickiego 600 czerw. zł. dla filantropów w Krakowie, a na dobrach Opatkowice murowane w Królestwie Polskiem intabulowane, przez wiele lat były przedmiotem korespondencyj różnych władz rządowych; aż nakoniec staraniem Wysokiego Senatu Rządzącego wraz z procentami w roku zeszłym odzyskane zostały. Gorliwość Rządu naszego o dobro powszechnie, nie wątpliwą czyni nadzieję, iż summa ta, obecnie 23,950 złp. 18 gr. wynosząca, tak użyta zostanie, że i ciałom fundatora najlepiej odpowie, i pamięć jego obywatelskich uczuć i chęci w późne pokolenia zachowa.

z czułą wdzięcznością i z prawdziwem uwielbieniem cnotliwego i głęboko oświeconego człowieka i obywatela JW. Felixa Oraczewskiego, kommissarza edukacyjnego, rządzczy całego stanu akademickiego, autora tego tak pożytecznego związku (21). Niech częśćka mego pracowitego, a z ujmą moich własnych wygód i nawet niektórych rzetelnych potrzeb dopełnionego zbioru, przyłoży się do uwiecznienia tak dobroczynnego ustanowienia w ojczyźnie mojej, której ja zawsze byłem gorącym miłośnikiem, a nad której nie szczęśliwością i niedolą w sercu mojem tkliwie ubolewałem.

3tio. Resztę z pozostałej summy leguję krewnym moim, którym oprócz powszechnych ludzkości obowiązków nicem nie winien; których jednak w życiu mojem dosyć wspierałem i utrzymywałem.

4to. Bibliotekę moję, którą własnym groszem i z bardzo wielkim nakładem w rozmaitych krajach zakupowałem, dla pomnożenia nauk i wygody publicznej Szkole głównej krakowskiej oddaję (22). Niech inni w akademickim stanie zbierają słodkie korzyści, w którym ja same tylko gorycze i ciernie znajdowałem.

5to. Suknie i bielizna moja ma być proporcjonalnie podzielona między moich krewnych i służących, jako i sprzęty kuchenne i stajenne do pojazdów należące, które bądź w kolegium, bądź na plebanii w czasie mojego zgonu zostawać będą. (Tu wielki ustęp zostawił, a potem przydał co następuje): Do wykonania wyżej opisanych moich rozrządzeń odbieram za exekutorów mężów, których cnotcie i charaktero-

(21) Zob. Ner 2gi Dwutygodnika: *Wiadomość o świętsku filantropijnym w Krakowie.*

(22) Biblioteka Boguciekiego, z szacownych dzieł w języku greckim, łacińskim, francuzkim, angielskim, włoskim, niemiec-kim i polskim złożona, zawierała dzieł 1342, a 2283 tomów.

wi zupełnie ufam. (Po wyrazie *ufam* wyciął nazwiska i co było, a na boku umieścił znaczek (*) z dopiskiem: *na miejsce tych obieram*; ale nazwisk nie dodał)... ofiaruję niektóre po mnie pozostałe sprzęty i naczynia srebrne. Za najwyższą zaś opiekunkę tego testamentu obieram, i przez wszystkie najświętsze obowiązki upraszam Przeświętą Kommissyą Edukacyjną, która, powagą i wziętością swoją, w narodzie, zechce utrzymać moje rozrządzenia w zupełnym stanie; ażeby majątek mój, na który trzydzieści lat krwawym robiłem potem, na łup sępów, obce dobro szarpiących i cudzą pracą żyjących, nie poszedł.“

„Przychodźże już śmierci, jedyna przyjaciółko nieszczęśliwych i od jadówitój zazdrości prześladowanych, a znajdziesz mnie spokojnie na ciebie czekającego. Boże, najwyższy twórco wszystkich jestestw, nieskazitelny początku prawdy i mądrości, sprawiedliwości wieczna, wszystkie rzeczy do istotnego porządku przywracająca, lituj się przez twoję nieskończoną dobroć nad nędznym narodem ludzkim; odkryj mu zasypaną rozmaitemi błędami i zaboronami drogę, aby trafił do niemyślnój ścieżki swego prawdziwego szczęścia. Światło twojój łaski, i o losie każdego człowieka zawiadującej twojój niezgruntowanój opatrności, niech go prowadzi do czystego źródła spokojności i bezpieczeństwa, które się na łonie twojój nieograniczonój wszędzie obecności znajduje. Wysłuchaj, Panie wielkiego miłosierdzia, ostatnie głosu mego tchnienie, a przyjmij w ręce twoje ojcowskie do niewzruszonój i błogostawionój wieczności, tkliwą, czulą, i najżywszemi dolegliwościami w dosyć smutném i burzliwém życiu swoim skołataną i udręczoną duszę jednego z najczulszych, a tém samém najnieszczęśliwszych ludzi w dzisiejszym toku świata mo-

ralnego. X. Józef Bogucicki mpp. *(Fa)vete et valete aeter-
num amici. Mors ultima linea rerum.*

Ale upadający Bogucicki pod brzemieniem prześladowania, którym żarliwość Krzysztofa Szembeka, biskupa plockiego, do żywego mu dojechała, napróżno wzywał śmierci i oświadczał, iż go spokojnie na siebie czekającego znajdzie; bo sprawiedliwa i niezgłębiona w swych wyrokach Opatrzność, chciała go zachować na oplakane czasy, w którychby, poświęcając Szkole głównej ostatki sił swoich w zawodzie nauczycielskim starganych, przyniósł pomoc zagrożonemu zgromadzeniu; a tak, obyczajem prawego chrześcianina, odplacił przykrości i niechęć, jakich w późniejszych czasach za tyle poświęceń i prac podjętych ciągle doznawał.

Aczkolwiek opieka księcia Prymasa, który, jakśmy wyżej wspomnieli, ujął się był za Bogucickim, potężnie go zasłoniła od jawnego prześladowania, nie mogła ona atoli stłumić podstępnie doskwierającej mu złości, oraz wrócić mu przez tyle udręczeń znacznie skołatanego zdrowia. Jakoż często odtąd w chorobę zapadający, już w r. 1789 musiał jechać do wód zagranicznych dla poratowania słabnących sił swoich.

Następne lata, brzemienne w nieszczęścia krajowe, przeżył Bogucicki wśród naukowej pracy i dolegliwych cierpień moralnych, wznieconych w jego enotliwej duszy i tkliwém sercu przez ucisk i niedolę rodzinnjéj ziemi, której, jak się w testamencie wyraził, gorącym był miłośnikiem.

Między wielą zbawicznemi ustawy, przez które poświęcające się zawodowi nauczycielskiemu osoby Komissya Edukacyjna do zamilowania swego powołania zagrzewać, tudzież do wytrwałjéj gorliwości pobudzać je usiłowała, niepoślednie zajmuje miejsce postanowienie: iż professo-

rowie, odczywszy lat 16cie, dwie trzecie części pensyi swojej aż do śmierci pobierać mieli; i że dalej przy swój katedrze tylko za jój pozwoleniem pozostawać mogli ⁽²³⁾. Korzystając Bogucicki z tego postanowienia, na posiedzeniu Szkoły głównej w dniu 10 stycznia 1796 roku, po zajęciu Krakowa przez wojsko cesarsko-austriackie, uczynił oświadczenie: iż, jak tylko w roku bieżącym dopełni liczby lat dla zawodu nauczycielskiego przez Kommissyą Edukacyjną przepisanej, z powodu znacznie zwątlonych sił swoich, obowiązku tego nadal nie będzie mógł sprawować; dodał nadto, że jakkolwiek los spotka osoby Szkoły głównej, ten chętnie i on zarówno ze wszystkimi zność będzie.

Zagrożona następnie upadkiem Szkoła główna, nie mogąc się utrzymać przy zasadach instrukcyi publicznej pod swój stér od lat kilkunastu oddanej, nad tém szczególniej przemyśliwała, jakimby sposobem wielom ze swych członków, co na tak ważnej posłudze krajowej najpiękniejszy swój wiek strawili, los zabezpieczyć i spokojne utrzymanie na ich ostatnie lata zapewnić im mogła. Naradzając się w tym celu na posiedzeniu swoim w dniu 10 stycznia 1796 r. Szkoła główna, zgodziła się na wysłanie do Najwyższego Rządu Austriackiego delegacyi z dwóch osób, której plenipotencyą w języku łacińskim dać postanowiła i do napisania jój Bogucickiego wezwała. Jemu téż wraz z Janem Śniadeckim, Wincentym Szastrem i Jackiem Przybylskim, było poruczone instrukcyi w języku polskim i francuzkim dla rzeczonej delegacyj ułożenie.

(23) Ustawy Kommissyi edukacyi narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane, w Warsz. 1793. fol. str. 10.

Luho przedstawione projekta plenipotencyi i instrukcyi dla delegowanych w dniu 15 stycznia na pełném Szkoły głównej posiedzeniu zgodnie przyjęte zostały, atoli z przyczyny niedostatku wypływającego z powszechnych nieszczęść krajowych, dla którego nauczyciele, pomimo czynnego swego powołania, już od lat trzech (1793—1795) wcale pensyi nie pobierali, niepodobna byłoby i pomyśleć o téj delegacyi; gdyby tak ciężkiej zgromadzenia potrzebie życzliwość kilku zamożniejszych członków chętnie była nie zaradziła. Jakoż gorliwi o dobro szkoły professorowie Rafał Czerwiakowski, Felix Radwański, Franciszek Scheidt i Marcin Fiałkowski po 25 czerw. zł. a ksiądz kanonik i prof. Minocki 100 czerw. zł. na potrzebne wydatki dla mającej się wyprawić do Wiednia delegacyi ofiarowali z zastrzeżeniem, ażeby im ta summa z najpiérwszych do kassy Szkoły głównej przychodów zwrócona została. Otrzymawszy tym sposobem potrzebny na ten cel fundusz, Szkoła główna zaraz na tém posiedzeniu przystąpiła do wyboru delegowanych, na których Bogucickiego wraz z Janem Śniadeckim większością głosów wybrała i powołała.

Wkrótce po swym wyborze delegowani udali się do Wiednia, gdzie po przedstawieniu się ministrom i innym osobom do rządu wchodzącym, tudzież po złożeniu panującemu w uzyskaném posłuchaniu hołdu uszanowania, na powtórném przypuszczeniu siebie do Monarchy w dniu 24 lutego w długiej nocy, w języku francuzkim podanej, przedstawili stan Szkoły głównej, jój prawa i t. d. i o łaskawą opiekę dla niej upraszali. Takimi zabiegi delegacya wstrzymała i odwróciła niekorzystne dla Szkoły głównej nowego rządu zamiary, które, względy finansowe, już od roku 1784 otworzona we Lwowie akademja,

tudzież niedogodne w zakęcie prowincyi położenie Krakowa, koniecznie mu wskazywały. W dniu 24 kwietnia t. r. (1796) delegowani zebranej na posiedzeniu Szkole głównej zdali sprawę ze swoich w Wiedniu czynności, i wraz donieśli jój o uzyskaném ze strony rządu zapewnieniu: iż przy nowój Akademii reformie na sprawiedliwe żądania jój dawnych członków wzgląd miany będzie.

Kiedy Bogucicki mimo nadwątlone zdrowie swoje w interesach Szkoły głównej do Wiednia został wysłany, podróż ta tak dalece zwiększyła jego dolegliwości, iż jeszcze w tym samym roku dla pokrzepienia sił swoich do wód udać się musiał. Szkoła główna, zarządzając wynikłej z wyjazdu jego wielkiój przeszkodzie do pomyślnego załatwienia swych interesów z rządem nad jój reformą przemyślającym, nie tylko że na czas jego nieobecności, dla wyręczenia go, pozostałemu delegowanemu Śniadeckiemu dwóch profesorów to jest Franciszka Scheidta i Antoniego Szastra z grona swego wyznaczyła i przydała; ale też pragnąc w tak stanowczym dla siebie czasie, korzystać z jego gruntownej nauki, zdrowej rady i szczerój życzliwości, skoro tylko do kraju powrócił, poleciła swemu sekretarzowi w d. 1ym października t. r., aby w jój imieniu najusilniój go prosił: żeby przez gorliwość o pożytek uczącój się młodzieży, tudzież miłość dobra Akademii do Krakowa chciał zjechać, i mimo dopelnionych lat służby, ustawą przepisanych, jeszcze przez bieżący rok szkolny i lekcye wykładał, i do ukończenia interesów z rządem Szkole głównej dopomagał. Nie mógł Bogucicki oprzec się tak pochlebnemu dla siebie Szkoły głównej wezwaniu, i ostatki nienaknących sił swoich jój usłudze poświęcił, pracując dla jój dobra, aż do chwili kiedy go w dniu 27 kwietnia 1797 r. na spoczynek przeniesiono. Nie długo atoli cieszył się

on tą spokojnością, do której w dniach znoju i burzy życia swojego tęskliwie był wzdychał; albowiem już w roku następnym (1798) dnia 26 grudnia, a w 51szym wieku swego, nagle żyć przestał.

Był Bogucicki mężem wielce uczonym, przez co jeszcze w r. 1778 chlubne dla siebie wezwanie na członka towarzystwa do ksiąg elementarnych od Kommissyi Edukacyjnej był pozyskał (24). Jego piękne przymioty duszy, ujmującą powierzchownością uwdzięzione, u wszystkich pocziwych wziętość mu jednały; a młodzież akademicka otaczała go czcią i miłością, którą w nieskażonych sercach młodzieńczych połączona w nauczycielu z nauką cnota, i szczerą o dobro swych uczniów troskliwość, zwykle budzi i roznieca. Kilkoletnie za granicą bawienie i zwiedzenie Włoch, Niemiec, Francyi i Anglii, nie tylko że zbogaciło już i tak obszerne jego wiadomości; ale téż ułatwiło mu gruntowne obeznanie się z literaturami najoświećszych Europy krajów. Jakoż Bogucicki i z ojczystą, i z francuską, niemiecką, angielską, włoską, grecką literaturą dobrze był obeznany. Jak dalece zaś biegłym był w języku łacińskim dowodzą jego piękne zapowiedze-

(24) Bogucicki od r. 1778 przy innych swoich naukowych tytułach zwykle i ten dodawał, iż był członkiem towarzystwa uczonych warszawskich. To ogólnie wyrażenie było mi powodem do oświadczenia wyżej na str. 17 w przypisku Sym, iż nie wiem, co byto było za towarzystwo. Bliższe atoli rozpatrzenie się w Indexach Szkoły głównej wyjaśniło mi tę wątpliwość; bo w jednym tylko z nich, to jest w tym, który na rok szkolny 1784 wydano, Bogucicki wyraźnie dodał, iż był członkiem uczonego zgromadzenia warszawskiego do ksiąg elementarnych, które, jak wiadomo, Kommissya Edukacyjna na początku 1775 roku z dziesięciu osób była postanowiła.

nia lekcyi publicznych w Indexach Szkoły głównej co rok ogłaszane, tudzież świadectwo jednego z najuczestniejszych mężów swojego wieku, ks. Hugona Kołłątaja, które niżej przytoczymy. Wielkie nauk zamiłowanie uczyniło go obojętnym na to, za czém się inni jego powołania zwykle najbardziej ubiegają. Dowodem tego, iż nie tylko w r. 1796 dawanego sobie przez uniwersytet probostwa w Gołczy przyjąć nie chciał; ale téż i za korzystne beneficjum korczyńskie w następnym roku sobie ofiarowane Szkole głównej podziękował. Liczne i różnej natury zatrudnienia, jakie z polecenia zgromadzenia wielokrotnie podejmować musiał, nie zostawiały mu tyle swobodnego czasu, żeby się pismienictwu szczególniej mógł być poświęcać. Dla tego téż prócz drobniejszych pisemek, któreśmy wyżej w przypisach 3, 4, 5 i 6 przytoczyli, tudzież wspomnianych już przez Bandtkiego w historii biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego na str. 148 i 149: *Laudatio funebris Jacobi Michaelis Marciszewski U. J. D. et Prof. nadto Oratio cum in Regni schola, Universitate Cracoviensi — studiorum reformatio introduceretur*; i nakoniec: *Assertiones ex historiae ecclesiasticae saeculo primo selectae Cracoviae, 1781. 8vo*, nic więcéj Bogucicki drukiem nie ogłosił. W rękopismach, ile mi wiadomo, pozostawił: 1ód. *Uwagi nad niektórymi znakomitszemi dziejami trzeciej epoki religii chrześcijańskiej w wieku XVtym kościoła przypadlemi. 2re. Historia ecclesiastica*, dzieło obszerne do końca XVII wieku doprowadzone. Bogucicki zajmując przez lat szesnaście w Szkole głów. katedrę historii kościelnej, tylko kilka okresów co rok z niej wykladał. Rozległa dziejów znajomość, gruntowność, i łatwe wzorową łaciną wysłowienie się, tak dalece słuchaczów na tę jego lekcją znęcały, że nie tylko teologowie, ale téż i innych wydziałów uczni-

wie na wykład Bogucickiego licznie i ochoczo uczęszczali. Jak wysoko Kołłątaj, gruntowny w tym względzie znawca, cenił tę naszego profesora pracę, dowodzi jego raport o wizycie w r. 1784 Kommissyi Edukacyjnej podany. W nim bowiem na str. 26 czytamy iż: „Historya kościelna w języku łacińskim dawana przez JX. Józefa Bogucickiego ś. t. d. zaczęła się w r. 1780. Prospekt téj nauki w roku 1779 prześw. Kommissyi okazany, zupełnie jest od profesora zachowany. Sposób, którym daje historya nie tylko jest dokładny, ale nadto zaręcza, że dzieło przez niego skończone będzie bardzo pożyteczne dla tych wszystkich, którzy gruntowną wiadomość historyi kościelnej posiadać pragną. JX. Bogucicki łączy w niej nie wątpliwą chronologią z rozsądną krytyką; a styl jego może być wzorem literatury w rodzaju narracyi. Dotąd zakończył wieków ośm, teraz (1784 r.) aktualnie daje wiek IXty. Gdy dzieło JX. Bogucickiego zupełnie dokończone zostanie, historia kościelna w ciągu lat trzech kończyć się będzie mogła.“ Tenże w swój Korrespondencyi listostownej z Tad. Czackim z rękopisu przez Ferd. Kojśiewiczą w Krak. 1844 roku wydanej, w tomie I. na str. 168 w uwagach względem urządzenia uniwersytetu wileńskiego, w r. 1803 napisanych, wspomniawszy o potrzebie wykładu historyi kościelnej, dodaje: „życzyłbym starać się o manuskrypta niedawno zmarłego X. Bogucickiego, nie tylko gruntownie biegłego w téj historyi; ale nadto jednego z najlepszych pisarzy w języku łacińskim, którym się wiek nasz mógł szczyć.“ Zostając na ziemi obcej Kołłątaj, podczas kiedy Bogucickiego w kraju śmierć zaskoczyła, nie mógł wiedzieć, jaki los spotkał tę jego wieloletnią przez siebie tak wysoko cenioną pracę. Wszakże J. S. Bandtkie w Historyi biblioteki na stronie 50 wspo-

mina, iż „była pogłoska, jak twierdzono, pewna, że ważne pisma do historii kościelnej po Bogucickim w Igołomii zmarłym, przez kilku fanatyków duchownych spalone zostały. Nie chciano bowiem tych pism wydać znacnym duchownym, którzy w tych rękopismach żadnej nie upatrywali herezyi.“

NAPOLEON I PUŁKOWNIK DELÉLÉE.

Zawziętość, którą Napoleon powziął przeciwko generałowi Moreau, nie na nim samym tylko się kończyła; sięgała ona wszystkich, którzy w jakichkolwiek bądź stosunkach z generałem zostawali, mianowicie zaś tych oficerów i żołnierzy, którzy pod nim służyli. Znał bowiem cesarz przywiązanie ostatnich ku niemu, które przy każdej sposobności silnie się objawiało.

Z jego rozkazu, nie tylko wszyscy obecni w Paryżu adjutanci generała Moreau aresztowani zostali, ale nawet i ci, którzy nie będąc już pod nim w służbie, na prowincyi mieszkali. Do ostatnich należał pułkownik Deléléé stojący podówczas na kwaterze w *Besançon*.

Na łonie familii, obok przywiązanej młodej małżonki, pędził on błogie chwile w gronie małym dobranych przyjaciół, któremi byli generałowie, Guilleminot, Hugo i Foj.

Deléléé stronił zawsze od wielkiego świata, a niemając udziału w wypadkach politycznych, szczególnież zaś w knujących się pod ów czas przeciwko Napoleonowi spis-

kach, tym mocniej przerażony został swoim aresztowaniem, do którego najodleglejszych nie mógł znaleźć powodów.

W nocy, w milczeniu, pod mocną strażą żandarmów, do Paryża zawieziony, tamże w ostrém więzieniu *la Force* osadzony został. Tu dopiero od officera żandarmeryi dowiedział się, że powodem jego uwięzienia jest odkryty spisek przez generała Moreau uknowany; gdyż i jego nazwisko na liście sprzysiężonych znaleziono.

Stroskana żona, w najwyższej rozpaczycy udaje się do Paryża, błaga najwyższe władze, by jój przystępu do nieszczęśliwego męża nie wzbraniano; lecz po długich dopięro prozbach dostaje pozwolenie, z tém zastrzeżeniem, że tylko w przytomności dozorcycy więzienia, przez żelazną kratę, wolno jój będzie na migi rozmawiać, a nie zbliżając się do niego, na jedném tylko uściśnieniu ręki poprzestać. Atoli rozkaz ten nie rozciągał się do jój 4letniego synka, którego dozorca wpuszczał do ojca. — Co dzień z rana nieszczęśliwa matka ze swoim dziecięciem odwiedzała męża, lecz bolało ją serce, że strapionemu małżonkowi przez udzielenie mu swych uczuć, nie mogła przynieść najmniejszej pociechy i ulgi w cierpieniach, ani mu téż donieść o stanie processu, od którego wypadku zależało, życie lub śmierć. Po niejakiem czasie, postanowiła użyć swego synka za pośrednika do listownej komunikacyi. Mała dziecina po mistrzowsku odgrywała wskazaną sobie rolę: albowiem, mając w trzewiczku list do ojca ukryty, udawała że kuleje, i że go nożka boli. Pułkownik w obecności dozorcycy brał dziecię na łono, a obróciwszy się tyłem do niego, zdejmując trzewiczek, opatrywał nożkę, a przy téj sposobności, z ręcznie list ukryty wyjmował.

Tym czasem zapadł wyrok na sprzysiężonych. Pułkownik Delélee, któremu nic dowieść nie było można,

wprawdzie z więzienia, ale nie od zarzutu, uwolnionym został; z wyraźnym przytém rozkazem, aby nazwisko jego z listy armii wykręślono; nadto oddano go pod nadzór policji z zastrzeżeniem, żeby 40 mil od Paryża mieszkał.

Każde zwycięstwo unieśmiertelniające jego towarzyszków broni, i na wyższe stopnie wynoszące, wtenczas gdy on na nieczynność był wskazany, wzbudzało w młodym i dzielnym pułkowniku dręczące i bolesne uczucia; nie miał bowiem innego zatrudnienia, jak tylko smutném okiem ściagać na mappie postępy zwycięzkiego wojska.— Na kilkakrotne proźby przesyłane do Napoleona, by mu jako ochotnikowi, z bronią w rękę, wolno było umrzeć za Francją, tę tylko raz lakoniczną odebrał odpowiedź: „*Niech czeka.*“

Mieszkańcy w *Besanson* znając godny charakter pułkownika *Delélee*, ubolewali nad smutném jego położeniem. Nie pomijano żadnej następczącej się sposobności polecenia go łasce i sprawiedliwości cesarza.

Jeżeli się nie mylę, to w krótkce po batalii pod Jena, przybywały deputacye z całej Francji do Paryża, w celu złożenia cesarzowi powinszowań z okoliczności nowo odniesionych zwycięstw. *Delélee* będąc natenczas obywatelem departamentu *Dub*, jednogłośnie na członka deputacyi obranym został, do której i prefekt z *Besanson* należał, pod przewodnictwem czcigodnego marszałka *M***.

Tak więc zbliżała się dla pułkownika pożądana chwila, która miała zakończyć jego cierpienia; — ma wdzięk cesarza, mówić z nim, i z godnością uzalić się na tę tak długą i nie zasłużoną nie łaskę!

Te były uczucia i nadzieje, które się w pierwszej chwili w sercu jego odezwały; a przejęty wspaniałomyślnością swoich spółobywateli, dziękował im z rozczuleniem za okazany sobie udział w jego nieszczęściu.

Deputacya przybywa do Paryża, a dla dopełnienia przepisanej formalności udaje się do ministra policyi. Jakże wielkie było jego podziwienie, gdy ujrzał w jój gronie człowieka, na którym ciążyła niełaska władzcy Europy. Przekonany, iż obecność jego nie mile uczyniłaby na cesarzu wrażenie, oświadczył to marszałkowi M**. Skoro deputacya z mieszkania ministra oddaliła się, marszałek M** udaje się do pułkownika Delélee i następujące czyni mu oświadczenie:

„Przyjacielu! wszystko zgubione! z twarzy bowiem „dworzan cesarskich wyczytuję, że przeciwko tobie zbyt „są oburzeni; a gdyby cię cesarz w naszym ujrzał gronie, „poczytałby to za oczywiste sprzeciwianie się jego rozka- „zom, gniew jego dotknąłby nas wszystkich.“

Jakżeż to odmienić panie marszałku? odrzekł z godnością Delélee.

„Ażeby departamentowi, deputowanym i panu nie „zrobić nieprzyjemności, — sądzą....

Marszałek uciął mowę,
— mam —
„może dobrzeby było, gdybyś bez zwrócenia uwagi na „siebie.... oddalił się... ..

Tu już przybrakło cierpliwości pułkownikowi. „Panie „marszałku, wybac, rzecze, że rady twój usłuchać, honor „mi nie pozwala; czyż w tym celu przedsięwzięłem tę po- „dróż, abym podobny dziecku, pierwszą przeciwnością „ustraszyl się? Za nadto już jestem przygnębiony nie za- „służoną niełaską cesarza, a bardziej jeszcze tą upadlającą „nieczynnością, — niech się gniewa lub ułagodzi... wi- „dzieć mię musi... niech mnie rozstrzelać każe, jeżeli „mu się podoba; życie, które od 5ciu lat włokę, nie ma „już dla mnie żadnego powabu!“

Marszałek M** zamilkł... a Deléléé ostygnąwszy cokolwiek z pierwszego uniesienia, dodał: „Wreszcie podaję się pod sąd moich kolegów deputowanych departamentu Dub.“

Według tego oświadczenia pułkownika, rzecz ta, deputowanym z departamentu *Dub* i *Besanson* przełożoną została, a ci z zapałem i jednozgodnie pochwalili zamiar jego.

Nadszedł dzień świetnego przyjęcia deputacyi. Z całego cesarstwa zgromadzenie udało się do *Tuilleriów* a z niém i pułkownik Deléléé.

Gdzieś tylko okiem rzucił w salonach, przedstawiał ci się widok przepysznych i kosztownych ubiorów. Wszyscy obecni w Paryżu jenerałowie, ciało dyplomatyczne, ministrowie, prezesi rozmaitych wydziałów, deputacye z departamentów z swemi prefektami ozdobionemi trójkolorowemi szarfami, wszystko tam zgromadzone było, a podzieliwszy się w rozmaite grona, oczekiwali w milczeniu przerywaném niekiedy ostrożnemi szeptami, na przybycie cesarza. W jedném z gron pomniejszych, widzieć można było officera pięknego wzrostu z szlachetnemi rysami twarzy, różniącego się od drugich, skromnym ubiorem wojskowym z czasów jeszcze rzeczypospolitéj. Ani na pierśsiach, ani na szyi jego, nie błyszczał żaden znak honorowy, któremi koledzy jego tak hojnie byli obsypani, tym officerem był pułkownik Deléléé.

Bardzo mała liczba dawnych przyjaciół i towarzyszków broni poznawała naszego wojownika. Najodważniejsi za ledwo małym skinieniem głowy witali go, które raczej ubolewania i obawy, niż przychylnéj znajomości było znamieniem; bojaźliwsi w końcu i spojrzeć nie śmieli.

On stał spokojnie.

Wkrótce rozwarły się podwoje, a odzwierny mocnym głosem zawołał: „Panowie, cesarz nadchodzi!”

Zgromadzenie rozwinęło się we dwa rzędy, pułkownik Deléle stanął na przodzie.

Napoleon przechadzał się wolnym krokiem, rozmawiał z prezydentami różnych wydziałów, nie przepominając każdemu coś pochlebnego powiedzieć. Zbliżywszy się w końcu do deputacyi z *Dub* przemówił kilka słów do marszałka M** a w chwili gdy już miał się oddalić, padł wzrok jego na nieznajomego officera.— Zdziwiony, wstrzymuje się i pyta: „Kto pan jesteś?”

„Pułkownik Deléle, Najjaśniejszy Panie, były adjutant generała Moreau.“

Silny głos, którym te słowa zostały wymówione, rozległ się po sali, w której przytomność Napoleona grobową ciszą sprawiała.

Cesarz cofnął się w tył, utkwivszy badawczy i przenikliwy wzrok w pułkownika, który na chwilę tém nie zmieszany, skłonił się z godnością. Twarz marszałka M** pokryła się śmiertelną bledością.

„Czego pan tu żądasz?“

„Tego, o co się już od wielu lat dopominam Cesarzu! a to jest, abyś mi raczył powiedzieć, com zawinił? „lub téż przywrócił mój dawny i zasłużony stopień!“

Odpowiedź ta w stojących obok pułkownika oddech stłumiła.

Uśmiech nieznaczny otworzył dotychczas ściśnięte usta cesarza, który położywszy palec na nich i zbliżywszy się do mówiącego, łagodnie, a prawie po przyjacielsku wyrzekł te słowa:

„Było to coś, lecz już teraz nie ma mowy o tém.“

To wyrzekłszy, dalej postąpił, lecz zaledwo dziesięć uszedł kroków, zwrócił się nagle, a stanąwszy przed pułkownikiem.

„Panie ministrze wojny“ zawołał: „zapisz nazwisko „tego oficera i przypomnij mi, trzeba mu dać zatrudnienie, bo jest nieczynnością znekany.“

Te kilka słów z ust cesarza wymówionych zmieniło postać rzeczy.

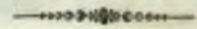
Po skończonej audyencji z ubieganiem zbliżano się do pułkownika, a ci którzy przed chwilą i spojrzaniem go uczcić nie śmieli, teraz najserdeczniej sciskając, obsypywali powinszowaniami, łącząc zapewnienia szacunku i przyjaźni, za które ze wszystkich stron nagabany pułkownik z trudnością mógł oświadczyć swe dzięki. W końcu i marszałek Sawary, który dniem wprzód oburzył się na śmiałość pułkownika, i żądał by go nie wpuszczano przed oblicze cesarza, teraz przedzierał się do niego, a podając mu przez drugich rękę, usilnie upraszał, aby nie zapomniał być nazajutrz na śniadaniu u niego.

Dwa dni później, odebrał pułkownik Deléléé nominacją na szefa sztabu głównego przy armii portugalskiej, którą dowodził książę Abrantès.

Udajęcego się na swe przeznaczenie pułkownika, kazał Napoleon przywołać do siebie i w te słowa do niego przemówił:

„Pułkowniku! zbyteczną byłoby rzeczą nadmieniać ci, „abyś czas stracony nagrodził; spodziewam się, że wkrótce obydwa z siebie będziemy udowoleni.“

Deleléé udał się na miejsce swego powołania, lecz zawczesna śmierć nie pozwoliła mu zżić powziętych o nim nadziei Napoleona.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W KRAKOWIE:

- Groby królów polskich i pomniki sławnych mężów w świątyniach krakowskich.* Zeszyt II zawierający pomnik Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły, z opisem in 4to. Nakładem J. Cypcera, w drukarni Uniwersyteckiej.
- Kalendarsyk polityczny krakowski na rok 1844.* Rok pierwszy in 16mo, nakładem J. Cypcera, w drukarni Uniwersyteckiej.
- Kraków i jego okolice* przez Ambrożego Grabowskiego. Wydanie ozwarte zupełnie przejrane i pomnożone, in 8vo min., nakładem J. Cypcera, w drukarni Uniwersyteckiej.
- X. Hugona Kołłątaja Listy w przedmiotach naukowych, z rękopisu wydał Ferdynand Kojśiewicz tom I i II in 8vo, w drukarni Uniwersyteckiej.

POD PRASĄ:

- Michała Wiszniewskiego *Historya literatury polskiej*, tom VI in 8vo maj. w drukarni Uniwersyteckiej.
- Książka do nabożeństwa dla prawowiernych katolików, wydana niegdyś przez świątobliwego kapłana X. Pawła Symplicyana, nakładem X. M. Wójcikowskiego, in 8vo min. w drukarni Uniwersyteckiej.
- Pamiętka z Krakowa*, opis tego miasta i jego okolic przez Józefa Mączyńskiego w 3 częściach z rycinami i planami w najcenniejszej litografii paryzkiej w 3ch kolorach wyrobionemi. Część pierwsza dzieła tego obejmuje przegląd dziejów tego miasta, Kraków pod rządem polskim, wyciągi z jeografii szyczeńej i politycznej kraju wolnego miasta Krakowa, rzut oka na Kraków. Część druga obejmuje opis kościołów. Część trzecia akademią jagiellońską i połączona z nią instytutem naukowe, gmachy celniejsze rządowe i prywatne, okolice; w drukarni Józefa Czecha.
- Kazania Woronicza, wydanie trzecie w jednym tomie z popiersiem autora, w drukarni Józefa Czecha.
- Dykcjonarz biblijny, z ksiąg pisma świętego starego i nowego testamentu zebrany, z francuzkiego na włoski język przez księdza

Prospera de Aquila, zgromadzenia Montis Virginis zwanego, królewskiego profesora akademii Neapolitańskiej przełożony i pomnożony w IVch tomach zawarty, z włoskiego zaś na polski język przełożył X. Tadeusz zgromadzenia OO. Kapucynów prowincyał, in 8vo maj. nakładem i drukiem St. Gieszkowskiego.

DZIEŁA WYSZŁE W POZNANIU:

Uwagi krytyczne nad Chowanną czyli systemem pedagogiki narodowej ułożonym przez Br. Ferd. Trentowskiego, in 8vo, nakład i druk W. Stefańskiego.

Słowiańskie starożytności P. J. Szafarzyka, przełożył z czeskiego Dr. H. N. Bońkowski tom II in 8vo, wydanie i druk W. Stefańskiego.

Odgłos pieśni ruskich Czelałkowskiego, z czeskiego na język ojczysty przełożył H. Szuman in 12mo, czcionkami N. Kamińskiego i spółki:

Muzamerit czyli powieści przy świetle księżycy, przez Luciana Siemieńskiego, 2 tomy in 12mo, nakład i druk N. Kamińskiego i spółki.

Powieści M. Czajkowskiego, in 8vo, wydanie i druk W. Stefańskiego.

Pamiętniki o Samuelu Zborowskim, zebrane z współczesnych dzieł i rękopismów biblioteki Kórnickiej przez L. S. in 8vo, nakład J. K. Zupańskiego.

Bogumił i Wilhelm czyli rozmowa przyjacielska dwóch protestantów o religii katolickiej, z niemieckiego in 12mo, druk i nakład Stefańskiego.

Elementarz polski z 22 rycinami, in 12mo, druk i drzeworyty W. Stefańskiego.

Łacińska grammatyka mniejsza wydana przez A. Poplińskiego, in 8vo w księgarni nowej J. Łukaszewicza.

Historja powszechna dla klass niższych szkół realnych i gimnazjalnych na wzór Weltera ułożona przez A. Poplińskiego, in 12mo, w księgarni i drukarni J. Łukaszewicza.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.



DWUTYGODNIK

LITERACKI.

N. 4. KRAKÓW dnia 15 Maja. 1844.

Treść: Gałązka. — Do wodospadu. — Słowo o muzyce. — Szkice psychologiczne niektórych ludzi-zwierząt napisał Au. Wi. chirurg filozofii. — O prawie załogi w Polsce przez J. H. S. Rzezińskiego. — Ogłoszenie literackie. — Bibliografia.

GAAŁAZKA.

Czemuż ogrodniku młody,
Tę gałązkę drobną, małą,
Bez powabu i urody,
Hodujesz
I pielęgnujesz,
Poświęcasz jęj bacność całą?
Od mroźnych szronów ochraniasz,
Od spieki słońca zasłaniasz,
Chłodną wodą wciąż podlęwasz,
Badyłki w koło wyręwasz?

Ta gałązka drobna, mała,
Jedna mi się pozostała
Z drzewa, co w czasie przestrczeni
Udziałało swoich cieni
Ojcu memu, matce drogięj
I całej rodzinie mnogięj.

Drzewo uschło — a odłamek
Świeży jeszcze i zielony,
Przeniósłem go w te tu strony,
Pielęgnuję
I hoduję.

Może się nadzieja ziści,
Że wzniesie konary swoje,
A pod cieniem jego liści,
Spoczną znowu wnuki moje.

Paulina z L. Wilkońska.

DO WODOSPADU.

O ty nieśmiertelny,
Co nie syty chwały,
I młodością dzielny,
Rzucasz się ze skały!
Być może,
W téj porze,
Przyszły władca świata,
Do piersi ujęty,
Drobnemi rączęty,
Matki włosy splata,
Igrając niewinnie;
Jak ty u gór szczytu
W kolébce z granitu,
Bogu tylko widny — bulkocesz dziecinnie.
O jakiś ty piękny
W srebrnym wód kryształe!
O jaki namiętny
Grzmot twój, echem sąsiedniém odbity wspaniale!

Gdy z przestrachu drżące,
Nad brzegiem stojące,
Z odwiecznych konarów rwąc drzewa zielone,
Na przepaść skazujesz bezdenną;
A skały zdumione,
Które podczas klęski
Zatrzymała trwoga,
Dopędzasz zwycięzki,
I z szyderstwem wroga,
Jak drobne kamyczki — w otchłań rzucasz ciemną!
Kochankowi na odzienie,
Złote słońce śle promienie,
Igrając świetnej tęczy kolorami,
Z rozprysłej rosy mgłami obłoczkami.
I czemuż tak pilny,
I czemuż tak głodny,
Ku morskiej pospieszasz równinie?
Czyliż ci nie lubo — tam, w górnej dziedzinie,
Przyglądać się z bliska strefom nieba czystym,
Lub wisieć w szczelinach skał przez ciebie zrytych,
Szeleścić po krzakach mchem siwym pokrytych,
Lub boki skał zdobić kryształem przejrzystym.
O! nie pędź tak pilny,
O nie pędź tak głodny,
Ku modrej wód morskich równinie,
Młodzieńcze, ty jeszcze jak Bóg jesteś silny,
Jak Bóg swobodny!
Wprawdzie tu na dole wabią cię nie mało,
Spokojnego morza tęskliwe westchnienia,
Morza, co swą postać poważnie wspaniała,
W purpurę, to w złoto, ku słońcu przemienia.

Młodzieńcze! co znaczy spokojność mdlejąca,
Co uśmiech księżycy łagodny,
Co zorza purpurą i złotem kapiąca,
Dla tego, co w jarzmo kark poddał swobodny?

Ty tu nie podległym,
Jak twe dzikie serce,

Tam w dole panują wichry przeniewierce,
Lub cisza śmiertelna, na morzu uległém!

O! nie pędź tak pilny,

O nie pędź tak głodny,

Ku modrój tam morskich wód głębi!

Młodzieńcze, ty chociaż — jak Bóg jesteś silny,

Jak Bóg swobodny,

Jój uścisk pierś twoję oziębi!

— ski. —

SŁOWO O MUZYCE.

Sztuka, utwór człowieka, ma za podstawę naturę. Nasz umysł przywłaszcza sobie jój rozrzucone żywioły, ukształca całość i nadaje im formę. Natura podaje nam tony, kolory; ale muzyka, malarstwo, są naszą własnością. Nam służy zręczność przewyżzyć śpiewaków leśnych i od nich się ucząc, otrzymywać skutki im niewiadome. Czyżby, kos, zięba, a nawet słowik są naszymi mistrzami, ale ich głos nie jest muzyką. Przez naszą cudowną prawie organizacją podnosimy do sztuki to, co u nich jest tylko instynktem, tak jak dzikie kwiaty przesadzając, nadajemy

im piękniejsze i rozmaitsze kolory. Nasze ucho każdy ton rozpozná, i nasz organ każdy naśladować potrafi. Nasz rozum i moc kombinacji uzupełniają dzieło i tworzą muzykę. Ale nie rozwiązuje to jeszcze naszego pytania. Powiedziawszy, że ton muzyczny z ciał elastycznych tylko pochodzi, jeszcześmy nic nie powiedzieli. Ton pochodzi z ciał elastycznych, ale cała muzyka polega na równości drzeń; im drzenia są więcej jednakowe i czyste, tém ton muzykalniejszy. Akkordy wynikają z drzeń zupełnie równych; gdzie wielką liczbą tychże pomieszanych słyszemy, tam nie masz tonu muzycznego. Angielski pisarz Wiliam Gardiner w dziele świeżo wydaném o *muzyce naturalnej* dowodzi, że wszystkie głosy śpiewu kunsztownego, mowy, lub muzyki instrumentalnej, namiętności lub wesołości wyrażające, przejęte są z tonów świata żyjącego. — Wiadomo, że każde nieprzyjemne brzmienie jest harmonią nie rozwiązaną i to stara się autor naocznie wykazać, oznaczając wszystkie brzmienia natury odpowiedniami tonu kunsztownej muzyki. Przechodzi on cały świat żyjący: pszczoły, ptaki, konie, dzieci, gołębie, tęt kopyta konskiego, ruch ognia, wołanie młodej dziewczyny. Posłuchajmy tylko słów wyżej wspomnianego autora, co nam o sluchu przytacza:

„Przez ćwiczenie można moc sluchu do najwyższej doprowadzić doskonałości. Od żywości onego zależy szczęście szulerów i złodziejów. Po brzęku można poznać każdy pieniądz (t. j. rozróżnić np. dwuzłotówkę od złotówki).

„Wexlarze tak są wprawni, iż licząc pieniądze, sluchem poznają fałszywe; gracze poznają po dźwięku, na którą stronę padł pieniądz rzucony. Atmosfera jest wielkim środkiem, za pomocą którego brzmienie dalej bywa prowadzone, późniejsze atoli odkrycia okazały, iż są inne

ciała, które głos jeszcze spieszniej podają. Uwiązawszy np. do nitki trzonek strojnika (*diapason*) i wetknąwszy drugi onéjże koniec na małym palcu okręcony do ucha, zostawując strojnik wolno na sznurku wiszącym, wtedy słysząc możemy wyraźnie lekki łoskot, o 200 łokci daleki, którego w około stojący bynajmniej nie pojmują. Pracujący koło węgla kamiennych, przez samo uderzenie poznają, do jakiej doszli warstwy. Według najnowszych odkryć, przez samo przyłożenie pewnej trąbki do piersi rozpoznać można najdokładniej poruszenie serca, a są i osoby mogące najlżejszy łoskot rozróżnić. Jeden mój znajomy utrzymywał, że gdy mucha na jego czapce usiedzie, z odgłosu jej skrzydełek pozna, w którą stronę odleciała.“

Uważając dobrze tęć konia, lub nasze własne stąpania, spostrzeżemy, że jedno stąpanie zawsze jest od drugiego głośniejsze i to jest zwyczajna miara taktu dwa lub cztery czwirciowego. Koń galopujący zawsze oddaje trzecie stąpanie mocniej, niżeli dwa inne, bo wtedy pierwsza i trzecia noga konia jednocześnie stąpają i to wydaje $\frac{3}{4}$ t. j. takt trzycwirciowy.

Ala słuchajmy dalej słów jego: „Za czasów Hippokratesa puls, według podobieństwa, nie uderzał zapewne więcej jak 60 razy na minutę; ztąd może i ten podział. W miarę jak się ród ludzki udelikatnia, zapewne i puls jest prędszy, i człowiek podobnie jak zegarek tém spieszniej wyjdzie, im prędzej idzie.

„Najłatwiejszy i najpewniejszy sposób zachowania taktu w muzyce jest, ażeby w koncercie grać razem z wielu innemi, a im większa orkiestra, tém pewniej takt zachowuje. Tak uważano, że w sklepach zegarmistrzów wszystkie zegarki na jednéj ścianie zawieszzone, lub na jednéj desce leżące, do tego stopnia sympatycznie takt zachowu-

ją, że te, które wyprzedziły lub się spóźniły, i wolno idące za innymi pospieszają tak, że potem wraz idą.“

Osoby nie znające się na ptakach mniemać mogą, że wszystkie jednego rodzaju jednako śpiewają; zawsze są w ich śpiewie różne odcienia. Tak znawcy w Anglii poznają po głosie szczyglów, zięby, słowików, z których są prowincyi. Te odcienia możnaby porównać z różnymi dyalektami prowincyi.

Osobliwą jest rzeczą, iż najznakomitszym śpiewakom zdarza się właśnie detonować. Ten krytyczny moment zdarza się zwykle, gdzie przypada tertia, quinta lub oktawa (octava). Te przestanki są właśnie jak w mowie te same, w których głos instynktowo wznosimy albo spuszczaemy, dla tego w tym czasie śpiewak mniej jest bacnym na to, co śpiewa, i zwykł się opuszczać, gdy przeciwnie inne tony skali potrzebują natężenia umysłu i szczególnego wykształcenia głosu, i dla tego z większą je odśpiewuje bacnością.

Odgłos najmocniejszy umiera zaraz nie rozciągając się dalej, ale tony akcentowane, śpiewane w odległym miejscu, dokładnie zrozumieć można.

Zdaje się, iż melodia jest właściwie tylko środkiem rozsyłania tonu na przestrzeń obszerniejszą. Dla tego za granicą przekupnie uliczni nie krzyczą, ale śpiewają, aby zdala byli słyszaniymi.

Skrzypce kremouńskie, Amorka mająca tylko ton słaby, ale miękkie brzmienia jej strony rozlegają się na przestrzeń, którejby nowe daleko głośniejsze skrzypce nigdy nie zdołały zapelnąć. I kiedy sławny skrzypek Bootti grał na amorce, znawcy szli na galeryą, aby go lepiej słyszeli.

Między ptakami, głos słowika najdalej sięga. Głos jego czysty, dobitny. Lecz któż pojmie te długie jego

skargi, te rozmowy, te żale, któremi napelnia powietrze i serce tkliwego człowieka? Słowik śpiewa, chociaż w klatce przez nielitościwych lubowników zamknięty, a nawet okrutnie pozbawiony światła, aby w niedoli swojej nie miał żadnej pociechy.

W wielkich kościołach, mszę śpiewaną słychać w każdym miejscu kościoła, gdy głos czytany choćby najmocniejszym głosem trudno zewsząd dosłyszeć. Chatham sławny mowca angielski, chorobliwy, mający głos nader słaby, przez modulacją głosu i zręczne słów tonowanie był w całej izbie słyszany i z przyjemnością słuchany; gdy przeciwnie Burke, którego mowa ciągłym była krzykiem, mimo całego talentu, nie mógł zająć uwagi słuchaczy; gdy wszedł na mównicę, członkowie się udawać musieli do mównicy. Na niczem spełzły usiłowania tych (co i do wielkich dziwactw śmiało liczyć można), którzy chcieli tony z farbami równać; lubo wiele dowcipnych rzeczy w tym względzie powiedzieli, obracając w śmieszność to, co za pełne rozważy z zdrowego wyczerpali rozsądku. — Ale było to tylko chwilowem marzeniem bez rzeczywistości. Trudno bowiem przekonać kogo, czemu głos *oboi* podobniejszy ma być do koloru żółtego nizeli głos fletu? Nawet ojciec Pastel wynalazł klawikord kolorów, który jest tylko igraszką bez żadnego użytku, owoc nadpruchniałego już dowcipu. — Bo, jeżeli Hajden, chcąc wyrazić powolne przejście z ciemności do światła, użył najprzód instrumentu przytłumionego, potem głos pomnożeniem *mass* wzmocnił, aż nareszcie wszystkie instrumenta orkiestry w jedno *tutti* połączył, że niejako grzmiały; wtedy przyznamy wprawdzie niejaki podobieństwo między harmonijnem *crescendo* tonu i światła; ale kto słysząc tę

symfonią, nie wie o zamiarze twórcy, temu pewno wschód słońca na myśl nie przyjdzie.

Muzyka bowiem czucia, i serca naszego dotyczyć się powinna, nie zaś zewnętrznych zdarzeń. Naśmiano się dosyć z tych, którzy pół taktu uważali za gruchanie gołębia, szesnastka galop konia, trącanie o strony, uderzenie morskich bałwanów i t. d., a całość razem w kupę wzięta, stanowiła pstrokaty obraz szalonej idei! Jak układ pewien linii, przyjemność lub odrazę sprawując, budzi w nas uczucie piękności albo wstretu, tak pewne równoczesne, albo następujące po sobie drżenia, pierwsze lub drugie na nas czynią wrażenie. W stanie uczuć głos ludzki z samej natury do melodyi się wznosi. Przyjemne wzruszenia, wybuch gniewu, miłości, nienawiści, zemsty, nadają mowie akcentowanie, które istotę i podstawę muzycznej melodyi stanowi.

Ptaki, których instrumentowanie daleko nie sięga, śpiewają, aby wyrazić swe żądze, miłość, uciechy i cierpienie. Naśladując ich tony, nie odbieramy im namiętności, która jest ich duszą.

Nawet tony natury fizycznej, mają pewien wyraz, który rozmaicie nas wzruszy. W nocy zimowej, gdy wichry wyją, jest to przyjemnością melancholiczną, słysząc wściekłość albo jęczenie wiatru szumiącego na drzewach, świszczącego przez szpary. Zdaje się nieraz, że słyszysz jęk konającego żebraka, którego pozbawiony jest przytulku. Któż nie wie, jak dziwną harmonią wydaje morze, czyli gdy ten olbrzym snem lekkim złożony pomrukuje z cicha, czyli gdy wściekły, roztrącając się o skałę Edystone, okoliczne pola zalewa? — Lecz nikt może nie zważał, jaka różnica odgłosu wiatru od bałwanów? ten jęczy jak duch rozpaczy, rozbijając się we fale, te wyją głucho, jak od-

głos armat w jaskini. Rossini, Haendel, Hajden, Bethoven naśladowali ten łoskot. Crescendo, którego prawie wszędzie nadużywa Rossini, usłyszeć można w lesie, gdy wiatr świszczący przez liście, z powoli wytrzymanego gniewu rozdrażniony do wściekłości przechodzi.

Instrumentem kościelnym i królem, że tak powiem, instrumentów, są zapewne organy, zabytek średnich wieków. Głęboki i poważny jak wiara nie do naśladowania w wzniosłym wyrażeniu.

Pięrwotne wzory organów, i wszystkich dętych instrumentów, znajdujemy w rozległych jaskiniach, w które wiatr się zapuściwszy, okropną wydaje harmonią.

Wiatr lecący przez liście nauczył człowieka brzdąkać po stronach lutni, a echo nauczyło go, jak przez zręczne użycie deki oddźwięcznej tonowi, który się skupia i odbija, można przydać siły i miękkości.

Gitara, którą muzycy dziś gardzą, jest sama w sobie małą orkiestrą. Zręczny muzyk może na niej wygrać trio i sextet. Prawda, że mając słaby ton i oddźwięk mały, nie może czynić wielkiego wrażenia, zwłaszcza teraz, gdzie w muzyce tyle jest strzałów i grzmotów.

W samotności, kiedy smutek lub cierpienie udręcza nasze serce, mimo słabych i łagodnych tonów, najmocniej może poruszyć, wycisnąć łzę na wspomnienie straty drogo ukochanej osoby, lub cię pocieszyć w niedoli; ona w zetknięciu z piersią tém czulsze i mocniejsze wywabi z niej tony; ona drząc o piersi odpowiada sercu grającego. Gitara, lęklwym zaśpiewa nam głosem, jój pieśń już skona, a jeszcze usłyszysz słodką melodyą półechem, i pieścisz nią zboliałe serce, i pokrzepiasz cierpieniem nadwątlałe siły.

SZKICE PSYCHOLOGICZNE NIEKTÓRYCH BUDZI-ZWIĘRZĄT

NAPISZAŁ

AN. WI. Chirurg filozofii.

Przedmowa ostrzegająca.

Kogokolwiek rażą jasne wyrazy, niechaj poniżej umieszczonych szkiców psychologicznych nie czyta. W rozmowach salonowych jedwabne słówka popłacają, ale nie na polu prawdy, gdzie stają się niedołężnością, gdzie przystępne dla ogółu, zrozumiałe a więc proste orzeczenie jest najpierwszym pisarza warunkiem. Nadto nie są to rozprawy na metafizyce oparte, ale spostrzeżenia chirurga filozofii, który rznie prawdę a o resztę nie pyta.

WSTĘP PIĘRWSZY.

Ludzie każdy po szczególe i wszyscy w ogóle, są głupimi!.. ale jedni są mniej głupi, drudzy więcej głupi. I z téj to różnicy głupstwa rościmy sobie prawo do nazwy rozumnych: np. Piotr ma 70 stopni głupstwa, Paweł 30, Andrzej 20, Kazimierz 6, a ja tylko 3 stopnie; — wówczas Piotr jest srodze głupi, Paweł bardzo głupi, Andrzej już będzie rozumny, Kazimierz bardzo rozumny; a ja będę najrozumniejszy!.. to jest podług powszedniego sądu ludzi; gdy tymczasem, objawiając szczerą prawdę, ani Andrzej, ani Kazimierz rozumnym nie jest, a nawet i ja! — rad nie rad, do głupców policzyć się muszę. Proszę mi wierzyć, że tak jest niewątpliwie. Dowodów

na to przytaczać nie widzę potrzeby, chybaży kto stanął mi w oczy, i okazawszy świadectwo od lekarza, że jest zdrów na ciele i umyśle, wyrzekł: „jam przedmiot i podmiot na wskroś przeniknął! — jam w życiu mojem nigdy głupstwa nie popełnił!“ w takim razie wdam się w dowodzenia, i jak Bóg Bogiem dowiodę każdemu, że *łże!* — W mocném przekonaniu, że się nikt nie stawia, któryby żądał dowodów swojego głupstwa, w założeniu ogłaszam i za filozoficzny przyjmuję pewnik, że każdy jest głupi. Com dotąd wyrzekł, proszę uważać za wstęp pierwszy, jak my to u góry napisali.

WSTĘP DRUGI.

Każda ludzka istota, różniąca się od zwierząt nie mową i rozumem, jak to *s. p.* Kopczyński mylnie powiedział, ale jedzeniem potraw gotowanych, skoro przechodzi 100 pomiarów głupstwa (*), przestaje być człowiekiem i zamienia się w ludzkie zwierze, czyli staje się człowiekiem zwierzęciem. O tych to ludziach-zwierzętach mówić zamierzyłem.

Wykład téj obszérnej nauki przechodzi granice pracy jednego człowieka; albowiem ile jest zwierząt, tyle téż i rodzajów ludzi zwierząt napotykamy: ja więc tylko niektóre rodzaje oszkicuję, wprawdzie nie z należąną dokładnością, ale bo téż i trudno być dokładnym w zbadaniu człowieka-zwierza, który często rządzi się namiętnościami jednocześnie kilku zwierząt.

(*) Przez głupstwo nie rozumiemy samych stopni braku nank, przebiegłości, sprężystości i bystrości umysłowej, ale niemniej i stopnie braku uczuć serca i uczuć ducha, — i stopnie ślepoty na cel i przeznaczenie człowieka.

SZENEG PIĘRWUSZY.

Małpy.

Małpy są ze zwierząt ludzi najliczniejszym rodzajem, i dla tego téż jest ich po całym świecie ilość nieskończona. Są małpy salonowe, literackie, hrabioskie, szlacheckie, wielko-miejskie, mało-miejskie, artystoskie, rzemieślnicze, chłopskie, zgoła wszelkiego stanu i powołania; nadto męzkie, żeńskie i nijakie; stopnia równego, wyższego i najwyższego; odbywają małpiarstwo przez wszystkie czasy, osoby liczby i przypadki z tysiącem najrozmaitszych podziałów i odcieni. *Człowieka małpy znamieniem jest bezrozumne, szybkie naśladownictwo.* I tak pokaże się ktoś dzisiaj na ulicy w kusym ubiorze srokatym, z pewnością nazajutrz napotkasz sto małp-ludzi w kusych srokatych sukienkach, bez żadnego względu na okoliczności ich życia, na porę czasu, na zdrowie i przyzwoitość; za tydzień spostrzeżesz dwieście, w miesiąc do tysiąca małp ludzi srokatych, kuso ubranych; i liczba ta będzie wzrastała do setek tysięcy, dopóki znów jaki orangutan modelowy nie ukaże się w ciemnej długiej oponczy, a wówczas na nowo spostrzeżesz, sto, tysiąc, pięćdziesiąt tysięcy małp-ludzi w ciemnych długich oponczach.

Jerzy założył wielką gorzelnię, bo daleki przewóz zboża i obfitość lasu, tego rodzaju przemysł przez rozumowy rozbiór nastęrczyły; — aliści w rok potem Ignacy małpa, Jan małpa, Stefan małpa, Grzegórz małpa, i 300 małp innych pospieszyło jakby na wyścigi z wystawieniem ogromnych gorzelnii, pomimo że nic ich nie zmuszało do pomnażania tego szatańskiego źródła niedoli naszego biednego ludu wieśniaczego.

Pojechał chory bogacz do wód zagranicznych dla poratowania zdrowia, trzy tuziny zdrowych małp-ludzi wle-

cze się za granicę z nadwężeniem swojego szczupłego majątku.

Niechaj w zbytkach tonący hrabia dla rozerwania nudów, albo wielki przedsiębiorca dla zyskania przychylnych zdań, wyprawi bal świetny, niezawodnie téjże saméj nocy jeszcze kilkanaście małpeczek suszy mężulom główki, aby i oni co rychléj bal wielki wyprawili. Zgoła w każdym zdarzeniu, przy każdéj okoliczności, ludzi małp, małpeczek i małpiątek jest olbrzymia obfitość, i gdyby np. w kraju naszym tysiąc szybkopisarzy od świtu do zmierzchu spisywało codziennie dowody małpowania naszych ludzi-zwierząt, jeszczeby ani 10ta część czynów małpowanych do kroniki głupstwa ludzkiego zachowaną być nie mogła; — bo jakżeż rzadko, bardzo rzadko trafia się u nas taki człowiek, któryby nie małpował, któryby czynności swoje na przekonaniu rozumu opierał, albowi téż nawet w naśladowaniu czynów godnych, natury małp-zwierząt nie zdradzał. Pilne zastanawianie się nad naszym przeznaczeniem, badania czysto umysłowe przed rozpoczęciem każdéj czynności, to są jedyne lekarstwa zapobiegające przeciw zarażeniu się przywarami małp ludzi-zwierząt, w stopniu wyższym albo najwyższym; bo stopień niższy, jest podobno niestety! przez nieodgadnioną nielaskę wszech-mamy (natury), w naszą ziemską jestność niejako wpleciony; jakoż wszech-mama przy utwarzaniu powierzcuchowności zwierząt, małpy najwięcej do ludzi podobnemi uczyniła.

SZEREG DRUGI.

Ośły.

Niemasz jednego zakątka na całej ziemi, któryby nie był siedzibą ośłów. Wprawdzie małp jest najwięcej na świecie, ale i ośłów gromady są liczby olbrzymiej; — bo

proszę mi powiedzieć, kiedy to? w którym to stanie? w którym zawodzie na osłach zbywało?... Czyż oddawna nie widzieliśmy i dzisiaj nie widzimy osłów, o! bardzo wielkich osłów, w naszym rolném gospodarstwie? Czy nie widzimy osłów w urzędowaniach, w wojsku, pomiędzy lekarzami, artystami, i o zgrozo! nawet pomiędzy literatami! Nie szukając daleko, w saméjże Warszawie, iluż to osłów literackich!.. np. ten jegomość, który napisał..?.. prima Aprilis, nie powiem. O złośliwy czytelniku! tybys może rad był czytać w alfabetycznym porządku wydrukowany quasi-kalendarzyk wszystkich dziś-czesnych osłów literackich?... a jakbyś tam i swoje znalazł nazwisko?.. hę?.. miłoby ci było?... Nadto chcąc drukować listę osłów literackich, należałoby wedle ścisłej sprawiedliwości wydrukować i osłów z innych kategorii; wówczas pojawiłyby się imiona wielkich panów, osób uhonorowanych, osób zaszczyconych dostojenstwami, — przez co ja biedny chirurg filozofii mógłbym popaść w tarapaty uwieńczone zwierzątkiem brodatém, za które, znając je dobrze — najniższej dziękuję: mówić w ogólnikach to wcale co innego.

Osły-ludzie dzielą się na młode osły i na stare osły; na osły kamiennego uporu i na osły najwyższej powolności; na osły ryczące, głośnie, i na osły ciche, spokojne; na osły zarozumiałe, i na osły pokorne, nakoniec na wielkie osły i na małe osły. W tym gatunku ludzi-zwierząt płeć męska wyłączną odgrywa rolę. Szkoły są dla osłów piérwszém polem popisywania się z tępém pojęciem, z lenistwem, z obojętnością duszy i serca; wszakżeż zdarza się, że te same osły w dojrzałym wieku bywają bardzo pilne, w mało-pożytecznych pracach, i bardzo czułe w miłości: ale jest to najpocieszniejszy widok, osieł rozamorowany (rozkochany).

Powszechnie osły z łatwością i pięknych i bogatych żon dostają; anatomie przyczyn fizycznych i występne kobiet rozumowanie w tej mierze, jako zbyt zasmucające, pomijam, a raczej objawię cześć dla tych dziewic, które pogardzają osłami.

SZEREG TRZECI.

Niedźwiedzie.

O ile marmurek, lis, pies i pies z ogonem, (o których niżej), najwięcej do miast się cisną, o tyle niedźwiedzie najchętniej po wsiach się sadowią. Człowiek-niedźwiedź zawsze nadęty, grzeczność i uprzejmość poczytuje za słabość charakteru i unika tych przymiotów, rozumiejąc, że jego niedźwiedzia mość ubliżyłaby swęj ogromnej godności, gdyby dla kogokolwiek grzeczność i uprzejmość okazała. Zwykle niedźwiedzie chorują na suchoty mózgowy, ale co do ciała na saméjże *personie*, są w kwitnącym stanie. Stare niedźwiedzie miewają czasem tę istotną zaletę, że są szczérými, otwartými, i rzetelnými w słowie; u młodych niedźwiedzi i o te zalety najczęściej na próżno się spytasz. — Niezgoda w publiczném, gnusność w prywatném życiu, są także niedźwiedziemu rodowi nieodłączne. Żyją wystawnie, z pracy ludzi innego gatunku.

SZEREG CZWARTY.

LWY, LWICE I LAMPARTY.

Lwy.

Po najwykwintniejszym, częstokroć zarazem i najdziwniejszym stroju, po zapachu najdroższych olejków, po najmodniejszym uglądzeniu długich kudłów, lub téż w odwrotnej ostateczności, po krótko, bo aż przy saméj skórze strzyżonym włosie, co mimowolnie przypomina

szczecinę nierogacizny, po osobliwszych zarostach twarzy, po butném spojrzeniu, bez wielkiej trudności poznasz lwa; a gdybyś najmniejszą miał wątpliwość, wpatrz się pilnie, na jego czole wyczytasz lekko ścieniowane wyrazy: „wielki człowiek do małych interesów.“

Lwów i Lwice dawnemi czasy dostarczały nam wyjątknie książęce, hrabioskie, albo bardzo zamożnej szlachty rodziny; dzisiaj przez cywilizacyą XIX stulecia, z każdego bezwyjątkowo stanu łąnią się lwy i lwice, i dla tego mamy ich téż teraz podostatkiem. Lew w wielkich miastach odbywa nowicyat, w wielkich miastach dojrzewa, w wielkich miastach traci kwiat swojego życia, i w wielkich miastach w nędzy, nie rzadko z głodu umiéra. Lwy odznaczają się chęcią górowania i ztąd zapewne przyznano im nazwę lwów. Są to panowie wspaniałomyślni w wydatkach piéniężnych, odważni w zaciąganiu długów, silni potęgą uczuć dla płci pięknej, którą aż do szaleństwa uwielbiają, dla której zaniedbują najświętszych obowiązków względem swojego kraju, samę nawet naturę lwów utracają, przeistaczając się stopniowo w osły i w orangutany.

Lwice.

Błyszczć na całą stolicę, rozrzucac śmiałemi spojrzeniami na wszystkich i wszędzie, lekce ważyć zwyczajne bogobojnych i skromnych niewiast, a na drodze emancypacyi, z cygarem w ustach, z kieliszkiem szampańskiego wina w drobnej rączce, postępować bez rumieńca wstydu, oto jest lwice ogólny zarys. Pod względem zmysłowości lwice bywają bardzo przyjemnemi zwierzętami; ale ani głębokiej, prawdziwej czci, ani szczerzego uwielbienia godnemi nie są. Biada niedoświadczonemu młodzieńcowi,

który lwicę pokochał, gdyż miłość lwicy nie zna zawarcia się w granicach jedności.

Lamparty.

Młodzież płci męskiej, rozwiozła, zupełnie o obowiązkach swojego powołania zapominająca, hulaszczą, próżniacką, bezbożną, a przytém bezprzestannie za najgrubszej zmysłowości zabawami goniąca, lekkomyślna i zuchwała, dzierży nazwę lampartów.

Miasta są ojczyzną tego rodzaju-zwierząt: nasza Warszawa nie jest ubogą w miejscowych lampartów, a nie zbywa jój i na przyjezdnych. Lampart z lampartem przez skórę się poczuje, natychmiast się zaprzyjaźni i pobraci, ztąd téż bardzo rzadko pojedynkiem chodzi. Lampart wieczorną i nocną porę przynosi nad światło dnia; billardom, brudnym kawiarniom, i rozmaitego gatunku szynkowniom daje ulubione pierwszeństwo przed domami uczciwych rodzin, brzydzi się literaturą, najznaczniejszą część swoich stałych i niestałych dochodów składa na ofiarę gier hazardowych, przy których traci ostatni grosz swojego mienia; poczém nie nawykły do pracy, przechodzi w poczet oszustów i złodziejów i kończy życie w więzieniu.

SZEREG PIĄTY.

Geś.

Czém jest osieł w ludzkiej płci męskiej, tém jest geś w ludzkiej płci żeńskiej, ale jeszcze z większém (jeżeli być może) ograniczeniem umysłowém. Kobięta - człowiek zwykle jest przenikliwą, w najwyższym stopniu instyktową, delikatnością uczuć celującą; gdy przeciwnie kobięta - geś jest tak głupią i na wszystko obojętną, że nawet nie po-

siada zdolności kobiety małpeczki. Młode gęsi czyli gąski, zazwyczaj na wsi wychowane, są o tyle łatwowiernemi, że je nie tylko każdy lis, ale i pierwszy lepszy gawron w pole wyprowadzi.

SZEREG SZÓSTY.

Gawrony.

Lubo po gęsiach rzeczywiście sroki i papugi następują, jednakże gdyśmy przy gęsiach spomnieli o gawronach, nadto dla urozmaicenia płci, i ze względu na pokrewieństwo (*), niechaj gawrony idą za gęsiami.

Gawrony, zawsze płci męskiej, lęgną się po wsiach i po małych miasteczkach; ale skoro się wypierzą, najchętniej w wielkich miastach goszczą, gdyż nadzwyczaj i szczególniej lubią zbiegowiska ludzi, i jaskrawe albo świecące się przedmioty, do bezmyślnego oglądania. Gawrony są to Nielitościwi tępiciele czasu, próżniacy z rzemiosła, z głową pustą, z sercem niewybrednym, z duszą mozaikowaną najrozmaitszego koloru szkiełkami, przez które bez wyboru na wszystko z głupią ciekawością patrzą, niezatrzymując jednakże ani śladu karmy duchowej. Dla tego prawdziwy gawron zwykle nie umie sobie zdać sprawy, z jakiej przyczyny gapił się przez godzinę nad stawianiem rusztowania przy kościele, dla czego roztworzył usta, czyli rozdziawił dziób-gębę na widok przejeżdżającej bryki furmańskiej, przelatujących u góry dzikich gęsi, go-

(*) O pokrewieństwie ludzi-zwierząt, o zbliżaniu się ich charakterów, usposobień, zdolności i t. d., jeśli mnie Bóg przy zdrowiu i życiu zachowa, na jesień wykończę osobną, oryginalną, genealogiczną tabelkę ludzi-zwierząt, z dołączeniem bardzo pięknie malowanych dyplomów.

niących się psów po ulicy i t. d. (*): on gapi się, gawroni bez uczucia i myśli, a rozmaitość sennych marzeń, z wieczora gdy się spać położy, jest jedyną jego próżniaczych trudów nagrodą. Godziny, dni, miesiące, życie całe upływa gawronowi w umysłowym letargu; a gdy i śmierć wreszcie nadejdzie, jeszcze nie rozważy po kogo przyszła, ale się zagapi na klepsydrę, kosę i łopatę, i będzie się dziwił silnemu zamierzeniu, i z rozwartą gębą przejdzie do czysca, gdzie go przez tyle lat różgami ćwiczyć będą, ile godzin czasu zmarnował na gapieniu się w życiu ziemskim.

SZEREG SIÓDMY.

S R O K I I P A P U G I.

Sroka.

Gdy kobiéta bez ładu i szyku skradzionemi wyrazami skrzeczy o tém, czego wcale nie rozumie, jest to kobiéta-sroka. Czasem rozśmieszy, ale w końcu zawsze zniecierpliwii mężczyznę. W młodym wieku są niewysłowną serc

(*) Złodzieje swoje drobniejsze potrzeby opędzają kosztem gawronów, najpospolitszy sposób jest następujący:

Złodziej niby to nie naumyślnie tłucze babie garncezek mléka; baba wrzeszczy, leca tłumem ze wszystkich stron gawrony, przysłuchują się wszczętej kłótni daleko pilniej aniżeli wykładanym niegdyś w szkołach naukom, gapią się nad kierunkiem strugi rozlanego mléka, — tymczasem giną ich chustki od nosa, tabakierki, zegarki, a czasem i sakiewki lub pugilaresy. Albo: namówiony łotr pada na ulicy i udaje pijanego, — w mgnieniu oka obstepuje go do koła stu gawronów; czeladź złodziejska nie próżnuje. Przy wywieszonych na sprzedaż rycinach, przy oknach biżuterjami napełnionych, jest znów zwykła, nigdy nie próżna stójka gawronów i od nich nieodstępnych złodziejów.

wszystkich babuń i dziaduniów pociechą i nadzieją; u nich się też zazwyczaj wychowują. Stara sroka jest zawsze nieznośną.

Papugi.

Z tego samego gniazda, co sroki, papuga powtarza bez wyboru wszystko co słyszała, ale się nie wdaje w żadne rozprawy. Kto żąda poznać tajemnice jakiej rodziny, niechaj się zaprzyjaźni z papugą, a z pewnością w kilka godzin wszystko będzie wiedział, potrzebne i niepotrzebne szczegóły, drobiazgowo, ważne i najważniejsze wypadki. Papugi od urodzenia wiecznie chorują na świerzbienie języka, i dla tego ciągle nim w ustach melą, i to też jest ich najpewniejszą poznaką. — Wszystkie pomiędzy ludźmi nieporozumienia pochodzą z winy papug, a i wielkie nieszczęścia nie raz na ich ciężą sumieniu.

I sroki i papugi są w plotkarstwie mistrzyniami.

SZEREK ÓSMY,

MARMUREK, LIS, PIES I PIES Z OGOŃEM.

Marmurek.

Marmurki krążą po całym świecie, jednakże wielkie miasta są ich najulubieńszem siedliskiem. Każdego rodzaju *śmietanka* jest dla nich najmiłszym przysmakiem, i do niej nigdy nie ugaszone czują pragnienie. Marmurek ma zwykle niewinne i skromne ułożenie, jest łagodny, rozsądny, dobrowolny, uprzejmy, słodki, manifestuje się poczciwością, ale bez przysiąg i zaklęć, bo po większej części przekonywa rozumowaną prawdą, — niemniej przecież obok tej prawdy, przy każdym interesie tak umie rozeń obrać, że dla niego najlepsza częśćka pieczeni przypadnie. Marmurek bezpośredniem oszustwem i niezgrabnym kłam-

stwem pogardza, natomiast zyski wyrafinowane, w niczém kodeksu Napoleona nie obrażające, mądrością być mieni. Jeżeli Marmurkowi zrobisz zarzut, że w jego czynnościach jest brak uczuć obywatelskich, odpowie: że jest ojcem licznej rodziny, że działa zgodnie z *rozumem* (?!), że w niczém sumienia nie obraził, — nakoniec w nagłej potrzebie Bogiem się zaświadczy i ciężko westchnie. Marmurki w społeczeństwie nie są arystokratami, niemniej przeto demokratów pilnie się strzegą; żadnych poświęceń nieznają, dobrze czynią wtenczas tylko, gdy tego ich własny interes lub konieczność wymaga. Marmurek nikogo nie obrazi ani rozgniewa, ale także żadnego serca nie rozploni; wielki posag przenosi nad wszystkie wdzięki niewieście; jest mężem znośnym ale nie uszczęśliwiającym; dzieci swoje z najdrobniejszej młodości sposobi na spekulantów, bo w oczach starego marmurka przebiegły spekulant jest *najwyższą* rozumu ludzkiego potęgą!

Lis

Równie jak marmurek miasto nad wieś przenosi. W powierzychownych oznakach lis mało się różni od marmurka, pilnie przecieŜ badając, znajdziesz, że jego spojrzenie zawsze jest chytre, a uśmiech w jednej godzinie rozmaite przybięra odcienia i zmiany. We wszystkich życiach stosunkach, lis zawsze i wszędy najusilniej się stara o zaufanie, aby z tego zaufania mógł korzystać i zysk dla siebie osiągnąć. Lis potakuje głupcom, chwali każdego, ludzi rozumnych unika, lęka się przenikliwości kobięcęj, *gąski* za najsmaczniejszą przekąskę uważa, czepia się bogatych, od ubogich stroni; w charakterze jego jest wiele podłości, często się w psa zamienia.

Pies.

Pies ma wszystkie nieczne przymioty lisa, z tą różnicą, że lis stara się o dobre imię i ostrożny jest w wyborze środków, pies na nic nie zważa byleby zyskowną zdobycz pochwycił; — lis zdradzi zaufanie, pies i rodzonygo sprzeda brata; lis chytrąścią zdobywa, pies z całą bezczelnością kradnie otwarcie; lis na woskowanych lubi się ślizgać po sadzkach, pies przez błoto, przez najobrzydliwsze kloaki wciska się po osiągnięciu zamiaru.

Pies na cudzém nieszczęściu swoje szczęście buduje.

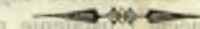
Smutną nakoniec jest ta prawda, że gdy w czystym rodzie zwierząt pies, obok wielu niekzemnych własności, posiada niezaprzeczenie i chwalebne przymioty, jako to: wierne przywiązanie do swojego chlebo-dawcy, pilność w strzeżeniu domu lub owiec, i chętną pracowitość w usługach myśliwskich, — w rodzie ludzi-zwierząt, człowiek-pies *żadnemi, zgola żadnemi* zaletami poszczycić się nie może.

Pies z ogonem (*).

Wszystko co na ziemi hańbi i poniża, człowiek-pies z ogonem w sobie połączył. Religiją, filozofiją, cnotę, honor i miłość poczytuje za urojenia głupców. Łzy ludzkie to jego napój; jęk rozpaczy to harmonia jego duszy!

Psę z ogonem, poznasz łatwo po wiecznie ponurém i jakoby zakrwawioném spojrzeniu, — jest to ostrzegający odcień wrzącego w jego piersi piekła. Twierdzą, że kruki niechęcą pożerać ścierwa psów z ogonami, uważając je za zbyt podłe!..

(*) Różnica pomiędzy psami z ogonem a psem bez ogona, tylko u ludzi-zwierząt istnieje.



O PRAWIE ZAŁOGI W POLSCE

PRZEZ

J. H. S. Rzesińskiego.

W wiekach średnich prawo zwyczajowe urządziło wszystkie stosunki społeczne. Wywiewając się z codziennie następujących się potrzeb i z obyczajowości, jaką każdy naród według politycznych przybierał względów, nie doszło ono i nie mogło na raz jeden dojść do tego stopnia doskonałości, jaką posiadały ustawy narodów, które przebiegły całą koleją rozwijania się swojego, do historycznego w dziejach świata wybiły się znaczenia. Prawo rzymskie, owoc wytrawionego i doświadczeniem wspartego rozumu, było obcym dla tworzących się w samym środku Europy i na widownią świata występujących państw i ludów. Prawo to przeciągało wprawdzie wegetacyjne życie na zachodzie, ale w środku Europy zwyczaj tylko, pielęgnowany pomiędzy dzikimi puszciami i nierozwidnionymi lasami, wzrastał i był źródłem prawa odmiennego i wręcz w zasadach swoich prawu rzymskiemu przeciwnego. Zwyczaj ten, jako prawo wieków średnich uważany, byłby zniknął bez śladu, gdyby zbiory ustaw Ripuarskich, Salickich, Bawarskich i t. d. nie przechowały je były i od ogólnej nie ocaliły zagłady. Rozpatrując się w tych średniowiekowych pomnikach europejskiego prawodawstwa łatwo dostrzedz, że wszystkie miały na celu głównie zapewnienie praw osobistych, a o rzeczowych tyle tylko napomykały, ile tego nieodzowna styczność z osobami wymagała; bo rozwinięcie i ustalenie pojęcia prawa rze-

czowego należy do wyższego rozjaśnienia wiedzy, a tém samém wznioślejszego oświecenia i kultury, tak jak nauka o skargach i cały przewód sądowy jest zamknięciem i szczytem umiejętności i życia prawa.

Spółeczność jak z jednej strony nie jest dziełem woli pojedynczych osób, ani postanowienia mnóstwa ludzi, ale się opiera na jestestwie natury człowieka, tak z drugiej utrzymuje się i silniej spaja niedołącznością i potrzebami, które tylko w rozliczności wzajemnych stosunków zaspokojonemi być mogą. Z stosunków tych rodzą się prawa i powinności, które w wykształconym systemacie prawnoznawstwa zobowiązaniami się zowią. W pierwotnym stanie narodów stosunki społeczne są proste a dopełnienie zaciągniętych zobowiązań żadnych nie doznaje trudności: słowo, podanie ręki, lub wreszcie inna oznaka, wystarczają do osiągnięcia pewności; później przybývają świadkowie, wreszcie pismo wchodzi w użycie, ale i to wkrótce staje się mdłą rękojmą, jeśli do dobrowolnego uiszczenia zaciągniętego zobowiązania sama sumienność nie nakłoni. Niepewność ta w dotrzymaniu zobowiązania dała początek wielu postanowieniom i rozporządzeniom prawnym, a do rzędu licznych środków zapewnienia wierzyciela względem zapłacenia należytości przez dłużnika zaciągniętej, jakie prawodawstwa wieków średnich poddawały, policzyć potrzeba głównie tak zwane prawo załogi czyli leżenia (das Einlager — jus obstagii — obstagium). Prawo to zasadało się głównie na tém: iż dłużnik albo ręczyciel, albo obadwaj zarazem przyrzekali, w razie nie uiszczenia zobowiązania na oznaczonym terminie, udać się w pewne umówione miejsce i dopóty w niém zostawać, dopokąd zobowiązaniu zadosyć się nie stanie.

Poddawanie się dłużnika i ręczyciela prawu załogi sięga w Niemczech odległej starożytności, a lubo niepodobieństwem jest oznaczyć czas jego powstania, przecież na początku wieku XIII było ono już w użyciu, bo tego dyplomata ówczesne i wzmianka w prawie saskiem (Sachsenspiegel II 2) o niém uczyniona dowodzą. W wieku XIV i XV zwyczaj ten tak się rozpowszechnił, iż nie było żadnej ważniejszej umowy, któraby zastrzeżenia tego w sobie nie mieściła.

Nie mamy dodatniego dowodu na to, aby przed ogłoszeniem statutu Wiślickiego prawo załogi znajomém było w Polsce, bo dyplomata z przed Kazimierzowskich czasów są zbyt rzadkie i w niewielkiej doszły nas liczbie. Najdawniejszy jój ślad napotykamy w Chron. Princ. Poloniae u Stenzla Scriptt. rer. Sil. T. I, str. 131, pod rokiem 1331, gdzie kronikarz wspominając o rozrzutności i marnotrawstwie Bolesława III księcia na Brzegu dodaje: że dwaj synowie jego Waclaw i Ludwik wysiadawali załogę w Wrocławiu. Oto są jego słowa:

Nec tamen a prodigalitate sua destitit Boleslaus, quin et plus expenderet quam haberet, nam omnes municiones suas involvit obligationibus et debitis oneravit. Legnicz enim obligaverat pro octo millibus marcarum, Haynaw pro octo millibus marcarum, Aureum montem (Goldberg) vero pro tribus millibus marcarum nonnullis civibus Wratislaviensibus, jam pro pannis, jam pro equis, jamque pro aliis rebus super dampnis apud eos receptis obligaverat, insuper filios suos Wenceslaum pariter et Ludovicum duces, in Wratislavia obstagium pro magna summa pecunie observantes, quos quidem filios ex domina Margaretha predicta, filia regis Bohemie, generavit et ad tantam pervenit inopiam, quod quo se diverteret, ignoraret.

Ujemny atoli dowód znajduje się w samym statucie Wiślickim, w którym w art. CXLV. *de obligationibus* następne czytamy wyrazy:

Quia ex facilitate obligationis ad magna damna homines plerumque deveniunt, jure tenendum est: quod si quis fideiussit pro aliquo suo amico pro certa pecuniae quantitate alicui civi, vel alteri cuicumque, cujuscunque status vel conditionis excitat, illo tunc non solvente, in termino adveniente et statuto, fidejussor non debet propter hoc ad hospitium in obstagium subintrare, aut aliqua damna facere non solventis in destructionem. Sed si est parvum debitum, detur ei pignus et distrahatur, si autem magnum, possessio debitoris pro valore debiti per fidejussorem apprehendatur tradaturque illi, cui debitum dare tenetur. (Ob. J. W. Bandtkie Jus polonicum Varsoviae 1831 4to p. 120).

Tłumacze statutu wiślickiego przełożyli to w ten sposób; a mianowicie Stanisław z Wocieszyna:

„Ysze sz lacznosczy zapysanya alybo zastawy na wyelge skody ludze przychodzą szprawnye dzyrzano ma bycz ysz gdy ktho obrączy za przyaczela swego pevną pyenyedy summą lubo wyelgosczy do nyekthorego myesczanyna alybo do gynego kogokole ktore te stadla alybo czczy bądze tego nyezaplaczacz na roku przyslem rąkoymya tego dla nyema do gospody w zalogą wyechacz alybo które skody czynycz nyezaplaczonemu veskazą, ale gest yly mali dlug ma mu dan bycz zaklath y przedan bącz; paknaly wyelgy gest dlug thedy gymyeny dlužnykowo sthoyące za dlug a w wasznosczy dlugu ma bycz przyątha przez onego rąkoymyą y dano themu komu dlug dacz vynowath.“

Tłumacz bezimienny z r. 1503.

„Zastawy często liud przychodzą ku szkodzie y ku ubóstwu, przeto aczby ktho ręczył za przyiaczielia swego pieniądze albo czokolwiek. Gdyby then niezaplaczil na czas ułożony alie rąkoymia zan zaplaczil, thedy rąkoimie nima ni iedny skody uczynicz, temu za kogo ręczy ani w gospodę iechacz tracicz na potepę i na skodę iego.

„Alie iestli mały dług ma bycz y będzie dan zakład y
„chowan az do czasu, az będzie wielki dług, thedy imie-
„nie dłużnikowo ma bycz dano rękoyimi tako długo az ie
„wykupi.“

Wreszcie tłumacz z pierwszej połowy XVI wieku:

„Ize z łatwosci zawiązania ku wielkim skodam też
„ludzie przychodzą, prawem ma bycz dzierzano, iże iesli
„niektho ręczył na niektorego swego przyaciela, o pewne
„pieniądze niektóryemu mieszczaninowi abo innemu komu-
„kolwiek któregokolwiek stanu albo polozenia by był, on
„gdyby niezaplacył na roku przyslem ustanowionem rę-
„koimia nima dla tego do gospody należą vchodzic abo
„niektórych skod czynicz niezaplaczonemu na skazę ale
„iesli iest mały dług ma iemu bycz dana cięża a roztar-
„gniona, iesli zaiste wielkie dzierzanie dłużnikowo podlie
„wielkosci dlugu przez rękoimiego ma bycz dosięgniono,
„y wydano onemu komu dług dacz był powinien.“ (Księgi
ustaw Polsk. i Mazow. Wilno 1824 4to str. 90).

Rozporządzenie to wzbraniające ręczycielowi udawa-
nia się do gospody i tracenia na skazę i potęgę dłużnika,
dowodzi aż nadto: że prawo zalogi było w użyciu w Pol-
sce i że tak mieszczanie jak i szlachta umowy między
sobą zawierane tym rodzajem zastrzeżenia wzmacniać się
starali.

Jak w Niemczech niepewnym jest początek zaprowa-
dzenia zalogi, tak i w Polsce co do powstania jego gruba
panuje pomroka. Ale gdzie zbywa na zupełnych dowo-
dach, tam domy. przynajmniej do pewności doprowadzony
być może. Polska z jedno-szczepnego złożona pokolenia
musiała mieć jeden sposób widzenia rzeczy, jedne potrze-
by i jednakie cele. Brak różności co do wewnętrznych jej
żywiół rodził jednostajność prawa, które jakby czyste

i niczém nie zmącone źródło odbijało w pierwiastkowych wiekach lice całego narodu. Naród przy kolebce dziejów swoich stacza podobnie jak człowiek walkę z przedsobnym światem i jednocześnie ducha i siły ciała swojego rozwija. Ztąd duch powstającego narodu objawia się w postaci wojny; ztąd w Polsce, równie jak gdzie indziej, pierwsze historyi karty zapełnione są walkami, przy których opisie nikną wszystkie wspomnienia o tworzeniu się rodzinnych instytucji. — Świetność oręża połyskującego wśród pożaru gorejących stolic i zatykającego żelazne słupy, jako graniczniki ustalonego państwa, jeśli z jednej strony święciła wcielenie ducha i szerzyła niepożytą sławę, to z drugiej wywołany odcisk i zapuszczane aż pod mury Krakowa tatarskie zagony, wyludniały ziemię i smutny zniszczenia przedstawiały widok. Potrzeba obrony zewnętrznej jednoczyła na ostatnich krańcach orężne krajowców zastępy, ale wewnątrz kraju obcy przychodnie dźwigać musieli upadające rolnictwo i niedostępne rozwidniać lasy. Osadzani na tronie polskim piastowie szląskiej dzielnicy, nie pomału sąsiednim przychylni Niemcom, nadawali to szczegółowe to ogólne przywileje i wyłączenia od praw polskich dalekim wędrowcom; i w krótkim przeciągu czasu ziemia i prawo polskie podobne się stały do roztrąconego w kawałki zwierciadła, którego każdy złomek odrębną odbijał postać a całość jej paczył i wykrzywił w śmieszne dziwłagi. W okresie bowiem czasu od Bolesława Wstyldiwego do Władysława Łokietka zjawily się nieznane dotąd nazwiska prawa niemieckiego, szwedzkiego, saskiego, magdeburskiego, chełmińskiego, frankońskiego i t. d. i na obszerności małej piędzi ziemi wszystkie nie mał na raz jeden i obok siebie obowiązywały. Rządniejsi i swobodniejsi pod tarczą nadanych im przywilejów i wyłączeń,

wtenczas, kiedy kmieć i szlachcic zbrojną na granicy kraju rozpiętał się ręką i w miarę tego ubożał, osadnicy niemieccy rośli w zadziwiającą zamożność i nieprzebrane prawie dostatki.

W tym to napływie praw cudzoziemskich, zalewających Polskę wraz z obcemi osadnikami, szukać należy początku załogi, a samo wzbronienie Kazimiérza W. domyślać się każe przyjętego i zagęszczonego jój u nas panowania.

Prawo lub zwyczaj, z jednéj na drugą przeniesione ziemię, nie krzewią się w innych formach ale w tych w jakich na ojczystej wzrosły i dojrzały. Na czém więc w Niemczech polegała forma i treść załogi, toż samo było w Polsce jój żywiołem, i niepodobieństwem jest przypuścić, aby jakakolwiek w téj mierze zachodzić mogła różnica. (*Dalszy ciąg nastąpi*).

OGŁOSZENIE LITERACKIE.

W Krakowie w drukarni Uniwersytetu wyszły świeżo na widok publiczny *Listy* czyli *Korrespondencya X. Hugona Kollątaja z Tadeuszem Czackim* w przedmiotach naukowych, mianowicie zaś w przedmiocie urządzenia Instytutów naukowych i pomnożenia oświecenia publicznego, (r. 1802 - 1803) w guberniach wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Zbiór ten listów, w dwóch tomach obszernych zawarty, jest dalszym ciągiem dzieł Kollątaja, z pozostałych rękopismów autora wydawanych staraniem i nakładem p. Ferd. Kojśewicza doktora obojga prawa i profesora Uniwers. krakowskiego. Należy się prawdziwa cześć i wdzięczność światłemu wydawcy, że tak szacowne zabytki prac i talentów sławnego nauką męża, długo z uszczérb-

kiem literatury ukrywające się w ręku prywatnych, z cieniów zapomnienia troskliwie wydobyl, i z poświęceniem znacznych nakładów, pracy i starań osobistych, światu uczonemu odkazał.

Imie Kołłątaja w umyśle każdego światłego ziomka odświeża historią ważnych spraw i usiłowań podjętych w podźwignieniu oświaty krajowej. W *Badaniach historycznych o początku rodu ludzkiego* (wyszłych niedawno w 3ch tomach) sięgnął autor aż do genetycznych źródeł historii, a odszukując kolébkę dawnego świata po śladach dziejów przyrodzenia, rzucił nie mało światła na zamierchły obraz pierwotnych społeczeństw i ludów. Słusznie, rozbierając znany sobie wstęp do tego dzieła, wyraził się uczony Tadeusz Czacki: że geniuszom tylko jest zachowano zgadywać tajemnice natury. *Listy* obecnie drukiem ogłoszone, i oczekiwana w tomie III tychże listów korespondencya Kołłątaja z Michałem księciem Poniatowskim, tłumaczą rozległe jego widoki i gorliwą czynność w sprawie narodowego oświecenia.

Z tych względów wydanie dzieł X. Kołłątaja jest usługą wielce ważną dla naszej literatury (*).

(*) Co niegdy Kołłątaj przyjaźni i znanej o dobro nauk gorliwości Franciszka Dmóchowskiego z ufnością poruczał, aby pisma jego, za życia skromnie ukrywane, po śmierci autora drukiem ogłosił; to przeznaczone było na zaszczyt obecnego wydawcy, — gdy jak wiadomo sam autor przeżył kilku laty swego przyjaciela, zmarły dopiero r. 1812.

Rozporządzeniem ostatniej woli Hugona Kołłątaja dostały się rękopisma jego p. Michałowi Szymańskiemu, z kąd po zgonie pierwszego posiadacza przeszły do rąk p. Kojświczca. Wiele mimo tego pism Kołłątaja posiadał uczony Jurkowski na Wołyniu.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W WILNIE:

Podróż do Pruss, Saxonii i Czech odbyta w roku 1838—1839 przez Juliana Moszyńskiego, 2 tomy in 8vo, w drukarni M. Romma, nakład Rubena Rafałowicza.

Przewodnik do nieba wyborniejsze zawierający zdania ojców świętych kościoła i filozofów dawnych, ułożony przez kardynała Jana Bona, tłumaczony z języka łacińskiego przez K. S. S. D. 2 tomiki in 16mo, w drukarni M. Zymelowicza.

Śmierć i odrodzenie, opowiadanie psychologiczne, wydał Józef Przecławski in 8vo, nakład i druk T. Glücksberga.

Bigos hultajski. Bzdurstwa obyczajowe przez Izasława Blepońskiego, in 8vo, nakład i druk T. Glücksberga.

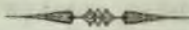
Rozmyślenia ewangelii rozdzielone na wszystkie dni roku idąc za zgodnością czterech ewangelistów, wraz z wiadomością o życiu księdza Diukena przełożone na język polski przez J. S. tom I. i II., nakład i druk T. Glücksberga.

Oblubienica Messeńska, tragedia liryczna z chorami przełożył z Szyllera Ferd. Bron. Trętowski in 12mo, nakład i druk T. Glücksberga.

Słowa nieprzyjaciół Chrystusa przez Ks. J. Em. Veith kaznodzieję katedralnego kościoła Ś. Szczepana w Wiedniu tłumaczył z niemieckiego Ks. Stanisław Chołoniewski in 8vo, nakład i druk T. Glücksberga.

Ogrody północne, przez Józefa Strumiłkę, wydanie czwarte poprawne z dziesięcią tablicami litografowanemi, zawierającemi 70 figur, plan i widok ogrodu angielskiego, 3 tomy in 8vo, nakładem R. Rafałowicza w drukarni M. Zymelowicza.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przepłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.



DWUTYGODNIK

LITERACKI.

N. 5.

KRAKÓW dnia 1 Czerwca.

1844.

Treść: Do Filona, pieśń Franciszka Karpińskiego. — O Hussie i Hieronimie z Pragi. — O prawie załogi w Polsce przez J. H. S. Rzezińskiego, (dalszy ciąg). — Grób w Nowym-Yorku przez Paulinę z L. Wilkońską.

DO FILONA

PIEŚŃ FRANCISZKA KARPINSKIEGO.

(Zabytek niedrukowany z autografu).

Już Filonie ulubiony
Los mi cię nie obiecuje:
Widzę rozpacz z każdej strony,
Wszystko szczęście moje truje.

Lecz ty znasz mój umysł stały;
Jeśli cię los mój poruszy,
Choć się łzy me będą lały,
Pamięć je twoja osuszy.

Ty w dalekiej żyjesz stronie,
Mojój rozpaczy nie czujesz:
Może już na innéj łonie
Wieczną stałość obiecujesz.

Filonie! lękaj się kary,
Byś nie był wzajem wzgardzony;
Nie wiesz, jak złamanie wiary
Czyni żal nieutulony.

Tyś nie kochał nigdy siła,
Ty nie znasz, co moc stałości;
Choć mówiłeś, żem ci miła,
Dalekiś był od miłości.

Jam ci wszystkie moje tchnienia
Zawsze z chęcią poświęcała;
Te były moje życzenia,
Bym cię szczęśliwym widziała.

Gdyś w odmienne zaszedł rady,
Jeśli to twe szczęście czyni,
Nie lękaj się żadnej zdrady,
Serce moje cię nie wini.

Czas ci sam pokazać może,
Że ja nie jestem zmieniona...
Ty najlepiej wiesz, mój Boże!
Jak dotąd kocham Filona!

Kochać będę zawsze stale,
Nie zmieni mnie wzgarda jego —
Na nieba me wywrę żale,
Żem nie stworzona dla niego.

O HUSSIE I HIERONIMIE Z PRAGI.

Uwagi nad niektórymi znakomitszemi dziejami trzeciej epoki religii chrześcijańskiej, w wieku piętnastym kościoła przypadlemi; przez X. Józefa Bogucickiego, filozofii i teologii doktora, hist. kościel. w Szkole głównej krakowskiej profesora, na posiedzeniu publicznem czytane.

Defendenda Religio est, non occidendo, sed monendo, non saevitia, sed patientia, non scelere, sed fide. Illa enim malorum sunt, haec bonorum.

Lactantius. Institutionum lib. V, c. 20.

Wiek piętnasty był płodny w znakomite i głośnie wypadki, które szczególniejszym sposobem źródło swoje miały w złém lub dobrém użyciu religii, a tém samém bardzo z blizka dotykały społeczność, której trwały pokój i pomysłność zawsze zależeć będzie od kierowania i poruszania tej najdzielniejszej równie jak najmocniejszej sprężyny. Słusznie wiek ten porównać można z owemi okropnemi wulkanami, które przez długi czas ukrywają w swém łonie zawarte ogniste i zapalające się materye. Te będąc ściśnione i w stanie ustawicznego burzenia się trzymane, tłące i żarzące pod popiołami w podziemnych lochach, muszą sobie zrobić wychód, muszą kiedyś wybuchnąć, rozerwać z hukiem powierzną, a gwałtowném i straszném wypadnieniem napęlić ziemię, na której mieszkamy, smutnemi widokami śmierci, obalin i pożarów.

Wszystkie podówczas nieszczęścia razem się złączyły na zasmucenie religii i społeczności. Wielkie kościoła zachodniego rozerwanie, więcej niż przez czterdzieści lat

trwające, tak rozliczne i tak głębokie zadawało chrześcijańskiej jedności rany, iż te ledwo potem na zborze konstancyjskim zostały zagojone, przez złożenie trzech papieżów z stolicy rzymskiej.

Ubieganie się do najpierwszego dostojenstwa w kościele przez drogi wcale różne od pićrwiastkowych pasterzów trzody Chrystusowej, fałszywa polityka panujących w rządzeniu swoich, a w nabywaniu obcych krajów, władza papieżka z granic swoich wymknięta, watykańskimi piorunami ukoronowane przerażająca głowy i częstokroć całe zastraszająca państwa, przywłaszczająca sobie prawie uniwersalną monarchią, tak w świętych jako w cywilnych sprawach, na żadnych prawdziwych nauki chrześcijańskiej twierdzeniach nie ugruntowaną; ambicya, łakomstwo i zbytki ludzi na pilnowanie czci boskiej i doskonałości ewangelicznej poświęconych; te górujące występki przebrały już miarę i wszystkie chrześcijańskie przeciwko sobie oburzyły narody. Z tego zarażonego źródła wyniknęły obficie, gruba niewiadomość, skażenie obyczajów, mnóstwo wszelkich bezprawioów, i tłum owych czarnych zbrodni, które zniewaływszy tron i ołtarz, oboją władzę, której związek tak jest potrzebny korzyściom rodzaju ludzkiego i tak mocno od chrześcijańskiej zalecony religii, na harc niebezpieczny wystawiły.— Dziwić się zatem nie można, że w owej rozlanej powszechnego zepsucia powodzi, wszędzie widziéć było porządek wyrwócony, świetność hierarchii zaćmioną, powagę jéj zdeptaną, prawa kościelne najpożyteczniejsze od wiary i rozumu pochwalone, albo nieznane albo wzgardzone albo zuchwale gwałcone, nowe nastałe zwyczaje krzywdę dawnéj prostocie i chwalebnej przykładności czyniące, arbitralność wprowadzoną zamiast owych świętych przepisów, któremi się pićrwsze kościoła rządziły wieki.

Widziała pod ówczas strapiona religia i pognębiona ludzkość, jak herezya duchem niespokojności i buntu podsycona, a do tego rozjątrzona srogim przeciwko sobie postępowania sposobem, najpiękniejsze Europy prowincye spustoszyła i z mieszkańców ogołociła, jak całe królestwa trwogą, zamieszanem, strachem i wszelkiego rodzaju klęskami napelniła. Fanatyzm, ten to nieprzyjaciel ludzkości, dziki i najgorszy odrodek religii, łagodnej i dobroczynnej matki naszój, ta piekielna poczwara pragnąca nieustannie krwi ludzkiej, z ogniem i żelazem w ręku popełniła w wieku piętnastym takie okrucieństwa, na któreby się same barbarzyńskie, ani poloru ani słodczy towarzystwa nieznające, wzdrygnęły narody. Widzielić było chrześcijan uzbrojonych w imię Boga, pokoju, zgody i miłości na zepsucie, zniszczenie, wytępienie i wymordowanie braci swoich. Ich niechęci, gniewy i niesnaski nie tylko się nie ukoily na widok tak niepowetowanych strat i nieszczęść, ale jeszcze się bardziej do krwawych zapalały bojów, i do niegodnego chrześcijan, węzłem braterstwa złączonych, wzbudzały prześladowania.

Ten jest nigdy dosyć nieopłakany skutek fanatyzmu, obracającego w truciznę i w śmiertelny jad jedno z najlepszych i najpewniejszych lekarstw, które najwyższa Opatrzność raczyła użyć ludziom ku ich pocieszeniu w troskach i przeciwnościach doczesnego życia. Te są szkody, które społeczność cierpi od ducha nietolerancyi tak niezgodnej z chrześcijańską miłością, tak przeciwniej wrodzonej każdemu wolności sumienia.

Przygody Hussa, jego zdania przyjęte z tak gorącą chciwością, a rozruchy wszczęte przez jego naśladowców w Czechach i po części w Polsce, które są najznaczniejszemi a wraz najsmutniejszemi przygodami dziejów wieku

piętnastego, nauczają, jak trzeba w początkach zaraz tłumić nieumiarkowane zapędy ślepego fanatyzmu, jak potrzeba zostawić Bogu samemu sprawę wewnętrznego przekonania umysłów, odmiennie od nas co do wiary myślących, jak rządcy kościoła powinni używać skromnie i pożytecznie, ku wsparciu ubogich i uszczęśliwieniu powszechności narodowej, dóbr i bogactw od pobożnej hojności sobie powierzonych, żeby uniknęli pocisków zazdrości, szemrzącej często sprawiedliwie przeciwko ich dumie, i gorszącej okazałości, która się zdaje urągać z publicznego ucisku i naśmiewać z jęczącej bez ratunku nędzy.

Jan Huss, tak nazwany podług zwyczaju owych czasów od miasteczka w Czechach będącego, gdzie ten głośny człowiek urodził się, odebrał ćwiczenia młodości swojej co do nauk i obyczajów w szkole głównej pragskiej; tamże po odprawioném pilném i surowém doświadczeniu przyjęty do grona doktorów i nauczycielów, obrany był dziekanem teologów, a potem w roku 1409 rektorem téjże wysokiej szkoły. Przy tych akademickich zaszczytach, sprawował on urząd plebana w Pradze przy kościele Betleem zwanym, z wielką swoją zaletą i z powszechném ludu zbudowaniem; był mu także powierzonym obowiązkiem spowiednika królowej czeskiej, żony Wacława.

W czternastym jeszcze wieku pokazały się liczne sekty, które gwałtownie były przeciwko niesłusznym opłatom i wyniosłości dworu rzymskiego: nacierały one mocno na jawne duchowieństwa wady, a najżywiej uderzały na nieokręśloną władzę papiężów; nawet całego kościoła powadze w pismach, rozmowach i kazaniach swoich bez roztropnego względu na okoliczności uwłaczały. Nieprzyjaciele stolicy rzymskiej, wyższego duchowieństwa i kościoła, nie byli to tylko fanatycy i entuzyastowie; ale wielu z zakonników,

wielu teologów pierwszego rzędu, wielu ludzi gruntownie uczonych, jako: Jan de Oliva, Marcel z Padwy, Wiklef doktor głównej szkoły oxfordzkiej w Anglii, i ci wszyscy franciszkanie zbyteczną ostrością życia uwiedzeni i wyobrażeniem urojonej swój doskonałości zagrzani, którzy przeciwko Janowi XXII z wielą złości i popędliwości utrzymywali, że prawdziwi synowie Ś. Franciszka żadnej nie powinni posiadać rzeczy bądź ruchomej bądź nieruchomości, i że nawet tego chleba, którego codziennie używają, nie są właścicielami. Wyklęci od papieża za nierozumny upór swój, poczytani za krnąbrnych heretyków, od inkwizycy na stósy tylekrotnie skazani, wszędzie ścigani i przesładowani, usiłowali rozwalić zasady tej strasznej potęgi, która się im tak okrutnym dała uczuć sposobem. Tych i innych sektarzów pisma porozchodziły się wszędzie, osobliwie zaś Wiklefa aż do Czech przeszły.

Częścią jawne zgorszenia duchownych nazbyt podówczas bogatych a wielu z biskupów i opatów tytułem książąt i jedynowładzców ozdobionych niecne, dumne i plamiące charakter kapłański postęпки, częścią nieporządna chęć wstawienia się i dania powodu do mówienia o sobie, przywiodła wielu tłumaczów prawd i wyroków wiary Ś. do zbyt wolnego roztrząśnienia niektórych religii chrześcijańskiej tajemnic, które już przez powód uszanowania winnego powadze kościoła, już przez wzgląd potężniejszego wędzidla na wstrzymanie burzliwych namiętności ludzkich, już przez szlachetny zamiar w silniejszym nakłonieniu serca do zdobywania się na cnoty chrześcijańskie najwyższego stopnia, już nareszcie dla dobra pokoju, powinny były zawsze zostawać utajone w swojej świętej zaciszy i pod nieprzejrzaném zakryte być obłokiem. Wiklef jeden z członków akademii oxfordzkiej z największą nie-

powściągliwością i z zuchwałą śmiałością pierwszy w wieku czternastym odważył się zedrzyć owę świętą i głęboką zasłonę, i usiłował zniweczyć wszystkie główne zasady religii katolickiej. Między innymi chciał ten śmiały dogmatyk znieść spowiedź, wprowadzoną, jak on sądził, późniejszymi wiekami do zachodniego kościoła, odpusty, hierarchią panującą samowładnie nad duszami gminu a od pierwiastkowej prostoty i pokory daleko zboczoną. Słowem, czego waldyńcykowie we dwunastym i trzynastym wieku nauczali potajemnie, to Wiklef głosił jawnie. Jego nauka mało się różni od téj, którą protestanci wieku szesnastego z taką popiérali przewagą, a którą nawet w poprzedzających czasach spiknione przeciwko kościołowi rzymskiemu towarzystwa wyznawały już otwarcie już skrycie, dla bojaźni inkwizycyi Ś. srogo mszczącej się przez katusze i stosy zapalone dla śmiało mówiących.

Te i tym podobne były teologiczne Wiklefa mniemania, które mniej doznały opieki i nie tak rychłego przyjęcia aniżeli jego polityczne maksymy, w których sobie poczęto mocno smakować; bo ludzie na ostatek wierzyć będą wszystkiemu, byleby ich ambicya, możność przewodzenia nad sobie równemi, sposoby dobrego bytu zabezpieczone były. Wiklefa kazania i pisma krążyły po Europie, gdy Urban VI i Klemens VII swojemi dumnymi przedsięwzięciami i nie ukróconą żądzą panowania na Piotrowej stolicy mieszały publiczną spokojność, pomnażali niezgody i rosterki w kościele, zbierali mocnych stronników do popierania piórem i orężem swoich niesłusznych zamysłów, wyklinali się wzajemnie, ogłaszali święte wojny przeciwko chrześcijańskiemu mocarstwu, rozdwojonym w posłuszeństwie, które prawowierni winni oświadczać prawdziwym namiestnikom Chrystusa. W takowem za-

kłóceniu sądził Wiclef, iż Anglia powinna była wykonać na zawsze, co potem w wieku piętnastym uczyniła Francya, to jest żadnego za papieża nie uznać z tych, którzy bez powszechnego zezwolenia kościoła najwyższą tę sobie przywłaszczali godność. Zapatrując się zaś na bogactwa duchownych, nieprzyzwoite onych używanie i środki, którymi ich nabyli, utrzymywał, że to jest wbrew ewangielii, ażeby ministrowie religii ziemskie posiadali dobra; że władza krajowa dla słusznych przyczyn może one im odebrać, że raczej powinna je obrócić na potrzeby społeczności, niżeli nowemi lud obciążać podatkami, i że nakoniec potrzeba duchowieństwo przyprowadzić do pierwiastkowego ubóstwa i życia apostolskiego. Te i inne tego rodzaju zdania sprawiły w narodzie tak mocne uczucie, że niższa izba parlamentu często przekładała królowi, ażeby odjąć duchowieństwu dobra. Wiele nawet z znakomitszych osób Wielkiej Brytanii sprawiedliwie będąc nieukontentowane z Rzymu i widząc, że papieże postępowali sobie z Anglią, jak z zawojowaną od rzymskich biskupów prowincją, radzili wieczne odłączenie się od rzymskiego kościoła, co potem pod Henrykiem VIII nieszczęśliwym dopełniło się losem, a co natenczas, gdy religia katolicka w sercu dobrych przemagała jeszcze Anglików, mocnych znalazło przeciwników, którzy sądzili za rzecz potrzebną zachować synowską podległość ku świętej stolicy.

Zważając znowu Wiclef zdrożności i obmierzłe występki w społeczeństwach zakonnych zagnieżdżone, twierdził bardzo lekkomyślnie i fałszywie, że człowiek przyjmujący stan zakonny staje się mniej sposobnym do zachowania przykazań boskich, że czyni się niepożytecznym społeczeństwu ludzkiemu, że nawet przestaje być chrześcijaninem. Szalone zaś bluźnierstwo tak dalece go uniosło, iż śmiał

powiedzieć, że święci fundatorowie zgrzeszyli ustanawiając i przepisując takowe życia prawidło. Tak obłąkany jego umysł, nie wiedząc gdzie się zastanowić, postąpił aż do wstrząśnienia samychże fundamentów, których się dotknąć niegodziło.

Dzieła Wiklefa, choć ciemnymi, obelżywymi i grubymi, podług smaku wieku, napełnione wyrazami, bez związku w myślach, bez porządku w wywodach, bez kształtu i jasności w wykładach, rozeszły się po świecie chrześcijańskim, przez samą śmiałość, którą wzniecały w umysłach z głębokiego pod ówczas letargu obudzonych, już treść sporu, już odwaga autora, którego przytém nienaganne obyczaje i przykładowe życie nie małej dodawały ważności jego mniemaniom o religii i téjże kapłanach. Przeniosły się te zdania do Czech, kraju nie zewszystkiem podówczas polerowanego, który od najgrubszej prostoty poczynął przechodzić do pewnego rodzaju umiejętności daleko niebezpieczniejszej, niż sama czysta niewiadomość, to jest do niedobrze wytrawionej jeszcze erudycji i ciemnej subtelności czczego scholastycyzmu. Rzym jednak nigdy się nie spodziewał, żeby pierwsze ciosy, które ogromnej jego potędze, wydobyte z więzów ciemności, błędu, zabobonu i dzikości nauki zadały, miały kiedy pochodzić z kraju, który on przez długi czas nazywał grubym i barbarzyńskim.

Jan Huss właśnie w owę porę odebrał niektóre dzieła Wiklefa teologa oxfordzkiego. Odrzucał on statecznie jego zdania, ile się sprzeciwiały powszechnej kościoła rzymskiego wierze; wszakże przyjął wszystko, co tylko żółć tego anglika rozlała była w swoich pismach przeciwko zgorzleniom papieżów i biskupów, przeciwko zastarzałemu zwyczajowi ekskomuniki, rzucanej z wielką zapalczywością.

częstokroć z pobudek bardzo błahych, nakoniec przeciwko całej władzy kościelnej, w której ani Wiklef ani Huss nie rozróżniali istotnych własności, słuszných praw i przyzwoitych prerogatyw od uzurpacyi, fałszu i obłudy. Tym sposobem pleban Betleemu zrobił sobie wielkich nieprzyjaciół z jednej strony, ale też z drugiej pozyskał szczerých przyjaciół i gorliwych swojej sprawy obrońców; sama nawet królowa, której rządził sumieniem, nie odmawiała mu swego wsparcia.

Jan Huss oskarżony przed papieżem Janem XXHI, wezwany został do stawienia się przed jego sądem w Bolonii około roku 1411, co uczynił przez prokuratorów do tego umocowanych; gdy tymczasem, w ciągu prawnego przeciw niemu postępowania, zebrało się owe sławne koncylium konstancyeńskie, na którym kościół przywrócił sobie dawną moc sądenia papieżów, składania ich ze stolicy, stanowienia o zdaniach tyczących się wiary i obyczajów. Koncylium konstancyeńskie, za usilnym naleganiem stanów chrześcijańskich, zgromadzone było końcem zaspokojenia wielkiego odszczepieństwa zachodniego, zapobieżenia złym zwyczajom, długim wieków przeciągiem wkorzenionym, zreformowania całego kościoła równie co do głowy, jako i członków, tę duchowną rzeczpospolitą składających. Nigdy nie było zboru liczniejszego i okazalszego nad ten. Jan XXIII papież od tegoż koncylium osądzony i złożony znajdował się na niem osobiście. Zygmunt cesarz żadnego prawie posiedzenia nie opuścił. Znajdowało się na téj sławnej obradzie trzech patryarchów, dwudziestu trzech kardynałów, dwudziestu siedmiu arcybiskupów, stu sześciu biskupów z świeckiego duchowieństwa, a z zakonnego trzydziestu trzech, opatów stu trzech, auditorów sacri palatii ośmnastu, innych papieżkich urzędników czterdziestu

dwóch, doktorów teologii i obojga prawa trzystu czterdziestu czterech, spowiedników uprzywilejowanych siedmiudziesiąt trzech, pisarzy stu sześćdziesięciu sześciu, prokuratorów siedmiudziesiąt trzech, pedelów ze srebrnymi laskami pięćdziesiąt dwóch.

Ze stanu świeckiego, prócz Zygmunta cesarza osobście z dworem swoim przytomnego, było książąt panujących dwudziestu ośmiu, hrabiów udzielnych siedmdziesiąt ośmiu, baronów imperii siedmdziesiąt sześciu, osób stanu rycerskiego sześćset, posłów pełnomocnych imieniem jednowładzców zasiadających dwudziestu ośmiu, delegowanych od rozmaitych biskupów, kościołów, akademii, miast wolnych i większych, prócz wielu pomniejszych, sześćdziesiąt sześciu.

O bogactwach, zbytku, przepychu i okazałości, o niezmiernój konsumpcyi rzeczy do żywności potrzebnych, dopiero opisanego tak liczego zjazdu, już zład każdy sądzić może, iż przyszło w czasie odprawiającego się koncylium do miasta Konstancyi czterdziestu ośmiu złotników, trzystu pięćdziesiąt kupców, którzy wytworne roboty zbytkowi, próżności i pieszczocie służące przedawali; rzemieślników zaś i rękodzielników różnego kunsztu i rodzaju tysiąc siedmset dziewięćdziesięciu.

Władysław Jagiełło król polski, z przełożenia rady, wysłał na sobór konstancyeński legatów, mężów nauką, rostroпноścią, doświadczeniem, głęboką wiadomością zdrowej polityki, rozsądnem przywiązaniem ku religii, a miłością ludzkości zaleconych: Mikołaja Trąbę arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jana Kropidla kujawskiego, Jakóba z Kordwanowa płockiego, Jędrzeja Gosławickiego mianowanego poznańskiego, biskupów, z stanu duchownego; Jana Tuliszkowskiego kasztelana kaliskiego, i Zawiszę Garbowski-

go nazwanego Czarnym, przewybornego, jak mówi nasz dziejopis Kromer, człowieka, z stanu świeckiego.

Szkola główna krakowska, jedna podówczas z najsławniejszych w Europie, wysłała na toż koncylium z grona swego pięciu doktorów: Piotra de Kalisz, Wilhelma Sulebri, Hincza de Roncaglia, Marcina kanonika krakowskiego, Pawła de Kalisz, za rządów Pawła de Vladimiria; którzy w gospodzie swojej wystawili herby orła białego, od pierwszych założycieli narodu w zaszczycie koronie polskiej dane. Wziętość, szacunek i powagę téjże szkoły głównej ztąd ważyć można, że posłowie jój mieli głos na soborze przed doktorami oxfordskimi. Na tymże pamiętnym zborze wielką sobie sławę zjednał nasz akademik krakowski Mikołaj de Kozłów, który tę podróż do Konstancyi razem z posłami szkoły głównej podjął, odbywszy wprzód chwalebnie urząd rektora *Universitatis* w roku 1410. Posiadał on przy gruntownej nauce tak rzadki dar wymowy, iż gdy do ojców sobornych rzecz miał o potrzebie naprawy kościoła, odzyskania zerwanój jedności, przywrócenia dobrych obyczajów, uprzątnienia występków i zgorszenia z stanu duchownego, wyciskał im łzy z oczu. On się przyłożył najwięcej do tego, że ojcowie soborni potępili publicznie pismo uszczypliwe Jana Falkenberga dominikana, który miesząc się w zatargi króla Jagielly z Krzyżakami, od nich przekupiony, czarną rozrzucił satyrę w czasie odbywającego się zboru, szarpiącą honor króla, ujmującą sławie narodu.

Tym czasem Jan Huss, którego nieszczęśliwy los i okropny koniec czule dotąd obchodzi serca, zapozwany, a zupełną ufność w dobroci swój sprawy pokładający, stawiał się osobiście przed zbozem konstancyjskim. Przy-

szedł on był do tego najwyższego w sprawach religii trybunału w towarzystwie kilku szlachty czeskiej, swoich przyjaciół i wielu swoich uczniów jemu statecznie przywiązanych; a co jest istotna do wiedzenia, wprzód téj nie przedsięwziął podróży, pokąd nie otrzymał był od Zygmunta cesarza dostatecznego listu, zabezpieczającego mu publiczną wiarą jego wolność i jego osobę, w czasie trwającej drogi, bawienia na miejscu i powrotu do ojczyzny.— Mimo tak uroczystego przyrzeczenia, ledwo co stanął w Konstancyi, zaraz go do ścisłego wsadzono więzienia i proces przeciwko niemu był formowany, w tymże samym czasie, kiedy roztrząsano sprawę Jana XXIII oskarżonego i przekonanego o sprosne występki i zbrodnie, aż nadto znieważające charakter najwyższego kapłana. Przestraszony widokiem oczywistej swéj zguby ratował się ucieczką i uszedł z więzienia równie jako i papież, ale obadwa schwytani, w jednémże przez czas niejaki pod surową strażą byli trzymani w więzieniu. Stanął Huss nakoniec po kilkakrotnie obciążony łańcuchami przed sądem zboru.

Zapytany sądownie, czyliby nauczał, że kościół powszechny zamyka w łonie swoim samych przeznaczonych, że odrzuceni nie są członkami tego kościoła, że władza polityczna ma moc obowiązywania duchownych do zachowywania prawa pospolitego i pełnienia powinności obywatelskiej, że zły papież nie jest namiestnikiem Jezusa Chrystusa? Przyznał się wprawdzie Huss do téj nauki, ale takowe dawał tłumaczenia swoim wyrazom, które powinny były mu zjednać wyrozumiałość i łaskawość sędziów; wszakże chytrość nieprzyjaciół, poprzysiężonych na jego zgubę, jadownicie i obraźliwie wykladała jego myśli, zadawając mu pytania ku podchwyceniu ułożone i wykręcając przeciwko niemu niektóre słowa obojętne i źle zrozumiane.

Ojcowie soboru chcieli koniecznie, aby Huss swoje odwołał zdania; lecz on przeświadczony wewnątrz, że są prawdziwe, nie chciał wyznać, iż zblądził. Taki był duch zaciętości i uporu w tym człowieku, którego subtelności szkolne, wówczas powszechnie po pierwszych nawet Europy akademiach panujące, bardziej jeszcze w swojej ztwardziałości wzmocniły.

Zygmunt cesarz poruszony litością nad żalonym Jana Husa losem w te do niego mówi słowa: „*Co cię kosztuje wyrzec się błędów, które ci fałszywie przypisano? — Choćbym się wszelkiego rodzaju błędów wyparł, mniemam, czyliż idzie zatém, że rozum mój w nich zostawał? —* Inny umysł pozwoliłby się być zmiękczyć, umysł Husa był niewzruszony, wołał raczej spłonąć w ogniach, niżeli przystać na to, że zblądził i oświadczyć swoją powolność wyrokom zboru.

Przedniejsze osoby z polskiego i czeskiego narodu tudzież posłowie akademii krakowskiej, czego się można domyślić po duchu łagodności i tolerancyi, który był zawsze właściwem piętnem akademików naszych poprzedników, z wielką usilnością starali się ocalić Husa przy życiu i wolności, ale daremne ich były prace i zabiegi. Świadczy o tym Andrzej Węgierski w historii kościołów słowiańskich (*lib. I, Hist. Slav. Reform.*). Sam Huss zostawił potomności ten dowód przychylnego i litościwego serca panów polskich ku sobie, kiedy w jednym liście do przyjaciół swych, z więzienia konstancyeńskiego pisanym, obojętuje ich, aby panom polskim podziękowali, iż dla oswobodzenia jego, jako nieustraszeni obrońcy prawdy boskiej całemu się sprzeciwili zborowi. (*Obsecro vos, ut generosis Dominis Bohemis et Polonis gratias agatis propterea quod*

tanquam strenui defensores Dei veritatis opposuerunt se saepius toti illi Concilio pro liberatione mea).

Dziękuję także ja, imieniem religii i ludzkości, postom narodowym wiekopomnej pamięci godnym, równie jak i doktorom tej akademii, której mam honor być członkiem, że jeszcze w wieku piętnastym dali piękny przykład całej Europie łagodności i politowania w cierpieniu błędów naszych braci, kiedy do uchylenia onych niemasz innych sposobów prócz tych, na których samo wspomnienie czułość człowieka a dopióróż dobrotliwa miłość chrześcijańska wzdygać się powinna.

Surowość zboru konstancyeńskiego była tak nieubłagana, jak uporczywość Hussa niepożyta i nieugięta; tylko że stateczna zaciętość ubiegania się do okropnej śmierci miała coś w sobie heroicznego, wyrok zaś skazujący na ogień kapłana, poczytanego od wielkiej części ludu i od wielu wyższego stanu świątłych osób za cnotliwego, pobożnego, świętego i niewinnego, — był pełen okrucieństwa i srogości.

Sami nawet główni nieprzyjaciele Hussa oddali sprawiedliwość jego nieuleknionemu sercu i odwadze, z którą tak straszną poddał się śmierci. Przywiązany do stosu w obecności elektora palatina, któremu egzekucya dekretu była zlecona, napominany jeszcze raz od niego, aby błędy swoje wyznał, odwołał, a tym sposobem przy życiu się zachował, tego uczynić niechciał. Oświadczył się przed niebem i ziemią z niewinnością i z szczerością swojego serca, wołając na głos do wszystkich, że umiera ofiarą nienawiści, zazdrości i nieukojonęj zemsty swoich nieprzyjaciół; dołożył, że wieczna sprawiedliwość pomści się jego krzywdy, a wieszczym niejako natchniony duchem zdawał się przepowiedzieć, że w sto lat Bogu i jemu odpowiedzą

za to. *Post centum annos Deo et mihi respondebitis.* Na koniec święte ku chwale boskiej dotąd śpiewał pieśni, dopokąd płomień głosu jego nie przydusił. Tak umierał ten heretyk, o którego śmierci bez wzruszenia mówić nie można. (*Dokończenie nastąpi.*)



O PRAWIE ZAŁOGI W POLSCE.

(*Dalszy ciąg.*)

Uczeni niemieccy byli przez długi przeciąg czasu zdania: iż poddawanie się prawu załogi miało miejsce jedynie przy zaciąganiu wierzytelności, bo pierwsze dyplomata, jakie im pod oczy podpadły, ten rodzaj tylko zobowiązania w sobie zawierały. Za zwiększoną atoli ich liczbą chwiać się począł ten widok, a Erhardt (ob. H. A. Erhardt, *Das Einlager* — w piśmie: *Zeitschrift für Archivkunde, Diplomantik und Geschichte. Herausg. von L. F. Höfer, H. A. Erhardt und Fr. L. B. von Medem. Hamburg bei Fr. Perthes 1834 T. I str. 259 i nast.*) z nagromadzonych przez siebie dyplomatów dowiódł: że wszystkie niemal zobowiązania wzmacniano tym rodzajem zastrzeżenia. Ztąd téż to załogę napotykaemy przy ewikcyi w razie pokonania prawem, przy zastawie, posagach, wypłatach dożywotnich, alimentach i t. d. W Polsce mogła się ona do wszystkich tych rozciągać przypadków, jednakże dotąd wysłędzone dyplomata do dwóch zaledwo zastosowanie znajdują.

Wacław Alexander Maciejowski w dziele wielkiego pomysłu, w historii prawodawstw słowiańskich, ścigając myślą ogół przedmiotu, niemal barki jednego człowieka

przechodzącego, nie mógł zwrócić uwagi na nasuwające mu się tłumem szczegóły i nie rozwinął z całą dokładnością przytoczonego przez siebie ustępu Statutu Wiślickiego. W Tomie IV na str. 473 wspomnionego dzieła mówi on: „nie dbało o to prawo polskie, czyli dłużnik o większą „czy mniejszą summę prawo rzeczowe na własnym majątku „zabezpiecza wierzycielowi. Sam tylko statut Mazowiecki „(st. Maz. 414) trzymając się czeskiego prawa o leżeniu, „stanowi: że nie należy obciążać dóbr mało znaczącemi „zapisami. Tak niegdyś i u nas Statut Wielkopolski (co „przeszło w statut wiślicki st. K. p. 120), postanowił: że „o małą summę poręczyciela ku leżeniu wzywać się nie „godzi, (ad hospitium in obstagium subintrare; w gospo- „dę jechać i tracić na potęgę, mówi tłumacz u Lel. p. 91.). „Na tém kończę uwagi o prawie rzeczowém polskiem.“

Z słów tych przekonywamy się, że autor historii prawodawstw słowiańskich, oparty na samych przepisach statutów Wielkopolskiego i Wiślickiego, pomylił się w swych twierdzeniach pod dwojakim względem: raz, że przypuszczał możność udawania się w załogę wtenczas gdy dług był wielki, a wyłączał ją gdy był mały; drugi raz, iż w rozporządzeniu Kazimierza nie uznał ogólnego przepisu wzbraniającego udawania się w załogę. Art. 145 st. Wiśl. zawiera w sobie dwa ustępy: pierwszy z nich jest rozporządzeniem znoszącém w ogólności załogę, bez względu na osoby jój się poddające i ilość zaciągniętego długu (pro certa pecuniae quantitate alicui civi vel alteri cuiuscunque status vel conditionis existat); drugi wskazuje środki zaspokojenia długu i rozróżnia dwa przypadki: jeśli dług jest mały, nakazuje dać zastaw końcem sprzedania go; jeśli zaś jest wielkim, poleca dłużnikowi oddać posiadłość na zaspokojenie wierzyciela.

Ważniejszém atoli, do miejsca tego należącém zapytaniem jest: czyli z zaprowadzeniem statutu Wiślickiego załoga w Polsce ustała lub nie?

Zwyczaj silniejszym jest nie raz nad samo prawo, a wkorzeniony nie łatwo da się wycofać z stosunków społecznych. Człowiek Ignący zawsze do tego, co niemal w potrzebę natury jego się zmieniło, nie prędko rozstaje się z ulubioném sobie wyobrażeniem, a cóż dopiero z zwyczajem, w którym rękojmi bezpieczeństwa swojego dostrzeżga. Ztąd obok ogłoszonych ustaw uchylających dawniejsze postanowienia, zwyczaj lub wcześniejsze, jakkolwiek już wzbronione prawo, wiodą pokątne, że tak powiem, ale zarazem tak czerstwe życie, że nawet szydzą z ustaw świeżo ogłoszonych. Czas tylko i zmienione okolicznościami pojęcia tłumią je i na nieodzowną dopiero wskazują zagładę.

Prawodawca Wiślicki zniósł załogę w r. 1347. Od dawna wrzały niechęci pomiędzy Polską a sąsiednią Litwą, a uporczywa wojna (ob. Długosz T. I. p. 1092 sq.) wyniszczyła skarbiec królewski. Mieszczanie Krakowscy słynni wówczas z swych dostatków i zamożności, zastępowali nie raz wyczerpnięte lub zatamowane źródła dochodów. Do nich więc udał się Kazimierz W. chcąc wypożyczyć tysiąc kóp groszy pragskich. Nie odbiegali rajcy krakowscy od życzeń królewskich, ale na pewność uiszczenia summy chcieli mieć ręczycieli, którzyby się wyraźnie prawu załogi poddali. Jakoż według dyplomatu w Krakowie w sobotę po Wniebowstąpieniu Pańskim r. 1352 datowanego, Hirko Ymgram wojewoda krakowski, Ostaska kasztelan lubelski, Henryk kasztelan wiślicki, Jaśko kasztelan wojnicki, Andrzej podkomorzy, Teasko Gelitko podczaszy, Polko z Kościelca, Zawisza komornik, Piotr nazwany Neorra, Grot syn kasztelana tarnowskie-

go, Grzegorz z Balic i Jakób z Dębna zaręczyli, iż gdyby król na dniu wtorkowym przed popielcem roku przyszedłego nie zapłacił zaciągnionej summy, oni ją uiścić obowiązani będą, a gdyby tego na tymże terminie nie dopełnili, przyrzekli udać się bez napomnienia i wezwania w niedzielę nazwaną *quadragesima*, w którą w kościele śpiewają *Invocavit*, do gospody sławetnego jakiego męża w Krakowie przez rajców miasta wskazać się mającej, według sprawiedliwego i przyjątego obyczaju załogi, i dopóty w niej zostawać, dopóki summa tysiąc kóp groszy pragskich wraz z szkodami i wydatkami wynikłymi i wyniknąć mogącemi zapłaconą przez nich nie zostanie. Osnowa dyplomatu tego przekonywa, jak bezsilnym było ustawodawstwo wiślickie i jak smutne i przykre położenie monarchy, który przyciśnięty potrzebą, sam ogłoszone przed pięciu laty rozporządzenie odwołać był zmuszony. Oto jest treść dyplomatu tego:

Nos Kazimirus dei gracia Rex Polonie. Recognoscimus tenore presencium quibus expedit universis discretis viris Consulibus civitatis Cracoviensis fidelibus nostris in Mille sexagenis grossorum pragensium usualis pecunie, pro quibus eisdem obligavimus ex iusto debito solvere nos teneri. Quam quidem pecuniam predictis Consulibus dare et solvere promittimus a fideiussione huiusmodi ipsos exsolvendo super Carnisprivium proxime nunc venturum harum nostrarum sub sigillo nostro munimine testimonio literarum: Nos Hircó Ymgramus Palatinus Cracoviensis, Ostaska Castellanus lublinensis, Henricus Castellanus Wyssliczensis, Jesco Castellanus Woyniezensis, Andreas subcamerarius, Teasco Gelitko subpincerna, Poleo de Koszczelicz, Zevisch Camerarius, Petrus dictus Neorra, Grotht filius Castellani Tarnoviensis, Gregorius de Balicz ac Jacobus de Dabmno pro illustri principe domino nostro Kazimiro Rege predicto manu conjuncta fide sincera ac in solidum providentes omni doli scrupulo semoto prescriptam pecunie quantitatem Mille sexagenis grossorum si ipse dominus noster Rex non exsolverit quod absit termino in prefixo. Ex tunc universa promissa in solutione ipsius pecunie nostris pecuniis tenebimur adimplere. Memoratos Consules ab huiusmodi fideiussione indemnitater ac involubiliter exsolvendo. Quod si negligentes fuerimus in prescripto termino Carnisprivii, quod deo dante non fiet, ex tunc confestim nulla eorum monicione preventa ac immoniti proxime sequente dominica Quadragesima qua in Ecclesia dei Cantatur *Invocavit*, hospicium viri honesti in Civi-

tate predicta Cracoviensi quodcunque nobis duxerint deputandum subintrare iusto solito moreque obstagii. Et ab eodem nullatenus exituri obstagio quin prius Capitalis pecunia videlicet Mille sexageni grossorum Pragensem cum dampnis et expensis accrescentibus ac eventibus per nos plenarie fuerint persolute. Conformiter unum ex nobis ab altero nequiquam sequestrando nec petitiones aut mandata ipsius domini nostri Regis domine nestre Regine aut aliorum quorumcunque dominorum aut personarum sub aut quempiam nostrum de ipso obstagio poterint excusare nec terminum ultra prescriptum prorogare. Preterea si volente domino unus vel plures nostrum pendente solutionis termino de hoc medio tollentur protunc equivalens aut equivalentes persono prehabita promissa vice defunctorum debebunt per nostras provisiones dando operam cum superstitionibus et vivis remanentibus rata grata et tenebuntur in singulis ut prescribitur articulis observare. Potissime eciam inseparatim ac indivisim sine dolo omnia promissa servare sub nostre conservacione fidei et honoris. In cuius Rei Testimonium et evidenciam pleniorum Sigilla nostra omnium predictorum presenti pagine sunt una cum sigillo prefati domini nostri Regis appensa. Actum Cracovie Sabbato post Ascensionem domini Anno ejusdem domini Millesimo Tricentesimo quinquagesimo secundo. (*Oryginał zachowany jest w Archiwum Senatu Rządzącego*). (Dokończenie nastąpi).

GRÓB W NOWYM - YORKU.

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka
Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starego zmarłego dał pod wieko w trunie,
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
....kamień bez sądu rzuć prosto do piekła.

A. M.

I.

Fregata *Délivrence* dzisiaj daleką rozpocznie podróż; jasne promienie słońca ozłociły jej maszty i żagle, niebo czyste, błękitne, żadną niezacienione chmurką, głębina morza spokojna, wszystko żegludze szczęśliwy przepowiada początek.

Przez ulice Hamburga tłumy ludzi zdążają do portu. U jednych wybladłe oblicza zwracają się z tęsknoty wyrazem ku stronie, którą na zawsze opuścić zamierzili; inni

z nadziei spojrzeniem witają nawę, która ich do nowego ma przenieść świata. Ten uściskiem żalnym żegna przyjaciela, którego już może nigdy nie zobaczy! Tamten z niemą rozpaczą, ze złorzeczeniem w sercu, rzuca starą ziemię, gdzie mu niegdyś lata dziecięce w lubej swobodzie i nadziei ubiegły. Tam całe rodziny, jak gdyby uciekając przed niedolą i nędzą, szybkim dążą krokiem. Tutaj jeden samotny wędrowiec, na pozór obojętny i zimny, zdaje się, iż bez tęsknoty i żalu wstąpi na pokład, on nawet nie zwraca oczu ku rodzinnej stronie, czyliż tam nic nie zostawił? *nic coby było też godne?!—* Tak sądzą ci, co tylko przelotnie na niego spojrzeli.... Ach! on pożegnał na zawsze ziemię ojców swoich! ziemię świętą! ziemię zbyt drogich pamiątek! pamiątek, które w tajnikach serca zachowane nieugaszonym wrzały ogniem! I ta to właśnie płomienna boleść rozdartej duszy nie dozwoliła mu, chociażby jednym rzutem oka spojrzeć poza siebie!.. — Tam kilku młodzianów zwolna postępuje, co chwila oglądają się w stronę, gdzie poraz pierwszy światło dnia ujrzeli. Wzrok ich smutny, usta żalem ściśnione, tłumią westchnienia w młodej piersi, połykają łzy niemęskie; im także z udręczeniem serca przychodzi oderwać się od tej ziemi, na której się zrodzili. Tam czuła matka za nimi płacze, tam dobry ojciec zatęskni; tam pozostały siostry, tam bracia, a może dla niejednego z nich istota, w której oku przyszłość swojego szczęścia zgadywał... — Tutaj siwowłosy starzec, w lichym odzieniu, z goryczy wyrazem na wydatnych rysach, opiera się na rękę młodej dziewczycy, która łzawe oczy zwraca ku zachodowi, bo tam pozostał drogi przedmiot jej najpięrszych uczuć!

I cóż jest powodem wyjczyzniania się tylu ludzi?—
Dokąd oni dążą? i jakim cel ich wędrowki?

Niedola, nędza i sroższe jeszcze nieszczęść koleje znie-
walają ich do opuszczenia pięknej Europy! miast jej boga-
tych, jej wiosek zamożnych, i w złote plony okwitych
łanów. A uciekają do nowego świata do nie zwiedzanych
jeszcze ludzką stopą lasów, do pól nieuprawnych, pomię-
dzy ludy nieuobyczajone!.. Przenoszą społeczeństwo w pół-
dzikich narodów nad wykształcone syny Europy! chaty
z nieociosanych balów zbite, nad świetne salony miast
naszych! bo tam ich wiedzie nadzieja swobody i szczęścia!
Czyliż znajdują szukane dobro?

Zbliża się do brzegu morza kobiéta, młoda jeszcze,
lecz cierpieniem znękana; blade i lube rysy zapełnił wy-
raz głębokiej rzewności; na czole widać spokój duszy, ale
w jej spojrzeniu poznałbyś, że przechodzi niezastąpienie
smutnego życia koleje. Słabe siły natężonym zwycięża
pośpiechem: ona zmierza do celu najgorętszych życzeń
serca, tam, gdzie ją wzywa powinność, a wiedzie naj-
szlachetniejsze uczucie niewieście. — Jedną rękę oparła
na ramieniu młodego mężczyzny, którego twarz dotkliwy
osłonił smutek, drugą trzyma małą rączkę kilkoletniego
chłopczyka, zwracającego wzrok ciekawy na wszystko, co
go otacza.

Młodzieniec milczy, bo mu sroga boleść serce przy-
tłacza; również i jego towarzyszka słowa wyrzec niezdol-
na, nadzieja i obawa przebiega jej umysł.

— Mamo! mamó! czy to na tém wielkiém czólnie popły-
niemy do tatki? Ach jak ja się cieszę, że do tatki jedziemy!..
Ale tatka mnie nie pozna, taki wówczas byłem małeńki,
kiedy tatka odjeżdżał. Mamo! czyliż nas tatka pozna?

— Pozna mój Kaziu, o pozna! — głos jej zadrzał z nie-
wysłownego wzruszenia.

— Gdyby téż wujaszek z nami popłynął, dodał Kazio. Ach mamó! patrzo, jak to wujciowi markotno.

— O mój Józefie! — stłumiły się wyrazy w jój piersi i tylko czule rękę brata ścisnęła.

— Jest nas tylko dwoje Maryo! i czemuż nas srogie przeznaczenie rozłącza? czemuż ciebie los nieubłagany na drugą półkulę ziemi przenosi?

— Taka jest wola nieba!

— Obyś tam, w nowym świecie, przynajmniej dawne szczęście znalazła!

— Znajdę tam mojego Kazimiérza.

— Okropna obawa o ciebie, droga siostró, obawa, że i ty może doznasz niedostatku...

— Mienie, które z sobą unoszę, któreś ty tak szcudną zwiększył ręką, zabezpieczy nam życia potrzeby. Kazimiérz nawykł do pracy, nawykł niestety! może do ciężkiej pracy, a ja, czyliżbym i ja nie potrafiła na kawałek chleba zarobić?

— Pisuj mi często, Maryo, często pisuj! i donoś szczerze i otwarcie o położeniu waszém. Pamiętajcie, że w Europie pozostał wam brat, brat czule was kochający.

Józef oczy dłonią zasłonił; może go raziły promienie słońca? O nie, nie, on łzą zroszone zakrył powieki.

— Cztery lata! cztery już lata minęły, wyrzekła po chwili Marya, kiedy pożegnawczy uścisk Kazimiérza zmroził w łonie mojem wszystkie szczęśliwujące mnie uczucia!.. Cztery lata jemu w niedoli, w niedostatku, w tułactwie i w gorzkiej przeminęły tęsknocie, w tęsknocie za mną i za jego dziecięcim! za tém wszystkim, co mu jest drogiem!

Rozgłośny huk działa na fregacie obił się o mury miasta i przebrzmiał w dalekiej morza przestrzeni. Marya rzuciła się z płaczem w objęcie brata... Któż nie doznał kiedy krwawej boleści pożegnania!.. ostatniego bądź z dro-

wa. — O, w tym wyrazie mieści się nieraz wyroczenia tęsknoty na całe życie! niekiedy z tym wyrazem żegnamy szczęście nasze na zawsze!

— O moja siostró! niechaj cię Bóg prowadzi!

— Józefie!.. bracie mój!.. kochany mój bracie żegnaj cię!

Marya chwiejącym krokiem wstąpiła na pokład.

Świadkiem tego rozdzierającego serce pożegnania był mężczyzna, który dotąd tak obojętnym i zimnym na wszystko się okazał; lekki rumieniec na ogorzałe występujące lica, błysnienie oczu i ust zdrżenie dowiodły w tę chwilę, jak silnego doznał wzruszenia. Przystąpił do Maryi i Józefa, kilka w ich mowie wyrzekł wyrazów, byli rodakami! Kiedy się spotykamy w ziemi obcej z tymi, co jedną z nami mają ojczyznę, zdaje nam się, że oddawna miłe nam oglądamy rysy, uścisk nieznaną nam dotąd ręki nagle w bratnie zamienia się uściśnienie, pierś dziwne, w pół lube w pół smętne rozepcze uczucie, a w umyśle odnowią się cudną barwnością wszystkie drogie, ubóstwione pamiątki stron rodzinnych!

— Polecam ci siostrę moję, Konradzie, wyrzekł Józef żegnając współziomka.

— Będę jej bratem, opiekunem, będę czuwał nad nią.

— Józefie!

— Maryo!... Kazio, mój mały kochany Kazio!

— Do widzenia wujaszku! my nie zadługo z tatką powrócimy, proszę pamiętać o moim koniku!

Fregata podniosła kotwicę. Marya upadła na kolana, wznosząc oczy i ręce ku niebu. Kazio białą chustką wujowi pożegnawcze przesyłał ukłony, który w niemym żalu długo, długo, dopóki oddał nie zamglila widoku pięknej *Délivrence* ściagał oczyma nawę, unoszącą dwie drogie sercu jego istoty w świat tak bardzo daleki i obcy.

II.

Obojętna na piękne i wspaniałe gmachy, które Nowy-York zdoła, mija Marya najpiękniejszy jego budynek *New-York-Eshange*, nie udarowawszy go i jedném spojrzeniem; wysyła tęskne źrenice dalej a dalej, spieszy tak hyżo po szerokim chodniku pięknej *Broadway*, jak gdyby ją powiew wiatru unosił, i już sięga wzrokiem, w szeregu okazałych kamienic trzy mile (ang.) długiej ulicy, domu, gdzie swego Kazimiérza ma znaleźć. Nagle tchu jój zabrakło, nogi drżą gwałtownie, kolana uginają się pod nią, im bliżej chwili szczęścia, tém większa ogarnia ją trwoga. Lodowate zimno przebiega jój żyły, zęby dzwonią jak od febry dreszczu, oczy bielmem zachodzą, wszystko wokoło niéj zdaje się krążyć; ścisła rączkę dziecięcia swego, i bezsilnie opiera się o mur ozdobionego gmachu... Przechodzący spojrzeli na biędną bladą kobietę, lecz kaźden szybko dalej dążył, gdzie go własny wołał interes.

— Mamo, pójdźmy! pójdźmy mamo! — Marya okiem przedziera przestrzeń dzielącą ją od mieszkania bogatego kupca, w którego kantorze Kazimiérz pracował, i znowu biegnie, moc moralna krzepi zwąglone siły, twarz jój promienieje, oczy się iskrzą gorączkowo, sił ostatku dobywa, a przecież rzekłbyś, że stopa jój nie dotyka poziomu.

— Pan Konrad powraca! zawołał Kazio.

Marya przystanęła, zdrętwiała. Konrad pobiegł był na przód, ażeby Kazimiérza o przybyciu żony jego uprzedzić, i sam jeden powracał! Zbliża się zwolna, cała jego postać zwykle tak męska chwieje się i przerażenie oznacza, rysy zmienione, twarz grobowo-blada. Marya postąpić dalej niezdolna, głos zamarł w niewieściej piersi, ręce bezsilnie owisły, wzrok osłupiał, po chwili dopiero wyrwały się z jój łona wyrazy:

— Mój Kazimiérz!.. mój Kazimierz!.. nie żyje! utopiła wzrok badawczy w oku Konrada, ale Konrad milczy, pierś męska gwałtownie żalem się wzdęła, milczy, iza tylko w oku jego przemówiła. — Niestety! nieszczęśliwa odgadła prawdę, Kazimiérz uległ pod ciężarem niedoli, zgryzot i pracy, pośród obcych, w obcej spoczął ziemi!

— Pani masz syna, wyrzekł nakoniec Konrad, dla niego powinnaś..

— Nie żyje!.. nie żyje!.. mój Kazimiérz! — i z przeźliwym jękiem upadła na ziemię. Ach, był to zawrzask najokropniejszej boleści rozdartego serca! boleści, której ogrom tylko, jedynie tylko kobieta odczuć może.

III.

Cisza i spokój wieczorny zaległy okolice Nowego-Yorku. Błady księżyc srebrne roztoczył promienie; jeden z nich oświetlił świeżą mogiłę, która wśród pysznych grobowców skromnym tylko czerniła się krzyżem. Żelazne na nim umieszczono litery: napis nie w krajowej mowie, a nazwisko zmarłego również obce i nieznane. — Oparta o znak Zbawiciela klęczy pochylona niewiasta, czarne ją kryją suknie; opodal chłopczyk ze złożonemi rączkami smutnym wzrokiem spogląda ku niebu, jak gdyby drogiego przedmiotu szukał w jego błękitach.

„Kazimiérzu! mój Kazimiérzu! wyrwało się z łona klęczącój; przybyłam osłodzić cierpienia twoje! rzuciłam dom rodzinny, pożegnałam brata, i z uczuciem miłości i nadziei powierzyłam się bałwanom niezmierzonój toni Oceanu, który dwa światy przedziela!.. Pragnęłam spocząć przy twojém sercu, podzielić z tobą trudy życia, znaleźć za srogie smutki nagrodę!.. i twój grób znalazłam! Ty śpisz mój luby, ty nie słyszysz odgłosu moich jęków,

ty nie widzisz łez twojego dziecięcia!.. Dwoje sierot kłęcz przy mogile kryjącej zwłoki twoje, dwoje sierot z daleka przybyłych!“ Kazimiérzu! ja nie zadługo za tobą pospieszę, mój luby! połączymy się tam, gdzie nas już nic nie rozdzieli. Pospieszę do ciebie Kazimiérzu, znękana przeciwnościami losu, przytłoczona niezliczonymi zgryzoty!.. syna naszego, to drogie dziecię, po krótcie dwojako osierocone, powierzę opiece brata: bo już i miłość matki nie zdoła wskresić ulatującego życia.. Czuję zbliżenie się chwili ostatniego kresu, oby mi przynajmniej siły do przetrwania podróży starczyły! Lecz wszakżeż Bóg jest litościwym i nie opuści biédnej sieroty! Ja ufam świętej jego opiece, a Józef uroczyście wywiąże się z poruczonego mu obowiązku. Kazimiérzu! tylko kilkochwilowém szczęściem zajaśniało nam życie, potem bolesne pożegnanie, potem cierpienia i tęskność bez kresu, a teraz twój grób!.. — Nieszczęśliwa z przepelnionój boleści, z okrzykiem rozpacz, twarzą na mogiłę bezsilnie upadła.

— Mamo! mamó! zawołał płacziwie Kazio — w tę chwilę wybiegł z poza pomnika okazałego mężczyzna, współziomek Maryi, i wyniósł zemgloną z cmentarza.

W kilkanaście dni później okręt amerykański odpływał do Europy; suchém okiem, z śmiertelną raną w sercu żegna Marya ziemię, w której zostawia zwłoki Kazimiérza, z której uniosła tylko garść piasku z mogiły drogiego męża, i najboleńsze sieroctwo.

— Cóż posyłasz w strony rodzinne? zapytała ziomka, który w pierwszych chwilach jój najwyższego nieszczęścia stał się dla niój aniołem smutnej pociechy.

— Tęsknotę, gorące modły i życzenia! — zamglilo się oko, i ręki skinieniem wysłał może ostatnie od siebie pożegnanie.

IV.

Gęste, ciemne obłoki zaległy cały niebokrąg, i cisnąc skupione powietrze na przestrzeń ulęknionego morza, hardy zmusiły żywioł do téj bezwładności, która najwścieklejszą zapowiada burzę. Zwolna błyskawice krzyżować się poczęły; w miejscu zwykłych bałwanów mąciły lekkie bryzgi czarne morza zwierciadło, grom przeciągłym, straszliwym łoskotem poprzedził pierwszy piorun, za nim drugi uderzył, dziesiąty, setny, a niebo rozwarło się już jednostajnym płomieniem. Szalony wichur wleciał z chycho-tem szatańskim, i w jedném mgnieniu oka drobne bryzgi w trzypiętrowe zamienił bałwany, zdruzgotał maszty, porwał liny i okrętem pomiałał na wszystkie strony, aby go doszczętnie zdruzgotać.

Kiedy podróżni w śmiertelnym strachu z miłości życia, wrzaskiem rozpaczy zapełnili wszystkie kajuty, a do wszelkich niebezpieczeństw nawykli majtkowie, ostatnie wyczerpując siły, o ratunku zwątpili, i w poszmernéj modlitwie kaźden Bogu polecał swoją duszę; kiedy starzy żeglarze przy bratnich uściskach łzę pożegnania ronili, na pokładzie okrętu stała milcząca kobiéta, tuląc do matczynego łona małego chłopczyka. Jéj wyniszczona postać czyniła ją raczéj do pośmiertnéj aniżeli do żyjącej istoty podobną. Pomimo, że oczy swoje błagalnie do zagniewanego wznosi nieba, nie było w nich widać ani cienia trwogi i bojaźni o życie; ona błagała za tych, dla których życie tak wielką jeszcze wartość miało, że na zbliżenie się śmierci wydawali jéki rozpaczy. Téj milczącej pośród niebezpieczeństw spokojnéj kobiéty nie przestraszy nawałnica morska; ona już okropniejszą burzę życia przetrwała.

„Ty razem zemną zginiesz, nie zostawię cię sierotą, nie poznasz świata i jego goryczy!“ Te były jedyne wyrazy, które w chwili największego niebezpieczeństwa do dziecięcia swojego wyrzekła.

Burza ustała, promienie słońca ómy złowieszcze przedarły, ostatni ryk morza przesumał, olbrzymie bałwany zmały, a wiatr łagodny igrał tylko z bielącemi się stertami piany, co długo jeszcze zmaoną pokrywała Oceanu powięrzchnię.

Dziękczynne modły unoszą się ku błękitom pogodnego nieba, i Marya się modli; patrzy na swojego syna, a jęj myśli przebiegają przestrzeń niezmierną, zwiedzają jęj kraj rodzinny! — „Tam spoczne w ziemi ojców moich!“ Luba rzewność owiała rysy, schyliła głowę. — „Ciebie oddam w opiekę bratu“ i ża rozczulenia spłynęła na czoło Kazia, który z miłością dziecięcą do jęj przytulił się łona.

V.

Na zieloném wzgórzu bieli się dworek wśród wieńca drzew rozłożystych; w ogrodzie po czworobokach, trójkątach i kołach, świeżą obłożonych darniną, tysiące błyszczący kwiatów. Porządne gumna i dziedziniec trawą porosły okola parkan z nowych tarcic; główna brama stoi otworem. Z wieśniaczych chat, których słomiane kryty gościnnie z pośród gruszkowych drzew i topoli wyglądają, unoszą się dymy z murowanych kominów, a od jeziora, co swoją przezrocą powięrzchnią pogodne odbija niebo, wracają chłopcy z napojonemi końmi; śmiech pusty i wesołe okrzyki towarzyszą im, mali jeźdźcy usiłują jeden drugiego prześcignąć. Uboczną bramą dziedzińca, otoczona chmurą kurzu, trzoda wełnistych owiec przechodzi, powracające z pola bydło głośnym rykiem wita schronię

swoję, gdy z sąsiedniej wioski, z poza jeziora, rozlega się po zroszonej łące odgłos dzwonów wieczornych.

Przed dworcem stoi Józef, twarz jego jaśnieje szczęściem, dopiero co do domu powrócił, odwiedzał dzisiaj swoją narzeczoną, którą już za kilka tygodni zaślubi. Młody dzierżawca pilny i dbały, wydał rozporządzenie gospodarce, gdzie jutro jęczmień siać mają, w którym miejscu rolę na rzepak sposobić, potem pobiegł do ogrodu, z zadowoleniem spojrzął na rozwite kwiaty i ładne krzewiny, na wyczyszczone chodniki, na drzewa piękny zapowiadające owoc; w myśli widział ulubioną swoją w tych miejscach... Lecz czemuż nagle wyraz tak smętny, jak ciemna chmura, gdy jasne pokryje słońce, zaległa młodzieńcze oblicze?... O, bo żywa wyobraźnia chyżo go dalej a dalej uniosła, poza krańce ojczyśczej ziemi, poza kończyzny Europy, poza Atlantyck, do Ameryki!! — To widział szczęście i spokój Maryi i Kazimierza, to znowu ujrzał tęskniących i smutnych, i ścisnęło się serce brata na wspomnienie: może ich już więcej nie zobaczę!

Turkot zajeżdżającego przed dwór pojazdu, przerwał marzenie Józefa, pośpieszył na powitanie gościa.

Maryo! wrzasnął i przytulił na wpół zemdloną do łona. Maryo! siostró moja! — Jój suknie żałobne kazały mu się smutnego domyślić wypadku.

Mój Kazio! kochany mój Kazio! — chłopczyk przyczepił się do szyi wuja.

Marya bezsilnie upadła na krzesło, chustką potarła zwiędłe rysy, przeraził się ich widokiem Józef, tak okropnie były zmienione.

— Moja siostró! wyrzekł tłumiąc w sobie żal gwałtowny: czemużeś mnie o twoim powrocie nie uprzedziła, byłbym po ciebie.....

— Pisałam z Hamburga..... Józefie! bracie mój! wróciłam, ażeby w ręce twoje złożyć skarb mój jedyny, ażeby opiece twojej mojego syna powierzyć!.... Bądź mu ojcem, bądź ojcem sierocie!.... Ja was nie długo opuszczę, ostatnie siły stargane..... Pragnęłam raz tylko jeszcze ciebie oglądać, powitać niebo mojej ojczyzny!

— O droga, ukochana siostrzo, nie wymawiej tak boleśnych wyrazów!

Na trzeci dzień po swoim powrocie, Marya z niebiańskim spojrzeniem w łagodnych rysach, z wyrazami poddania się woli Boga, błogosławiąc stygnącą dłońią swojego synka, uśmiechając się do brata, przymknęła powieki; oddech jój zwolnił, ręka obwisła. Józef się pochylił, ukochana siostra już nie żyła!.... Życie istotnej cnoty niewieściej, zrozumieniem i uczuciem wielkich powinności wiedzione, ze spokojnym skonem uleciało, jak technienie anioła.

Paulina z L. Wilkońska.

Sprostowanie pomyłek: W numerze 4 na str. 123 wiersz 4 zamiast *excitat*, czytaj *existat*; na str. 125 wiersz 5 od dołu zam. *szwedzkiego* czyt. *szredzkiego*.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca*. Prenumerata roczna wynosi *Złp. 20*, półroczna *Złp. 12* i ma być opłaconą *s góry*; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. *Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne*. W *Galicji* przyjmują tylko księgarnie, w *Cesarst. zaś Rosyjskiem i Królestwie Polskiem* w *Urzędach pocztowych* prenumerować można.

DWUTYGDNIK

LITERACKI.

N. 6. KRAKÓW dnia 15 Czerwca. 1844.

Treść: Do Alfreda M** przez Fr. Jakubowskiego. — O Hussie i Hieronimie z Pragi (dokończenie). — O prawie załogi w Polsce J. H. S. Rzezińskiego (dokończ.). — Wielki gość w Tatrach, obrazek obyczajowy pr. K...ski. — Kronika literacka. — Bibliografia.

DO ALFREDA M***

Alfredzie! mniej cię kochać, lub mniej w życiu cenić,
Choćbyś chciał, już zapóźno serca nasze zmienić.
Jednym uczuciem tchnący, i losy jednymi
Przywiązani obadwa jesteśmy do ziemi.
Lecz gdy nas do klęsk tyłu gonią troski nowe,
Kiedy widzę, jak duma w laurach niesie głowę,
Gdy fala żądź szalonych nawą zasług miota,
A dziwactwem fortuny nauki i cnota;
Daruj mi, że w niestałej dni naszych kolei,
Któręj ty chcesz zaufać, ja nie mam nadziei.
Szczęśliwy! kto się w płochych marzeniach nie gubił,
I od losu mu dane ubóstwo polubił.
Jeśli w ustroniu pokoju nie wniósł cierpień świata,
Nigdy zwodnej nadziei nie dotknie go strata.
A choć kiedy złej wróżbie, lub smutkom ulegnie,
Krok w krok niosąc zdroj pociech przyjaźń za nim biegnie,
Z nią w podział biorąc troski, cierpienia i zmiany,
W bólach znajduje rozkosz i pieści swe rany.
Nim więc błogie dla nauk powrócą nam czasy,
Śledźmy, w jakie z fortuną szły nieraz zapasy.

Mędrzec, duchem natchnienia i czcią upojony,
Blaskiem swoim ozdabiał pałace i trony;
W misterne strojąc wieńce uczucia i słowa,
Z ust ognistym potokiem płynęła wymowa.

Dźwięk lutni blade cienie wywabiał z Erebu,
A lud w hołdzie bez granic ród jój przyznał niebu.

Minał wiek Peryklesa i Augustów w Rzymie,
Kiedy tryumfem było wieszczą nosić imie.

Bohater służąc chwale, mimo ran i trudu,

Nad skarb świata prznosił śpiew wdzięcznego ludu;

I choć gmach, który bronił, w gruzach wielkość kryje,

On jak czas nieśmiertelny po stu wiekach żyje.

Nagle olbrzym przesądu świat objął w ramiona,

I jak łódź w falach błędu słońce prawdy kona.

Drżało serce pod zbroją wolne od zepsucia,

Lecz na widok żelaza pordzawiały uczucia.

Myśl chodziła w okowach, świat zbrodniami spłynął,

Dla nauk i wiek dumy i nadziei zginął.

W płomieniach namiętności tworzono widziadła,

Od nich prawda, jak maska od twarzy odpadła;

A widmo w jój przybytkach skrwawionym bułatem,

Światła i geniuszu potrzęsalo kwiatem.

Wtedy mędrzec, z długiego rozum uśpienia,

Na gruzach Irmensula wznosił godło zbawienia.

Twarde się o tarcz jego kruszyły oszczepy,

Dzikie hordy przerzucił w Sabaryjskie stępy.

Niepomny tylu cierpień i trudów i straty,

Torował nową drogę jutrzence oświaty;

A utworom dowcipu dawną wróżąc dzielność,

Na grobie zmarłych ludów wyrzył nieśmiertelność.

O jak z upadku nauk powstało zmian wiele!

Tłaj świętej iskry szczątek ukryty w popiele.

Z niej duch prawdy, choć przesąd i gmin mu nie dały,
Po szczeblach myśli wdarł się do przybytków chwały.
Ztąd nie dziw, że obluda hołdując ciemnocie,
Zrywa owoc rozkwitły talentom i cnocie.
Lub szydząc z poświęconych ręką nieba darów,
W dzikich się pasmo wieków przekształca Omarów (*).
Tasso, którego pieniom sam czas upaść nie da,
Gdy wzniosłym budził rymem zwycięstwa Gofreda,
Kiedy krwawego chrześcian dobijał się plonu,
Chcąc zatknąć sztandar chwały na górach Syonu;
Boski wieszcz, za bezsennych tyle dni i nocy,
Strącon w ostatnią nędzę hańby i przemocy.
Gdy go wdzięczność nagrody, los szczęścia pozbawił,
Wypchnięto go z szpitala, który sam wystawił.
Ten nawet, co się sprzysiągł z losem go pokłócić,
Utraconego dobra już nie mógł mu wrócić.
Kamoens umarł z nędzy, śród prac i zasługi,
Woglas sprzedał swe ciało chirurgom za długi.
Serce pomimowolnie zda się bluźnić Bogu,
Kiedy słodki Kassander kona na barłogu.
Z czyjąż czią da się równać górnych myśli cena,
Bullera i Otwaja, Spensa i Drydena?
Anglia je powtarza i świat im się dziwi,
A oni w niedostatku żyli nieszczęśliwi!
Przebóg! na łonie nawet światłego narodu,
Naśladowca Homera, Milton umarł z głodu.
Ludzie na widok wieszczą z serca się wyzuli,
I na jego skon tęskny patrzeli nieczuli.

(*) Kalif Omar zdobywszy Egipt, a w nim niedoceniony księgozbiór Ptolemeuszów, zdając go na pastwę płomieni rzekł: spalcie te księgi! jeżeli zamykają rzeczy zgodne z koranem, są niepotrzebne, jeżeli co przeciwnego, są niebezpieczne.

Chwała wam wielkie naszych Zygmunatów imiona!
 Wyście muzy wzgardzone tulili do łona.
 Rozgrzane serca hartem odwagi i cnoty,
 Na nowo tchnęły życie w zbłąkane sieroty (*).
 Dziś po świetnej przeszłości posepnie i głucho,
 Jęk pogrobowej pieśni tęszne razi ucho,
 Na wieżach sławą brzmiających osiadł duch zniszczenia,
 Wielkie serca zstąpiły między grobów cienia,
 Ztrwożony wieszcz w samotne tuli się zacisze,
 I spogląda na lutnię, którą wiatr kołysze...

Fr. Jakubowski.

O HUSSIE I HIERONIMIE Z PRAGI.

(Dokończenie).

Zbór konstancyeński potępiwszy i spaliwszy Husa, szuka drugiej ofiary w Hieronimie z Pragi uczniu jego. Był on wyższym od nauczyciela swojego w dowcipie i w wymowie. Niechcąc zaś odstąpić od zdań Husa, ani powziętego z młodych lat ku niemu zaprzec się przywiązania, był w kilka miesięcy na ogień od tegoż samego sądu skazany. Przy téj okropnej scenie pokazał tenże sam niewzruszony statek umysłu, toż samo nieustraszone męstwo, tę samą wielkość duszy, co i jego nauczyciel. Zachwiał się on wprawdzie z początku i potępiał zdania Husa, zastraszony groźbami najsurowszej kary, która go czekała; ale widząc potem z jaką wspaniałomyślnością Huss

(*) Erazm Rotterdamski mawiał: „Polska jest ojczyzną tych wszystkich, co uczonymi być śmieli.“

na rozpalonym umierał stosie, powstydzil się téj słabości, a uczyniwszy publiczne odwołanie swojego przez bojaźń wymuszonego zeznania, na tymże placu i z podobną męką, na heroiczną zdobywszy się rezygnacją, w płomieniach dokonał życia.

Poggio florentczyk sekretarz papieżki, jeden z największych literatów wieku piętnastego i z pierwszych odnowicieli nauk i dobrego smaku w Europie, przytomny sprawie i śmierci Hieronima praskiego, takie mu dał świadectwo w jednym dziwnie pięknym liście, najczystsza łacińska godną wieku Cyncerona napisanym do Leonarda Aretina uczonego wielkiej sławy w wieku piętnastym, który ponieważ pokazuje rozsądek ludzi oświeconych, cnotliwych i nieuprzedzonych o tym sławnym człowieku, którego najsmutniejsza dola jeszcze dotąd rozrzewnia serca nasze, i że jest pełen dobitnych wyrazów co do mocy a razem dobrego smaku co do sposobu pisania, nie mogłem się oprzeć miłej chęci przełożenia go na rodowity język i przywiedzenia na tém miejscu. On wystawia jasnie przed oczy cały obraz tego tak tkliwego widoku i jednego z najsmutniejszych w dziejach religii chrześcijańskiej wypadku.

„Gdy przez kilka dni (pisze Poggio) u wód ciepłych bawiłem, napisałem do Mikołaja mojego przyjaciela z samego miejsca list, który rozumiem czytać będziesz. Za moim później do Konstancyi powrotem, w kilka dni zaczęto sądzić sprawę Hieronima, którego trzymają za kacerza i zaiste jawnego. O téj cię uwiadomić postanowiłem, już dla ważności rzeczy, już najwięcej dla wymowy tego człowieka i jego nauki. Przyznam się, zem nikogo nie widział, któryby mówiąc za sobą zwłaszcza, gdy sąd o głowę idzie, bardziej zbliżył się do wymowy starożytnych krasomówców, których my tak wielce uwielbiamy.

Była to rzecz pełna podziwienia widzieć, jakimi słowy, jak potężną wymową, jak gruntownemi wywodami, jak wypogodzonem czołem, jak nicodmienną twarzą, jak pełną zacności postawą, z jaką ufnością odpowiadał przeciwnikom i nakoniec jak przeważnie rzecz całą zakończył. Słusznie ubolewać należy, iż tak wysoki dowcip, tak wyborny rozum, do myśli heretyckich się nakłonił; jeżeli jednak to prawda, co mu zadawają, bo nie jest rzecz moja o tém sądzić, przestaję na zdaniu mędrszych ode mnie. Ani rozumię, żebym miał obyczajem krasnomówskim wszystkie pojedynczo sprawy téj wyliczać okoliczności, długa by to była i wielu dni robota. Niektórych tylko znaczniejszych dotknę rzeczy, z którychbyś mógł męża tego nauki doświadczyć. Gdy wiele dowodów przeciwko temu Hieronimowi przywiedziono, które go o kacerstwo obwiniały, i gdy to mniemanie coraz bardziej się wzmacniało, postanowiono, aby publicznie na każdy w szczególności odpowiadał zarzut. Stanąwszy zatem przed radą i odebrawszy rozkaz odpowiadania, długo się wymawiał, twierdząc: iż wprzód powinien rzecz swoją przelożyć, niżeli na potwarze nieprzyjaciół odpowiedzieć. Przeto prosił, aby go pierwój za sobą mówiącego sędziowie wysłuchali, a potem roztrząsali wykroczenia, które mu zadawano. Lecz kiedy tak sprawiedliwej odmówiono mu prośby, stanąwszy wpośród zgromadzenia: Przebóg, cóż to za niesprawiedliwość! mówi, że trzymając mnie trzysta czterdzieści dni w rozmaitych więzieniach brudem i plugastwem okrytego, kajdanami ściśniętego, nędze i wszystkiego niedostatek ponoszącego, przeciwników i oszczerców moich zawszeście chętnie słuchali, mnie jednę godzinę darować niechcecie? Ztąd pochodzi, że gdyście im ucha waszego użyczali, łatwo w was wmówili, że jest heretykiem, nieprzyjacielem

wiary, prześladowcą duchowieństwa, mnie zaś bronić się nie pozwalacie! I piérwéjście mnie osądzili u siebie za niezbożnego człowieka, niżeli, jakim jestem, poznać mogliście! Wszakże (jego to są jeszcze słowa) ludźmi jesteście nie bogami, śmiertelnymi nie wiecznie trwałymi; upaść, zbłądzić, zmamionymi, oszukanymi, zdradzonymi być możecie; świata nazywacie się pochodniami, ziemi przezornymi władzcami; usilnie powinniście się starać, abyście nic porywczó, nic lekkomyślnie nie uczynili, ani czego przeciwko sprawiedliwości nie popelnili. Ja zaś nikiemny człowiek jestem, o którego życie idzie, ani za sobą nie mówię, który śmiertelny jestem, lecz niegodną rzeczą mi się zdaje, ażeby mądrość tyłu mężów co na mnie stanowiła przeciwko słusności, boby to nie tak przez swój wewnętrzny skutek, jako przez dany zły przykład, strasznie zaszkodziło.

„Te i inne rzeczy ozdobnie mówiąc, gdy zgiełk i szemranie wielu mowę jego przerwało, uradzono, aby wprzód na błędy sobie zadane dał odpowiedź, a potem mówił to, co by mu się zdawało. Zaczém z wydatniejszego miejsca czytano z osobna punkta zaskarżenia. Zapytany, coby przeciw świadectwom złożonym miał powiedzieć, niepodobna do wierzenia jak rostopnie odpowiadał, jakimi się bronił dowodami. Nie pokazywał po sobie, coby na zacnego nieprzystało człowieka; i jeżeli to o wyrokach wiary trzymał, co słowy wyznawał, nie tylko by nie można było znaleźć przeciwko niemu żadnej sprawiedliwej przyczyny śmierci, ale nawet i najlepszego obrażenia przeciwko wierze: wszystkie zadania twierdził być fałszywe, wszystkie obwinienia od nieprzyjaciół swoich wymyślone. Gdy między innemi zarzutami przywiedziono: że jest uwłóczycielem stolicy apostolskiej, szydereą z najwyższego rzymskiego biskupa, nieprzyjacielem kardynałów, prześladowcą prała-

tów i kapłanów, chrześcijańskiej religii obmowcą; powstawszy z żalonym głosem i z wyciągnionymi rękami: Gdzież teraz się, mówi, obróć ojcowie zgromadzeni? czyjegoż wywać będę ratunku? kogo prosić? kogo zaklinać? was-że? ale prześladowcy moi umysły wasze ode mnie odrazili, kiedy mnie głoszą być nieprzyjacielem tych, pod których sąd podpadam. Bo tak u siebie zdradliwie ułożyli, że choćby powynajdowane przeciwko mnie przewinienia były małe i niedostateczne, wy jednak wyrokami waszemi niepochybnie uciśnienie wspólnego waszego nieprzyjaciela i oszczercę, za jakiego mnie ci najniegodziwszym udali sposobem. Jeżeli więc ich słowom wiarę dacie, już po mnie.

„Wielu dowcipnemi przymawiał żarcikami wielu ostremi dotykał przycinkami, wielu pobudzał do śmiechu w tak smutnej przygodzie w żart obracając ich lżenia. Pewnemu z dominikańskiego zakonu złośliwie usta przeciwko niemu otwierającemu rzekł: *milcz obtudniku!* drugiemu na sumienie swoje przysięgającemu: ta, powiedział, najpewniejsza oszukiwania jest droga. Jednego z bezwstydniejszych swoich nieprzyjaciół nie inaczej tylko psem albo osłem nazywał. Gdy zaś dla zarzutów wielości i ciężkości rozprawy rzecz w jednym dniu zakończyć się nie mogła, do trzeciego dnia odłożoną została. Którego gdy wszystkich zarzutów dowody przywiedziono, a potem wielą świadkami stwierdzano, wtenczas podniósłszy się: „*Jakoście rzecze nieprzyjaciół moich pilnie słuchali, tak trzeba, abyście mnie mówiącego nie uprzedzonym umysłem wysłuchali.*“ Otrzymawszy zatem, choć wielu z szemraniem się temu sprzeciwiało, pozwolenie mówienia, naprzód od Boga zacząwszy prosił, aby mu takiej myśli i takiej wymowy użyczył, któraby się na dobro i zbawienie duszy jego obróciła. „Wiem ja, mówił dalej, przezacne zgromadzenie! iż wielu

było wybornych mężów, którzy najzelżywsze i najokrutniejsze męczeństwa wycierpieli za swoje cnoty, że od fałszywych zatłumieni świadków najniesprawiedliwsze odnieśli wyroki.“ Poczawszy zaś od Sokratesa przytoczył, jak niesłusznie od swoich był potępiony współobywatelów, ani gdy miał sposobność uchodzić i oswobodzić się z więzów, użyć jej nie chciał, ażeby dwom najprzykrzejszym dla ludzi rzeczom bojaźń i postrach odjął, to jest więzienia i śmierci. Potem wspomniał Platona niewolą, Anaxagory i Zenona męki, wielu jeszcze starożytnych filozofów niesprawiedliwie na stracenie życia osądzonych, Rutiliusza zgubę, Boecyusza i tych, o których Boecyusz świadczy, niewinną śmierć wspomniał. Za tém do przykładów z żydowskich dziejów wziętych przeszedł. A naprzód mianował Mojżesza wybawiciela narodu i praw najgruntowniejszych stanowiciela, jak często był od swoich potwarzony, za zwodziciela i wzgardziciela ludu miany, Józefa z zaźdrości od braci sprzedanego a dla obelgi ułożonej na siebie od bezwstydnjej kobiety do ciemnicy wtrąconego. Prócz tych przywiódł Izaiasza, Daniela i wszystkich prawie proroków, jako wzgardzicieli Boga, jako buntowników, za niesprawiedliwemi wyrokami straconych. Tu także przydał Zuzanny i wielu innych sąd, którzy będąc najcnotliwszymi ludźmi niesłusznie zginęli. Więc do Jana Chrzciciela, tudzież do Chrystusa prawodawcy naszego przystąpiwszy, powiedział, iż wszystkim wiadomo, jako przez fałszywych świadków i niegodziwym sądu wyrokiem byli potępieni. Nie opuścił Szczepana od zgromadzenia kapłanów ukamienowanego, apostołów zaś wszystkich na śmierć skazanych nie zaiste jako dobrych i enotliwych, lecz jako wichrzycieli pokoju, zwodzicieli gminu, urągających Bogu i złych dzieł sprawców. Napomknął, jak jest nie-

godziwa, kiedy kapłan potępia niesprawiedliwie kapłana, a jak daleko jest haniebniejsza, gdy zgromadzenie duchownych tak srogi popełnia uczynek, co także przykładem dowiódł; kiedy zaś na tak niesłuszne potępienie powszechny zбір biskupów i nauczycielów religii zezwała, pokazał, że to jest ostatnim stopniem niesprawiedliwości. O tych rzeczach wymownie i z wielkiem wszystkich oczekiwaniem przegadywał się. A że wszystka sprawy wielkość na świadkach zależała, wielą przeto dowodami okazywał, iż owym świadkom żadnej niepotrzeba dać wiary, ile że nie z miłości prawdy, lecz z natchnienia nienawiści, złości i zazdrości przeciwko niemu świadczą. Potém przyczyny niechęci tak dokładnie wyłuszczył, iż o mało nie przekonał. Tak były do prawdy podobne, iż gdyby nie szło o sprawę religii, nader szczupłą wiarę onym świadectwom dać się należało. Wzruszone były wszystkich umysły i do litości nakłonił; przydał bowiem, że sam dobrowolnie stawiał się przed koncylium dla oczyszczenia siebie, opowiedział swoje życie i zabawy pełne publicznej pracy, usługi i cnoty. Dołożył o zwyczaju dawnych najuczestszych i najświętobliwszych mężów, że ich zdanie w rzeczach niektórych do wiary należących sprzeciwiały się wzajemnie, nie ku nadwreżeniu wyroków z nieba objawionych, lecz dla tém lepszego dochodzenia ich pewności i prawdy. Tak święci Augustyn i Hieronim różnili się między sobą i nie tylko odmienne mniemania lecz wcale niezgadające się utrzymywali, bez żadnego podejrzenia o herezyą. Wszyscy oczekiwali, ażeby albo usprawiedliwił się odwołując zadane sobie winy, albo o błędów swoich darowanie prosił. Ale on, ani na to niechciał przystać, że zbłądził, ani fałszywych sobie przypisywanych występków odwołać. Za tém postąpił do oddania zalety Janowi

Hussowi na ogień skazanemu, nazywając go mężem dobrym, sprawiedliwym, świętym, i że na śmierć onę nie zasłużył. Co do siebie, oświadczył się być gotowym ponosić wszelką mękę umysłem mocnym i statecznym. Widzi, że musi ustąpić swoim nieprzyjaciołom, i świadkom tak bezwstydnie kłamiącym, którzy jednak kiedykolwiek Bogu, którego oszukać nie potrafią, sprawić się muszą z tego wszystkiego, co na zgubę jego powiedzieli. Wielki żal wszystkich przytomnych ogarnął. Wszyscy sobie życzyli człowieka tak wybornego ocalić, gdyby był myśl lepszą powziął. On zaś statecznie w przedsięwziętych zdaniach trwając, żądać śmierci zdawał się, a wychwalając jeszcze Jana Husa powiedział, iż on nic przeciwko rozporządzeniom kościoła bożego nie nauczał, lecz tylko złe obyczaje duchownych naganiał, dumę, osobistość i wyniosłość, okazałe i światowe życie, rozwiozłość, zbyteczne zhiory, niepohamowaną panowania chciwość i rażącą oczy świec- kich, pompę prałatów potępiał. Bo gdy dochody kościoła obracać należy na wspomóżenie ubogich, na wypełnienie obowiązków chrześcijańskiej gościnności, na utrzymanie ozdoby domu bożego, rzeczą nieprzyzwoitą zdawało się owemu cnotliwemu mężowi, że ten duchowny majątek łożony bywa na nierządy, biesiady, konie i psy, na strojne noszenia się i na inne rzeczy niegodne religii Jezusa Chrystusa. W tém zaś wielką moc dowcipu swojego pokazał Hieronim z Pragi, iż gdy jego mowa była często przez rozmaite wrzaski przerywana, i gdy był nagabany od niektórych, wyrazy jego opacznie nicujących, żadnemu z nich nie przepuścił a równo się na wszystkich mszcząc, albo do wstydzienia się albo do milczenia przymuszał. Za powstającym gwarem ucichnął, przytomny gmin kiedy niekiedy strofując; potem dalej mowę prowadził prosząc i zaklina-

jąc, aby mu mówić pozwolili, ile że go już ostatni raz słyszeć mieli. Będąc umysłu stałego i nieustraszonego nigdy się niezałęknął na powstający krzyk i łoskot; to zaś jest niepospolity jego pamięci dowodem, że jój nie stracił, chociaż był trzysta czterdzieści dni zamknięty w podziemnym, smrodliwym i ciemnym więzieniu, na który nie ludzki obejścia się sposób sam utyskiwał, dając się z tém słyszeć, jako na człowieka wielkiego umysłu przystało: iż nie dla tego się żali, że tyle okrutnych niewinnie wycierpiał rzeczy, ale to go najwięcej dotyka, że pojąć nie może tak nieubłaganą przeciwko sobie srogości ludzi, widząc się wtrąconym do takiego miejsca, gdzie mu była odjęta sposobność nie tylko czytania i zdrowym powietrzem oddychania, ale nawet promieni słonecznych używania. Opuszczam tu ową frasobliwość duszy, która codziennie trapiła jego czule serce, a która powinna była umysł jego zwątlić i władzy pamiętania pozbawić. Tak zbladłym wynędzniałym i na siłach starganym będąc, tyle jednak najuczciwszych mężów za świadków swoich twierdzeń przywiódł, tyle kościoła nauczycielów na poparcie swojego mniemania przytoczył; coby nawet za rzecz podziwienia godną uchodziło, gdyby w najswobodniejszym czasie, przy najgłębszej spokojności umysłu, tego rodzaju naukami się bawił. Głos jego przyjemny, otwarty, mile brzmiący, ożywiony jeszcze przystojnością układu krasomówcy, albo gniew wyrażał, albo do miłosierdzia wzruszał, którego się jednak nie domagał ani dostąpić pragnął. Stał owszem nieulekniony i serca nie stracił nie tylko gardząc śmiercią, ale jój nawet żądając. Drugim właśnie Katonem mógłbyś go nazwać. O! mężu wiekopomnej godny pamięci! Nie chwaleń ja jeźeli co przeciw kościoła ustawom trzymał, ale wielbię naukę, obszerną rzeczy wiadomość, wymowę, cenę przyjemność

w wyrazach, subtelność w odpowiedziach; wszakże się obawiam, żeby te wszystkie dary nie były mu od natury na zgubę jego udzielone. Zostawiono mu potem przeciąg dwudniowy do odwołania. Wielu nader uczonych ludzi nawiedzali go, aby go do odstąpienia swego zdania nakłonić. Między innymi kardynał florencki, osobiście się z nim rozmówiwszy, na prostą zwrócić usiłował drogę. Lecz gdy uporczywie trwał w błędach, i wyrokiem zboru został potępiony i spalony, pogodnym czołem i wesołą twarzą do kresu swego przystąpił. Nie zląkł się ognia, ni rodzaju męki, ni śmierci. Nigdy żaden ze stoików tak odważnym, tak statecznym, tak mężnym umysłem nie umierał, jak ten umierać pragnął. Gdy na plac śmierci przyszedł, sam się z odzienia wyzuł; potem upadłszy na kolana, słup do którego był przywiązany, pocałował. Najprzód go mokremi powrozami z łańcuchem do słupa przykrępowano, wnet przygrubszymi drwami aż po piersi obłożono, i słomę podrzucano; skoro płomień się wznosił, począł śpiewać jedno pieśń na chwałę Boga, które dym i ogień ledwo przytłumiał. To zaś jest największym dowodem wyższości jego umysłu nad najwyższe uczucie szarpiącego i rozdzierającego najdrobniejsze ciała cząsteczki bólu, iż gdy kat z tyłu, żeby nie widział, stós zapalić chciał: „Przystąp tu, rzekł, i przed mojemu oczyma ogień zapal; gdybym się go był lękał, nigdybym do tego miejsca, którego mogłem uniknąć, nie przyszedł.“ Tym sposobem mąż nad mniemanie wielki i niestrwożony od ognia został pochłonięty. Patrzałem na ten skon, i wszystkie z osobna sprawy widziałem. Gdyby się to było stało bez niewierności i uporu, zaiste filozofia śmierci takowego męża powinna by nieśmiertelnymi wsławić pamiętnikami. Długom ci bardzo powieść opisał, mając spo-

czynek i żadną nie będąc zatrudniony pracą. Przecie czémś cię zabawić chciałem, i uwiadomić o czynach mało podobnych dziejom starożytnym. Bo ani ów Mucyusz Scvola tak statecznym umysłem nie poniósł przypalenie ręki swojej, jak ten wycierpiał spalenie całego ciała. Ani Sokrates tak ochotnie truciznę wypił, jak ten na ogień poszedł, ale o tém dosyć. Darujesz słowom moim, jeżeli był przydłuższy; rzecz atoli obszerniejszego wyłożenia potrzebowała, wszakże niechciałem być zbyt wiele mównym.“

Ten jest list Poggio florentczyka, zaświadczaący o charakterze, męstwie, przymiotach serca, rozumu i nieszczęśliwym losie Hieronima z Pragi. Człowiek, który tak czule, tak silnie, tak ozdobnie i tak przekonywającym mówił sposobem, człowiek, który tak stałym i nad wszystkie trwogi wyniesionym umysłem na śmierć okropną się odważył, nie był zapewne człowiekiem pospolitym. Ani Zygmunt cesarz, ani ojcowie zboru konstancyeńskiego, nie przewidzieli okropnych skutków wynikłych z okrutnej kary Jana Husa i Hieronima z Pragi. Popioły dwóch tych mężów, choć po bystrych szybko płynącego Renu nurtach były rozsypane, wznieciły straszny pożar i zapalczywą wojnę domową. Czechowie uczuli się być zelżywie obrażeni; przypisywali śmierć dwóch swoich rodaków nienasyconej zemście tych, którzy się byli oddalili od szkoły głównej paryskiej. Czterdzieści tysięcy ludzi stanęło pod orężem, gotowych wystawić się na wszystkie niebezpieczeństwa, żeby się tylko pomścić krzywdy Janowi Hussowi i Hieronimowi z Pragi i imieniowi czeskiemu wyrządzonej. Wojsko to uzbrojone, było podobne dzikim zwierzętom, które surowe wyroki zboru konstancyeńskiego rozjuszyły, okrutnemi i nieprześląganemi poczyniły. Serce się oburza

na samo wspomnienie srogich katowni i męczeństw z obój strony fanatyzmem i duchem zemsty podżeganój wykonanych. Księża i zakonnicy przyplacili krwią swoją niemiłosierny wyrok śmierci, w Konstancyi na osobie Hussa i Hieronima z Pragi wypełniony. Stronnicy tych dwóch nieszczęśliwych ofiar starali się zbrojno utrzymywać ich naukę i zemścić się ich okropnej straty.

Jan Zyska przyjmuje dowództwo hussytów, najzwziętszych nieprzyjaciół kościoła rzymskiego, i czyni największe usiłowania, aby korzystał ze słabości Wacława, z fanatyzmu Czechów, z niechęci ludu przeciwko duchowieństwu katolickiemu dla wzmocnienia swojej strony i utorowania sobie drogi do władzy. Jeden kapłan znajdował się zawsze przy nim na czele wojska nosząc kielich w ręku dla oznaczenia, iż się domagali prawa używania świętości chrześcijańskiej pod obiema przymiotami chleba i wina. Imie Zyska, które dano temu straszmemu wojownikowi, znaczy w języku słowackim *jednooki*, tak jak w starożytnym Rzymie Horacyusza bohatera nazwano *Koklesem*; z tego samego powodu wódz ten czeski stracił w jednej potyczce oko, a potem w innej bitwie postradał obadwa oczy. W takowym nawet przypadkowej ślepoty stanie, umiał gromić nieprzyjaciół i być wodzem tak liczne go wojska tyle razy pod swoją sprawą zwycięskiego. Wszystkim prawie siłom przeciwko sobie zjednoczonym Zyska się oparł, ścigał Zygmunta w własnym państwie dziedzicznym, poraził jego wojsko i wjechał z tryumfem do Pragi. Gdy Zyska okrutnie wojuje i niezliczone zadaje klęski we wszystkich, gdzie tylko fanatycka jego tłuszcza przechodzi, okolicach, gdy jego zażarta partya roznosi po krajach czeskich łupieżę, rabunki i pożogi, gdy oręż tego srogięgo wojownika strumieniami krew toczy, najwyższa

Opatrzność w sądach swoich niedocieczona, ale zawsze sprawiedliwa, zrzęda, że Zyska w biegu tyłu popełnionych okrucieństw i morderstw, umiera z zaraźliwej choroby w pośród swojego obozu.

Bardzo jest wiadome ostatnie jego rozrządzenie, które umierając zostawił względem ciała swojego. Chciał on, ażeby z jego skóry był zrobiony bęben, na któregooby sam przeraźliwy odgłos truchlały i upadały serca nieprzyjaciół. Ciało jego przeniesione było do Czaslau, miasta znacznego w Czechach, i tam pogrzebione w katedralnym kościele.

Potomność oświecona oddałaby sprawiedliwość temu dzielnemu i odważnemu wodzowi, wielbiłaby jego waleczność, a imię jego położyłaby w rzędzie wielkich ludzi; gdyby go był wściekły i zapamiętały fanatyzm nie uczynił srogim i okrutnym krwi ludzkiej a zwłaszcza kapłańskiej przelewcą. Uniesiony za granice przyrodzonej słuszności od burzliwego ducha sekty, do której był mocno przywiązany, wywierał nad tymi, którzy się w jego ręce dostali, ludzkość cburzające bezprawia, gwałty i morderstwa.

Zyska ogromny wojownik umarł, lecz fakcja jego żyła. Nie był to bowiem Zyska, ale fanatyzm, który tę zajadłą, upartą i swawolną kupę uformował, który ją nierozzerwanemi związał ogniwami i który ją w nieugaszonej jeszcze tyłu krwi wylaney potokami chęci pomszczenia się utrzymywał. Prokop nazwany R asus, dla tego że w kapłańskim zostawał charakterze, doznanego męstwa wódz, który już stał się był okiem i prawą ręką Zyski, objął po nim dowództwo srogich zastępów. Natchnięty tymże samym duchem zapalczywości, fanatyzmu i zemsty, dokażywał podobnych jako Zyska okrucieństw, męcząc katolików a ogniem i mieczem wszystko pustosząc.

Frankonia, Misnia, Łuzacya, Szląsko, Morawia, Austria, Brandeburgia, orężem i pożarami w smutne zamienione pustynie, bądź przez hussytów napady, bądź przez święte od papieżów przeciwko tym sektarzom nakazane wojny, zatrzymały długoletnie ślady wszelkiego rodzaju nędzy i utrapienia. Tyle kościołów złupionych, tyle klasztorów z ziemią zrównanych, tyle miast, zamków i włości w perzynę obróconych, tyle kapłanów i zakonników wymordowanych, tyle niewinnych dzieci i wdów osierconych; zgoła niewypowiedziane uciski, kłeski, i szkody doznane przez niemieckie państwa i królestwo czeskie, tudzież przez część krajów polskich, gdzie hussytów niespokojny, ponury i zapalczywy za Władysława Jagiellona i po śmierci jego wtargnął fanatyzm, są okropne wypadki z fatalnego stosu w Konstancyi ku spaleniu Hussa i Hieronima z Pragi roznieconego. W owych to popiołach nasienie tego złego było zawarte.

Obraz ten krótki ale wierny niezgody, buntów, rozruchów krajowych, zamieszek i najokropniejszych nieszczęść, którym odmienne w religii opinie w wieku piętnastym, a potem i w szesnastym, dały miejsce, jest dla świata razem nauką i zachętą do wzajemnego cierpienia, do łagodnego postępowania i ulegania sobie w zdaniach sumienia tyjących się zobopólnego; żeby uniknąć tak wielu smutnych przypadków, oddalić tak liczny tłum okropnych zła wynikających skutków i oszczędzić krew, którą popędliwe namiętności, pod pięknym na pozór płaszczykiem gorliwości religii, okrutna nietolerancya i szalony fanatyzm we wszystkich wiekach aż dotąd zwykły były oblewać ziemie tę nieszczęśliwą, mimo pełnych łaski pokoju i dobroci przepisów prawdziwej Jezusa Chrystusa religii, która cała na sercu i duchu zależy.

O PRAWIE ZAŁOGI W POLSCE.

(Dokończenie).

Drugim dowodem trwającej u nas załogi jest dyplom z r. 1396, zachowany również w archiwum Senatu Rządzącego, datowany w Krakowie we czwartek wieczorem przed narodzeniem Najświętszej Maryi Panny, a którym Świętobor książę szczeciński wyznał się dłużnym na rzecz burmistrza i rajców miasta Krakowa sumę sześćdziesiąt kóp groszy pragskich z obowiązkiem zapłacenia jej na nadchodzące święta Wielkanocne. Ręczycielami należności i uiszczenia jej na terminie byli: Hugo z Herforst, Henryk Wussow i Ekhard z Sydow. Godnym uwagi w dyplomie tym jest: iż miejscem wysiadywania załogi oznaczony został Wrocław i gospoda przez burmistrza i rajców krakowskich wskazać się mająca i że sam tylko Henryk Wussow i Ekhard z Sydów miał wjechać w załogę z czterema końmi i sześciu pachołkami. Sam zaś dyplom brzmi:

Wir Swantebur von gotis gnaden herczog czu Stettin et cet. Vorderlicher schuldeger und wir hugo von herforst henrich Wussow und Ekhard von Sydow desselben hern Swanteburs Burgen Bekennen allen den dy desen Brief zeen adir horen lozen, das wir den ersamen mannen.. Burgermeister und Ratmann der Stat Cracow Sechczig schog pragischer grosschin Bemischer czal, sechczig grosschin vor ieszlich schog czurechenen rechter und worer schult recht und redlichin schuldig seyn. Globinde bey guten trawen an arg mit geczampter hant ungeczundert und uns ieszlicher vor alles als seyne eygene schult, dy vorgeannten sechczig schog grosschin und czal vorgeschrebener, of Ostirn neste czukomende, den vorgeannten Burgmeister und Ratmannen der Stat Cracow gutlich und unvorczoginlich czubeczalen und ab wir des nicht teten, das got nicht engebe zo sullen alle schaden, dy, di vorgeannten Burgmeister und Ratmann czu Cracow, doroff czu Cristen adir czu Juden,

wy ofte das geschege teten, adir do von empfungen, uns eygen schaden seyn, dy globen wir ey yn guten trawen an arg mit dem houbtgelde, wenne se des langert nicht darben wellin gutlich czuvorrichten und ap wir leichte des nicht geschee, der vorgeante Burgermeister und Ratmanne czu Cracow manunge und schaden- tuunge nicht machten czo globen wir Henrich Wussow und Ekhard von Sydow vorgeante burgen mit enander und eyner vor den andern, yn dy Stat Brezlaw yn cyne herberge dy uns dy egenante Burgermeister und Ratmanne czu Cracow nennen werden, mit vier pferden und sechs knechten, yn czu rcyten und darynne czu legin und an arg by guten frawen dor nicht uns czu komen, bis das denselben Burgermeister und Ratmannen der Stat Cracow dy vorgeannten sechzig schog grosschin und alle schaden dy doroff gegangen scyn gancz und gut mit der tat werden vorgulden, des czu grosser czicherheit und offimbaren geczugnisse sint unser Ingesigel mit wissenschaft an desen brif gehangen. Gegeben czu Cracow am dornstage am abunde der gebort der Achparn Juncfrawin Marie Noch Xpi geburd dreyzenhundert sechs und newnczig Jare. (*Dyplomata saopatrsony jest czterema pieczęciami na pergaminie wiśnięciami*).

Wiadomą jest z dziejów naszych rzeczą: że Ziemowit książę mazowiecki, ten sam, który się starał o rękę Jadwigi, dla tém pewniejszego otrzymania tronu zagrabił Kujawy roszcząc sobie różne pretensye do tego księstwa. Opanowawszy je najnieprawniej pozaciągał znakomite od żydów krakowskich summy, które w roku 1385 wypłacić zobowiązał się. Nie mamy dyplomatów przekonywających nas o treści z obu stron zawartej umowy, ale zakwitowanie z r. 1398 przez żydów krakowskich tak Władysławowi Jagielle, jak i Jadwidze zeznane zawiera wyraźne ślady, że dla ich zapewnienia stawiał ręczycieli, a ręczyciele niepoddający się załodze byli prawie niewyobrażalni. Dwa te zakwitowania, stanowią oddzielne dokumenta i w małych tylko względach różnią się od siebie; dla tego postanowiliśmy złąć je w jeden zamieszczając pomiędzy

nawiasami to co odmiennego w zakwitowaniu na rzecz królowej Jadwigi się znajduje:

Wladislaus dei gracia Rex Polonie lithuanieque princeps supremus et heres Russie etc. (*Hedvigis dei gracia Regina Polonie et heres Hungarie Regnorum etc.*). Significamus universis quibus expedit presencium noticiam habituris. Quod filii Lewkonis Andree Schmerlin Josmannus omnesque alii et singuli Judei nostro Civitatis Cracoviensis non compulsi non coacti nec aliquo errore seducti, sani mentibus et corporibus (*existentes*) sponte et libere de eorum certis scientiis ad nostram presenciam personaliter venientes (*accedentes*) publice alta voce et intelligibili recognoverunt coram nobis et milicia nostra, quod pro debitis omnibus et singulis tam capitalibus (*seu principalibus*) quam etiam usurariis nullis penitus exceptis, que Magnificus princeps Dominus Semovithus dux Mazovie apud eosdem Judeos hic Cracovic usque ad tempus anni videlicet (*domini*) Millesimi trecentissimi octuagessimi quinti quo tempore *Gloriosa princeps domina Hedvigis eadem gracia Regina Polonie Consors nostra carissima cum eodem Domino Semovitho pro et super Terra nostra Cuyaviensi concordavit et eandem sibi obligavit (pro et super terra nostra Cuyaviensi cum ipso Domino Semovitho concordavimus et sibi obligavimus)* in certis pecuniarum summis contraxit et debitor factus est Judeis eisdem (*predictis*) per nos et dictam dominam Reginam consortem nostram (*per nos et Serenissimum principem dominum Wladislaum Regem Polonie etc. conthoralem nostrum carissimum*) satisfactum est (*ipsis*) integraliter et ad plenum. Facientes predictum Semovithum omniaque sua bona mobilia et immobilia liberum et solutum liberaque et soluta de debitis predictis (*Renuniantes omnibus literis quas habuerunt vel habent debita huiusmodi videlicet capitata aut usuraria quolibet concernentes facientesque ipsum dominum Semovithum de dictis debitis liberum et solutum*) et facientes (*ac imponentes*) finem et pactum dicta debita capitalia aut (*vel*) usuraria ab ipso domino Semovitho vel *fidejussoribus seu promissoribus* pro eo de ulterius non petendo. Datum Cracovie sabbato proximo ante diem nativitatis sancti Johannis Baptiste Anno Domini Millesimo Trecentesimo nonagesimo octavo. Sigillo nostro presentibus subappenso. (*Oba te dokumente zapotrsono piecseciami na czerkonym wosku*

wyciśnionemi i na pergaminis wiszącemi sachowują się w Archiwum Senatu Rządzącego).

Adam Naruszewicz w T. VII hist. polsk. na str. 200 wyd. Most. opisując w szczegółach powody jakie skłoniły Jadwigę do zawarcia ugody z Ziemowitem o ziemię kujawską przytacza jęj osnowę i dodaje: iż summy jakiegokolwiek na osobę księżęcia od żydów krakowskich zaciągnięone miały im być przez skarb księżęcy zapłacone a lichwa od nich przez królową. Wszakże z poprzedniego zakwitowania jasny wypływa dowód, że tak lichwa jak i kapitały zaspokojone były przez Władysława Jagiełłę i Jadwigę.

W dalszym ciągu historycznego wątku napotykamy u Sommerberga w dziele Script. rer. siles. w T. I na str. 951 następujący dokument:

Nos Farka de Miedzyrech Capitanens in Plschozina, Micrako de Pstranzna;... de Magna Ruda; Weynus de Rcisenburg, Nicolaus de Schytinki et Sigismundus de Teutonicali Wysla recognoscimus nos fidejussoris cautione attracto pro inclito principe Domino Joanne Duce Oppavie et Rathiboriensi Domino nostro serenissimis principibus et Dominis Dno Wladislao Regi Polonie et Domino Alexandro alias Wytholdo Majori Duci Lithuaniae Russic etc., promittentes sub fide et honore nostris sine dolo et fraude, quod idem dominus Joannes Dux Oppavie et Rathibor, abhinc usque ad festum S. Joannis Baptiste proxime assuturum litteras serenissimi principis Dni Wenceslai Romanorum Regis et Bohemie Regis super tribus millibus marcarum latorum grossorum pragensium numeri et ponderis polonicalium, quadraginta octo grossos in marcam quamlibet computando, quos preclare principi Domine Elene consorti sue ratione veri dotalicii in et super his civitatibus Plschozina et Berun earumque districtibus, feodis vasallis et singulis dominiis quocunque iure mero sive mixto ad eundem Dnum Ducem spectantibus assignavit sine omni dilatione juxta formam debitam expedire et eadem ad predicti Dni Wladislai Regis Polonie etc. dare et assignare potestatem: si autem predictae littere super tribus Millibus marcarum in terris, civitatibus et destriectibus Plschozina et Berun nt

premittitur ratione dotalitii pro parte dicte Dne Elene ipsi Dno Wladislao Regi Polonie etc. assignate ad festum S. Joannis predictum per antedictum Dnum Joannem Ducem Oppavie et Rathibor non fuerint expedite, extunc quilibet nostrum immediate post festum S. Joannis Baptiste predictum, ad civitatem Cracoviam cum quatuor equis intrare debemus ad obstagium ibidem faciendum et abinde nullatenus debemus recedere sed in eodem morari obstagio tandiu quousque promissa nostra eidem Dno Regi Polonie adimpleta fuerint et littere Regis Bohemie predictae per eundem Dnum Ducem Ratiboriensem fuerint assignate. Harum quibus sigilla nostra presentibus appensa sunt testimonio litterarum. Data in Vilna Dnco die post octavas Epiphanie Dni Anno ejusdem MCCCCVII.

Czegoż nas dyplomata ten naucza? oto że Jan książę opawski i raciborski zobowiązał się Władysławowi Jagielle królowi polskiemu i Witowtowi W. X. lit. dostarczyć dowód z pisma Waclawa króla czeskiego na to: że sumę trzy tysiące grzywien szerokich groszy pragskich liczby i wagi polskiej, rachując po czterdzieści i ośm groszy na grzywnę, zapisaną jako przywianek na rzecz małżonki swjej Heleny, zabezpieczył na ziemiach, miastach i obwodach pszczyńskich i bieruńskich i takowy złożyć do rąk pomienionego Władysława Jagielly i Witowta najdalej na dzień Ś. Jana Chrzciciela; że w razie niedopełnienia przyrzeczenia tego Farka z Międzyrzecza starosta Pszczyński, Mirako z Pstrążnej, niewiadomego imienia z wielkiej Rudy, Weynus z Reisenburga, Mikołaj z Szytynek i Zygmunt z niemieckiej Wisły, byli ręczycielami księcia Jana Opawskiego i Raciborskiego, którzy zobowiązali się wjechać w załogę w mieście Krakowie z czterema końmi i dopóty w niej zostawać dopokąd wspomniony dowód piśmienny Waclawa króla czeskiego nadesłanym nie zostanie.

Nakoniec Bartosz Paprocki w herbach rycerstwa polskiego na str. 188 pod klejnotem półkoczic zostawił nam

ułomek, jak go nazywa, listu rękojemskiego, szlachezca Indyka z Jurkowa z roku 1441, według którego Mikołaj z Witowa sprzedał Władysławowi królowi polskiemu i węgierskiemu konia za sto czerwonych złotych, a ten przypadającą należytość na dniu Ś. Jakóba apostoła wypłacić zobowiązał się. Na przypadek nieuiszczenia summy na umówionym terminie Indyk z Jurkowa ręczyciel królewski poddał się łajaniu i naganom Mikołaja z Witowa, wreszcie załódze aż do chwili zaspokojenia długu. Szkoda że Paprocki nie zamieścił w całości tego listu, byłby on z innej strony przedmiot ten wyjaśnił a co najgorsza że go zbyt błędnie wydrukował, wszakże osnowa jego jest następująca:

Ego Indicus de Jurkow fidejussi praesentibusque fideiubeo, pro serenissimo principe domino Dno Wladislao Dei gratia Hungariae, Croatiae, Poloniae rege etc. generoso Dno Nicolao de Witovv, pro centum florenis aureis puri auri et justis ponderis, ratione equi recepti, ad festum Sancti Jacobi Apostoli proximi, solvere et expedire, cum effectu, sine omni dolo et fraude, ita tali modo, quod si praefatus Dominus Rex praenominatam summam non curaret solvere, dictos centum florenos ad festum praefixum a tunc ego Indicus submitto me eidem Nicolao increpationibus et tractationibus litterarum applicationibus, vel huic qui praesentem litteram habuerit, cum sua bona voluntate, eandem facultatem habebit me admonendi et avisandi modo huiusmodi etc. etc. Si idem Nicolaus faciet sedem stare in loco arrestato, illic nullibi abeundum debeo quousque summam praefixam florenorum expariar et ob hoc quodcunque damnum habuerit praefatus Indicus (*powinno być Nicolaus*) hoc damnum non debet reputari ipsius, sed meum fideiussorium; insuper promitto ipsum Dominum Indicum (*powinno być Nicolaum*) nullo iure evadere, nec mandato Regis, nec litteris quibuscunque et si quidquam dixerim contra praedictas moniciones, agerem hoc contra honorem meum. In cuius testimonium sygillum meum appendo. Datum in Samaria feria tertia post dominicam Ramis Palmarum Anno Domini 1441.

Tak więc w lat prawie sto po statucie wiślickim napytkamy prawo zwyczajowe poddawania się załodze w Polsce. Kiedyż przeto ustała? nie wiadomo. Konstytucye sejmowe nie czynią żadnej wzmianki o jój zniesieniu, i ustawać ona musiała powoli, aż wreszcie wyjść z zupełnego użycia i to tém więcej, iż w Niemczech cesarskie policyjne rozporządzenie z r. 1548, inne cesarza Maxymiliana II z r. 1574, nakoniec postanowienie (Reichsabschied) z r. 1577 w Frankfurcie ogłoszone w tyt. XVII §. 10, wszystkie zobowiązania załogą obostrzone, za nieważne uznało.



WIELEKI GOŚĆ W PATRACU.

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

Witajcie rodzinne Tatry,

W szkarłatnej poranku gazie!

U stóp hymn grają wam wiatry,

A na wierzchołków oazie,

W błękitnie niebios namiotu

Orzeł się wprawia do lotu...

W codzienném życiu, jak w systemacie optyki, odległość w szczególny powab ozdabia przedmioty, które dopokąd są tuż obok nas, niemal pod ręką naszą, zdają się nawet na bliższą uwagę nie zasługiwać. Jest to niby zgubiony brylant, którego prostoduszny chłopiek w urojeniu, że to odłamek stłuczonej szyby, podjąć nawet nie chciał, i wtenczas dopięro niewiadomości swęj złorzeczyc zaczął, gdy klejnot znawczą źrenicą odkryty, za garść złota zamienionym został. My okiem tego chłopka spoglądaliśmy od wieków na naszą piękną przyrodę, na na-

sze olbrzymie Tatry. Nie jeden wyczerpał gorliwą swą ciekawością europejskie widoki, drapał się na szczyty Alpów, zwiedził Pireneje i Apeniny, i dopiero gdzieś nad Renem pierwszy raz postyszał, że na progę rodzinnego jego kraju są piękne góry, zaledwo z nazwiska mu znane, które chociaż ogromem nie dorastają szwajcarskich szczytów, rozmaitością jednak kształtów, uroczą dzikością śniegiem pokrytego czoła, i różno-wzorym kobiercem, natkanym kanwą niezliczonych roślin, kwitnących na lubieżnej ich piersi, nie powstydzą się stanąć obok Alpów. Nie ma temu jeszcze ani ćwierć wieku, jak dziewicze łono Tatrów nietknięte ciekawą wędrownika stopą służyło tylko śniegom za łożo, albo za gniazdo dzikim kozom, za którymi kiedy niekiedy łamał kark odważny strzelec. Ci sami, którym za granicą mówiono o piękności gór naszych, za przesadzone mieli te pochwały; zdawało im się, żeby to było to samo po Alpach zwiędzać Tatry, jak po włoskiej operze w stolicy podziwiać klasyczość wędrujących artystów, oklaskiwanych w czasie jarmarku w Rzeszowie. Badawczy dopiero umysł niemieckich geologów, którzy w coraz liczniejszych gronach zwiedzają w ciągu letnich miesięcy o sto mil odległe od siebie Karpaty, pretorował pierwszy, jak Hannibal, drogę do tych skał niedostępnych. Już coraz więcej i ziomeków naszych z dalszych nawet okolic, a jeszcze liczniej z przyległych kąpiel, zbiera się i łączy z tłumami cudzoziemców, ażeby od nich zasięgnąć objaśnień względem skarbów, które ten łańcuch gór zawiera na łonie i w łonie. Każdy tu zresztą znajdzie pokarm dla swój wyobraźni i nie raz spostrzeżesz, jak ktoś na ułamku skały z teką pod pachą, z ołówkiem w rękę, przenosi na papier w zmniejszonych rysach cudotworną postać natury, albo przelewa w melodyjne wy-

razy nawał swych uczuć, które razem z człowiekiem daleko wzniesione nad ziemię, wyższe są nad zmysłowość, nad ziemskość. Owdzie ujrzyś człowieka co krok chyłącego się ku ziemi i ostrożnie zerwane listki w wielką składającego księgę, tamten zbiera różno-wzore kamienie, inny znów palną bronią akustyczne robi doświadczenia, słowem przestrzeń tych gór, zda się być warsztatem rozmaitych rzemiosł. Ale przystąpmy do rzeczy.

Czwarta wybiła na skromnej wieży farnego kościoła, stojącego wśród rynku miasteczka sąsiedniego Tatrom. Przychłódł cokolwiek skwar lipcowy i lud cisnący się tłumem po niedzielniejszych nieszpórach z świątyni, wyległ na rynku zajęty rozmową o coraz więcej szerzącej się pogłosce, jakoby znakomita jakaś osoba, pan wielki, miał wkrótce przejeżdżać do Tatrów. W tém rozległ się trzask biczków; duża poczwórna karetą, ciągniona ośmią góralskimi końmi, i nieodstępny jój towarzysz w tyle dążący trójkonny koczyk, stanęły na środku rynku. Wewnątrz obu pojazdów siedziało po dwie osoby. Tłumy ludu ścisnęły się natychmiast obok nieznanój sobie karawany. Odgłos o przybyciu jakiegoś dostojnego gościa, jak iskra elektryczna przebiegł po całej mieścinie; kto tylko żył, korzystając z sposobności napasienia wzroku przy świątecznym wypoczynku, biegł na oślep, aby jak najprędzej dotrzeć do tak ważnego stanowiska. Na drzwiach karety błyszczące herby tém bardziej mąciły domysły, bo w braku większej heraldycznej powagi, młody pisarz burmistrza, najświetlejsza w gronie tém głowa, uważał, iż, sądząc po koronie nad herbem, właściciel karety nie może być niczém więcej jak hrabią. Ciekawość wyteżyła wzrok swój sokoli. Tuzin głów i główek wgniotło się przez spuszczone z jednej i drugiej strony okna karety, a wszystkie

miały szeroko otwarte usta i oczy martwo wytrzeszczone, dopóki czarno ubrany służący nie przecisnął się z poza karety przez tłumy, dla otworzenia drzwi podróżnym. Po prawej stronie siedział mężczyzna liczący lat trzydzieści i kilka, w niebieskiem jego oku malowała się łagodność z powagą, a z męzkich rysów przeglądał wyraz godności. Chociaż był tylko w podróżnej bluzie, jednak jego powierzchowność i ruchy mające w sobie coś rozkazującego świadczyły, że był rangą wyższym od wiekiem starszego swego towarzysza, siedzącego obok po lewej stronie. Lekko wyskoczył z karety i uchyliwszy kapelusza na znak powitania otaczającej go gawiedzi, zapytał w niemieckim języku, czy w miasteczku nie ma wygodnej gospody? Mało było wśród licznego tłumu filologów, a i ci, co rozumieli mowę pytającego, nie pojęli dźwięku wysłowienia, do którego ucho ich nie przywykło. Słowem, zapytanie zostało bez odpowiedzi. Chcąc być zrozumialszym, zapytał podróżny jaśniej, czy tu co jeść nie dostanie?

„Gute, warme, Pariser Würstel,“ odezwał się z głębi tłumu głos krzykliwy, łokciem torującego sobie drogę kielbasnika, który w oka mgnieniu wydobywszy rzędem na blaszanym talerzyku ułożone paryskie swoje specyały, podał je podróżnemu z niebardzo paryską gracyą. Ale głód tak jest dobrym kucharzem, że wśród lipcowego upału, gorące pieprzne kielbaski nie najlichszą zapewne cudzoziemcowi zdały się być strawą, gdyż trzecią już brał do ręki, kiedy jakiś opasły czerwony jegomość, ulitowawszy się niedostatku podróżnego, zbliżył się z niskim ukłonem, zapraszając go na obiad, który jego serdeczna polowica postara się wyśmienicie przygotować. Śmierć i głód równa stany, ztąd zdawało się zbyteczném podró-

znemu gościnnego gospodarza wypytywać o jego godność; poszedł więc za nim nie domyślając się nawet, że dziś będzie miał zaszczyt być przypuszczonym do stołu matedory miasteczka, obywatela rzeźnika.

Już po dwugodzinném blisko czekaniu, kurzyły się zastawy okrągłego stołu, przy którym na prostej sosnowej ławie rzędem czterej siedzieli podróżni. Smaczny, szafranem przyzólcony rosół, w którym jak czajki po Dnieprze liczne kołysały się kluski, tłusta sztuka mięsa z wybornym czosnkowym sosem i sążniste płaty rozbratłów, ugarniowane gwiazdami z ziemniaków, stanowiły ozdobę pierwszego dania, po którym miała nastąpić niezrównana cykoryowa kawa. Zaledwo czynne cynowe łyżki zaczęły z głębokich talerzy czérpany kordyał przeléwać do wygłodniałych żołądków, skrzypnęły chrapliwe zawiasy podwojów, i znany nam już heraldyk, młody pisarz burmistrza, wstąpił sążnistym krokiem do jadalnej izby, której okna ómiły się rojem zagląających twarzy. Odkrząknąwszy po trzykroć zbliżył się rubasznie do najwyżej siedzącego, z zapytaniem: „kto pan jesteś?”

„Podróżny.“

„Co pan tu zamýślasz robić“?

„Jeść.“

Lakoniczne te odpowiedzi obudziły w inkwizytorze uczucie obrażonej dumy, silnym więc giestem i podniesionym głosem objawił chęć swoje ujrzenia passportu.

„W czasie obiadu nie zwykłem go pokazywać, odpowiedział wezwany, później proszę się po to zgłosić.“

Gniew zabłysnął w chmurnym Heraldyka wzroku: „skutki swego uporu sam sobie pan przypiszesz“ rzekł prędko i wyszedł. Reszta obiadu przeszła wśród wesołych żartów o niebezpieczeństwie, w jakim znajdować

się może pan hrabia, gdyż tak tytułowano mężczyźnę w bluzie, jeżeli pan burmistrz raczy się rozgniewać za uchybienie swemu dostojeniu. Po obiedzie, którego przepych sowicie został wynagrodzonym, czekać jeszcze trzeba było na dalszą przeprząż, wreszcie znać dano, że już wszystko gotowe, i pan hrabia ruszył z swoim orszakiem ku karecie, w którą zaledwie wsiadłszy, ujrzał się otoczonym czeredą policyjną miasteczka, z których jedni pochwycili konie za trenzle, inni ujeli ludzi służbowych, tamci znów strzegli jednych drzwi karety, bo u drugich opatrzony w godło swój władzy, ogromną laskę, stanął pękaty burmistrz, i wtorując burzliwemu uniesieniu ruchem swój laski, której końcami wywijał po przed nosem podróznego w karecie, zawołał zasapanym głosem:

„Jakiem czołem śmięsz mój panie uwłaczać władzy miejscowej, memu sekretarzowi, który ma rozkaz ode mnie wszystkich podejrzanych zapytywać o dowody.“

„Dziękuję ci za grzeczność, rzekł z półuśmiechem podrózny, którego ta scena zdawała się bawić, jednak sądzę, że moja postać nie jest podejrzaną.“

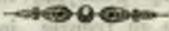
„Podejrzaną jest powiadam, bo Wępan taisz swoje nazwisko“....

„Ale nie taję mojej osoby, kiedy wśród dnia staję z orszakiem w miasteczku.“

„I Waligórski jeździł wśród dnia karetami, a jednak po nocach rabował.“

Chwilę jeszcze draźnił się zacny więzień z panem burmistrzem, aż nareszcie skinąwszy na młodego mężczyźnę w drugim pojeździe, odebrał od niego papięry i wręczył je burmistrzowi, który czy to przez zbytek powagi, czy może nie będąc biegłym w czytaniu, oddał je swemu tak zwanemu sekretarzowi. Lecz ten rzuciwszy

okiem na pasport pobladł, zachwiały mu się łydki, szepnął coś do ucha swemu pryncypałowi, i jak żeby w skutek wybuchu piekielnej maszyny, burmistrz, sekretarz, zbiry, i cały tłum ciekawych w nogi!... wołaj, przewoźaj, nikt nie słyszy... popłoch ogólny, nagły... dla czego?... nikt nie wie prócz burmistrza i sekretarza. W tém pojazdy ruszyły dalej. (*Dokończenie nastąpi*).



KRONIKA WYPERACKA.

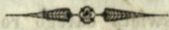
O prawnej subrogacyi przez spłacenie wierzyciela wyższy stopień hipoteki mającego z art. 1251, ust. 1. (bez miejsca druku w Sce str. 24).

Pod tym tytułem wyszło na widok publiczny z drukarni Stanisława Gieszkowskiego pismo jednego z najuczciwszych prawników naszych, które jakkolwiek nie obszerne przekonywa o należytem zgłębieniu przedmiotu i przyczyni się do ustalenia wahającego się dotąd wyrozumienia art. 1251 K. C. Autor rozebrał rzecz całą na następne kategorie: co jest subrogacya? komu służy możność subrogacyi i względnie kogo? jak długo służy ta możność? kiedy oznaczenie w celu subrogacyi uskutecznione jest ważne? i jakie są skutki subrogacyi? i rozwiązał je z rzadką jasnością i gruntnością. Mimo teoretycznego stanowiska, jakiego się autor trzymał zamierzył, zbijanie i obalanie przeciwnych zdań i mniemań nadaje pismu temu cechę polemiczności. Sądźmy nawet, że to jest rękawica rzucona do walki, której przeciwnik, mimo przemilczenia go, podnieść niezawadnie nie omieszka.

Nabożeństwo do świętego Jana Nepomucena patrona dobrej sławy i świętego milczenia. Kraków nakł. i druk. St. Gieszkowskiego 1844. 8vo str. 61.

Znany z swój nauki i wymowy kaznodziejskiej JX. Alfons Skórkowski jest autorem wymienionego dziełka. Od str. 1 do 17 umieszczony jest żywot Ś. Jana z Nepomuk; następnie idzie przedmowa do odmawiających nabożeństwo, a od str. 21 do 61 Koronka

w dziesięciu modlitwach. Czystość języka i serdeczne wylanie się na modlitwę stanowią główną zaletę tego dziełka. Nie możemy się nawet wstrzymać od nieprzytoczenia ustępu z przemowy, bo ta nas nallepiej z duchem i dążnością pisarza obezna: „Ze wszystkich władz ciała naszego, żadna nie jest prędsza do działania i żadna nie działa ustawicznie, nad organ mowy; żadna też nie jest w tém działaniu obfitsza i rozmaitsza. Mową wychwalamy i błagamy Boga, i nią go bluźnimy; nią budujemy bliźniego i nią gorszymy; nią wyznajemy prawdę i nią dopuszczamy się kłamstwa; i t. d. O jakże to okropnie nadużywamy tego daru bożego! a to ztąd pochodzi, że wypuszczamy z uwagi cel życia i dogadzamy sobie chwilowo, końca nie patrząc. Spokojnie i dla zabawy obmawiamy drugich, albo potakujemy obmowie; pochlebną mową w złém bliźniego utwierdzamy i stajemy się przeto winni grzechu cudzego; układnemi słowy pokrywamy myśli i uczucie wręcz tym słowom przeciowne; dla podejścia i zdrady i przez niepohamowaną popędlliwość języka dopuszczamy się bluźnierstwa, przekłectwa, przysięgi; rozpustném słowem niewinności stajemy się powodem do upadku i częstokroć w przybytek czysty, w którym sobie Bóg upodobał, wprowadzamy szatana; obudzamy żądze nieznane, ośmielamy wstydlive i wiadomością złego zarażamy śmiertelnie świętą prostotę. Wyszyszamy rzeczy uszanowania godne, a ustawicznością i czczością rozmów naszych zapełniamy życie bezczynne“ i t. d.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIELA WYSZŁE W WARSZAWIE:

Pisma wiérsem i prozą S. A. Rutkowskiego, część I. in 8vo; w drukarni Kaczanowskiego.

Małe tajemnice Warszawy, zarysy obyczajowe oryginalne przez K.

R. Rusieckiego in 8vo, w drukarni Kaczanowskiego. Tom 1. 2.

Pocieszyciel strapionych i chorych, zbiór rozmyślań służących do wzniesienia duszy nad smutki i cierpienia tego życia przez Ks.

Marcina de Norlieau z francuzkiego przełożone przez J. H. S.

- z przemową przez Eleonorę Ziemięką in 12mo, nakładem L. G. Glücksberga.
- Rekrut (un tourlourou) romans obyczajowy K. P. de Kock, z francuzkiego 3 tomiki in 12mo, w drukarni J. Kaczanowskiego.
- Niezapominajki. Noworocznik na rok 1844 wydany przez Karola Korwella ozdobiony pięciu rycinami i drzeworytami, in 8vo, w drukarni Strąbskiego. Rok szósty. Nakładem wydawcy.
- Leon Looni powieść Jerzego Sand (Dudevent) tłumaczył z francuzkiego Antoni F..... 2 tomy, w drukarni J. Wróblewskiego nakładem Fr. Szejnbock.
- Bohater naszych czasów M. Lermontowa, przełożył z rossyjskiego na język polski Teodor Koen, 2 tomy in 12mo, w drukarni J. Unger.
- Wieczory zimowe. Zięć. Konduktor, z franc. Karola Bernard 2 tomiki in 16mo, nakładem wydawcy, w drukarni J. Dietrich.
- Wieczory zimowe. Stuartowie, powieść w 3ch tomach, z francuzkiego Alexandra Dumas in 16mo, nakładem wydawcy, w drukarni J. Dietrich.
- Nowa biblioteka romansów tegoczesnych autorów. Zawsze ten człowiek, romans Pawła de Kock 4 tomy in 12mo, w księgarni S. Orgelbranda w drukarni Gazety teatralnej, wydawcy: J. D. Wagner i L. Sygietyński.
- Polowanie na kochanków romans przez Karola Bernard, 2 tomy in 12mo, nakład S. Orgelbranda w drukarni Gazety teatralnej.
- Kazania na niedziele i święta całego roku do potrzeby i ducha czasu zastósowane przez Ks. Adama Józ. Kal. Szeleskiego z niemieckiego na polskie przerobione. Tom Iszy obejmujący połowę kazań niedzielnych. Tom IIgi obejmujący drugą połowę kazań niedzielnych, in 8vo, nakład G. L. Glücksberga, w drukarni J. Wróblewskiego.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Prsedpłata przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W Galicyi przyjmują tylko księgarnie, w Cesarst. sąs. Rossyjskiem i Królestwie Polskiem w Urzędach pocztowych prenumerować można.

DWUTYGDNIK LITERACKI.

N. 7. KRAKÓW dnia 1 Lipca. 1844.

Treść: Wyobraźnia, przez Franciszka Żyglińskiego. — Założenie w roku 1643 szkoły Władysławsko - Nowodworskiej w Krakowie, przez J. Muczkowskiego. — Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiej, i wystawieniu jej na teatrze krakowskim, przez Józefa Kremera. — Wielki gość w Tatrach, obrazek obyczajowy przez K...skiego (dokończenie). — Bibliografia.

WYOBRAŹNIA.

Od kolébki do mogily
Towarzysz mi jasno-włosa!
Promieniaca marzeń wiankiem;
Coś z błękitów ślicznym rankiem
Spłynęła mi i w niebiosa
Czarodziejskiej pełna siły,
Wzniosła ducha — o! świeć w drodze
Życia mego; kiedy burza
Uczuć moich czoło schmurza,
Kiedy łza dzikię rozpaczy
Ślady wędrówki mój znaczę
W tobie pociechę znachodzę!

Córo niebios! twoje pieśnie
Wnet skołyszą mię w pogodę,
I wiosniane czucia młode
Zetrą rdzawe troszek pleśnie!

Czarodziejko! w twe objęcia
Padam z sercem niemowlęcia,
A ty sennych kształtów tkanką
Jakby wstęgą czarnoksięską
Opasujesz, i wnet męską
Czuję w sobie siłę, leczę
W kraj błękitów jasny, złoty,
Wzbijam się z pieśnią — kochanką!

Błogosławię te poloty,
Bo tam życie płonie święte,
Tam wszystko z niebios poczęte
Połyska niebios odblaskiem,
Lśni duszy świętym obrazkiem!
Miłość rozpromienia lica,
Miłość — nieba tajemnica!
Dla świata ducha mojego
Za mieszkankę wywołana,
Miłość czysta, nieskalana
Brudem ziemskich namiętności
Na mém łonie siostrą gości!
Miłość to bratnia, przeczysta
Miłość duchów wiekuista!

Wyobraźni! twoje cuda
Zmieniają mię w wielkoluda.
W sercu bije ludzkość cała,
Oko twórczym ogniem pała,
Pieśniami — gwiazdami świecę,
Słońce czucia w piersiach niecę,
Potężnym niesiony ruchem,
Promieniący bożym duchem,

W światy rozrzucam, w promienic,
Wieszczą wszech-twórcze natchnienie!

Córo niebios Jasno-włosa
Otulaj mię skrzydły twémi,
Błędno tułacza ziemi
Nieś przez błękit, nieś w niebiosa!
Strój mię uroków równianką
Osladź me ziemskie bole;
Na tym wygnańczym padole
Towarzysz mi o! niebianko.

Franciszek Żygliński.

ZAŁOŻENIE W ROKU 1643

SZKOLA WŁADYSŁAWSKO-NOWODWORSKIEGA

W KRAKOWIE (*).

.... **W** szczupłym obwodzie i w źle dobranym miejscu zawarta szkoła, z trudnością mieściła w sobie ciągle zwiększającą się liczbę uczniów, których jej wziętość z dalekich stron zwabiała. Ale Uniwersytet, w czasie kiedy wielu możnych i biskupów po całej Polsce dla Jezuitów okazałe gmachy wznosiło, ledwie własne potrzeby pokryć mogący szczupłymi dochodami, któremi go łaska królów Kazimierza i Jagiełły, hojność kilku biskupów krakowskich, i życzliwość duchowieństwa świeckiego, a najwięcej wdzięczność i przy-

(*) W roku zeszłym dnia 3 czerwca z okoliczności obchodu drugiego stulecia od założenia szkół, niegdyś Władysławsko-Nowodworskimi a teraz liceum Ś. Anny zwanych, p. Józef Muczowski professor i bibliotekarz Uniwersytetu Jagiel-

chylnosc własnych jego członków obdarzyła, boć samych fundacyj professorskich, Akademia 1,225,521 złp. przed rozbiorem kraju liczyła, mimo najszczerszej chęci, nie mógł przy swém ubóstwie téj niedogodności usunąć: bo nie było za co nowy gmach wystawić. Kto wie jak długo w tak oplakany m staie zostawałyby nowe szkoły, gdyby Opatrzność, która w najsmutniejszych kraju kolejach krakowskie naukowe zakłady swą potężną opieką zasłaniała i dotąd zasłania, nie była zesłała męża, co poświęciwszy majątek na wzniesienie tego tu wspaniałego dla muz ojczystych przybytku, zostawił w nim nieprzeżyty pomnik swój dla Uniwersytetu wdzięczności, oraz szacunku dla nauk, które go wzniosły. Tym mężem był *Gabryel Prewancy* także *Przemankowskim* nazywany. Urodzony w Chelmszy w Prusiech, a wychowany w szkole Jagiellońskiej, gdzie w roku 1590 w grudniu stopień bakałarza był otrzymał, wnet swemi zaletami umysłu i przymiotami serca ściagnął na siebie króla Zygmunta III uwagę i pozyskał zaszczytne zaufanie, którego bynajmniej nie zawiódł. Na nauczyciela dla kró-

lońskiego, na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Naukowego odczytał wiadomość historyczną: *o początku, wrosocie i kolejach*, jakie ta szkoła w upływie czasu przebiegła. Autor podzielił pismo swoje na dwa oddziały, z których pierwszy część historyczną, drugi zaś wewnętrzne urządzenie szkół aż do końca zeszłego wieku obejmuje. Redakcyja Dwutygodnika uzyskawszy z tej wiadomości ustęp o założeniu szkoły Władysławsko-Nowodworskiej, ogłasza go w piśmie swém w przekonaniu, iż wielu z jego czytelników, co się w téj szkole kształcili, z ukontentowaniem odczyta te kilka stronnic, które w ich sercu obudzą błogie wspomnienia strawionej tu młodości, oraz zwrócą ich uwagę na całe pismo, w Roczniku Towarzystwa naukowego krakowskiego wydać się mające, jako ważny do dziejów oświaty krajowej przyczynek.

lewicza Władysława wybrany, tak chlubnie wywięzywał się z wysokiego swego powołania, iż król Zygmunt w r. 1609, a w czwartym jego przy dworze bawienia, nie tylko go za zezwoleniem Stanów w poczet szlachty policzył, przewiskiem Władysławskiego, od imienia ucznia Władysława, zaszczycił; ale nadto, dla większej oznaki swój wdzięczności królewskiej, obdarzył klejnotem, jak dyplom wyraża, niejako z królewskiego utworzonym (*stemma de nostris quodammodo derivata*), nadając mu za herb w prawem polu tarczy skrzydła orła białego, w lewém zaś koronę królewską, oboje w polu czerwóném.

Władysławski edukacją młodszych królewiczów: Jana Kazimierza, Jana Alberta, Karola i Alexandra, później zajęty, przez tę ważną posługę nowe względy pozyskawszy, tytułem sekretarza królewsk., dalej probostwém warsz., scholasterią łączycką, i nakoniec płocką i chełmińską kanonią został obdarzony. Atoli wśród tego powodzenia nigdy on nie spuszczał z pamięci, komu swe szczęście szczególniej był winien; a pomny na owo Cycerona w mowie za Archiasem (rozd. 1) zdanie, że „od kogo to idzie, czém innych zbawiać a wielu służyć możemy, temu zaiste, ile jest w mocy naszej, tyle ochrony i ratunku nieść potrzeba,“ ku Akademii krakowskiej, jedynemu swych zaszczytów i powodzeń źródłu, tudzież ku téj tu szkole, jako jój podwalinie, swe serce skłonił i życzenia obrócił. Jakoż, słyszano go do przyjaciół mawiającego: że nie gdzie indziej tylko w akademii, szczególniej zaś w tym tu gmachu, jego hojnością później wzniesionym, swój dorobek, swoje imię, wszystko to, co własną pracą i wysługą z łaski królewskiej był posiadł; słowem, jak się zwykł był wyrażać, całe swoje władysławstwo, tu złożyć i tu poświęcić gorąco pragnął.

low Tą myślą zajęty, widząc, iż w niedogodnym miejscu, bo w ostatnim i niezdrowym zakątku miasta, a do tego przy samym ścieku jego nieczystości, poza bursą filozofów, budowla szkolna nie dość obszerności potrzebnej mająca, była położona, na którą, jak mówi Marek Sobieski (*), nie tylko wejrzeć przykro było, ale nawet otaczające ją wyziewy i plugastwo, do czego się nie mało w tym samym domu mieszkający przyczyniali, w przycho-dzących ckliwość wzbudzały, najbardziej nad tém przemy-śliwał, żeby te szkoły jak najprędzej gdzie indziej prze-nieść było można. Uczyniwszy zatem Uniwersytetowi u-stnie ofiarę 30,000 złp., co według dzisiejszej ceny około 90,000 wynosiło, w testamencie swoim w Chełmży dniem przed śmiercią, to jest 15go lipca 1631 roku napisanym usilnie o to upraszał króla, którego wykonawcą swój o-sstatniej woli mieć pragnął, żeby jego zamierzoną funda-cyą w Akademii krakowskiej do skutku przywiedziono, według życzenia, które Chawłowski, kanonikowi war-szawskiemu, tudzież prowincyałowi franciszkańskiemu był objawił. Nie przestając na dawniejszym darze, wspaniały dobroczyńca oświadczył w testamencie, żeby w razie po-trzeby i coś więcej do téj summy przydano. Śmierć króla Zygmunta IIIgo, który w rok po Władysławskim zstąpił do grobu, opóźniła spełnienie życzeń fundatora. A lubo ksiądz Jan Raciborski, dziekan warszawski, wykonawca ostatniej Władysławskiego woli, już w r. 1632 przysłał był Uniwersytetowi, według myśli fundatora uczyniony podział funduszów, zatwierdzenie atoli testamentu przez króla Władysława IVgo dopiero w roku 1633 d. 6 maja nastąpiło. W tém zatwierdzeniu oświadczywszy król, iż sprawiedliwość i wdzięczność nakazuje mu, żeby się stało

(*) Oratio gratiarum actoria i t. d.

zadosyc woli tego, którego gdy żył, z powodu jego wielkiej o swe wykształcenie troskliwości, jakby drugiego ojca wdzięcznym sercem miłował, fundacyą dla Uniwersytetu do 50,000 złp. czyli do 150,000 złp. naszych pomnożył.

Z podziału funduszu przez Raciborskiego uczynionego procent 744 ówczesnych złotych polskich na powiększenie pensyi nauczycieli, na opał w szkołach i na ich odnawianie został przeznaczony.

Lubo już w r. 1634 przed d. 27 marca ksiądz kanonik Chawłos wezwał był uniwersytet, żeby się przeniesieniem szkół zająć zechciał; dla braku jednak dostatecznych funduszów dopiero w r. 1636 około wzniesienia nowego gmachu myśleć zaczęto. W skutek wielokrotnych narad nakoniec d. 2go czerwca uchwalono, żeby leżące naprzeciwko kościoła ś. Anny i do collegium większego przytykające dwa domki po zmarłym w r. 1618 akademiku Adamie Romerze, od rodzinnego miasta Stężyckim nazwanym, przez exekutorów jego testamentu collegium większemu z pewnemi ciężarami przekazane, tudzież graniczącą z niemi kamienicę wraz z browarem jeszcze w r. 1577 od wdowy po Stanisławie Goły za 3,050 ówczesnych złotych a dzisiejszych przeszło 27,000 złp. kupioną, z stykającym się z nią browarem odstąpić na wybudowanie nowych szkół, pod tym atoli warunkiem, żeby ciężary do tych domów przywiązane prokurator uniwersytetu z funduszów Władysławskiego w przyszłości opłacał.

Skoro wszystkie przeszkody usunięte zostały, a przeznaczony na budowę kapitał, z dochodów fundacyi Władysławskiego zebrany, darem tysiąca złotych przez Jakóba Najmanowicza, profes. i kan. kat. krak., tudzież przez króla

Władysława ofiarowanemi, z żup wielickich 2500 złp. pomnożonym został, już w r. 1638 zaczęto wznosić gmach szkolny, którego budowa prowadzona pod nadzorem prokuratora uniwersytetu Zygmunta Gregorowicza ś. t. prof. ś. Floryana kanonika, przez murarza Jana Lajtnera z Kazimiérza, szczęśliwie w r. 1643 ukończoną została.

Dwieście lat ubiegło dnia wczorajszego od czasu, kiedy w tym tu gmachu po raz pierwszy zebrała się młodzież szkolna i dostojni nauk miłośnicy i opiekunowie. Była to wzniosła, w dziejach oświaty narodowej wiekopomna chwila, kiedy w tém tu miejscu niegdyś ku czci Matki Chrystusowej poświęconém (*) Krzysztof Sapelias Med. Dok. k. k. kr. przy odgłosie katedralnej muzyki odśpiewał mszę o Duchu świętym. Dwaj bracia biskupi Gębicczy, Piotr Krakowski i Jędrzej Łucki, wielu senatorów, mnóstwo obywateli stanu rycerskiego, przełożeni wszystkich zgromadzeń zakonnych, doktorowie wydziałów, i na koniec niezliczona młodzież szkolna, wszyscy łącznie wyłaném sercem składali dzięki Wszechmocnemu, iż tak użyteczne dla nauk dzieło szczęśliwie dokonane zostało.

Po nabożeństwie Marek Sobieski, wojewodzie ruski, starosta jawornicki, w dziękczynnej mowie do króla Władysława, jakby obecnego, obróconej (**), wychwalał jego dla akademii życzliwość, tudzież opiekę dla nauk, której nowym dowodem był ten gmach, jego staraniem wzniesiony, i o przywiązaniu królewskim do swego niegdyś

(*) Posiedzenia publiczne Towarzystwa naukowego z Uniw. Jagiell. połączonego odbywają się na amfiteatrze szkół Władysławsko-nowodworskich, gdzie przedtém od r. 1643 do r. 1786 *Oratorium* akademickie było umieszczone.

(**) *Oratio gratiarum actoria etc. Crac. in off. Christoph. Schedelii 1643. 4.*

nauczyciela przez święte wypełnienie ostatniej jego woli najwymowniej świadczący. Po Marku zabrał głos Jan, jego brat młodszy i dostojnym gościom dziękował wymownemi słowy, iż liczném zebraniem się ten uroczysty obrząd uświetnić raczyli. Ta wzmianka imion dwóch najznakomitszych młodzieńców, jakże różne kojarzy z sobą wspomnienia! Kiedy bowiem z imieniem Marka myśl nasza mimowolnie przenosi się na batowskie pola, a serce nieujęta żalność ogarnia na widok, jak ten dnia 2go czerwca 1652 roku z kwiatem młodzieży polskiej tamże gardło położył; to znowu nie bez szlachetnej dumy przypominamy sobie, iż w tój tu szkole wychował się Jan III, oswobodziciel Wiednia i obrońca chrześcijaństwa.

Po tój uroczystości porannej, która przez trzy godziny trwała, nastąpiło po południu przeprowadzenie klass. Tysiąc sto trzydzieści jeden uczniów tój szkoły, a między niemi mnóstwo synów najznakomitszych rodzin, jakoto: Denhoffów, Działyńskich, Kalinowskich, Koniecpolskich, Lanckorońskich, Ossolińskich, Sapiehów, książąt Wiszniowieckich, Zbarazskich, i t. p. (bo jeszcze w owych czasach guwernerów dla paniąt z zagranicy niesprowadzano, ale je swoi uczyli), wraz z profesorami i prowizorem Jakubem Witelliuszem, uszykowani w porządku klass, przed któremi niesiono obrazy ich patronów, ze ścian dawniej szkoły pozdejmowane, z zapalonemi świecami, w uroczystej processyi, odśpiewując nabożne pienia, wolnym postępowało krokiem, przenosząc się do tego tu nowego nauk przybytku.

KIBKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIEJ,

I WYSTAWIENIU JEJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

przez

Józefa Kremera.

Było to w roku — ale cóż nam po datach — dość na tém, iż było wieczorem, gdy wśród żniwa świat przyciśniony upałem dusznym dnia zaledwie oddychał pod ciężarem trudów pracy i skwaru letniego. Słońce właśnie tonąc na zachodzie, świeciło w oczy naturze spiekłem spojrzeniem, a w koło lasy, pola, krzewy, wioski i miasteczka, zalane powodzią modrawej sreżogi, kąpały się w niej, niby w wrzącej łaźni, Tak było światu duszno, ciężko i tęskno na piersiach, jak to bywa człowiekowi uczciwemu na twardój pielgrzymce żywota jego. Wśród równiny znużonej i wysсанej z sił wychyla się pagór, niby jedna z północnych mogił naszych; na nim stało dwóch małych chłopców. Jeden z nich z zadumieniem popatrywał się w koleżkę swojego, który z rozumieniem licem, wyniółszy wysoko główkę rozczochraną, z rozwartém okiem, coś miota rękami i głośno przemawia; przemawia niby wiérzszami, i twarzą na poły drwiącą, na poły grozną, wskazuje na dwie wioski rozkładające się o podal od pagórka; na jedną ciska kłatwę, a drugiej śle błogosławieństwo i cześć. Pachole to było jakieś nikłe, biédne, chude i blade; ale z oczów niby z okienek swoich, wyglądał na świat duch potężny, błyskawiczny, a duch ten właśnie co się zbudził, ocknął się, i pierwszy raz wejrzał w świat: bo żartobliwa kłatwa owa, i błogosławieństwo dziecięce,

było pierwszym przebudzeniem przyszłego wieszczka, pierwszą olbrzymiego poety pieśnią. Nad głową małego pacholęcia, gdzieś wysoko na dalekiem niebie zawieszone lekkie obłoczki, schodziły się teraz wieńcem chwały, świecąc rubinowym ogniem zachodzącego słońca—i na ziemi już wzrastał mu cień na koronę przyszłych boleści jego, wzrastała i żalobna i zawczesna cyprysowa gałązka. I jemu to będą dopiekać ziemskie skwary: i co jedno w życiu poety jest boleści, i żalu, i łez i cierpienie, toć wszystko zleje się, niby w naczynie święte, w serce biednego dziecka tego.

Gdy nieśmiertelny geniusz poezji zatęskni sobie w niebiańskich pałacach swoich, już rad się podzielić tą nieśmiertelnością swoją z kimś z ubogich ziemi mieszkańców. Wtedy z cicha i lekko spuszcza się w nocnym obłoczku na nasz padoł śpiący, i wśród drzymiących dzieci jedno sobie za syna wypatruje; a gdy sobie już ulubieńca upodoba, kładzie mu gwiazdę na czole, i znów z cicha i lekko uchodzi do nieba swojego, wybrańcowi z oną gwiazdą nieśmiertelność zostawując, bo taki już nie umiera nigdy, i żyje na wieki! Już tylko teraz lada chwilki potrzeba, by obudzić w młodych piersiach ukrytego wieszczka; ale ta chwilka kapryśna i dziwacka, i różne a różne przybiera na się postacie. Jednemu wylatuje z kwiatu, z całą wonią wiosny; na drugiego ona woła wśród gwaru wojny, wśród łomotu i gromów bitwy; innemu znów zjawia się na dziewiczym majestacie śnieżnych turni tatrzańskich, lub alpejskich iglic; czasem znów ona chwila przemawia w szumie głuchym kniei, lub zagra mu w duszy organami morskich fali, lub psalmem uraganów; a niekiedy ona zapali duszę wieszczka chłodnym promykiem księżycowej nocy, a częściej jeszcze gorącym spojrzeniem ładnej dziewczyny. A wiecie, z kąd na nasze pacholę właśnie teraz przyszła

ona ducha improwizacya, i to natchnienie jego? Skoro nie wiecie, pewny jestem, że i nie zgadniecie; ona nie zjawiała się ani we wiosny postaci, ani w dziwach olbrzymich natury, ani się zrodziła wśród pożóg i krwi wojen, ani ze spojrzenia księżycy, lub oczów pięknej dziewczyny; ta chwilka uświęcająca go na wieszczą, wypłynęła mu, ot poprostu, z kwarty świeżego mléka. Krótka tego wszystkiego jest historia.

Obaj chłopcy mieli właśnie w ten dzień rekreacyą; rekreacya— a czy pamiętacie czarowne brzmienie tego słówka z dawnych lat?— a przy téj rekreacyi dzwoniło jeszcze kilka szelązków w mieszku, co za radość! Więc ich parło przechadzką gdzieś daleko w świat, by tam gdzieś daleko od szkoły, przechulać skarb swój na świeżém mleku. Chłopięta znękane upałem, znużone drogą, wycieńczone pragnieniem, wpadają bez tchu do jakiejś wioski, ale tutaj niema ani mléka, ani gościnności. Nakładają ostatnich sił, by dobiédz wioski sąsiedzkiej, i niechaj żyje ta wioska i ich zacne mieszkańce! tu serdeczności wiele, i mléka co niemiara. Pokrzepiwszy się, idą dzieci spoczywać na pagórek. Więc już znacie, z kąd na jedną wieś spadła kłątwa, i z kąd błogosławieństwo na drugą. I to były pierwiosnki poety, co miał kiedyś zaśpiewać na podziw światu, i wszystkim ludom na pociechę i wesele.

I dużo upłynęło czasu i znów było głucho, kłiwie i parno na świecie; ale tą razą już na świecie moralnym ludziom jakoś tęskno na dusze padło. Świat cały był niby chory, jakoś się krzywił i nudził sobą, sam nie wiedział czego mu brak, i dla czego mu tak żałosno: ot, było mu tak, jako to bywa przed ciężką chorobą, lub burzą, lub wojną. Już na zachodzie piętrzyły się czarne kipiące chmu-

ry, i nad starą Francją, jakby nad pałacem Baltazara, ręka opatrzna i nieubłagana historyi wypisała już zbliżający się rok 1789. A zrozumiał te tęsknoty świata, te jego boleści, nasz poeta, znany wam z onego pagóra i improwizacyi pieśni swojej; zrozumiał on je, i dla tego mu w sercu coś bolało i płakało rzewnie. Lecz one pacholę urosło teraz w młodziana; patrzcież, jak go też przystroili dziwnie: mundur naówczas księstwa wirtemberskiego, ścięty krojem pruskim Fryderyka Wgo, spina go ogromnemi guzami; kamizela szerokimi połciami wywieziona z pod munduru; długie nogi od uda do kolan cienkie, ściśnięte, ale zato od kolan do pięty potwornej grubości, wzdymają się w konwie, bo obłożone wypchanym białym kamaszem; szyja długa więzła w obróże wązkim włóśnianym halsztukiem; po obu stronach głowy, trzy trąbki włosów zwite na wałkach gipsowych, z tyłu dęba staje gruby sążnisty harcap, a na samym szczycie głowy siedzi, niby ogromna ćma, maluchny trójgraniasty kapelusik. Nos jastrzębi zakrzywiony pod wydatnym kątem, brwi rude ku oczom skierowane, nadawały twarzy formę ptasią. Cała figura sztywna, nieruchawa, posuwała się po ziemi bocianiem chodem (*). Był to pan lekarz pułkowy, Szyller. Lecz gdy ten lekarz pułkowy tak niezgrabny, tak sztywny, przemówił, oczy jego siwe, głębokie, zaświeciły geniuszu płomieniem, brwi się ściągnęły silnie, usta się zwarły, a blade zapadłe lica załała zorza wschodzącego ducha; wtedy wszyscy umilkli, korząc się pod czarów przewagą. Oddany w 14tym roku do szkoły synów wojskowych, uczył się naprzód teologii, potem medycyny, potem prawa, potem znów medycyny, i przy niej na jakiś czas pozostał. Ciałem zamknięty w klauzurze szkolnej, uczuciem owiał świat cały,

(*) Ob. co do życia Szyllera: Laube, Gesch. d. deut. Liter. T. III.

i jakby po dziedzictwo swoje, sięgał duchem do gwiazd niebiańskich, i niby wedle upodobania swojego zdejmował te gwiazdy z wiekuistego sklepu, strojąc niemi postaci swych uczuć i myśli: a co wielkie w naturze, co zacne i święte w człowieczeństwa sprawie, to miało niby burzą w duszy jego. Więc przebaczmy też młodzieńcowi temu zbyt rozkołysanych myśli, brak nie zupełnie jeszcze prawdziwego widoku na świat i treść jego. Nim trzęsły wichry i burze, a na dnie duszy paliło pragnienie, by wydał na jaw, co go tam w sercu bolało, by wystąpił czynem, a czynem u niego była pieśń, był dramat, zdawało się, iż wołą potężną wysadzi świat z piast swoich, że tchem rozwieje go w atomy, w powiewny pył.

Tak razu jednego, a miał w tedy lat 18, siedząc samotny w swój ciasnej izdebce, ujrzał oczyma swego ducha, postać ogromną; a rosła coraz wyżej a wyżej, aż dźwignęła się olbrzymem. Ta postać był własny duch wieszczą; on się w niej przejrzał, zdobył ją sobie. Niepohamowana siła w nim parła, uchwycił pióro, i wołając: „Napiszę ja książkę katowi na spalenie!“ napisał „Zbójców.“ W tych zbójcach osadził one widziadło swój duszy, onego olbrzyma Karola Moor; wykarmił go boleścią i rozpaczą swój duszy, uposażył całą nienawiścią, jaką pałał ku tej rzeczywistości skreconej, która go w około obległa, a *Zbójcy* wydrukowane za pożyczone pieniądze, na szarej grubej bibule, padły na świat niby grom kławy!

Przeczuwał też ten talent, władający wówczas krajem książę Karol wirtemberski. Sam będąc chowany w zasadach dawniej konweniencyi, cenił wysoko dramaturgią klasyczną Francyi: więc też nie dziw, że go raził majestat dziki, wulkaniczny, młodego geniuszu. Pragnął go tedy widzieć we formie zbliżającej się klasykom fran-

cuzkim; ale tój formy nienawdził Szyller, i bez ogródkki wstręł ten swój objawiał. Wołany do księcia, słuchał prawideł estetycznych, kończących się nareszcie tém poleceniem, by nic do druku nie podawał, póki księciu rękopismu do przejrzenia nie poda. Rumieniec obleciał twarz młodego mistrza, lecz schował się w sercu; książę dodał groźbę, iż gdy tego nie uczyni, pójdzie na fortecę! — i to była piérwsza lekcyja estetyki, a drugiej już nie było, bo wieczorkiem młodzieniec przysunął się do drugiego paliwody przyjaciela swojego, i szepnął mu do ucha: uciekajmy — i uciekli. Ten przyjaciel jego nazywał się Streicher, i był muzykusem; a mogli śmiało puścić się w świat, bo choć Szyller grosza nie posiadał, Streicher jednak zadzwonił mieszkciem, w którym brzękło do prawdy 23 reńskich. Pod obcém imieniem mieli się cichaczem wysunąć ze Stuttgartu. Szyller nazywał się Dr. Ritter, i dźwigał pod surdudem parę ogromnych pistoletów. Warta ich nie poznała. Za miastem czekała para szkapiąt z furą; na niéj kuferki z nutami, klekot klawikort Streichera, zawiniątko Szyllera, a w tém zawiniątku rękopism nowéj tragedyi „*Fiesko*,” a w głowie u Szyllera „*Intryga i miłość*.” Wszystkie te trzy sztuki razem z późniejszym „*Don Carlosem*,” należą do piérwszój epoki, i wspólną mają dążność.

Przybywszy do Manheimu, Streicher zebrał aktorów celniejszych tamtejszego teatru, którym Szyller miał czytać swojego *Fiesko*, i pod sąd im go oddać. Ale już po piérwszym akcie słuchacze się rozeszli, wołając, że to bezecna ramota; i nie dziw, Szyller źle deklamował, a ci panowie mając tylko uszy dla dźwięku tonów, a nie dla muzyki duchowéj poezyi, nie pojęli ani autora, ani dzieła jego. Wnet nadeszły listy grożące wydaniem naszym dwom towarzyszom biédy. Niebezpieczeństwo groziło; a

gdy one 23 reńskie już były na schyłku swoim, więc wybrali się pieszo. Streicher lekki, wesoły muzyk, ruszał dzielnie naprzód, ale Szyllera opuściły siły; wycieńczony, znużony do ostatniego, padł omdlały w jakimś lasku pod Frankfurtem. Upadł pod krzyżem swoim człowiek, który nie do samych Niemiec należy, ale jest wspólną własnością wszystkich narodów i wszystkich wieków, które po nim nastąpią; bo on też całą ludzkość w piersiach chował, a serdeczną miłością objął świat cały.

Inną razą widzimy naszego wieszca wśród mrozów zimy, passującego się ze śnieżnemi zaspami, bez środków podróży, bez płaszcza nawet, lub w komorze nędznej karczmy, gdzie mu na przemian nieodstępny biedy jego towarzyszy przygrywa myśli na klawikordzie, a Szyller mu za to przy kopciu kagańca odczytuje pieśni swoje. Niekiedy znów księgarz frymarczy z genialnym człowiekiem o kilka talarów za arcydzieła jego. Gdy tamten z nich zysku pieniężnego szuka, wielki poeta walczy, by nie umarł z głodu i nędzy. Nie jeden długowłosy dandy mazgai się dziś z nudów po teatrach, a lorynetując dzieła, jak „*Dziewica orleańska*,” ani przez główkę swoją przepuści, ile mąk przecierpieć, przeboleć musi człowiek jak Szyller, nim dzieła podobne z głębi ducha swojego wyważy.

Aleć tę walkę z rzeczywistym światem rozwinął zaród przyrodzony umysłu jego; ściśniony zewsząd bólami zewnętrznego widomego świata, uniósł się ponad niego, ściśniony od lat dziecinnych niewolnictwem brudnym, rozpiął skrzydła, i uleciał na wysokości wiecznej swobody i godności człowieka; duchem potężnym rzucił się w krainę nadziemskich myśli, w świat czystego rozumowania; cóż dziwnego, iż w nim wzrosła umysłu potęga, i że obrzydliwszy sobie zjawiska pojedyncze, zapuścił się w śledze-

nie prawd ogólnych, niezmiennych, słowem, że został filozofem-poetą. Ta główna cecha, niby świętą pieczęcią, odcisnęła się na całym jego żywocie, i we wszystkich dziełach jego, które tedy z tego jedynie stanowiska rozumiane być winny.

Gdy wielki wieszcz na południowym zachodzie Niemiec tak ciernistą chodził życia ścieżką, na drugim końcu, bo w szarym Królewcu, w szarym domu, żył sobie najspokojniej w świecie człowiek w szarym surducie, maluchny, wywiedły, szczuplutki, professor niemiecki, dziekan odwieczny królewieckich kawalerów, któremu się nigdy na ożenienie nie zbięrało, a o miłości i we śnie nie marzyło. Jakoż uczucie wszelkie, gniew, namiętność, żal, nadzieja, smutek, były dla niego rzeczy bez wagi; odpędził je precz od siebie, niby muchy natrętne, przeszkadzające do myślenia. Nie zaznał nigdy ziemskiej pokusy: jemu to trzeba było być Adamem w raju, a ręczę, iż żadna Ewa nie byłaby z nim wskórała, i byłoby nam teraz wszystkim jakoś inaczej. Ale co się stało, to się już nie odstanie, nie ma o czém mówić. Nasz professor nie zaznał nigdy niepokoju, ani dbał o to, co nas innych biędaków porusza: bo to ciało on sobie uważał za futerał niepotrzebny, i byłby się zupełnie bez niego obszedł, gdyby było rzeczą słychaną, ażeby nie mając ciała, można pić kawę, pisać książki, i lekcyę dawać; te trzy jedynie rzeczy łączyły go jeszcze ze ziemią. Codziennie widywali go uczciwi mieszkańcy Królewca, jak sobie biegał pod lipkami na przechadzkę, i wszyscy kłaniali mu się grzecznie, a on się też wszystkim ślicznie kłaniał; bo to była istotnie rzecz dziwna, iż nasz professor wojażer nieosobliwy, co to z Królewca poki życia nie wyjeżdżał, Gdańska nawet nie widział — a wiecie z jeografii, jak blisko z Królewca do Gdańska —

otóż tedy choć nigdzie nie był, nic nie widział, a przecież można było rozsądne słówko z nim pogadać. On jakoś wiedział wszystko, był bardzo uczony, bardzo mądry, a przytém tak żartobliwy, tak wesoły, zabawny, śmiejący się zawsze, pełen conceptów, a facecuj już wiedział co niemiara. I wszystko byłoby było najpiękniej, gdyby sobie raz nie był grubo zażartował z całego świata, a był to trochę concept niegrzeczny. Bo wiecie, co on tam robił pod lipkami? niby on to myślał, i w tém nic złego; bo jakże nie myśleć, a jeszcze do tego professorowi filozofii; taki przecież myśli *ex officio*. Ale — ba, słuchajcie no: otóż gdy on professor szczuplutki i suchy, biegał pod lipkami królewieckimi, rozbięrał w myśli wszystkie rzeczy i wszystkie mniemania ludzkie, gdy nad wszystkiém rozmawiał, więc w końcu przyszła mu jakaś ochotka, by też sam rozum rozebrać, i rozebrał go jak w tygielku; a było to mu łatwo, bo jak wiecie, będąc duchem czystym, niematerialnym, nic ziemskiego mu już nie przeszkadzało. Otóż, jak wziął myśli nasze puszczać przez alembik, jak zaczął po swojemu roztrząsać wszystko, co wiemy, i to czego nie wiemy, i to czego wiedzieć nie możemy, jak się zabrał dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć, tak mu wypadło na rezultat czyste zero; wypadło najjawniej, że wszystkie mniemania ludzi nie mają wartości, że ludzie bawili się dotychczas szczeremi liczbomami, myśląc, że to dukaty, że byleby tym zdaniom i przekonaniom wejrzeć w głąb, toć się okaże, że to puste łupiny bez ziarna; dowiódł jak 2 razy 2 cztery, że nasze przekonania, to szczerę facecye i nedorzeczne concepta. Tego wszystkiego dociekł on chudziutki professor, a skoro dociekł, siadł i napisał książkę: „Krytyka czystego rozumu, przez Immanuela Kanta, profesora w uniwersytecie królewieckim.“

Bo tak się nazywał nasz facecyonista. Możecie sobie łatwo wystawić, ile to było rajwachu w świecie, co gwałtu. Dzieci, co wierzyły były w liczby, zaczęły płakać, widząc że to nie dukaty; inne się cieszyły i klaskały w ręce dowiedziawszy się, że Bobo już nie stało za drzwiami; a najwięcej było harmidru między filozofami ówczesnymi: bo ci o niczem złem nie myśląc, siedząc około stołu, budowali sobie domki z kart, a domki te wznosiły się coraz wyżej, coraz piękniej, aż tu zrazu obcesem w sam środek téj budowy wpada ona księga; rozleciały się na wszystkie strony i karty i głowy tych budowniczków; panowie filozofowie siedzieli jak wryci, oczy i usta trzymając rozwarłe, kilku z nich w téj pozycji wyniesiono nawet na cmentarz; słowem, dawna filozofia zbankrutowała na piękne, a nowa potężna, silna i bogata zabrała jój miejsce. A one lipki nazywają się po dziś dzień „Drózką filozofa,” i tak są sławne, jak u nas Krzemionki po nieboszczyku Twardowskim. Tam, jak tu, podobno dziś straszy, i bardzo temu wierzę. Ale dajmy temu pokój. Wszak widzę, iż zaiste nie jeden z was potrzęsa głową, pytając się, jak tutaj wszedł Immanuel Kant, gdy mówić obiecałem o Dziewicy Orleańskiej. Wszedł najprostszą drogą: bo ducha Dziewicy Orleańskiej nikt nie zrozumie, kto nie zrozumie ducha i stanowiska Szyllera, a Szyllera znów nikt z gruntu nie pojmie, gdy nie będzie wiedział o Kancie. Bo filozofia jego jest pierwiastkiem potężnym, żyjącym w sposobie zapatrywania się Szyllera, w jego stanowisku filozoficzném i poetyczném. On ją w siebie przyjął, w sobie dalej rozwinął, a w jego pieśniach żyje pogląd filozoficzny na świat. Jego figury dramatyczne, są to filozoficzne myśli odziane widomą szatą, i przystrojone całym urokiem naziemskiej poezyi.

Natura włożyła w ducha Szyllera zaród do filozofii; ten zaród więc przebudził się, tknięty ową rzeczywistością pełną cierpień, a rozwinął się pod wpływem filozofii Kanta.

Zapewne wielu z was było już w Wajmarze. Jest to jedno z tych miast, co to zawsze strojne jakby na święto, zawsze wyświeżone, obmyte czysto, ciche, i tak się lśnięciami szybami wesoło patrzy w świat, że aż miło, podobne do młodej dziewczyny idącej sobie w Niedzielę do kościoła, z kwiatkiem na głowie, a w ręku z książką do nabożeństwa i z chusteczką haftowaną — skromna, cicha, pobożna. Taki jest Wejmar, miasteczko — stolica. Pełno tam ładnych białych domków, a więcej jeszcze ładnych ogródków: rzekłbyś nawet, że tam nie ogródki dla domów, ale domy niby altanki dla ogródków stawiane; więc będąc wśród samego miasta, myślisz, żeś na przedmieściu; pytasz ciągle o miasto, aż jeden z grzecznych mieszkańców poznawszy cudzoziemca, uchyli grzecznie kapelusza i zapewni, żeś w samiuteńkim środku miasta — a są to bardzo grzeczni ci obywatele wajmarscy. Otóż w tym Wajmarze jest rodzaj rynku, na tym rynku fontanna, a niedaleko od niej dom nie pałacowaty, nie pyszny, ale tak sobie dom wygodny, domaszny. Przed tym tedy domem, stawało często mnóstwo ludzi mówiących różnemi językami, a zwłaszcza angielskim, i gawronili się w okno onego domu, w dach, we drzwi, w dym, co wychodził z komina. Bo też ten dom był domem jego excelencyi a radcy tajnego a ministra stanu w księstwa wajmarskiego. Jakto? i dla tego ci ichmoście tak lepili oczy w ten dom? Nie zupełnie dla tego, ale dla tego podobno, iż tą excelencyą, tym radcą tajnym, tym ministrem, był — Göthe. Niektórzy z onych ciekawych doświadczając szczęścia, wstępowali w progi

jego mieszkania, ale połowę ich tylko przyjmowano, a z tych jedni byli grzecznie przyjęci, inni niegrzecznie. Bo też można w części i Göthego wytłumaczyć. Kto jechał przez Niemcy, nawracał przez Wajmar; całe wędrówki narodów, niby *migratio gentium*, wydeptały mu schody, a zwłaszcza Angliki, co jak wiadomo całemu światu, niby stado żórawiów ciągną przez Europę. A prawda, iż gdy się Anglik uda, to perfekcja; ale John Bull zwyczajnego chowu pospolicie siebie i innych nudzi. I ja byłem w tym Wajmarze, a zważcie dobrze, byłem tam w latach studenckich, w tych latach, kiedy się wszystko na świecie udaje, i gwiazdy na niebie, niby muzykanty wiekuiste, przegrывают nam na to życia wiosennego wesele; a przeczytawszy ze ś. p. Bandkiem Horatiusa, pomyślałem sobie: *audaces fortuna juvat*. Więc też ta wizyta udała mi się bardzo szczęśliwie, i nad podziw byłem łaskawie przyjęty. Ale dajmy już tą razą pokój tej wizycie, może przy innej sposobności opowiem ją wam. Wspomniałem wam tutaj o Göthem dla tego, by wam przypomnieć, iż on jest istotnie drugą połową Szyllera. Oni obaj tak są wręcz odwrotni w swych kierunkach duchowych, tak wbrew sobie różni, iż się nawzajem uzupełniają, iż już trudno jednego z nich wspomnieć, by zarazem i drugi nie nasunął się pamięci, że jeden z nich przy drugim tylko zrozumianym być może. Naprzód nawet ich położenie w świecie było zupełnie różne: bo gdy Szyller passował się krwawo z rzeczywistością tak ciępką i twardą, przeciwnie Göthe się w czépku rodził; bo świecił gieniuszu ogniem, z ciała piękny jak Apollo, i rodziców miał majątnych, brakowało mu tylko ptasiego mléka. Więc on też kochał tę rzeczywistość; puścił tylko na nią światło nadziemskiej poezyi, a ta rzeczywistość podniesiona do ideału, stanęła odziana

barwą eteryczną, uwieńczona aureolą najwyższej piękności. Szyller rozpoczął walkę na zabój ze światem; Göthe patrzył się na świat i na wszystkie na nim rzeczy, jak gdyby one jedynie dla niego były stworzone, by sobie mógł z nich wedle ochoty brać wzorki, by mu służyły za tło dla jego poezji; dla tego burze życia i historii były dla niego natrętne hałasy, wichrzące mu spokojność głęboką ducha jego. Geniusz Göthego był zupełnie plastyczny; gdy geniusz Szyllera był wewnętrzny, liryczny, i występował w pieśniach i postaciami drammatu.

Wyszedłszy od Göthego, udałem się za miasto. Było to na wiosnę. Słońce, co jak opatrność świeci nad naturą, żegnając boleśnie ziemię, chowało się za kaplicę samotną, i z za niej rozsyłało po niebie powódź swego światła. Owa kaplica była jakoby środkiem i ogniskiem tych promieni, i rysowała się silnie na dnie złocistém błękitnego sklepu: rzekłbyś, że to cyboryum święte, ofiarny kielich łączący niebo z ziemią. Człowiek, któremu także już słońce żywota ku zachodowi się miało, otworzył mi sklep pod kaplicą. Trzy tam obok siebie stały kamienne grobowce pełne powagi: jeden z nich jeszcze próżny, oczekiwał Göthego; środkowy miał już swojego mieszkańca, w księcia wajmarskiego; w trzecim drzymał snem wiecznym na swym wianku laurowym i cierniowej koronie, Krzysztof Frederyk Szyller, ur. 1759, umarł 1805 r., mając lat 46. Ś. p. w. księżę lubił snąć dobre towarzystwo, i po śmierci nie lada kogo do siebie zaprosił; oddając cześć wielkim wieszczom, uczył tém samém i siebie.

Trzecia epoka w życiu Szyllera da się zamknąć w krótkich słowach. Świetność geniuszu przedarła się już przez wszystkie złowrogie potęgi, otaczające całe młodsze lata jego, więc ze wszech stron już odbierał dowody wyso-

kiej czci. W roku 1787 przybywa do Wajmaru, gdzie serdecznie i z poszanowaniem wita go Herder i Wieland; niezadługo otrzymał katedrę historyi w Jena, potem się ożenił z osobą mającą wiele miłości, wiele serdeczności, ale nie więcej. Wszakże praca nieustanna, bezsenie, starzały siły Szyllera; wpadł w słabość piersiową. Ze zarodem śmierci Szyller zachwyca jeszcze świat arcydziełami swojemi: *Wallenstein*, *Dziewica orleańska*, *Wilhelm Tell*, do tej złowrogięj epoki należą. Zacny książę holsztyński naznaczył mu na 3 lata pensyą po tysiąc talarów rocznie, pod tym jedynym warunkiem, by nie pracował i oszczędzał zdrowia swojego. Nie tak dar, ale sposób szlachetny dania, rozrzewnił wieszca. Różne uniwersytety zapraszają go, czyniąc ofiary znaczne. Ale książę wajmarski niczego nie szczędzi, by genialnego człowieka u siebie zatrzymać. Cesarz Franciszek w roku 1802, na ówczas jeszcze cesarz niemiecki, posyła mu dyplom szlachectwa państwa. Roku 1804, król pruski czyni mu nadzwyczaj szczodre ofiarowanie, zapraszając do Berlina. Lecz to wszystko było daremne, bo w roku 1805 wieszcz skonał. Śmierć przerwała mu dokończenie dzieł wysokiej wartości. Z nich jedno w dwójnasób nas obchodzi; jest to tragedia „Dymitr Samozwaniec.“ Sztuka otwiera się sejnem w Krakowie; Zygmunt zasiadł na tronie wśród senatu i izby poselskiej. Ze scen napisanych przeczuwać można doskonałość, na którą się zanosilo w tej sztuce. Szyller z równem mistrzostwem maluje nam Szwajcarów jak i Hiszpanów, Francuzów jak i Anglików, Polaków jak i Niemców. Lecz nie w tém jeszcze szukajmy przyczyny, dla której Szyller jest podziwem wszystkich narodów. On potęgą czarującą przyciąga do siebie ludzi bez względu na ich pochodzenie rodzime, na ich pleć, wiek, położenie

towarzystwie. Niema zaiste poza granicą Niemiec poety niemieckiego tak powszechnie znanego, jak Szyller. Powodem téj jego potęgi, téj niesłychanej wziętości, jest właśnie filozoficzność głęboka, spoczywająca na dnie jego dzieł. On wsparty na Kancie zdobywa sobie myśl ogólną, abstrakcyjną, a potem odziewa ją w szatę przepyszną swojej poezyi; u niego pomysł filozoficzny ubiera się w poetyczny obraz. Gdy tak cała istota jego poezyi jest rozumowa, cóż dziwnego, iż bije w tętnie wszystkich ludzi różnych narodów: bo co z rozumu pochodzi, do rozumu trafia, a rozum jest wszędzie jeden i ten sam. Ztąd tak gwałtowna, piorunna potęga jego wierszy; one brzmią jak rozkazania wiekuistej prawdy, i mają urok jakby chóry Sofoklesowe. Ztąd téż jego pieśni, jak n. p. „*Dzwon, Pieśń do radości, Idealy i życie*.“ obejmują cały świat, cały żywot człowieka. Szyller chłopcem małym będąc zawołał: „Ojczyzną moją jest świat cały; gdzie ludzie, gdzie serce człowiecze tchnie, tam jest moja ojczyzna!“ i te jego słowa się spełniły. Ztąd pełne wspaniałości są sentencye Szyllera, i liryczność w tragedyi świecąca, ni by najdroższe klejnoty w dziełach jego. Dla tego téż ten ogólny, filozoficzny, głęboki pierwiastek w istocie Szyllera jest niezbędny do zrozumienia dzieł jego; ten to pierwiastek artysta sceniczny koniecznie znać powinien, uwidomić myśli wielkiego mistrza, jeżeli rzetelnie zasługuje na imię artysty. (*Dalszy ciąg nastąpi*).

WTEBKŃ GOŚĆ W PAFRACH.

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

(Dokończenie).

Nad brzegiem morskiego oka, w którego niedojrzanej głębi dotąd tajemnica leży, przypatrywała się grupa wędrowców, po szklannym jeziora przestworze ślizgającej się łódce, w której kilka osób wracało z wyprawy od czarnego stawu. Łódka przybiła do kamienistego lądu, i obiedwie grupy, zapewne sobie znajome, powitały się nawzajem. Całe towarzystwo składało się z młodzieży męskiej, pustej, wesołej, ciąglemi igraszkami umilającej sobie chwile, tylko dwóch było towarzyszków, którzy pamiętali ostatni dziesiątek przeszłego stulecia. Jeden z nich był poetą, drugi gospodarzem w niewielkiej wiosce; ich spreczne usposobienia w ciąglej zostawały walce.

„Po co mnie tu wyciągnąłeś Zygmunce! rzekł do poety szronem okryty agronom, — cóż ja tu mospanie o-sobliwego widzę? to sławne morskie oko, ot zwyczajnie jezioro, pełne wewnątrz kamieni, otoczone skałami, po których tylko mospanie nogi ranić trzeba.“

„Ale czyż w umysł twój nie wsiąka jak w gąbkę idea twórczości natury? czyż przed duszą twoją nie przesuwają się łańcuch, opasujący całą przyrodę swojemi ogniwy? morskie oko! ileż w tém poezyj, jak tu jest uosobiony ogrom morza, które o sto mil od swego tułowu ma jasne, czyste oko, umiejące jak dyplomata ukrywać wewnętrzną walkę swego łona!“

„Ale stój, stój mój Zygmunce! powiedz mi mospanie, jaka korzyść dla mnie z téj podróży; czy ja się tu nauczę jak z ziemniaków wydobywać więcęj alkoholu,

czy mi to dostarczy środków do wypasu bydła? ot zwyczajnie dzieciństwo! wszystko to skutek waszych książek; czegoś szukacie po niebie, a na ziemi nic nie możecie znaleźć; w żołądku głodno, a tu mospanie! trzeba czytać jakieś tam poezye, trzeba skupować dzieła! Ot jest temu ze dwa roki, jak będąc w mieście kupilem sobie dzieło o wierszach jakiegoś Mickiewicza, przeczytałem raz, drugi, trzeci, przeczytali sąsiedzi, i cóż mi dziś z tego, nikt ani za połowę piędędzy tego nie odkupi, ni mi to pokaże, który dziś dzień, albo jaka będzie pogoda. Ale nie do ciebie to mospanie o tém gadać, a po prawdzie mówiąc nie potrzebowaloby się dotąd cudzej łaski.“

Poczerwieniał poeta, nabrzękły mu policzki, i w oku zabłysnął ogień grożący burzą, któraby nieochybnie wybuchła, gdyby nie nagła zmiana sceny. Karawana złożona z ośmiokonnój karety, i trzechkonnego koczka, zatrzymała się przed domkiem, zbudowanym nad samym brzegiem morskiego oka. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, z której podróżni wysiadłszy z pojazdów dążyli połączyć się z ujrzaném towarzystwem. Lecz wśród téj krótkiej drogi, podróżny znany nam pod tytułem hrabiego, spostrzegłszy stosy kamieni pokrytych barwą różową, i owioniony zapachem fiołków, zbliżył się do poety stojącego na czele grupy, zapytał go, czyliby mu nie raczył objaśnić tajemnicy nieznanych kamieni?

„Świat głazów, odpowiedział poeta, obchodzi teraz swą wiosnę. Prosty nasz ziemski fiołek byłby zbyt drobnym do napojenia wonią olbrzyma Tatrów.“

Nie zadowolony bynajmniej odpowiedzią, prosił jednak podróżny spotkane grono wędrowców, aby mógł z nimi razem dalszy gór przegład odbywać. Podpłynęła natychmiast łódka, i podróżni puścili się bez wyjątku razem dla

zwiedzenia morskiego oka, które chociaż swą przestrzenią zajmuje siedmdziesiąt i kilka sążni, przykryte jednak skał ogromnych cieniem, traci na rzut oka pozór swojej wielkości. Podróżny w bluzie, półciałem wychylony z łódki, wpatrywał się bez przestanku w czarną jeziora głębią, podczas gdy młode towarzystwo mało zważając na przybyłych, obrawszy sobie jednego z pośród siebie za cel swoich dowcipów, prześladowało go młodą jakąś pannienką, o którą już od lat kilku bez skutku się stara...

„Nie tak to, jak wam się zdaje, rzekł prześladowany młodzieniec; ożenić się, to nie puhar wina spełnić, ja ją chcę poznać, chcę dokładnie wypróbować jój przywiązanie do mnie...”

„A jednak mówią, odezwał się któryś, że cię Ema szalenie kocha.“

„I czemużby mnie kochać nie miała?— wszak jestem przystojny, o czém wiem doskonale, mam wieś własną, a i na rozumie mi nie brak, bo już się trzy lata staram o rękę Emy, a jeszcze jój dwa razy jednego nie powiedziałem... Ale patrzcie no! ten cudzoziemiec chce widzieć ryby na wędkę łowić.“

Mniemany hrabia spuszczał w tej chwili na długim sznurze uczeponą wagę żelazną dla zbadania głębi jeziora, ale wymiar się nie udał, bo wprzód się długość sznura wyczerpała, zanim ciężar o dno uderzył. Zwinąwszy więc sznur, zapytał:

„Czy panowie, macie jakie podania o morskiem oku?“

„Te strony, rzekł poeta, są arką podań, ale do dzisiaj są one ukryte pomiędzy ludem, jak djament wśród bryły ziemi. Co się tycze morskiego oka, na dowód, że ma podziemną z morzem styczność, opowiadają, że w roku niewiem już którym, w czasie gwałtownej burzy, roz-

bił się okręt na oceanie; strata wynikła z tego nieszczęścia była ogromną, kto uniósł życie, wrócił nędzarzem do domu. Nie wiem jakim wypadkiem kupiec, który miał wielki ładunek towarów na rozbitym okręcie, znalazł się w jakiś czas potem na Węgrach, w okolicy Tatrów. Wystaw sobie pan jego zdziwienie, kiedy ujrzał przyniesioną sobie na sprzedaż zatopioną przy rozbiciu w morzu szkatułkę z własnym swoim nazwiskiem wrytym na srebrnej blaszce. Szkatułkę tę, jak dowody okazały, wydobyto z morskiego oka.“

Wśród tego opowiadania młodsze towarzystwo bawiło się prześpiewywaniem zwrotek krajowych pieśni, i wystrzałami z ręcznej broni, które odbijając się o skały załomy, tętnią kilkakrotnym echem.

„Jak mi to przypomina, rzekł jeden z młodzieży, podróż wodną, którą robiłem w Saxonii...“

„Pan byłeś w Saxonii?“ zapytał ciekawie podróżny, na którego licu wyblęzło błogie wrażenie, znajome temu tylko, kto zdala od kraju niespodziewanie spotkał przyjaciela.

„Tak jest, odpowiedział zapytany, i nie zapomnę nigdy tego pięknego kraju, gdzie sztuka z naturą przyjazną podały sobie rękę, gdzie cudna stolica tyle mieści w sobie skarbów pięknego umiactwa, gdzie wreszcie oświata szybkim skokiem wyprzedziła współzawodników, a teraz jeszcze kolej żelazna...“

„A dajże też pokój z tą koleją żelazną, odezwał się kolega gospodarz, to istna zguba kraju; nie daj Boże, abyśmy poszli w te ślady, to potem chyba sami będziemy zjadać siano i owies; a z resztą piękna rzecz, żeby się człowiek żywcem piekł jak kartofel, jak tam gdzieś we

Francyi się stało. Ludzie póki ludźmi niech jeżdżą końmi nie parą.“

„Pan zdajesz się być nieprzyjacielem pary.“

„Dla tego się też nie ożenił“ dodał poeta z cicha, z tryumfem trafnego dowcipu.

Wśród różnych rozmów, zwiedzili podróżni wyżynę czarnego stawu, z ciężkim trudem wdrapali się na szczyty sąsiednie pięciu stawom, spuścili się po pod śnieżną bramę kaskady, której spadek w miliony kropel rozmglony, zda się być przy świetle słońca tęczą promieni; już byli w przyległym lasku kozodrzewim, a wszędzie nieznanomy podróżny z wysileniem uwagi oglądał najdrobniejszy przedmiot; każdy kamyczek, każda roślina ścigała jego bacność, z rzadką zdolnością znawcy rozwijał teorią nauk przyrodzonych, zadziwiał, porywał swoją wymową. Już słońce miało się ku zachodowi, a reszcie towarzystwa, mimo trudów i unuzenia, czas razem przepędzony chwilą się być zdawał. I górnomyślny poeta, i prozaik, gospodarz i całe grono młodzieży przyłgnęło sercem do nieznanomego, który swoją łagodną, niezrównaną słodyczą najexcentryczniejsze zdania bez uniesienia zbijał, który podróżnym zasobem krajowców, przypuszczony do ich uczyty na szczycie gór, głód swój z wdzięcznością zasyczał i pragnienie gasił. Słońce zapadło już za góry, kiedy nieznanomy jeszcze udzielał towarzyszom podróży swoich postrzeżeń; lecz doszli wreszcie do czekających pojazdów, gdzie dobywszy małej książki prosił otaczających, aby mu raczyli powiedzieć swoje nazwiska, które przezornie zapisał, dodając, że jeżeli kogo traf do stolicy jego kraju przemiesie, miło mu będzie odwdziżyć się doznaną gościnnością.

„I my, ozwało się kilka głosów, pragnęlibyśmy zaszczytu dowiedzenia się godności pana.“

„Co do mnie panowie! ja jestem geologiem, chemikiem, botanikiem, mineralogiem, a na ostatku kolegą waszją podróży i — królem kraju sąsiedniego monarchii waszją.“

Jak na komendę wszystkich głowy odkryły się i podziw odbił się na twarzach żegnających wielkiego gościa.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W WARSZAWIE:

Kobięta miłość i małżeństwo pod względem moralnym, szycznym i dyetetyczno-lekarskim; podług dzieł professorów Dra Buscha, Mosta, P. Roussel i innych ułożył B. Rosenblum, in 12mo, w drukarni J. Kaczanowskiego.

Objawione tajemnice i przepisy rozmaitych doświadczonych użytkowników w gospodarstwie wiejskim, domowem, w sztukach rzemiosłach i t. d. z uwagą na wygodę i oszczędność w różnych potrzebach życia, in 8vo, nakładem S. H. Merzbacha.

Rozalia i Anusia czyli przeniesienie obowiązku nad miłość, powieść ze zdarzenia prawdziwego oryginalnie napisana p. Teklę z K. B..... in 12mo, w drukarni Chmielewskiego.

Dzieje Polski przez Mikołaja Pawliszczewą, in 8vo, w drukarni St. Strąbskiego, z obrazem chronograficznym i mapą Polski.

Wajdelotka czyli dolina Aleksoty, powieść z pierwszej połowy trzynastego wieku, oparta na podaniach z kronik litewskich przez Józefinę O. 3 tomy in 12mo.

Praktyczne nawodnianie łąk wraz z planami do położenia kraju naszego zastosowane, z opisem i planem łąki sztucznie utworzonej w dobrach Żarki gubernii Kielceckiej, przez Wincentego Józefowicza, in 8vo, nakład G. L. Glücksberga w drukarni S. Strąbskiego.

- Tajemnice Paryża przez Eugeniusza Sue przekład Fr. Chlewaskiego in 12mo, nakład G. L. Glücksberga.
- Kalendarzyk polityczny na rok 1844 wydany przez Fr. Radziszewskiego, rok dwunasty, in 16mo, w drukarni przy ulicy Bednarskiej Nro 2673 lit. a.
- Stary mąż, komedia we czterech aktach przez Józefa Korzeniowskiego in 12mo, wydanie Adama Zawadzkiego, nakład i druk Zawadzkiego.
- Żydzi, komedia we czterech aktach przez Józefa Korzeniowskiego, in 12mo, wydanie Adama Zawadzkiego, nakład i druk Zawadzkiego.
- Historia polska przez Michała Balińskiego, in 8vo, nakład G. L. Glücksberga w drukarni S. Strąbskiego.
- Rozmowy francuzkie ułożone przez Eugenię de Rochetin Bocquel, przełożone na język polski przez J. K. Skibińskiego, 3cia edycya poprawna i powiększona in 8vo, w drukarni Banku polskiego.
- Nieśmiały kochanek przez K. P. de Kock, 4 tomiki in 16mo, nakładem wydawcy, w drukarni J. Dietricha.
- Snopek nadwiślański z płodów piśmiennictwa krajowego zebrali Marcin Osoryja i Karol B. z Jarosławia z muzyką J. Elsnera i J. F. Dobrzyńskiego, drzeworytami W. Smokowskiego, in 8vo, nakładem wydawców, czcionkami St. Strąbskiego.
- Lwia skóra przez Karola Bernard, tłumaczenie z francuzkiego, in 12mo, w drukarni T. Wyszomierskiego.
- Akta Babińskie, pismo nie peryodyczne i nie zbiorowe, wydawca J. J. Kraszewski. Książeczka druga in 12mo, nakład i druk Józefa Zawadzkiego.
- Powieść składana. J. J. Kraszewski. John of Dycalp. wydanie A. Zawadzkiego, nakładem i drukiem J. Zawadzkiego.
- Deklamator polski, wybór cenniejszych utworów poetycznych literatury krajowej zebrał, w uwagi tyczące się deklamacyi zaopatrzył, i do użytku młodzieży zastosował Fr. H. Lewestam. Oddział pierwszy in 12mo, nakład Fr. Spiessa i spółki.
- Bolesna męka Zbawiciela świata, wedle rozmyślań A. K. Emmerich, przekład z francuskiego przez X. T. B. Zgr. Miss. in 8vo. W drukarni XX. Missyonarzy u Stego Krzyża.
- Władysław, szkic historyczny polski z drugiej połowy XVII wieku przez J. N. Czarnowskiego, in 12, 2 tomy, w drukarni J. Dietricha.

Prześladowca, szkic obyczajowy, przez Stanisława Bogusławskiego. 2 tomy in 8vo, w drukarni Strąbskiego. Nakład S. Orgelbranda.

Lucya Kalińska czyli cztery kuligi, powieść historyczno-obyczajowa z końca XVIII wieku. Napisał J. Bohdanowicz, 2 tomy in 12. Nakład B. J. Saltzsteina, w Drukarni Strąbskiego.

Biblioteka Starożytna pisarzy polskich. Wydał K. Wł. Wójcicki. Tom 5ty in 8vo. Nakład S. Orgelbranda, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego.

Wizerunki społeczeństwa warszawskiego, szkice obyczajowe, skreślił Józef Symeon Bogucki, in 8vo. Nakładem autora, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego.

Abécédairc français d'après une nouvelle methode par. J. M. El...na Chez S. Orgelbrand. W drukarni J. Dietricha in 12vo.

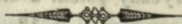
Głupi Franek i nowy śmętarz dwie powieści pogrobowe oryginalnie napisane przez E. L. wydanie pośmiertne. W drukarni J. Ungera, in 12mo.

Wspomnienia z czasów Napoleona. Mniemana śmierć Napoleona, albo zamach Maleta w r. 1812 przez Emila Marco de Saint-Hilaire in 12mo, nakład S. Orgelbranda, w drukarni S. Strąbskiego.

Małe tajemnice Warszawy, zarysy obyczajowe oryginalne, przez K. R. Rusieckiego Tom 4ty, w drukarni pod firmą Kaczanowskiego, in 12mo.

Matylda czyli pamiętniki młodej kobiety, przez Eugeniusza Sue, przełożyła z francuzkiego P..... S....., 2 tomy in 8vo majori, w drukarni przy ulicy Miodowej.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierosrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W Galicyi przyjmują tylko księgarnie, w Cesarst. zaś Rosyjskiem i Królestwie Polskiem w Urszędach pocztowych prenumerować można.



DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 8.

KRAKÓW dnia 15 Lipca.

1844.

Treść: Na przesilenie dnia z nocą przez R. W. Berwińskiego. — Krótka wiadomość o towarzystwach religijno-naukowych u żydów, przez F. Trojańskiego. — Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiej i wystawieniu jej na teatrze krakowskim, przez Józefa Kremera (dalszy ciąg). — Lud nieznan, czyli Marya Sybilla Merian. — Ogłoszenie przedpłaty na Ramoty i Ramotki literackie.

NA PRZESILENIE DNIA Z NOCĄ.

Duchu przeszłości, co tam trzymasz straż
Przy wielkiej świata mogile,
Po co ty na mnie tyle smutku gnasz,
I po co rozpaczy tyle?

Duchu przeszłości, czemuś rzucił grób
A w mojem sercu się kładniesz?
Czy przyszedł ten czas, że dzieciątkiem w żłób
Wrócisz i światem zawładniesz?

Duchu przeszłości — czy przyszedł ten czas,
Że dopełniwszy prac wieku,
Żywo-obecny wstąpisz między nas,
Wcielony Boże-człowieku?

I całą mądrość dwóch tysięcy lat
W jednym zestrzelisz ognisku,
I jedną chwilą staniesz się, i świat
Długiego zbawisz ucisku?

Duchu przeszłości — skrzydeł twoich szum
Słyszę od strony smętarzy,
I potępionych myśli i serc tłum
W koło mnie jęczy i gwarzy.

I białych cieniów srebrno-pióry wał
Na szarym niebios błękicie,
Po nad głowami tylu martwych ciał
Bój zaczął o śmierć lub życie.

O śmierć i życie ostatni wre bój,
Bój myśli w krainie ducha!
Słyszę w powietrzu mar brzęczących rój,
A ziemia niema i głucha.

A nad drzemającym milionem głów,
I serc maluczkim zapalem,
Czas się dopełnia, wedle pisma słów —
A słowo stanie się ciałem!

R. W. Berwiński.

KRÓTKA WIADOMOŚĆ

O TOWARZYSTWACH RELIGIJO - NAUKOWYCH

ŻYDÓW (*).

przez

F. Trojańskiego.

W obecnym czasie, gdzie codziennie prawie, szczególnież téż w Anglii i Niemczech, coraz nowe kojarzą się Towarzystwa, mające na celu, to udoskonalenie lub rozszerzenie nauk i umiejętności, to ułatwienie przemysłu i handlu; to uwiecznienie pamięci w zapomnienie popadłych imion mężów, co nauką, wynalazkami, odwagą, męstwem i poświęceniem się, słowem, zamiłowaniem ludzkości, cnotą wytrwałą lub wzorowym przykładem dobrze się współczesństwu zasłużyli; to wykorzenie złych nałogów, a natomiast wskrzeszenie lub zaprowadzenie dobrych obyczajów; to dzwignienie zupełną zagubą grożących ruin i starożytnych zabytków i gmachów; to nakoniec, zmniejszenie cierpień samęj nawet nicodzownęj sprawiedliwości ofiar; wyszukiwanie środków i niesienie pomocy wiekiem lub niemocą przyciśnionym, albo pod nieprzewidzianemi klęskami upadającym; nie od rzeczy może będzie powiedzieć cośkolwiek o istniejących Towarzystwach pomiędzy

(*) Co do materyałów, w tém co się samych Towarzystw dotyczyć, te braao z dzieła: „The fundamental principles of Modern Judaism Investigatid, etc. By Moses Margoliouth of Trinity College, Dublin. London: B. Wertheim, 13. Paternoster-row; Evans and Ducker, Chester; W. Curry jun. and Co... Dublin 1843. Co zaś do reszty materyałów, te są w samym tekście powołane.

tym starodawnym narodem, licznie pomiędzy wszystkie inne narody na całej prawie kuli ziemskiej rozproszonym, rząd w rządzie, naród w narodzie prawie stanowiącym; chcę tu mówić o ludu Izraela.

Ale napróżno szukalibyśmy w dziejach judaizmu śladu stowarzyszeń, odpowiedni niektórym z dopiero wymienionych towarzystw cel mających; od najdawniejszych albowiem czasów istniały tylko, i dotychczas istnieją pomiędzy izraelitami, jedynie związki dobroczynne i tak zwane religijno - naukowe, jako jedyne zabytki i oznaki ich życia duchowego. A lubo pierwsze, ze względu na ich z gorliwością i z zapalem przechowywany charakter narodowy, a zatem ze względu na ich wspólną pomiędzy sobą miłość, godne możeby były naśladowania od innych nawet narodów; ja wszakże zamierzyłem sobie w wziętym zakresie mówić tylko o drugich, t. j. o towarzystwach religijno - naukowych ludu Izraela.

Z pomiędzy podobnych towarzystw, jako najwięcej się odznaczające, bezwątpienia na pierwsze zasługuje miejsce Towarzystwo Talmudowe, *Chewrach Schas* po hebrajsku figurycznie zwane (*).

Zadaniem tego towarzystwa jest zgłębianie i rozszerzanie nauki Talmudu. Na członków zaś onego zazwyczaj wybieranymi bywają najpoważniejsi tylko i najbardziej się odznaczający talmudyści pierwszej klasy; a zatem pomiędzy ustawami tego zgromadzenia najpierwsze zajmuje miejsce to zastrzeżenie, że członkiem jego ten tylko być może, kto da dowody, że nie tylko jest zdolny czytać

(*) Wyraz *Chewrach* znaczy wprawdzie *Towarzystwo*, ale *Schas* nieznaczy właściwie *Talmudu*, lecz liczbę zgłoszkową 360 ważącą, jako liczbę stanowiącą ilość rozdziałów cały Talmud składających.

płynnie Talmud, ale nadto, że go biegle pojmuje i jest wstanie wskroś się przeniknąć duchem onego. Taki to dopiero aspirant może być przez jednego z członków czynnych przedstawiony, obok niezachwianego zaręczenia, że charakter moralny kandydata jest bez żadnej zmaży.

Takowy to nowo-przyjęty, obowiązany jest złożyć pewien pieniężny datek; poczem, przez trzy pierwsze lata uważany jest tylko za młodzieniaszka, czyli jak brzmi w języku hebrajskim *Szames*, t. j. ucznia czyli służebnika; albowiem przez ten czas nie ma w niczem stanowczego głosu, i jedynie, obok gruntowniejszego ćwiczenia się w nauce Talmudu, jest jego powołaniem, zawiadamianie członków starszych o czasie i dniu mającego się zebrać nadzwyczajnego posiedzenia, zbieranie podpisów na rozmaitego rodzaju składki pieniężne i t. p.

Każdy z przyjętych członków, chociażby był najbogatszy i najcućszyszy, musi tych wszystkich przepisów dopełnić; wszakże zgromadzenie posiada władzę ulżenia tych ustaw, gdyby aspirant był synem jednego z członków czynnych.

Po upłynieniu dopiero lat trzech, takowy młodzieniaszek, złożywszy znowu pewny pieniężny datek i przepędziwszy dni kilka, na intencją starszych członków zgromadzenia, w najściślejszej od potraw i napojów wstrzeźliwości, staje się już członkiem czynnym i innym we wszystkim równym.

Oprócz opłat wstępowych, po-trzecio-letnich i nadzwyczajnych, każdy jeszcze członek obowiązany jest opłacać roczne stałe składki, przeznaczone na utrzymanie zawisłych od towarzystwa szkółek, na zakupowanie potrzebnych ksiąg, na wspieranie niedostatnich a z gorliwością nauce Talmudu się poświęcających i t. p. Co się

zaś już właściwego zatrudnienia członków dotyczy, to się zasadza na następujących obowiązkach: a naprzód, co dziennie jeszcze przed innymi modłami, musi każdy odczytać koniecznie przynajmniej jedną kartę Talmudu; po odbytem zaś zwyczajnym w Synagodze nabożeństwie poranném, wszyscy już członkowie zbierają się do izby prac naukowych, zazwyczaj tuż przy synagodze się znajdującój, i dla tego przyszkółkiem także, a po hebrajsku *Bet Hamedrah* zwanój, a to celem wspólnego już czytania Talmudu.

Do téj izby schodzą się członkowie, odziani pytlową oponą *tiphilim* i przybrani w rzemieńne oznaki na czole i ręce, *talith* po hebrajsku zwane; po niejakiem czasie wspólnego czytania następują nad tém, co przeczytali, rozprawiania, wśród których starają się wytykać częstokroć najwyraźniejsze sprzeczności, lub godzić bezzasadne twierdzenia, tamże napotymane. Objawiane w ówczas przez członków dowcipne zarzuty dowodzą niepospolitej biegłości w ich rozumowaniach, i stają się zazwyczaj bardzo zajmującymi, tak dalece, iż rozprawiania podobne stają się namiętném upodobaniem członków, posuwającém niekiedy do najwyższego stopnia ich ambicyą w utrzymywaniu swoich opinii lub dzielném odpieraniu zarzutów swoich antagonistów. Jednakże, ponieważ wszyscy prawie członkowie są równój naukowej siły talmudycznej, a zatem wszyscy prawie zdolni stawiać sobie nawzajem nieprzełamane na każdy zarzut rozumowania, przeto, aby uniknąć zbyt zaciętych, a niekiedy końca nawet nieobiecujących rozprawiań, zwłaszcza gdy w tak liczném zgromadzeniu, wielu naraz o jednej i téjże samój materji, chociaż z innego wychodząc punktu widzenia rzeczy, chce stanowić; przeto przewodniczący im rabin ma prawo ostatecznego

dyskusji rozstrzygnięcia, mocą którego jedynie najburzliwsze sprzeczki i wrzawy w zgodę i ogólne milczenie zamienia.

Jeżeliby który z członków nie mógł być przytomny modłom porannym, a następnie nie miał uczestnictwa w czytaniu i rozprawianiu, tedy obowiązany jest przynajmniej w domu odczytać przypadającą na ten dzień kartę Talmudu.

Talmud zaś ów składa się z 36 traktatów osobne miana noszących; po ukończeniu zatem każdego z nich, wszyscy bez wyjątku członkowie muszą się na zebraniu znajdować, ta albowiem chwila, jest chwilą powszechnej uciechy, odznaczającą się pożywaniem rozmaitego rodzaju ciast i konfektów przez członków dostarczonych, i wypróżnianiem flasz rozweselającymi napełnionych napojami, a to wszystko wśród oznak największej radości. Jeżeliby podobny dzień przypadł na dzień jakiego ścisłego postu, tedy takowy, przez wzgląd na wielkość dnia tego, zachowywany nie bywa, a przebiegli członkowie tak zazwyczaj rozkładają swe prace, iż koniec każdego traktatu musi koniecznie przypaść na dzień do wstrzemięźliwości przeznaczony.

Po odbytej biesiadzie, przewodniczący rabin zabiera głos, i w zwięzłych wyrazach wskazuje słuchaczom, jakie szczególniejsze pomysły i twierdzenia odczytanego traktatu spajają nierozzerwanym węzłem następstw traktat nadchodzący?

Co siedm lat dopiero kończy się zupełne wyczytanie Talmudu, po którym znowu uciecha i radość wśród pożywienia i napojów ma miejsce, chociażby podobnie jak wyżej dzień ten spotkał się z dniem jak najostrzejszego postu; lecz na ten rodzaj bankietu już nie sami tylko

miejscowi zgromadzają się członkowie, ale i rabini sąsiedzkich miast licznie zapraszani bywają; którzy, lubo są członkami u siebie podobnego towarzystwa, gdy jednak wyczytanie ostateczne talmudu, nie jednocześnie w każdym miejscu przypada; nie zachodzi więc zazwyczaj żadna przeszkoda, do uczestnictwa w podobnych biesiadowaniach, podczas których nadto tym, którzy się ze sławą w przeciągu lat siedmiu trwających rozprawiań, czy to przez odkrycie jakiego nowego pomysłu, lub wyknięcie błędu, czy to przez trafne pogodzenie napotykaných sprzeczności odznaczyli, wielkie bywają wyświadczone oznaki zaszczytów i pochwał.

Towarzystwo to używa do swoich zaciekań tekstu babilońskiego nie zaś jerozolimskiego talmudu, dla tego, że ich odmienna nazwa, nie stanowi jedynie odmiennego miejsca wydania jednego i tegoż samego dzieła; ale że obadwa te utwory w drugiej połowie, są płodem zupełnie odrębnych tworców: co się w krótkości da tak wyjaśnić. Po zburzeniu Jerozolimy i po okropnych klęskach, jakim był uległ naród żydowski w Alexandryi podczas II stulecia Ery naszej, uczeni izraelici szukali schronienia, częścią w judzkiej ziemi, częścią zaś nad brzegami Eufratu i Tygru. Pierwsi utworzyli szkołę w Janinie, następnie do miasta Tyberias przeniesioną, której naczelnictwo i przewodnictwo z tytułem *Nasie* t. j. książęcia, zostawało ciągle w prostej linii w osobach następców uczonego Rabina Hellela, owego to do tego stopnia sławnego antagonisty szkoły *Szamas*, że dotąd jeszcze pomiędzy naucznymi izraelitami istnieje przysłowie, „że dosyć ażeby szkoła Hillela nazwała co białém, aby szkoła *Szamas* twierdziła że to jest czarném.“ — Około zatem III stulecia t. j. około roku 230 ery naszej, będący na ówczas książęciem,

czyli jak go jeszcze zwano *Hakodesz* t. j. świętym, Rabin Jehuda, zgromadził 170 uwag i zdań rozmaitych swoich uczonych poprzedników, i dodawszy do nich swoje, utworzył z nich jedną całość i nazwał tę księgę *Mischnah* t. j. *Zebranie* czyli *Kompilacya*. O cały zaś wiek później uczeń jego Rabin Jochanan, podobnież naczelnik szkoły w Tyberias, zgromadziwszy znowu, ale już około 200 podobnych uwag i zdań nad poprzedniami, rozmaitych uczonych, utworzył z nich drugą całość, nadając téj księdze nazwę *Gamara* t. j. dopełnienie pierwszej, mające ję zarazem służyć za objaśnienie; chociaż *Mischnah* tak jak wprzód istniała, była ze wszech miar przystępną dla ludzi zdrowém pojęciem obdarzonych, lecz że się przeciwnie Rabinowi Jochanan być zdało, przeto zkompilowaną przez siebie *Gamarę* z *Mischną* zjednoczył i ochrzcił tę parę mianem *Jeruszelma Talmud*, t. j. Talmud Jerozolimski.

Gi zaś uczeni Izraelici, którzy byli osiedli na brzegach Eufratu i Tygru, założyli podobnież w miastach do perskich na ów czas królów należących, t. j. w *Naherdzie*, *Pumpedycyi*, i *Surze*, trzy szkoły perskie czyli babilońskie. Szkoły te nie przyjęły powyższych dopełnień *Mischny* przez Jochanana skompilowanych, a zatém w VI. stuleciu t. j. około roku 512 n. e. Doktorowie Rob-Ina i Rab-Aschi zajęli się odrębném zbieraniem różnych w téj mierze materyałów, którym w liczbie około 1300 wynoszącym i zjednoczonym, podnież *dopełnienia* czyli *Gamary* nadali miano; a przyłączywszy je do *Mischny* Jehuda, za zezwoleniem wszystkich w téj pracy udział mających, nazwali to *zjednoczenie* Babli Talmud t. j. Talmudem Babilońskim. I przyznać potrzeba, że na oznamionowanie podobnego dziwołoga nie mogli dobitniejszego obmyślić wyrazu; ho lubo w takim jak już sama *Mischna* jest błę-

dniku, zdarzyłoby się przecież gdzie napotkać na jakiś przedmiot zasługujący na uwagę, a czasem nawet i na prawdę nie bez wartości, w tej wszakże połączonej ramocie więcej znajdziesz zamieszania, a niżeli przy wznoszeniu wieży babilońskiej miejsce mieć mogło: jest to bowiem, w ogólności biorąc, żadnym prawie rozumem niepojęta mieszanina, ekonomii politycznej, etyki, astronomii, metafizyki, prawoznawstwa, różnych alegoryj, mistycyzmu i baśni, najbłahszej i najpocieszniejszej częstokroć natury, tak dalece, iż się spodziewać należy, że najprawowierniejszy nawet Talmudysta, byle zdrowego niepozbawiony rozsądku, pomimowolnie z nami zgodzić się musi, że Rab-Ina i Rab-Aschi najniedorzeczniejszy, a zatem najniezszczęśliwszy uczynili wybór, w zlepianiu tej swojej ramoty, którą doprowadzili do obfitości, ogromem swym Talmud Jerozolimski znacznie przewyższając.

Ażeby dać choć małą próbę, co się w tych talmudycznych skarbach zawiera, z tysiąca podobnych powołamy jedynie to, cośmy zaraz w 1m np. Traktacie *Barachoth* t. j. *Błogosławieństwa* zwanym, uchwycili. I tak, pisze tam wielki kapłan Ismael, że wszedłszy raz do *Sanctum Sanctorum*, znalazł tam ukoronowanego Boga, który się modlił i prosił go (Ismaela) aby Mu (Bogu) udzielił swego błogosławieństwa; co też Ismael dopełnił nie bez zastrzeżenia wszakże, ażeby za ten udział błogosławieństwa Bóg w szczególniejszą naród jego przyjął opiekę. W tymże traktacie, znajduje się opis odległości różnych członków pomiędzy sobą Stworcy naszego, na dziesiątki tysięcy mil wyrachowany. W traktacie zaś *Baba mezia* to jest w średniej księdze *Działań* czyli *Czynów*, opisana jest dysputa pomiędzy Rabinem Jozua i Eliazar, o tak zwanym *Piecu Węża*, czyli on może zawierać w sobie nieczy-

stości, lub nie? Dysputa ta, tak miała być zacięta ze strony Elijazara, że aż na potwierdzenie przekonywających dowodów Jozuego, głos z nieba dał się słyszeć, drzewo ś. Jańskiego chleba z jednego na drugie miejsce samodzielnie się przeniosło, rzeka tamże płynąca bieg swój odwróciła, sklepienia gmachu szklanego walić się poczęły. Ale Rabin Eliazar wszystkie podobne oznaki prawdziwości dowodów i cuda odpięra, twierdząc w brew woli i mocy Boga, że w dysputach ziemskich, w rzeczach raz ustanowionych, nie cudów ani z nieba głosów, ale słów przekonywających potrzeba, i że na to twierdzenie Elijazara, wszystkie te nad przyrodzone dzieła do pierwotnego już nie powróciły stanu, a nawet owo sklepienie, lubo co chwila zapadnięciem się zupełnem grożące, do dziś dnia (?) w całości stoi. A gdy później jeden z dysputujących napotkał proroka Eliasza i badał go, coby Bóg na ich dysputy powiedział? ten mu odrzekł, „Że P. Bóg był z nich bardzo zadowolony, wielce się radował, i uznał siebie za zwyciężonego.“ Dalej, znajduje się tam opis zatrudnień dziennych Stwórcy naszego, gdzie jest powiedziano, jakoby Bóg przez 3 godziny czytał ustawy rządzenia, 3 poświęcał nauce, 3 rządzeniu światem, 3 powiększaniu onego, a 3 ostatnie zabawiał się z ulubionym przez siebie Lewiatanem, który ma być tak wielką rybą, że w Raju wszyscy od stworzenia świata zrodzeni i do końca świata zrodzić się i umrzeć mający żydzi, na dowód największej nagrody od Boga i łaski, dostaną z niej po kawalku do pożycia, a to im sprawi rozkosz nieokreśloną, i na wieki wieków trwającą. Jest tam mowa o księdze, z wykładem kabalistycznym pisma *Raział* zwanej, którą Anioł miał przynieść i wręczyć jeszcze Adamowi w Raju, jest tam ale dosyć już i tój próbki, albowiem

sądzę, że powtarzaniem nawet podobnych niedorzeczności niepowinniśmy obrażać Stwórcy naszego.

Nim wszakże przystąpimy do opisu dalszych Towarzystw, posłuchajmy choć na chwilę, wynurzanego żalu światłego Stanisława Hoga, niegdyś także czciciela Talmudu, jaki w dialogu *Eldad i Medad* napotykamy: „Świat, mówi on, nie może mieć rzetelnego pojęcia o wielkości duchowej siły i potędze myśli, jakie zostały strwonione, zniszczone i pochłonięte w bezdenną odchłani talmudycznych sofizmatów i głęboko pomyślanych nonsensów: inacz'j łatwoby zdołał ocenić, że przez tyle wieków trwająca a niepowetowana utrata narodowego jenuzu dzieci Izraela, spowodowana jedynie przez zacieknięcie się w utworzu i zgłębianiu talmudycznych bałamuctw, nierównie jest więcj godna pożałowania, anizeli zniszczenie wspaniałej świątyni, padłej łupem płomieni, albowiem gruzy i ułamki świadczyć na zawsze będą o jej niegdyś istnieniu, wtędy, gdy jeźli oni nieprzestaną zatapiać się w talmudycznych sofizmatach, wyczerpnawszy do ostatka już w przewrotny rozum zamieniające się ich siły duchowe, nie znajdą ani jednego pomiędzy sobą tyle przynajmniej posiadającego zdrowego rozsądku, aby gdy przyjdzie kiedyś błoga dla nich upamiętania się chwila, mógł im dać poznać wielkość ich zapamiętałości i straty, i oplakiwać z niemi dobrowolnie uronioną chwałę, którą Bóg był przeznaczył dla synów Izraela.

I dalej tak jeszcze żal swój rozwodzi: „O! gdybyśmy, mówi, mogli przejrzeć ten niezgłębiony potok ksiąg, owe to nieprzeliczone płody zespaczonego rozumu, wypełniające ową otchłań talmudem zwaną, i jego w tajni się ukrywającą córkę, *Kabatę*, która, lubo niewidoma i całkiem prawie światu nieznana, tajemniczą wszakże swą siłą naj samo-

władniej rządzi całym żydowskim narodem; o! gdybyśmy się mogli zbliżyć przypatrzeć tym niemym pomnikom, owęj ogromnej pracy i bezspoczynkowego wysilania się dowcipu, ludzi z kąd inąd uposażonych od przyrody najświetniejszymi umysłu władzami, ludzi, których gdyby nie-szczęśny talmud nie ujął był w swe sidła, staćby się byli mogli prawdziwém błogosławieństwem dla swego narodu; wtedy, gdy przez bałamutne swe zaciekanie się zronili na niczém swe siły, a budując, że tak powiem, z najwykwintniejszymi pomysłami, zamki na lodzie, roztrwonili wszystkie zapasy rozumu, zniszczyli nawet cały swój dzielny Um, przez pograżenie go w niezgłębionych przepaściach ludzących umysłowych mamideł, nie mających najmniejszego cienia zasadniczej prawdziwości, a następnie nie mogących mieć nigdy stałego istnienia; o! gdybyśmy, mówię, mogli ocenić te wszystkie bezużyteczne straty ich jenu, wtedy dopiero śmiało przyznalibyśmy, że ani Grecy ani Rzymianie, ani Inkwizycya hiszpańska, ani w końcu świeży nieprzyjaciel z Damaszku, nigdy tak wielkiej i dotkliwej nie zdołali im wyrządzić szkody i krzywdy, jak te są, które im wyrządza nauka Talmudu, a która nie tylko jako nieużyteczna, ale owszem jako szkodliwa i niebezpieczna, pod żadnym względem nie może i niepowinna być uważana za przybytek i skarbnicę prawdziwej wiary.“

Po tym krótkim ustępie o powstaniu dwumianowych talmudów i o ich wewnętrznej wartości, (*) wracając do

(*) Dziwić się zaiste potrzeba, że nawet tak bałamutne dzieło, pomimo swojego ogromu, znalazło sposobność zostania kilkanaście kroć razy w rękopisach odnowioném i tyleżkroć razy w tłoczniach wyciśnioném, a to nawet nie bez zbytku i kosztowności; czego niech nam będzie dowodem, wraz z innemi 16 wydaniem Babilońskiego talmudu, jedyny w swo-

zamierzonego przedmiotu, wypada nam mówić o drugim religino-naukowym towarzystwie, *Chewrah Mishna* to jest Towarzystwie Mishny. Zgromadzenie to, do którego niższej nawet nauki osoby przypuszczonymi bywają, z przyczyny, jakośmy już wyżej namienili, że Mishna sama przez się łatwiejszem jest do pojęcia i zrozumienia dziełem, a niżeli obadwa talmudy, właśnie przez swoje dopełnienia i objaśnienia mniej zrozumiałemi będące, co do ustaw swoich, jest prawie poprzedniemu podobne, wyjąwszy wystawy i bankiety, które tu nierównie na mniejszą stopę mają miejsce; z resztą zaś ci z członków tego zebra-
nia, którzy są zarazem talmudycznymi członkami (a de *facto* każdy talmudysta jest Mishnistą) ci mówią jako przewodniczący innym, nim się poranne rozpoczną modły, odczytują członkom li do Mishny należącym, przypadający na ten dzień rozdział. Odczytywanie to odbywa się w Bet Chemedroh czyli przyszkółku. Tutajto można codziennie widzieć przy dwóch ogromnych stołach, w *talith* i *tiphillim* przybranych licznie zgromadzonych członków dla czerpania wiadomości w tej księdze zawartych, do czego największą gorliwość i chęć w nich spostrzedz można, tak dalece, że ubodzy i mniej naukowi żydzi, na

im rodzaju egzemplarz, po naczelnym Rabinie pragskim Oppenheim, przez Oxfordzką bibliotekę imieniem Bodjeja, nabyty. Egzemplarz ten jest wyłożony na najcieńszym jak być może Pergaminie, i składa 24 tomy, w których pryncypalne miejsca odznaczają się najkosztowniejszymi co do wartości, a najpiękniejszymi co do wykonania, wyzłacaniem i malowidłami, tak dalece, że jeden ze znawców (a), który ten egzemplarz miał w ręku, nie waha się twierdzić, iż nie jeden z bibliofilów Brytańskich, za posiadanie tego *Unicum*, ochochoby 1000 dukatów wyliczył.

(a) F. Lebrecht's Oxford'er Briefe an Dr. S...l Mag. f. d. Literatur des Auslandes.

ziemi się około uczęszcych sadowią i przysłuchują, aby przynajmniej, podług ich przekonania, jakąskolwiek odnieść mogli korzyść duchową.

Jeżeli który z bogatych umiera, przeznaczają zazwyczaj pewną pieniędzy ilość, celem wsparcia ubogich ale uczonych członków, z tém wyraźnym zastrzeżeniem, ażeby żadnego dnia przez cały przeciąg roku nie opuścili bez przeczytania jednego przynajmniej rozdziału Mishny; przez co zmarłemu mają być ulżone męki czyscowe, stósownie do upowszechnionego pomiędzy Izraelem mniemania, jakoby najsprawiedliwszy nawet człowiek musiał najmniej 11 miesięcy przebyć w podobnych mękach czyscowych (*).

I to jest prawie wszystko, co o towarzystwie Mishny powiedzieć można było: następnie zaś przychodzi nam uczynić wzmiankę o 3. towarzystwie, *Ain Jacob Cheurah*, t. j. o towarzystwie *Oka Jakóba*, która to nazwa jest nadana księdze różnych *powieści i baśni* po hebrajsku *Agadot* zwanych.

Tak jak innych stowarzyszeń, podobnie i tego główném jest zdaniem, czytanie i rozszerzanie podobnych powieści; pomiędzy którymi znajdują się jeszcze sam Talmud przewyższające bajki i dziwy, równie jak allegorye a nawet i nieprzyzwoite baśnie, tak dalece, że Misyonarz

(*) Inne jeszcze panuje przesądliwe mniemanie pomiędzy Izraelitami, które jest pobudką, aby ostatki dni życia swojego w Jerozolimie zakończyć; a tym przesądem jest tak zwany *Chibul Hakeber*, to jest wiara, iż każdy zmarły nie w Jerozolimie, natychmiast po swoim pogrzebaniu, porwany bywa przez duchy, które mu największe zadają męczarnie, trwające dopóty, aż póki wędrując po pod ziemią nie dostanie się do Jerozolimy, gdzie wszyscy na sąd ostateczny zgromadzonymi być mają.

Pan Finn, w dziele swoim o żydach portugalskich *Sephardim*, zmuszony jest tę księgę nazwać zbiorem najszkodliwszych zdań i twierdzeń, jakie tylko kiedykolwiek istnieć mogły, na przyćmienie pojęcia ludzkiego, i podkopanie z gruntu zasad moralnych towarzyskiego człowieka; jedném słowem, mówi on „jest to księga, jeśli nieprzewyższająca to pewnie równa bałamuctwom w koranie zawartym a o jeden może tylko stopień niższa od Legend Hindu Braminów: bo lubo (ciągnie dalej w przenośni tenże P. Finn) zawiera może w sobie nieco złotych blaszek, które się tam wcisnęły, nieprzeparte szczątki czystego podania, stanowiąca jednakże ją całość, uważaną jedynie być może, jako sztaby najpodlejszego kruszcu, ukwaszonego najjadowitszymi chemicznymi kwasami“.

Znalazł się był wprawdzie z pomiędzy uczonych Izraelitów, jeszcze w XII stuleciu mąż, który pałał chęcią wykluczenia wszystkich trzech baśni z pomiędzy pism talmud składających, i gdyby był chciał mężnie stawić czoło oburzającym się przeciwko niemu rabinom, byłby w stanie zwycięzko wystąpić w tej materji: a tym mężem był Mojżesz syn Maimona, jednym wyrazem *Maimonides*, a od uczonych Rabinów Rambam t. j. przez skrócenie Rabin-Mojżesz-Ben-Maimon zwany. Urodził się on w Kordowie z plemienia żydów Luzytańskich *Sephardim* miano noszących, którzy odrębną sektę pierwiastkowych dzieci Izraela stanowiąc, wprowadzonymi *Hasydami* całą Polskę zaludniającymi pogardzają, w związku z nimi wchodzić niechcą, i na tém największą swą chlubę zakładają, że wyszedłszy z judzkiej ziemi jeszcze przed erą naszą, w niczem się do prześladowania Zbawiciela naszego i jego boskiej nauki nie przyczynili. Ten tedy Maimonides przez filozofa arabskiego *Averroes* w nau-

kach wyzwolonych ćwiczony, w 20 już roku życia swego, przez wielkie naukowe wiadomości, szczytną wymowę, i przez swoje pomysły równie nowe jak światłe, począł był wzbudzać podejrzenie i zawiść u swoich współwyznawców, a ztąd sądząc dłuższy swój pobyt w Hiszpanii za niezbyt bezpieczny i pewny, schronił się do Egiptu; gdzie jego obszerne wiadomości nie mogły ująć uwagi samego nowego władzcy Saladyna, który go wkrótce nadwornym doradcą, a dla jego podobnie niepospolitej w medycynie biegłości, swoim przybocznym lecznikiem mianował. *(Dokończenie nastąpi.)*



KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIEJ,

I WYSTAWIENIU JEJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

(Dalszy ciąg).

Wiemy dobrze, jak to na tym świecie zawsze bywało i bywa. Gdy bięda ciężko przycisnąć, gdy serce boleścią zapłacze, a nadzieje wszelkie wkoło wymrą; już wtedy i myśl się zaciemni, i jasna rozumu przytomność wygaśnie. Człowiek wygląda cudów i nadprzyrodzonych wypadków, traci wiarę w bieg rozsądny świata, co to jednostajnie po staremu płynie biegiem swoim. Takie to czasy są porą natchnień i dziwów, jasnowidzenia i zachwyceń, a częściej jeszcze epoką złej wiary, szalbierstwa i fałszywych proroków najobrzydliwszego rodzaju. Wtedy, obok najzacniejszych poświęceń i myśli wysokich obejmujących sobą świat cały, popisuje się głupota, fanatyzm szalony i skręcenie mózgu. Tak też raz było we Francji. Panował tam Karol VII, król

wcale nieosobliwy. Nibyto rycérz, a tchórzyl i nie dbał o kraj swój; niby poświęcenia pełny, a sam sobie nie ufał; przytém manierny, układny, łaskawy i grzeczny, a dawał się lada komu powodować. W czasie jakim spokojnym byłby sobie panował jako tako; lecz nie urósł do tego, by swym czasom tak twardym podolał. A żył on właśnie wtedy, gdy Anglika wzięła chętką do onój tak pięknej a błyszczącej korony francuzkiéj. Wysłany tedy żelazny Talbot; ten ciężką rękawicę rzucił na ziemię Francyi, rozdartéj waśniami domowemi. Talbot zdobywał miasto za miastem, powiat za powiatem, a król francuzki romansował, cackał i pieścił się z sobą, wyprawiał festyny i uciechy dworskie, i miał życie jak w raju. Wodze jego, on Dunois, Verneuil, Lahire, byli to najpocziwsi w świecie ludzie, dobrzy Francuzi, mieli chęci jak najlepsze a wiele męztwa; lecz głowy dość mierne, a nie tęgie naczelniki—więc téż w ich bojowaniu ani ładu ani składu nie było. Przemozni wassale tymczasem widząc, że Anglik kraj najeżdża, korzystali z téj klęski, ciągnąc z biedy ogólnej pożytki dla siebie. Zwyczajnie—gdy się dom pali, nie braknie i złodziejów. Takimi wassalami, był książę Burgundy i Bretanii. Ich interes był zupełnie czysty. Francya konała prawie, więc im już nic wcale dać nie mogła; Anglik zaś obiecywał im sute korzyści—rzecz jasna więc, iż im lepiej było trzymać się jego niż własnego kraju. Gdzie Anglik postać, zaświeciły krwawe nocne łuny, a wsie zaległy mordy; kędy Anglik przeszedł, tam już było cicho, spokojnie, jak w grobie. Biedny tylko lud cierpiał i płakał wrzącemi łzami, a nie widząc z nikąd ratunku, wyglądał cudów i zbawienia z góry. A na płacze ludu, na tęsknoty i boleści jego, cud się stał, i zbawienie przyszło—a zrodziło się w chatce biednej i pod szopą ubogą.

W wiosce Dom-Remy tuż pod Vaucouler, mieszkał poczciwy wieśniak Thibaut d'Arc, otoczony wiankiem dzieci — a była między nimi córka Joanna. W młodziuchném i czystém sercu gorzała, niby lampka w kapliczce samotnej, pobożność i ufność w Bogu, a ku niebu zwracając się gorącą modlitwą swoją, błagała łaski jego, by się ulitował boleści, cierpien i sromoty ojczystej ziemi. Na polach i gościńcach, po wsiach, karczmach, miasteczkach, pełno było utysku i skarg nad tym łzawym stanem Francyi. Joanna słuchała tych utysków i cierpien gorzkich; a te boleści całego ludu, te cierpienia, przybrały na się kształty święte i rzewne, przemawiały do niej we widziadłach nocnych, szeptały tysiącem głosów nadprzyrodzonych. Joanna duchem cofnęła się ze świata w przybytki ciche serca swojego; zdało się, iż niby jakiś świat wyższy, nadziemski, otoczył ją swoją potęgą, i na oścież otworzył jój tajnice swoje. Więc Joanna rzewnie się modłać, i marząc w nocach bezsennych, widziała niby Matkę Boga, onę Matkę wszech boleści i wszech pociechy świata, onę Matkę Zbawiciela, jak z nieba zstępowała, by ją na zbawicielkę ojczyzny przeznaczyć. Gdzie stanęła, kędy się ruszyła, już na nią jakieś głosy wołały, jakieś szeptały namowy; wizerunki Najświętszej Panny spoglądały się na nią tak boleśnie, uroczysto, tak tęskno, że już jój serce rozpływało się niewypowiedzianém, niezmierném jak morze, uczuciem. Wśród gaworów starych drzew, wśród ciszy lasu, wśród milczenia wieczornego łąk, słyszała niby śpiewające chóry, co wołały, by spieszyła na pomoc swój ziemi — już jój wtedy ani pokoju znaleźć, ani zasnąć spokojnie.

W tój ciężkiej potrzebie a natłoku cisnących się uczuć swoich, zwierzyła się wujowi, bo bała się ojca swojego. Wuj polecił ją rycerzowi Baudricourt, który niedaleko stał

z chorągwią swoją. Ale ten Baudricourt był to stary wiarus, a jeden z tych ludzi, których jak wiemy nie brakuje na świecie; co to nie widzi jak koniec pałasza, a w to uwierzy w co rąbnie, a o potędze zaś wszechmocnej ducha ani mu wspominał, to facecye szczére. Otóż jemu uniesienie młodej dziewczyny zdawało się być skutkiem jakiegoś obłąkania. Z początku ani jój słuchać nie chciał; aby się jój tylko pozbyć, przystał na jój żądanie, i kazał odprowadzić do Chignon, kędy przebywał król. I tu znów trzeba było długo prosić się i czekać, nim Karol raczył przypuścić Joannę przed oblicze swoje. A nakoniec, by się zaś ludziom nie zdawało, że on tam w lada co uwierzy, chciał doświadczyć dziewicy ducha prorockiego; więc zrzuca z siebie oznaki królewskie, i staje wśród świetnego orszaku dworu swojego. Lecz Joanna zaledwie progi przeszła, już poznaje wśród tłumu króla, którego nigdy nie widziała, a co więcej, odkrywa mu tajemnice, których nikt prócz niego nie znał. Nie potrzeba was zapewniać, iż podziwienie króla było niepospolite. Ale choć się tak bardzo dziwił, nie wierzył on jeszcze spełna; jako człek bardzo systematyczny, rad był mieć zapewnienie na piśmie i z pieczęcią, iż Joanna istotnie z nieba jemu na pomoc przysłana — z nim nie tak łatwa była sprawa. A jał się niezawodnego sposobu wynalezienia prawdy. Zwołuje bowiem biegłych w sztuce, bo najmądrszych, jakich tylko miał pod ręką doktorów wszystkich fakultetów, polecając im najusilniej, by nie szczędzili swój nauki, aby dociec prawdy, czyli Joanna jest istotnie od Boga natchnioną, i czyli się w samą rzecz jakichś cudów po niej spodziewać można. Widzimy tedy, iż to był kompletnie komitet kwalifikacyjny. Ci panowie, *zważywszy* z całemi przynależnemi formalnościami i z całą głębokością swoją, naprzd: iż Francja jest w niebezpieczeństwie, *zważywszy*

dalej, iż Joanna ma wszelkie cechy i znamiona okazujące niemylnie, iż ona cuda wykonać zdoła; *zważywszy* nakoniec to i owo, zakonkludowali, iż Joanna cuda istotnie zdziała, i wyratuje z ucisku i potrzeby ojczyznę swoją.

Nie mało się Karolowi VII na sercu ulżyło, otrzymawszy tak czarne na białém zapewnienie, iż Joanna cudów dokáže: boć tak sam się utwierdził we wierze. Więc już bez skrupułu oddaje 18-letniej dziewezynie dowództwo nad wojskiem, posyła darem konia, zbroję i szyszak. Joanna opasuje się mieczem przyniesionym z kaplicy cudownej, bierze w rękę chorągiew białą zasianą liliami: a na tym sztandarze był wymalowany Bóg-Ojciec ze światem w swęj prawicy, a pod nim stało wielkimi literami: „Jezus, Marya!“

Joanna wojsko oczyszcza z hołoty płci obojęd przeskadzającój żołnierzom, zaprowadza ład i porządek w szeregach, i posyła do Anglików, rozkazując im złożyć natchmiast klucze twierdz i miast niesprawiedliwie Francyi zabranych. Anglicy drwią i śmieją się z podobnego rozkazu; ale im przecież było trochę markotno na sercu, i zdawało się, iż nocne strachy tchnęły na najezdzców, że nocne mary hulają po ich obozie, i przenikały mrowiem. Tymczasem do Francuzów wróciła otucha i nadzieja, z mężstwem i miłością do kraju, a potęga duchowa wionęła na ich zaścępy. Wichrem Joanna rzuca się na Anglików oblegających Orlean, i uwalnia go od wrogów, a tak spełniła pierwszą obietnicę swoją. Drugą było ukoronowanie króla w Reims, co nie było małą sprawą, bo Reims oddalone na mil 40, a drogi w tamtych stronach jeżyły się wojskiem nieprzyjacielskiem. Joanna ranna kilkakrotnie, miecie nieprzyjaciół popłochem przed sobą, aż dotarła do Reims. Wśród tryumfu ludu i płaczu, radości i muzyki, okrzyków i głosu wszystkich dzwonów, król wstępuje do staręj katedry; a w czasie

świętych obrzędów, Joanna z chorągwią w ręku stoi przy boku królewskim. Gdy się dokonała uroczystość, przemiar radości, burza uczuć, tak rozebrały Joannę, iż dziewica w swém szczęściu nie mogąc już sobie samęj podołać, rzuca się do nóg królowi, i zalewając się łzami, życzy szczęścia i błogosławieństwa nieba. Król łaskawie do nięj przemówiwszy udarował szlachectwem, nadając za herb Lilią.

Tutaj zapyta się z was może nie jeden, cóż to była w istocie ta cudowna Joanna? ona Dziewica Orleańska? jakąż ona mocą działała, i z kąd jęj to prorocstwo przyszło? Alboż ja wiem! Myślałbym jednak, iż to wszystko działo się może sposobem dość prostym; nastrojenie duchowe Joanny wzbudziło to zachwycenie i uniesienie najwyższe. Gdybyście zaś woleli przypisać te prorocstwa i cuda Joanny nadzwyczajnej przyczynie, wolno wam — możecie jęj sprawy przypisać jasnowidzeniu. Bo dziś magnetyzm w modzie, i jest chorobą czasu; zastąpił on wyroczenie delickie i wróżby cygańskie, choć nie przeczę, że on ma prawdę w sobie, i z psychicznęj natury człowieka wytłumaczonym być może. Lecz choć jest rzeczą pewną, iż jasnowidzący wiele rzeczy wiedzą, o których się nam zwyczajnym ludziom nie śniło; toć jeszcze pewnięj, iż więcj jest rzeczy, każdemu z nas przy zdrowych zmysłach będącemu wybornie znanych, o których znów somnabuliczni mimo jasnowidzenia swojego, wyobrażenia nie mają. Dla tego lepiej ufać zdrowemu rozsądkowi i nauce nabytęj ofiarą żywota swojego, i gruntującęj się na pracy mozolnęj zesłych wieków, niż zaufać jakięj potędze podejrzanęj i z prawdy i z pochodzenia swojego. Co do mnie, ja czczę i czołem biję takim prorocstwom, jakie Joanna czyniła; boć co prorokowała, to nie na wiatr, ale święcie ziściła — a do tego — bo

położyła głowę za te proroctwa swoje. Takie proroctwa rozumiem.

Jakoż obaczmy, co się z nią dalej stało. Ledwie Karol VII wyszedł z katedry z koroną na głowie, gdy jakieś lęki ścisnęły jęj serce, a smętne nieodgadnione przecucia przeszły dreszczem młodą dziewczynę. Więc jęj tęszczo za domem, za ojcem swoim i za tą wioską rodzinną; więc błaga króla, by jęj już wolno było wrócić do zaciszy domowój. Ale król sam, ale Dunois, ale wszyscy nalegali prośbami, by dokończyła dzieła swojego. I usłuchała tych namów na nieszczęście swoje biédna Joanna. Przy oblężeniu twierdzy Compiègne, w czasie śmiałęj wycieczki, dziewica obskoczona od żołnierzy burgundzkich, wziętą została w niewolę, a to przez zdradę samych Francuzów zazdrosnych jęj sławie. Burgundczycy sprzedali ją za drogie pieniądze Anglikom, na wielką radość ich naczelnika księcia Bedford; bo ten tak się wypadkiem tym uradował, iż w staręj świątnicy Francyi, w onym Notre-Dame, wyprawił uroczyste *Te Deum*, dziękując Bogu, iż oswobodzicielka Francyi dostała się w ręce jęj nieprzyjaciół. Joanna dowiedziawszy się iż ma być Anglikom oddana, wyskakuje oknem z więzienia; ale zraniona, zemdlona, dostaje się znów w ręce wrogów, i oddana pod sąd. A warto wam wiedzieć, iż w onym sądzie po większėj części zasiadali Francuzi; składała się ta rada z 9ciu doktorów Sorbony, onęj staręj akademii paryzkięj, a 35ciu opatów; przydował arcybiskup Paryża Couchon. — O hańbo!

Trudną ci panowie mieli sprawę, bo Joannie należały się wience chwały, czci, a tu chcieli na przebój wskazać ją na śmierć. Lecz w takich razach o kruczki nie trudno. Nie mogąc jęj tedy potępić za obronienie oj-

czynny, zarzucają jój, iż ona ze szatanem trzyma, i że jako czarownica zarobiła, by żywcem spaloną była. Gdy biędną dziewczynę, znękaną na duszy i ciele okropnością długiego więzienia i inkwizycyi, przyprowadzono na plac wykonania wyroku, gdy tuż tuż stanęła przed stołem, gdy widziała na oczy przygotowania straszne, i katów, i płomień i te ludu tłumy; wtedy pękło jój wielkie, jój odważne serce, do dna zachwiała się jój moc, i zawołała, iż zrzeka się swoich błędów, byleby jój życie darowano. Przyzwolono na to, zamieniając, niby to z wielkięj łaski, karę śmierci na dożywotne więzienie o chlebie i wodzie i dając za warunek, aby nigdy więcęj sukien męzkich na siebie nie włożyła. I tak się stało. — Lecz nie tu koniec. Anglicy spać spokojnie nie mogli, póki wiedzieli, że ona złowroga czarownica żyje; a choć uwięziona, choć okuta łańcuchem, zdawała się im nadto jeszcze niebezpieczną — żalowali więc serdecznie, że jój przepuścili. Jednego poranku tedy, gdy Joanna obudziwszy się szukała odzieży swęj, a znaleźć jój nie mogła, ujrzała na jój miejscu dawne swoje suknie męzkie. W tęg chwili, cały szereg dawnych dni tak szczęśliwych, tak wielkich, przesunął się jój przez duszę, niby obrazy latarni magicznęj, i tak jój te wspomnienia zagrały w duszy, tak muzyką niebiańską do nięj przemówiły, iż już więcęj sama sobie oprzeć się nie mogąc, przywdziała tę lubą, tę kochaną odzież swoję; ale w tęg nagle roztwierają się drzwi — wpadają Anglicy i wołają, iż złamała przysięgę, że włożywszy suknie męzkie na siebie, na nowo sprzymierzyła się z piekłem. Zgadujecie więc bez trudności, iż zabranie jój nocą odzieży i podłożenie na jój miejsce sukni męzkich, było samolówką tylko. Już teraz nie było ratunku; aby jój zaś tę śmierć jeszcze okropniejszą uczynić, wskazano

na wolny ogień (roku 1431); gwałtem przywleczono ją do stosu, ustroiwszy ją w czapkę, na której stało: „za kacerstwo i czarodziejstwo“. Katy, żołnierze angielscy, zapłakali rzewnie na ten widok. Płomień ogarnął ciało Joanny — a duch jój czysty i pełen niewinności niebiański, uniósł się do tronu Boga, który inaczej ją osądził, i przyjął w swoje objęcie tę zacną i świętą córę swoją. Jój sędziom na ziemi została zgryzota za żywota, a hańba po śmierci. Ale cóż czynił, spytacie się, ów Karol, któremu Joanna dała koronę i berło i państwo? nie czyniłże on żadnego kroku, by ją, zbawicielkę swoją, uratować? On nie miał najmniejszego do tego powodu, bo on już jój nie potrzebował; miał on sobie już Francją — drugiej Francyi już mu Joanna dać nie mogła; prawda, że ona miała pewno zasługi, ale za to też dostała jak wicie onę Lilią, a zatém miała szczęście być spaloną jako szlachcianka — więc kwita. Nie bądźmy jednak niesprawiedliwemi — on nie zapomniał wcale o Joannie. Jakoż po 24 latach pamiętał jeszcze o tych jój zasługach, więc kazał przejrzyć akta jój sprawy, a gdy z nich okazało się, że wskazanie Joanny było haniebném morderstwem, więc raczył obwołać jój niewinność, a nawet odprawić processyą na miejscu jój stracenia, a tak łaskawie przywrócił jój sławę, okazując jawnie, iż on odzyskanie tronu swojego nie był winien czarownicy mającej konsakty z piekłem, ale niewinnej czystej dziewicy.

Trzysta lat atoli z górą przeminęło, gdy z pośród samych francuzów znalazł się pisarz, który sromotniejszą krzywdę wyrządził Joannie, niż ten Karol i te Angliki i ta Sorbona z tym swoim arcybiskupem Couchon; bo skaził i splugawił bezecnie świętą jój pamięć, i najpoetyczniejszą kartę w historyi Francyi. Był to Voltaire. Ten

umaczawszy po swojemu ostre pióro w żółci, dowcipie i błocie, napisał poemat, w którym zwał nawet jęj uczciwość niewieścią; więcjęj już wam o tym poemacie nie powiem, bo nie radbym wam i sobie ubliżył. Ludwik XVIII godnie uczył Joannę, założywszy we wiosce Dom-Remy instytut wychowania panien. Na środku dziedzińca zakładu tego tryska woda przezroczysta jak życie dziewicy, a obok stanęło jęj popiersie prześlicznie wyrobione, przypominające bez końca głupotę i złość ludzką, i poświęcenie i zacność bohaterki naszj. I ten pomysł króla Ludwika był bardzo trafny i bardzo pocziwy, nie wystarczył atoli bynajmniej, by naprawić krzywdę, której się ów poemat dopuścił. Aby grzechy poety zgładzić, trzeba drugiego poety — ten się znalazł wśród cudzoziemców. Z tego, com wam przesła razą o Szyllerze a dzisiaj o Joannie powiedział, odgadujecie, iż te dwa duchy ściśle się spokrewniły z sobą. Szyller gorejący tēm, co wielkie i zacne, co tchnie swobodą i godnością człowieka, pokochał się w pamięci dziewicy, która wyzwoliła kraj swój; w jęj to życiu, tak czystēm i jasnēm jak iza anielska, mógł się przejrzyć wieszcz jak Szyller, wystawił jęj tedy pomnik najkosztowniejszy w swj *Dziewicy Orleańskięj*. W dramacie tym dusza Joanny z Szyllerem zlewają się w spólną czarę niby dusze dwojga kochanków. Cóż tedy dziwnego, iż wszędzie, gdzie się na scenie zjawi, budzi odgłos współczucia we wszystkich sercach. Przeszedł on i po scenie naszego teatru, a o tēm zjawieniu się jego u nas opowiem choć kilku słowami na raz przysły. (D. c. n.).

LUD NIEZNANY

CZYLI

MARYA SYBILLA MERJAN.

Kiedy generał szwedzki Roxander ogromny swój majątek roztrwonił, zostało mu tylko żyć w samotności, gdzie znalazł pociechę, wyjąwszy, iż niespokojnym był o los syna w kolebce, którego matka życiem swoim opłaciła. Powierzył go więc ciotecznej babce Maryi Sybilli Merjan? sławnej z dokładności malowania przedmiotów historyi naturalnej. Przybrana matka zajęła się najstaranniej swym synem, cieszyła się z jego postępów; to ją tylko smuciło, że najmniejszego nie okazywał zamiłowania w motylach i owadach. Zachęcany do tego odpowiadał: „Tobie, matko, łatwo mówić o pięknościach natury, gdyż się jój cudom w Surinam napatrzyłaś. Ja żyję tu z tobą w szkaradnych bagniskach, gdzie tylko glist, gąsienic i robaków jest pełno. Wierzę, iż są piękniejsze kraje, ale gdyby wszędzie tak było jak tu, tobyśmy mało o piękności wiedzieli, a nawet prawdę mówiąc, twój pędzel zdaje mi się pochlebiać naturze, a ja w niej nic osobliwego nie widzę.“

Marya Sybilla zamilkła, wiedząc dobrze, iż przesady zwolna tylko wykorzeniec się dają. Inną więc razą tak do niego mówiła: „Znam ja bardzo dobrze pewien lud nieznan, który ci wierniej i dokładniej opiszę nad wszystkie

kosmografie pra-pradziada twojego *Teodora Bry*; bo co on tylko malowane, to ja widziałam w naturze.“

„Wystaw sobie naprzód, że w tym narodzie osoba zupełnie dorosła na świat przychodzi, i niezna, co jest niemoc dzieciństwa ani dolegliwa starość. Każda przychodzi odziana nie piórami jak ptaki, nie wełną jak owce, ale w szatach aksamitnych, jak w todze senatorskiej albo błyszczącej zbroi rycerskiej. Suknie niektórych tak są delikatne, tak pięknie cieniowane farbami, iżby igła czarodziejek nic podobnego dokazać nie mogła. Są między nimi mające strój wspanialszy od koralu, kamieni i złota; są inne, na których się to całe bogactwo połącza w robocie *massive* nie podobuń do opisanu. Innych zbytek dalej się jeszcze posuwa. Po tém wszystkiém ledwo ci wspomnę o kitach piór, które na ich głowach wiewają.“

„Dotąd zapewne jest to opis samego księżęcia tych ludów?“ przerwał Gustaw.

„Możem się niedobrze wyraziła, mówiła dalej Marya. Są między nimi stany podlejsze, których ubiór acz pełen smaku mniej jest okazały; ale gdy wszystko samój naturze są winni, można te ozdoby w najniższej klasie spotykać. Widziałam między nimi cieśli w purpurowych odzieniach i czarno-aksamitnych płaszczach; murarzów w sukniach jedwabnych, jak niegdyś w Szwecyi burmistrze nosili. Ale to wszystko jest najmniejsza strona ich zalet. Gdy i oni wielu mają nieprzyjaciół, przeto Opatrzność tak je bronią uposażyła, że każdy ma swoją zbrojownią na sobie. Kto téj zbroi nie widział, ledwie o niej

może mieć wyobrażenie. Są tam hełmy, kirysy, tarcze, pałasze, haki, widły i t. p. Inne mają sok pałacy, który wszystko, na co padnie pożera i niszczy; inne znów opatrzone są jadem, chociaż w ogóle więcej mają miłszych nad róże wonności, które najlotniejsi w około roznoszą. Najpowszechniejszą ich obroną są ostre i mocne cęgi. Są niektóre mające odzież całą najeżoną kolcami. Inne przechodzą się osłonięte trzema długimi i mocnymi lancami, które tak są nieodczepne jak macedońska phalanga. Zna ją nawet broń palną i to dawniej niż my, z tą tylko różnicą, że obyczajem Partów używają jój tylko w odwodzie. Widziałam obroty tych strzelców, a nawet walną ich bitwę, i uważałam, że jeden z nich w pół minuty więcej niż 30 razy wystrzelił. Gdy zapewne dla braku ładunków strzelać przestał, powierzył skrzydłom swe życie i uciekł.“

„Więc kochana mamó! przerwał Gustaw znowu, ten lud ma skrzydła?“

„Zapomniałam ci o tém powiedzieć, rzekła matka; mają skrzydła jak ptaki a jeszcze inne nawet korzyści. W razie napadu mocniejszego unoszą się w powietrze. Ale gdy tam nieprzyjaciół dosięgnąć ich może, w tedy to lotne szwadrony zwijają niepożyteczne już skrzydła pod swoje pancerze i rzucają się do wody. Tu formują małą flotę, bo między pakunkami, które z sobą noszą, mają małe łódki, na których lotem piorunu pływają; — tak morscy owi żołnierze wszędzie się precisną w ściśnionych

szeregach; wznosząc do góry miecze, które natura do ich piersi przytwierdziła.“

„To wszystko dziwne są rzeczy, rzekł Gustaw. Ale czyż obok tego mają ci ludzie jakie doskonałości? Czy ich organa są tak wyborne jak nasze?“

„Porównanie — odpowiedziała Marya — byłoby dla nas upokarzające. Powiem ci tylko o ich oczach, które mocna, gęsta a jednak przezroczysta błona rogowa przeciw wszelkim wypadkom zasłania, a co szczególniejsza, iż ich niczém tu ranić nie można. Są bowiem pospolicie na bokach umieszczane, wystarczające tak, że cały widok przegłądać mogą.“

Ich źrenica złożona w największej części z małych płaszczyzn, widzi przedmioty w niezliczonej ilości rozchodzących się promieni, z których każdy czynić może wrażenie. Ciekawy zapewne jesteś, czy także są przemyślni, czy jak my plody natury obrabiać umieją? I tu nowe dziwy usłyszysz. Cóż ci powiedzieć o ich dziwnych budowach? o ich twierdzach, niezliczonych źródłach sztuki wojennej, o ich narzędziach myśliwstwa i rybołostwa? Niepodobna ci określić doskonałości ich narzędzi, delikatności tkanek, osobliwie zaś ozdób w najdrobniejszych robotkach. Aby to poznać, trzeba żyć pomiędzy nimi.“

Tu Gustaw zrobił minę człowieka wybierającego się w daleką podróż i rzekł: „muszę ich poznać.“

„Ale gdzież mieszka ten lud nadzwyczajny? Czy daleko za Surinam?“

„Jeśli chcesz przejść się cokolwiek, to odwiedzimy ich jutro rano, rzekła Sybilla. Znajdziesz ich na wsi, gdzie mieszkamy, nad strumykiem, na łące, w powietrzu, którym oddychasz.“

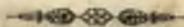
„Mieszkają oni w kielichach kwiatów, w kropkach rosy drżących na listku róży, roją się po piasku, warczą na murawie i tańczą w słońca promieniach. Teraz się domyślisz, żem o owadach mówiła.“

Mały Gustaw przygryzł nieco wargi z zawstydzenia, ale niechciał mówić nieprawdy.

Nazajutrz rano udał się z babką w podróż do opisanego łądu; a całą broń z pakunkiem, które wziął z sobą, była siatka.

Odtąd zasmakował w odkryciach i mówił, że codzien więcej go zajmują, bawią i uczą; a gdy dobrą swą matkę 1717 roku utracił, czuł, iż nie mógłby się niczem pocieszyć, gdyby się nie był zaznajomił z tym ludem, który potem tyle go zajmował i cieszył. Gustaw Roxander doszedł późnego wieku, był uczonym, co mało znaczy, był sławnym, co także nie więcej warto; był czynnym, rozsądnym, dobrym, bo miłość natury podnosi rozum, utwierdza dobre skłonności i nadaje pokój duszy, jedyne szczęście na ziemi.

Józef z Krakowa.



OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY

NA

RAMOTY I RAMOTKI LITERACKIE.

Gdy moje Ramoty i Ramotki literackie, częścią po 9ciu pi-smach miejscowych i zamiejscowych rozsiane, większą częścią do-tąd w mojej tece więzione, rozczulającą do mnie zaniósłszy prośbę, abym im dozwolił zespólić się w jedno rodzinne koło, przyczem starsze poprawność przyrzekły; postanowiłem je przeto uporząd-kować w 6 tomów: z których dwa pierwsze wyraźnemi czcionkami i na jasnym papierze, z walną przedmową, z 2ma głosami do Sza-nownych Czytelników, z odezwą do JmćPanów Krytyków, ze spi-sem rzeczy, z drzeworytami główniejszych zdarzeń i z miłą nie-spodzianką na miedzi schwyconą, pojawią się *bezsawodnie* w miesiącu Grudniu bieżącego roku, *na wiadukę dla osób pełnoletnich*. Każdy tom obejmie 12ćie arkuszy, bez wielkich odstępów, bez rozrzutno-ści papierem, nie w modnym ale w sumiennym wydaniu. Dwa pierwsze tomy kosztować będą w księgarniach złp. 18; kto zaś w przyzwoitym czasie złoży przedpłatę, którą upoważnieni ży-czliwcy zbierać raczą, otrzyma w niezaprzeczonem zysku zł. 4 gr. 20, to jest, zapłaci tylko złp. 13 gr. 10. Wykaz omyłek druku dołączonym zostanie bezpłatnie. Okładka będzie z cieni-ego papieru koloru *czokoladowego* z ozdobami w stylu gotyckim; a gdyby kto zażądał okładki koloru *papusiego* z ozdobami à la rokoko, dopłaci osobno za każdy exemplarz po gr. 15, już nie dla Wydawcy, ale na korzyść moralnie zaniedbanych dzieci. W Kra-kowie prenumerować można w Nowej Księgarni u Józefa Cypcera.

Warszawa 10 Czerwca 1844 r.

Au. Wi. Ch. Fil.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą s góry; kwartalna, dla nierozrywania ca-łości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W Cesarstwie Ros-*syjskiem*, w Królestwie Polskiem, w Króle-*stwie Pruskim* i W. X. *Poznańskiem* w Urzędach pocztowych prenumerować można. W *Galicji* zaś tylko księ-garnie przedpłatę przyjmują.

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 9.

KRAKÓW dnia 1 Sierpnia.

1844.

Treść: Rozwít pieśni, przez Franciszka Żyglińskiego. — Krótka wiadomość o towarzystwach religijno-naukowych u żydów, przez F. Trojańskiego (dokończenie). — Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiej i wystawieniu jej na teatrze krakowskim, przez Józefa Kremera (dalszy ciąg). — Guwernery, przez Fr. Wiesiołowskiego. — Doniesienie liter. — Kronika bibliograficzna.

ROZWIT PIEŚNI.

Patrz na śliczny rumieniec, jak zorzy rozwitem
Wbiega na mleczne lica dzieciny!
Patrz na ten uśmiech święty, on duszy błękitem,
On z aniołów zbiegł dziedziny,
Taki wiosniany, rajski! — śni — on śni o raju,
O gwiazdach, o kwieciu, o maju!
O jasných skrzydłach anielskich druhów,
O dawnym świecie, z którego wypłynął,
On śni o świecie duchów!
Ten uśmiech z nieba poczęty,
Z swego przedświata — jak święty,
Żywy obraz anielstwa na licach rozwinął!

A choć zmrużone promienne źrenice,
Białą powiek obłonką, jak jasným obłoczkiem,
Skrzyły przed okiem widza cudów tajemnicę,
Co przed dzieciny łśni oczkiem;

Taki pokój w nich, taka złoci się pogoda!
Bo tam duszyczka przegląda do braci,
Siostrzyca młoda,
A w koło niej drży wianek skrzydlatych postaci!

O kto się wpatrzył w to boskie natchnienie,
W pączek uśmiechu zwiniecie!
Ó kto się wpatrzył w dziecka przebudzenie,
W lzy perełkami na twarz rozprysnięte,
Odgadnie rozświt pieśni w śnie wieszczej dzieciny!
To braciszki — anioły zbiegły w odwiedziny,
I z duszyczką — siostrzycą bawiły się społem,
Jak dawniej w niebie, gdy była aniołem!

A ten płacz nagły, ten wykrzyk boleści,
To posłannik cierpienia, dolę ziemian wieści.
A jeszcze kiedy z nagłą, w strudżonym oddechu,
W wyciągnionych rączkach, zda się, że pachole
Dopatrzyło w odlocie aniołków uśmiechu,
I chciałoby się pieścić, na płaczów padole
Chciałoby się ucześcić u skrzydełek jasných,
I z braciszkami wzlecieć z tych padołów ciasnych!

Patrz w tój chwili, jak boleść chmurami osłania
Przeczyste dzieciny skronie,
Jak pochylilo główkę, co marzeniem płonie;
To rozświt pieśni, ziemia omgłiła z postania,
Wieszczej pieśni, co pierwszą lśni gwiazdą zarania!

Błogosławionaś chwilo sennój aniołów rozmowy,
W twém przeczystém objęciu wzrasta światek nowy,
Opromieniony blaskiem zorzy porankowej!
Z twoich obrazów sennych jakieżto odbłaski
Na świat się cały rozleją,
Jakże go opromienią stubarwną nadzieją,
Jakże cudnemi zalśnią przed duchem obrazki,
Przed wieszczym duchem młodziana!
On niemi, jakby wstęgą pojednawczej tęczy,
Cały swój żywot przyszły uwdzięczy,
Błogosławionaś chwilo aniołów zarana!

I wieszcz wbiegł w kwietne łąki, na rodzinne błonie,
Z tą chwilą promienistą, z tą pogodą czoła,
I wpatrzył się w błękity oczyma anioła,
I wpadł w święte dumania! a pieśni skrzydlate
Ubrał w słoneczną anielstwa szatę,
A słońce natchnień oświeca mu skronie!
A każdy dźwięk to pierwszej pieśni żywe głoski,
Którą mu u kolébki w jeden hymn natchnienia
Śpiewał poezyi posłannik boski,
Anioł wieszczój muzyki!
. W nieba śle swe pienia!

A choć łąza ziemskiej doli błękit mu zasłoni,
Choć przed łązawą żrenicą, jak krepą całuną
Osłonięta, zda mu się ziemia wielką trunną,
On po niebie schmurzoném gwiazd przewodnich gonil
I wnet blaskiem zachwyty płoną mu żrenice,
A niebo mu posyła grom i błyskawice;

Do wtóru pieśniom! Iza ścieknie z zrenicy,
A na obliczu spłonie ogień błyskawicy;
I znowu jasny błękit w duszy się roztoczy,
A pierś odgrzmiewa niebu grom pieśni proroczej.

O bracia moi! pieśniom przy rozświcie
Bóg z aniołami błogosławił skrycie!

Franciszek Żygliński.

KRÓTKA WIADOMOŚĆ

O TOWARZYSTWACH RELIGIJNO - NAUKOWYCH

W ŻYDÓW.

(Dokończenie).

Tam to nasz uczoney Mojżesz, pracując przez lat dziesięć nad rozmaitego rodzaju naukowemi i religijnemi dziełami, lubo nauczoney tém, co go do uchodzenia z Hiszpanii przynagliło, nie dopełnił wprost swego powołania, w oczyszczeniu talmudu z jego niedorzeczności, nie zostawił wszakże swoich współwyznawców w zupełnej w téj mierze ciemności; albowiem jasno wynurzył swoje zdanie (w tém przynajmniej, co się dotyczy księgi *Agadoth*, a później i *Ga'mary*), a to w dziele swoim *Moreh Nabohim*, t. j. *przewodniku dla błądzących*, w tém właśnie miejscu gdzie się usprawiedliwia, dla czego dotąd nie wystąpił jak należy przeciw tym wszystkim baśniom, w następujący wyrażając się sposób: „Jeżeli podobne powieści i zdania czytać będą z przewróconym mózgiem Rabini i inni tak zwani nauczni, to ci nie potrzebują przestróg i dowodów

o niedorzeczności onych; bo dla nierozsądnego wszystko jest dobrém, albowiem łatwowierność jest cechą jego rozumu. Jeżeli zaś prawdziwie rozsądny człowiek czytać będzie te ramoty, dwie dla niego drogi otwartemi będą do ich ocenienia, t. j. albo je uważać będzie w literalnym ich znaczeniu, a znalazłszy je niedorzecznemi odda im zasłużoną wartość, nazwawszy je nonsensem, albowi też wcale na nie uważać nie będzie, a takim postępowaniem nie obrazi bynajmniej zasad prawdziwej wiary. Pisząc zaś do swego przyjaciela Rabina Józefa, w tém co się dotyczy Gamary tak go napomina: „Strzeż się trwonić drogiego czasu nad ślęczeniem nad Gamarą, już ja bowiem dosyć się nad nią naślepiłem; ale ach! jakże zbyt mało za moj utracony czas odniosłem korzyści.“

Nie dziw więc po tém, cośmy powiedzieli, że w swoim czasie dzieła jego przez zwierzchników talmudowi hołdujących na płomienie wskazywanemi bywały; ale to rzecz nie do pojęcia, że tenże sam uczony, za najgorliwszego jakoby obrońcę Gamary jest udawany, wtedy, gdy talmud jak najwyraźniej opiewa: „że wszyscy, którzy pogardzają lub lekce wazą Gamarę i Agadoth, tak jak to niegdyś oprócz Majmonidesa uczynili byli Rabini Zadok i Baithos, są zapierającymi się Zakonu; a jako tacy, ze względu na wielkość ich ułomności w tej mierze, a ztąd ogromnego grzechu, niechaj będą przeklęci i potępieni na wieki wieków!“

Po tém wszystkiém, cośmy dotąd o talmudycznych księgach, a szczególnie o Agadoth przywiedli, smutno jest patrzeć na tłumy izraelskich starców otaczających stoły po przyszkółkach, i z największym zajęciem się i gorliwością ślęczących nad tą książką, w tém przekonaniu, że tylko tym sposobem najprzyjemniej Stwórcy swojemu są

w stanie się przypodobać. I w tym to zamiarze członkowie towarzystwa *Ain Jakób*, a szczególnież téż starcy nie czujący się już na siłach, aby wydołać młodym dowcipom, których objęcia rzeczy są jeszcze w samej potędze zdolności rozumowania nad zawilóściami całego talmudu, obowiązani są zbierać się około 2-giej z południa na czytanie owéj Agadoth, jako przystępniejszej dla swego łatwego stylu, a jeszcze łatwiejszego języka, w którym jest napisana. Wielka wszelako liczba rzemieślników i mniejszych handlarzy i téj nawet choć łatwej do wyczytania, ale bałamutnej do zrozumienia księgi, nie jest w stanie wysylabizować; ci zatém, dla dostąpienia zasługi i odniesienia mniemanego przez nich pożytku, najmują młodych szkólników, aby im onę wyczytywali i wykładali.

Co do reszty Ustaw, w przyrzymowaniu członków, składaniu opłat i rozweselaniu się, te, lubo jeszcze w niższym od obudwu poprzedzających odbywają się stopniu, z wielu wszakże względów są tak do siebie podobne, że wyliczając one, byłoby prawie toż samo, co powtarzać pierwsze: wprost zatém do czwartego z porządku przystępujemy towarzystwa, tak zwanego *Chewrah Mikra* t. j. towarzystwa pisma ś. czyli biblii, ale biblii zarzuconej komentarzami rozmaitych rabinów.

Zadaniem tego zgromadzenia, jak to już samo jego miano wskazuje, jest codzienne odczytywanie pisma ś. — Czas do tego przeznaczony jest, przed rozpoczęciem wieczornych modłów. Czytaniu zazwyczaj przewodniczy jeden z najświetlejszych uczonych członków; odczytuje on przeznaczony na ten koniec rozdział, głośno, powoli i dobitnie, a wszyscy zebrani słuchają z najgłębszą uwagą i przyzwoitością. Podczas tego czytania nie wolno rozprawiać nad tém, co się usłyszało, ale jedynie słuchać

w milczeniu i spokojności; gdyby wszakże który ze słuchających znalazł powód do zapytania, czyni to z największą skromnością i nieśmiałością: za odpowiedź zaś na podobne pytanie, przewodniczący używa zazwyczaj nie swoich pomysłów, ale komentarzy rabinów *Raschi* czyli *Jarchi*, *Aben - Ezra*, *Abarbanala*, *Mezudotha* i t. p. Za odczytaniem powołanego komentarza, zazwyczaj nowe nie następują pytania, wszyscy bowiem członkowie tego towarzystwa, bez żadnego zaprzeczenia, posiadają głębokie wiadomości biblijne, chociaż wzwyż wspomnianymi komentarzami zabałamucone.

Tyle tylko powiedzieć możemy o tém zgromadzeniu, po którym następuje piąte, znane pod nazwą *Chewrah Torah* t. j. Towarzystwo Zakonów czyli Ustaw, zawartych w pięciu księgach Mojżesza. Przedmiotem zatem tego zebrania jest nauka *Pentateuch*, ale znowu ze wszystkimi kabalistycznymi komentarzami, jakimi są szczególniej poczynione przez rabinów *Zohara*, *Medrasza*, *Yalkuta*, *Alschichi* i t. p. Członków tego Towarzystwa składają po największej części rozmaitego rodzaju rękodzielnicy, którzy będąc cały tydzień zajęci pracą lub dozorem nad nią, zaledwie w dnie świąteczne mogą rozporządzić czasem potrzebnym na udanie się do przyszkółka, dla dopełnienia obowiązków odrębnych od zwyczajnych modłów. Co sobota zatem przed wieczorem, dla takich jedynie członków czytaniu bywają księgi Mojżesza przez jednego z uczeńszych tak głośno, aby wszyscy przytomni usłyszeć mogli, i z tak pojętnymi objaśnieniami, aby najmniej nawet usposobieni zrozumieć byli w stanie.

Zgromadzenie to przedstawia prawdziwie godny podziwiania obraz, szczególniej też w polskich prowincjach; widzieć albowiem tam można 10—12 ogromnych stołów

otoczonych ludźmi, o których w gruncie wątpić nie można, że z rzetelnej gorliwości ku Bogu tam się zgromadzają: ubolewać tylko potrzeba, że na zaspokojenie swego duchowego pragnienia w tak zamąconém źródle czerpać muszą napoje. Jakkolwiek bądź, gdyby podczas wzmiankowanego zebrania wszedł tam kto z najbardziej uprzedzonych innowierców, zostałby wskrós przejęty uczuciem niejakiegoś poważania dla tak szczerze gorliwej pobożności, tak dalece, że zapomniawszy, gdzie się znajduje, uczułby może w sobie niejakiś pociąg do tego nieszczęsnego i wzgardzonego narodu, i zamieniłby pewnie uprzedzenie swoje na pewny rodzaj przychylności; a te różnorodne uczucia zrodziłyby w duszy jego życzenie, aby w podobnym sposobie religijnej gorliwości i jego współwyznawcy, nie tylko im wyrównać, ale nawet przewyższyć usiłowali i zdołali.

Towarzystwo to ze solennem odznaczeniem obchodzi swoją roczną uroczystość, 17go dnia miesiąca *Adar*, który przypada na końcu naszego Lutego, albo na początku Marca: upowszechnione albowiem jest mniemanie, że w tym dniu Mojżesz dni swoje zakończył: w upłynionym wszakże roku, ponieważ dwa były miesiące tego nazwiska, przeto dzień 17 *Adar*, raz był przypadł na dzień 7 naszego Lutego, a drugi raz na dzień 9 Marca.

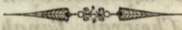
Kończąc ten krótki rys stowarzyszeń dzieci Izraela, to jeszcze mi dodać wypada, że się często zdarza, iż jeden i tenże sam członek bywa zarazem członkiem wszystkich tu przywiedzionych Towarzystw: ale inaczej rzecz się ma co do członków towarzystwa, o jakim mi jeszcze wspomnieć wypada; w niém bowiem dalekim jest przesąd i uprzedzenie, aby podobnie różno-rodnego typu ludzie przystęp do niego mieć mogli; chcę zaś tu mówić

o stowarzyszeniu się młodych, z postępem ogólnej oświaty idących izraelitów.

Od czasu, jak pomiędzy chrześcianami zaczęły powstawać towarzystwa tak zwane biblijne, a szczególnie też jak towarzystwo londyńskie zaczęło wydawać mnóstwo dzieł w duchu biblijnym pisanych, i samo nawet pismo ś. starego i nowego przymierza, a to w różnych językach, ale też i od wszystkich talmudycznych komentarzy oczyszczone, i one pomiędzy żydostwem upowszechniać; zdarza się bardzo często, zwłaszcza też u nas, po większych miastach, tak licznie przez lud Izraela zamieszkałych, napotykać na istniejące, i coraz gęściej istnieć poczynające, jednoczenia się z tak usposobionych młodych izraelitów złożone, pod nazwą *Chewrah Tanah*, t. j. towarzystwo, którego zajęciem się jest wspólne czytanie samej biblii, ale biblii czystej, wolnej od wszystkich rabińskich komentarzy. Na ten więc koniec starają się oni mieć osobny lokal, bo zwyczajny Bet Chamedrah, czyli przyszkółek, z przyczyny zapamiętałych talmudystów nie byłby dla nich dość spokojnym a może i bezpiecznym przytułkiem: czasem nawet, zwłaszcza w dni pogodne, dla tém większej swobody, wychodząc z różnych punktów miasta, w zamiarze niby zwyczajnej przechadzki, zbierają się na umówione ustronia, i tam pod czystym niebios błękitem chwalebne swego dopełniają zamiaru, w zgłębianiu czystych prawd, w téj skarbnicy pisma ś. zawartych. Młodzieńcy bowiem to zgromadzenie składający, w tém co się dotyczy wyroczeni Rabinów po pismach talmudycznych zamieszczonych, bez wyjątku są zupełnymi skeptykami; i dla tego godłowém pomiędzy nimi jest hasłem: „Precz z rabinizmem, precz z Talmudami,“ a natomiast: „*Reforma*“

czyli raczój „przywrócenie zakonu, opartego jedynie na samych tylko wyroczeniach prawego Boga.“

Chwała dla XIXgo wieku, że podobne ze szczepu Izraela począł wydawać latorośle! Chwała dla tych młodzieńców, którzy się nie wzdrygają czerpać rzeczywistej korzyści z prawdziwej i do postępu czasu zastosowanej oświaty! Oby tylko wytrwale i coraz śmielej w swoich usiłowaniach postępowali. Może bowiem im jest przekazane posłannictwo tego pojednawczego przekonania: *Ze wyroczenie prawego Boga, w starym zamieszczone zakonie, są jednem i témże samem boskości ogniwem połączone z objawioną wiarą, nowe stanowiącą przymierze* (*).



KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIEJ,

I WYSTAWIENIU JEJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

(*Dalszy ciąg*).

Jeżeli tedy dwie te jasne gwiazdy zeszły się z sobą — bo pamięć świetna onej dziewicy i duch Szyllera — już téż nic dziwnego, iż u nas jak wszędzie, wyroily się tłumy widzów, by ujrzeć zacną treść taką, ujętą w najszlachetniejszą formę, a cóż dopiero, gdy u spodu afisza świeciło się imię Gropiusa, onego czarodziejskiego dekoratora teatrów. Boć nam się już dawno stęskniło, by się prze-

(*) Temu to zgromadzeniu Margoliouth, nasz ziomek i twórca powołanego przez nas na początku téj rozprawy dzieła, o *stanie obecnym Judaizmu*, winien swoje nawrócenie, którego z tak chwalebnią gorliwością używa ku jednemu dobru swoich przyszłych braci.

cież kiedy doczekać sceny podobnej do teatrów reszty cywilizowanego świata, a trudnoby téż było ludzką mową wypowiedzieć, cośmy przeszli w dawnych latach z tym teatrem naszym. Szczęśliwi, trzykroć szczęśliwi wy wszyscy, coście nie zaznali tych bięd naszych. Dość wam powiedzieć, iż lubo dzisiaj przyjął już nas w siebie gmach chędogi i obszerny; toć jeszcze tkwi w naszej myśli, jakby złowrogi strzygoń jaki, on budynek obrzydliwej pamięci z ulicy Śto Jańskiej, co to zimą mroził, latem dusił, a przez cały rok tak był ohydny i bezecny, iż nam się po dziś dzień jeszcze przyśnić w nocy może, strasząc swoim kształtem, do olbrzymiej spluwaczki podobnym. Ot przebyliśmy to wszystko, jak się przebywa choroba jaka, jak się wiele rzeczy na świecie przebywa. Teraz wszystko jakoś inaczej. Nie na żarty nawet, jak wam powiadam, zawitał do nas Gropius, on Gropius, którego panorama znane daleko jak świat szeroki i długi, on czarnoksiężnik, co to raz postawi was na szczycie jakiejś wieży klasztornej w Palermo, to was przeniesie na statek wielorybi wśród lodowców lśniących i błyszczących biegunowych mórz, to znów posadzi obok gryzетки przy okienku omnibusu paryzkiego, albo inną razą stanie z wami na ganku szwajcarskiego domu, otoczywszy go cudami wiekuistej twierdzy Alpów; a to wszystko tą szczerą, żywą prawdą, że się zrazu trudno pochwycić, w głowie się coś skręci, aż nareszcie przysiągłbyś, iż rzeczywistość bajką, ale że to co widzisz, to jedynie prawdą. Dopiero przyszedłszy do domu, gniewasz się, i słusznie się gniewasz, bo któż chętnie dalby tak drwić z siebie. Ten tedy Gropius, stworzył nam już kilka dekoracyi. Zawsze z nowém upodobaniem patrzym na te dziwy pęzla jego, czyli nam się pola, góry, skały, w cudnej perspektywie rozłożą, czyli

się na scenie las stuletnim dębem zakołysze, czyli nas świetlica pradiadowa gotyckim łukiem obejmie, zawsze wszystko tak jest pełne poezji, tak prawdy pełne, żebyś rad do syta się napatrzeć. Inne dekoracje są znów tak sprawione, iż koło gropiusowych się wcale ostać mogą. A dekoracyom odpowiedny jest i narząd i sprzęty i stroje. Bo te szaty tak świeże, tak sute i bogate, tak się migocą atlasem i aksamitem, a tak się lśnią haftem złotym i srebrnym i litym galonem, że już czasami i zapominasz, żeś w owdowiałej i zubożałej stolicy krakowskiej, ale ci się zamarzy, żeś na dworcu francuzkiego króla, lub na którego z Jagiellonów starych. I zaiste, co do uposażenia zewnętrznego sceny, ma dzisiejszy entrepreneur wielkie swoje zasługi, i z całym też sercem przyznajemy mu te zalety. Jemuśmy winni, że już po nim nie lada kto, i z nie lada czem przed oczy nam wystąpi — ba, sam entrepreneur już nie może ustać na zaczętej drodze: więc się słusznie spodziewać można coraz to nowych dekoracji, coraz to piękniejszych strojów, a zwłaszcza do czasu i miejsca zastosowanych. Miał p. Chełchowski swoje zasługi, ma je i entrepreneur dzisiejszy. I o tym też warto wspomnieć, iż i orkiestra pod zacnym przewodnikiem swoim p. Giermaszem wiele, niezmiernie wiele, zyskała.

Otóż tyle o samej przyprawie. Przecież choć dekoracje, stroje, nie są furdą w teatrze, toć one dopiero są ramkami. Nam o rzecz chodzi; my już nie dziećmi jesteśmy, nie łakniemy więcej złotych jabłuszek, dawno porzuciliśmy jasełka i szopki, ani też więcej nie bawimy się w żołnierze; więc nie zadawalnia nas sam widok czubiących się rycerzy o papierowych wizerach i płóciennych zbrojach, ani nas już nie przekupią udane stare wiarusy Napoleońskie, maszerujące łoskotnie po scenie, jak nie-

gdys piorunnym pochodem grzmili przez świat, że aż odgłos ich kroku skamieniał w historyi. Nam jak powiadam, o rzecz chodzi, pragniemy wyboru sztuk i gry dobrej, choćby nie mistrzowskiej.

Wszak Czytelnik krakowskiego Dwutygodnika przebaczy, że się tutaj na chwilę zatrzymam, i choć dwa słówka w téj sprawie rzeknę; obiecuję atoli, iż tą razą jeszcze nie myślę rzeczy wyczerpnąć — o, dotknę się jéj z ledziuchna, dellkatnie, zwyczajnie jak się to dotknąć wypada miejsca, co boli.

Otóż najprzód, repertoryum jest lub było dotychczas tego rodzaju, iż bardzo wiele do życzenia pozostawia — albowiem, to wywlekano z pod staréj rupieci tandetowej sztuki, które dawno poszły w zapomnienie, to znów wynoszono na scenę nowe, co się umarłe zrodziły, a tak potworne, iż każdy z widzów serdecznie sobie mógł winszować, iż nie jest ojcem takiej ramoty; albo znów zjawiły się inne, co niby pod ozdobną mową i zmyśloną serdecznością chowały przegniły cynizm moralny. Zdaje się, iż nie można nadto często przypominać onych ważnych skutków rodzących się ze sztuk wyboru, a zwłaszcza pod względem obyczajów; bo strach pomyśleć, ile u nas jadu wsiąknąć może w nieopatrne serce, z tych zwłaszcza ramot, które pisane dla publiczności innych krajów, mających inne obyczaje, inne socyalne wychowanie. Tam te piśmi-dła skażonych i brudnych obyczajów mniej są zgubne, bo razem z niemi na gruncie wzrosły wyobrażenia i treść w życiu równoważące i znoszące ich wpływy; ale rzuczone wśród nas, gdzie i stanowisko umysłowe inne, inne tradycye, inna przeszłość, inny obyczaj, całe pojęcie inne, gdzie zatém nie ma uzbrojenia przeciw zepsuciu, co nam nie wiedzieć zkąd spada, więc téż wpływ jego toczy

rakiem choć nieznacznie, wsiąka milczkiem w stósunki społeczne. Pod tym względem nie czynimy wprawdzie zarzutu przedsiębiorcy naszemu, radzibyśmy jedynie wyjawić serdeczne pragnienie, byśmy w przyszłości nie widzieli nigdy skalanej sceny naszej podobnemi płodami złej poezyi. Ale strona uczciwego obyczaju nie jest jedyną, która w dramaturgii na baczenie zasługuje. Jakoż mniemam, iż nie potrzeba tutaj rozwódzić się szeroko nad ważném powołaniem sceny, by okazać, ile dobrego i ile złego pod każdym względem, jest w rękach przedsiębiorców tych instytucyi. A jeżeli już o każdym stanowisku, które człowiek zajmuje w społeczności ludzkiej powiedzieć można, iż stanowisko to z człowiekiem się podnosi i z nim razem upada, i że od godności, z jaką kto wypełnia powołanie swoje, zawisła i godność powołania tego; toć już z największym prawem to wyrzec wypada o przedsiębiorstwie teatrów. Wedle ducha przedsiębiorstwo sceny może być albo pomocnicą i opiekuną tego wszystkiego co jest zacnym i wysokim, albo też będzie li spekulacją pieniężną, mającą zysk jedynie na oku, bez względu, z jaką stratą duchową ogółu on do kassy płynie. Wszak nie wymagamy bynajmniej, ani możemy wymagać, aby którykolwiek przedsiębiorca poświęcał korzyści swoje dla dobra ogółu, bo poświęcenie takowe jedynie rząd czynić może ale nie prywatny. Mamy atoli to przekonanie, iż prawda stoi na połączeniu korzyści przedsiębiorcy z dobrem publiczności, i że się znajdują sztuki, a takich pewnie nie mała liczba, które będą miały prawdziwą wartość artystyczną, a zarazem ściągają rzesistą publiczność do teatru. I nikt temu nie zaprzeczy, iż jak publiczność ze smakiem i ukształceniem uzacnia, podnosi i wychowuje sobie scenę, tak też scena mająca treść w sobie, wychowuje sobie i uszla-

chętnia smak publiczności. Przyznajemy chętnie, iż przedsiębiorcy terazniejszemu i swobody i czasu brakło, by mógł godnie uposażyć repertoryum swoje; przyznajemy mu pod tym względem i tę zaletę, iż wiele wyborowych sztuk, zwłaszcza polskich, na scenę naszą wprowadził, przecież niemniej mamy prawo żądać, by liczne niedostatki pod tym względem uzupełnił, a lichoty, a one śmieci literackie precz powyrzucał. Tyle na teraz o repertoryum teatru naszego.

Jak zaś łatwo będzie, wedle zdania mojego, sprostować słabe strony repertoryum, tak nierówniej twardsza sprawa ze samém wykonaniem artystyczném, to jest ze samą grą artystów naszych — a warto choćby na chwilę tutaj się zastanowić. Wszak i pod tym względem możnaby uczynić przedsiębiorcy niejaki zarzuty: bo jak z jednej strony nie zaprzeczamy mu usilności i dobrej woli, tak z drugiej przeminąć nie można, iż usilność jego nie zawsze wydała oczekiwane owoce. Jakoż obejmując scenę naszą, zbierał (co do aktorów) wszystkie osoby, które się tylko nawinęły, co zapewne jest wprawdzie dowodem, że nie szczędził kosztów pieniężnych, by z czasem przyjść do wyboru osób dobranych. Przecież publiczność dotychczas nie odniosła ztąd korzyści w porównaniu dawniejszej entrepryzy; bo za p. Chelchowskiego przedsiębiorstwa mieliśmy wszystkie te osoby, co się teraz na scenie odznaczają, a nie mieliśmy tych osób, które albo do średnich albo nie rozwiniętych jeszcze talentów należą: a tak, gdy dawniej za każdą reprezentacją znalazło się dwóch, trzech, czterech z ulubionych przez publiczność artystów, tymczasem dziś rzadziej się oni zjawiają, dla wielkiej liczby osób składających grono aktorów naszych. Pan Meciszewski, książką swoją napisaną o krakowskim Teatrze, dowiódł

niepospolitej znajomości rzeczy i właściwej sobie inteligencji; wszak w tém dziełku rozdał może zawczasie wiele wieńców i bukietów między artystów, któreby może dziś nie wszystkie odświeżyć zechciał; ale co więcej, w tém samym dziełku swoim nie wsparł się na zasadach sztuki, lecz sądząc wedle własnego że tak powiem uczucia, własnego instynktu, mógł wpłynąć niekorzystnie na niektórych artystów sceny naszej tak dalece, iż i oni zarówno znów o swój grze jak o sztuce w ogólności, wedle własnego uczucia swojego i instynktu sądzić mogą, mniej pytając o prawidła prawdziwej sztuki. Nakoniec rozumiem, iż p. Meciszewski zgodzi się zapewnie na to, iż mniej szczęśliwy wybór sztuk, który się wydarzał w ziemie przeszłej, działać może bardzo szkodliwie na rozwijanie się zdolności dramatycznych; bo cóż łatwiejszego, jak spalenie się talentu na złej roli, i jakim prawem możnaby się spodziewać, iż młody artysta nauczy się np. konsekwentnie przeprowadzić grę swoją od początku do końca, jeżeli autor tej sztuki sam nie dotrzymał konsekwencji charakterów swoich? Z tego wszystkiego wywiążuję się naturalnie życzenie nasze, by p. Meciszewski użył i zdolności i wiadomości swoich, które nam już objawił, by z całą energią wpłynął na udoskonalenie gry, zwłaszcza za pomocą prób generalnych, i prosimy, by nam wierzyć zechciał, iż z dwojga jedno obierając, przenosimy grę ukończoną i wydoskonaloną nad piękne dekoracye i bogate stroje. Mamy atoli pewną nadzieję, iż przedsiębiorca nasz, jedno z drugim połączyć zdoła; bo zważywszy bezstronnie, jak wiele, jak niezmiernie wiele dokazał w tak krótkim czasie, już téż bez przesady mówić można, iż za jego przewodnictwem nieochybnie teatr krakowski stanie się pierwszą z doskonałości sceną polską. Więc téż niechaj uważa

zarzuty tu uczynione, jako pochodzące istotnie z uznania jego usilności i szczęśliwych skutków jego starań; boć sama krytyka tam jedynie może mieć miejsce, gdzie przedmiot sam zostaje już w pewnym stósunku do doskonałości a zatem i do krytyki samej. Milczenie krytyki jest tak pogardzeniem przedmiotu, jak chwalba niezasłużona wypływa z ubliżającej istotnie litości.

Co się tu mówiło o samym przedsiębiorcy, stósuje się także i do samych artystów sceny naszej; a lubo w szczególności wiele niedostatków wytknąćby można, przecież w powszechności mówiąc, ogół zasługuje na pochwałę, zwłaszcza, iż się odznacza niezmordowaniem, mającém źródło swoje zapewne w dobrej woli i w chęci wydoskonalenia się dalszego. Wszak już i pod tym względem czas nadszedł, by i u nas grę artystów dramatycznych zważyć na szalach sprawiedliwej i bezstronnej krytyki. Wszak pochwały niezasłużone artystów swoich dla tego, iż są swojscy, zawięrałyby w sobie to wyznanie ciche, jakoby tu potrzeba pobbłażać, i jakoby ci swojscy artyści nie zdołali stanąć na stopniu, na którymby sobie zarobić mogli pochwały zasłużone. Takie pochwały tedy nie byłyby pochwałami, ale paganą i uczynkiem miłosiernym, jałmużną, jaką się daje żebrakom. Jeżeli malarze nasi, muzycy, wytrzymać zdołają krytykę Europy, nie wiedziéć dla czego i artyści dramatyczni nasi nie zdołali zasłużyć sobie na równą choć surową krytykę. Ta krytyka choćby ganiła, jest istotnie pochwałą, bo dowodzi stanowiska, z jakiego ona się na artystów zapatruje, i czego po ich zdolnościach wymaga. Dla tego niechaj się artyści dramatyczni nie uwodzą oklaskami, jakimi niekiedy ich grę obsypuje publiczność nasza, niechaj nie rozumieją, iż te oklaski są krytyką rzetelną, bo nie rzadko wcale, tylko

mała częśćka tych oklasków idzie na karb i zasługę artysty dramatycznego. Jakoż połowa jedna tych oklasków należy się autorowi sztuki, co geniuszem swoim, uczuciem, myślą porywa słuchaczy, i odbija się echem wszechmocnym we wszystkich sercach; te oznaki uwielbienia należą się Schakespearowi, Wiktorowi Hugo, Schillerowi, Fredrze: dla tego oklaski takowe mogą się przydarzyć i najmierniejszemu aktorowi, a gdyby on je chciał sobie przypisać, jużby się stał podobny do onéj myszki w bajce, co to siedząc na ółtarzu, sobie przypisywała dymy wonne kadzidel. Zostaje tedy druga połowa oklasków, ale i te nie należą jeszcze w całości do artysty, bo z nich wielka część dana bywa, jak to u nas się często dzieje, ot po prostu z dobrego serca i niby na kredyt; drobna tedy pozostałość tych oklasków należy się dopiero artyście dramatycznemu. Tak bywa najczęściej, choć znów nie zawsze. Widzimy tedy, iż artysta albo przynajmniej człowiek chcący kiedyś być artystą, pragnąc powinien krytyki niepozbawiając. Lecz tu jawnie się rodzi pytanie, czyli też każda znowu krytyka jest wiary godna? czyli, ktokolwiek powie o sobie, iż jest sędzią i znawcą, ma prawo sądenia mozolnych, a czasem bardzo twardych usiłowań obcych? Zaiste — nie. Więc jakaż krytyka zasługuje prawdziwie na to imię, i komuż też istotnie artysta wierzyć powinien? Pytanie to rozwiązuje się prostym sposobem jak myślę, i mniemam, iż bez pochyby wszyscy się na zdanie nasze zgodzić zdołają.

Któż zaprzeczy, iż powinien być najściślejszy związek między sądem a rzeczą sądzoną. Jeżeli tedy wiemy, co stanowi istotę przedmiotu osądzonego, będziemy także wiedzieli, co stanowi sąd o niéj. Wszakóż wszystkie sztuki piękne, a zatém i sztuka sceniczna składają się z dwóch

pierwiastków: bo *naprzód* trzeba mieć zdolności przyrodzone, rodzić się artystą, a zatém mieć instynkt i uczucie piękności, którego nikt pracą ani naukami nie nabywa, ale z którym się rodzić trzeba; *powtóre*, wypada mieć ukształcenie stósowne, a z tém ukształceniem znów nikt się nie rodzi, ale się go nabywa pracą i nauką. Otóż mamy dwa konieczne pierwiastki każdego mistrza w sztuce pięknej: zdolności i powołanie z natury, czyli uczucie piękności z jednej strony, a naukę, pracę, wykształcenie artystyczne, czyli teorią i zasady z drugiej strony. Czyli sobie można pomyśleć malarza, rzeźbiarza, muzyka, architekta lub poetę, coby zdolność posiadał, ale téj zdolności nie wyrobił pracą i teorią i nauką, albo téż któryby pracował, kształcił się, nie mając od natury daru? Nie, zaiste — jedno i drugie jest warunkiem koniecznym, aby być artystą. Jeżeli zaś te są dwa warunki każdej sztuki pięknej, więc téż jasno widzimy, iż zarówno i krytyka sztuki pięknej z dwóch podobnych pierwiastków składać się powinna. Krytyk powinien mieć i z natury usposobienie, to jest mieć instynkt piękności, aby czuć, co w szczegółach jest doskonałe, a przytém mieć ukształcenie potemu, to jest znać teorią sztuki, której krytykiem się staje. Jeżeli te zasady służą sztuce w ogólności, to jest wszystkim sztukom pięknym, więc téż służą i sztuce dramatycznej, i jej krytyce. I tutaj krytyk łączyć winien talent przyrodzony z ukształceniem, znajomością zasad i teoryi; bo taki krytyk uczuje, co jest dobre i doskonałe w grze artysty dramatycznego, a zarazem téż z teoryi i z zasad udowodnić zdoła sprawiedliwość sądu swojego. Krytyk nie tylko winien odwołać się do uczucia swojego, ale winien udowodnić z teoryi, iż jego uczucia są trafne, winien się oprzeć na zasadach. Innéj

krytyce artysta wiary dać nie powinien. Ale jeżeli z jednej strony widzimy, na jaką krytykę zasługuje artysta, i do jakiej on ma prawo, i do jakiej przywiązywać ma wartość, tak z drugiej strony równie słusznie zapytać się godzi, na jakiego to artystę krytyka taka prawdziwa względ mieć może, i jaki to artysta zasługuje, aby miał taką krytykę prawdziwą. Rzecz jawna, iż jeżeli artysta prawdziwy tę krytykę za istotną krytykę uważa, która łączy w sobie od natury dane uczucie z teorią, pracą nabytą; tak też nawzajem taka krytyka tego tylko artystę będzie uważać za godnego siebie, który jest artystą prawdziwym, to jest tego, który także łączy w sobie uczucie, to jest talent przyrodzony z teorią ogólną, i wykształceniem artystycznym. Aktor tedy, który tylko uczuciem i instynktem się rządzi, a nie opiera się na teorii i nauce swjej sztuki, zasługuje tylko na krytykę, która się również wspiera na uczuciu, na instynkcie, a nie na teorii sztuki. Taki wrzkomy artysta nie ma bynajmniej prawa wymagać, aby mu krytyka udowodniała z teorii i zasad swych sądów; bo on sam nie opiera się na teorii i zasadach, ani też z teorii i zasad usprawiedliwić i udowodnić nie zdoła swjej gry. Kto z uczucia, z instynktu oddaje rolę swoję, daremnie się będzie odwoływał do siebie samego, mówiąc, że on czuje, iż tak a nie inaczej rola ta wykonaną być winna; krytyk i z nim cała publiczność ma prawo odpowiedzieć, iż ona przeciwnie od artysty czuje, i że czuje, że téj roli wręcz przeciwna gra się należy. Niechaj się artysta sceniczny wspiera nie tylko na uczuciu swoim, ale na teorii i na zasadach; wtedy też nie tylko wedle uczucia, ale też wedle zasad sądzonym będzie. Jeżeli się zaś zdarza, iż aktorów grających wedle instynktu i uczucia własnego spotka krytyka utwierdzona na nauce i teorii sztuki, toć by tylko okazywała, iż w tym

razie krytyka znajduje się na wyższém stanowisku niż samo wykonanie artystyczne.

Uważmy, iż téż świat postępował sobie zupełnie zgodnie z prawdami tu wyłożonemi. Póki rozumiano, iż aktor obejść się może bez nauki i teoryi, póty téż trwały uprzedzenia społeczne przeciw całemu stanowi temu; lecz od czasu gdy poznano, iż do sztuki scenicznej, tak jak do każdej innéj sztuki, potrzeba nie tylko daru naturalnego ale i nauki i ukształcenia, od tego téż czasu sztukę sceniczną nazwano istotnie sztuką, a aktorom jako wykonawcom sztuki téj przyznano godność artystów, a przyznano im ją w nowych czasach, co dowodzi oświaty i cywilizacyi wieku naszego. Z tego wszystkiego okazuje się, iż kto zechce być artystą prawdziwym, nie pustym uzurpatorem tego imienia, przedewszystkiém uczyć się winien, i nabrać tego ukształcenia umysłowego, które stanowią treść i wagę każdego człowieka, a wtedy się dopiéro spodziewać można, iż nabierze jasnego pojęcia swéj sztuki i godności jéj. Bez pracy niczego się w świecie nie osiąga, a najmniej imienia artysty; a mniemanie, iż saméj sztuce teatralnej można poświęcić się bez poprzedniczego przygotowania, bez nauki, byłoby ubliżyć sztuce swojéj i odebrać jéj właśnie cechę czyniącą ją sztuką: a gdyby sam artysta sceniczny rozumiał, iż mu nie potrzebna praca umięjetna i nauka, jużby poniewierał sztuką swoją, a zatóm i sobą samym, bo jeżeli artyści by tak lekce ważyli sztukę, pytam się, któż ją szanować będzie? Pytam się, cóżby to była za sztuka, gdyby przystępującemu do niéj wolno było nie mieć żadnych nauk, żadnego ukształcenia? Więc aby być dobrym mularzem, cieślą, kamieniarzem, potrzeba mieć wyobrażenie o zasadach jeometrii, mechaniki i innych podobnych naukach i uczyć się tych

rzemiosł dobrze i pilnie, myśleć nad nimi i wiele wzorów dobrych widzieć; lecz aby być artystą, aby stanąć w tak zaszczytnym stopniu w towarzystwie, można poniewieraćć tém, co umysł człowieka kształci, co mu dodaje treści i głębi? A co więcćj, czyli się tu można obejść bez wzorów, a nadewszystko bez teoryi i zasad swój sztuki?

Jaka zaś jest ta teoria, na czém stoi ta architektonika sztuki dramatycznój, jakie są te zasady, o tém wszystkiém niepodobna rozprawiać dostatecznie w artykule pojedynczym; jest to treść mogąca napełnić kilka tomów. Jakoż inne literatury są już dość uposażone w dzieła téj osnowy, a tak zabrały się od niejakiego czasu do uprawienia jój, iż ona, co niegdyś odłogiem spoczywała, stała się dziś gałązką jednój z umiejętności filozofii, bo estetyki. W naszej literaturze pod tym względem prawie powszechne panuje milczenie; a ta okoliczność właśnie tak utrudnia u nas powołanie krytyka, bo nie ma się do czego odwołać, bo zasady ogólne nie weszły jeszcze w świadomość ogólną publiczności: krytyk przy każdym sądzie swoim o grze jakowój, byłby obowiązany rozwinąć teorią zasad, na których stanął. A nadto wypadaloby mu przed każdą krytyką rozwinąć myśl sztuki granój, wyświecić ducha jój autora, rozebrać jój treść i wartość poetycką.

Jeżeli jednak twierdżę, iż bez nauki właściwój i teoryi nie ma artysty; toć już tém bynajmniej nie powiadam, iż cała ta nauka i teoria w księgach spoczywać może: owszem, nie ma wątpliwości, iż jeżeli artysta i ze siebie samego nie rozwinie własnej refleksyi, i jeżeli się nie zapatrzy na żywe wzory swój sztuki, cała umiejętność w księgach zamknięta będzie martwą, i bynajmniej nie wyda plonu; będzie ona pustą abstrakcją. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

GÓWERNERY

przez

Fr. Wiesiołowskiego.

Niech djabli porwą te przemierzłe miasta,—mówił p. Piotr w traktyerni pod Dębem, ocierając czoło z potu i dzwoniąc w szklankę na kelnera, by mu podał wódki, a potem zupę i t. d. Kilku przy stole siedzących pana Piotra znających jeło go witać i wypytywać o przyczynę tak złego humoru.

—Ktoby tu był lepszy, zapytaj moich nóg i kieszeni, trzy dni bruk zbijam jak opętany, trzy dni sypię cwancygierami na wszystkie strony i nie mam miastu złorzeczyć! — O, już to prawda, rzekł p. Jan, tylko się pokaż w mieście, aż strach co zaraz wydatków: — adwokatowi płąć, w sklepie płąć, w oberży drą, niech pan Bóg broni! najgorsze jednak te kobiece sprawunki; człowiek się na tém nie zna, wszystko przeplaca, i najczęściej jeszcze burę weźmie, że źle kupił. Postanowiłem sobie już raz w sekrecie wyjeżdżać z domu, by uniknąć tych nieznośnych poleceń; ale gdzie tam, zaraz zwąchają i zawsze im czegoś brakuje, to jakiegoś tuliku, to bucików, to tam jakiego terefere na szlafroczek, dosyć że kilkadziesiąt reńskich jak wymiółł z kieszeni.— Ej co tam, to wszystko nic, przeczytajno moję konotatkę, spis dłuższy jak ten oto na stole, a jednak wszystko trzeba uskutecznić, bo inaczej ani pokaż się w domu;— i dobywszy zapisaną ćwiartkę papieru p. Piotr, podał ją Janowi do przeczytania głośno: 1) U krawca zapytać, na kiedy będzie gotowy szlafroczek materialny, co mu przesłałam przez faktora; jeżeli sznurów za mało, dobrać jedwabiu i dać szmuklerzowi do roboty, tylko

téz jedwab według próbki. 2) Pończoch ażurowych par dwanaście, tylko téz proszę cię nie jednakowych, ale każda inna, najlepiej dla pewności wziąć je w dwunastu sklepach. 3) Wstążek u Warszawskiej takich jak brała u niej pani M. 4), 5) i 6) zapisane było różnemi drobiazgami, nareszcie 7) guwenera do dzieci, bo wielka z nimi bieda, tylko biegają, swawolą, a uczyć się niechcą; z drugiej strony papieru wypisane były interessa jegomości, być u adwokata P., pomówić z referentem B., zrobić podanie C. i t. d. i t. d. — A co Janie, nie trzeba tu trzech głów miasto jednej, by temu wszystkiemu podołać? a przecież wszystko już ułatwione i za godzinę wyjeżdżam.

— Jak to, i guwenera już masz? zapytał Henryk.

— Ba! to téz za tém nachodziłem się najwięcej, gdzieś po piętrach, po strychach, i ledwo ledwo znalazłem. Gdzie to teraz panic, ani weź ktorego, zaraz 500, 600 reńskich pensyi, a do tego wymysłów, kaprysów, co nie miara; naprzykład, ten co się oddalił, — płaciłem 600 fl. m. c. dogadzałem jak mogłem, osobne stancye, służących i t. d. za to myślałem, że przecież prócz téj nauki chłopców będę miał jakową pomoc w domu. Nie raz wypadnie czy co napisać, czy dojrzyć w gospodarstwie, czy wyjechać gdzie za interešem, myślę sobie, dobrze będzie posłużyć się kim; gdzie tam! skończyły się lekcyce, on daléj do książki zasiada, a chłopcom każe się bawić przy sobie jak na uwięzi, albo gdy chłopcy u matki, on do fortepianu i nuż dukać jakieś tam rullady, passaże, exercycye, aż uszy bolały. A dopóki téj nauki! ja przecież płacę za to, żeby umiał, a nie za to, żeby się sam uczył; mówię raz, drugi, delikatnie, gdy nie pomogło wziąłem się ostrzej do panicza, aż tu ztąd fochy, dąsy, dziękuje za miejsce, wyjeżdża,

bywajże mi zdrów mój panie! przecież za pieniądze dostanę tój łaski.

— Nie tak to łatwo, jak sądzisz, zwłaszcza o człowieka zdolnego, jakim był twój; szkoda wielka, że się go pozbyłeś.

— A to dobre, mój Henryku! żebym ja też za taką ogromną zapłatę nie mógł żądać choć czasem wyręczenia, pomocy; człowiek młody powinien przecież sam brać się do czego, ale to u tych panów nic w głowie tylko po powietrzu latać, jakieś niewczesne teorye wymyślać, słowem próżnować. Gdzież, kiedy to powiadam ci, nawet dla zabawy nigdyś go nie poruszył: mam konie wierzchowe, mam psy i strzelby, żeby też kiedy przyszła mu ochota przejechać się konno albo wyjść w pole; wyprowadzają konia i ten ani spojrzy, ani się przysunie; wziąłem go raz prawie gwałtem na polowanie, psy gonią aż głucho po lesie, ten postawił strzelbę i czyta gazetę. Niechże cię kaci porwą, myślę sobie, to nie polska krew w tych ludziach.

— Mylisz się, kochany Piotrze czyniąc mu podobne zarzuty; potrzebne są prace fizyczne, dobre są rozrywki, ale człowiek oddany kształceniu młodzieży, powinien nade wszystko ćwiczyć się sam umysłową pracą; mało jest takich, coby oddani jednej, nie czynili uszczerbku drugiej.

— Już ja tam dziękuję, żeby mój Włodzio albo Staś wyszedł na takiego belfera; chłopcy jak iskra, za koniem, za bronią aż drżą, a tu robią z nich bakałarzów. Przecież i ja byłem młody, uczyłem się także, a nie było to tak nudnie tak pedantycznie jak teraz; guwerner nie raz i skurę wyłatał, ale za co? za figle, za psoty, nie za książkę pewnie, bo gdzie też to chłopcu w tym wieku być literatem. I na cóż się to przyda? czy

to któren z nich ma być księdzem czy professorem? byle był dobrym obywatelem, sąsiadem, gospodarzem, więcéj nie potrzeba, i ja téż więcéj mieć nie chcę.

— To bardzo dobrze, rzekł Henryk, jednak pamiętaj, że i tve chłopcy będą mieć kiedyś swoję wolę, i oni będą chcieli, a może właśnie zechcą być czém inném, jak ty zamierzasz; wtedy zapóžno im będzie odzyskać czas utracony, a miasto wdzięczności za odebrane wychowanie, skończy się na niezadowolnieniu z siebie, na żalu do rodziców i słusznych wyrzutach, których nic zatrzcć, nic wynagrodzić nie zdoła. Częstoć wprawdzie wszelkie starania, wszelkie zabiegi nie odpowiedzą oczekiwaniu rodziców, ale nie zważając na to winni oni pełnić swój obowiązek. Młodzieniec do lat 18tu lub 20tu jest tylko planem, tylko projektem na człowieka; co umysł młody wsiąknął w siebie, częstoć później dopięro się rozwija. Okropna jest, gdy wtedy obudzą się w nim zdolności, obudzą się chęci, a nie ma materalów. Natenczas puści on się w świat jako rzemieślnik bez narzędzia, jako lampa bez światła, jak okręt bez steru; niesmak, upokorzenie codzienne, brak zaufania w tych, co zmarnowali im zdolności i młodzieńcze siły, nie dając pomocy do ich rozwinięcia, czarną niewiarą pokryje najlepsze nawet dawane im rady i przestrogi, a własnym puściwszy się torem, gorące swe żądze, burzliwe namiętności skierują oni może na złe, szkodliwe sobie i drugim.

— No już zobaczysz, że tak złe nie będzie, uśmiechnął się p. Piotr; dobiore ja sobie nauczyciela, jakiego mieć pragnę. Ten, co dzisiaj go przyjąłem, bardzo mi się podoba, chłopiec ocytany, jak mi jął prawić, ażem osłupiał; to mi to nauka, kiedy ją znać przecie. Tamten zaś nigdy nie mówił, chyba z dziećmi albo z podobnym sobie nudziarzem. I tak p. Eugeniusz skoro się zjawił, to to do-

piéro mój pan jakby się narodził, dopiéro to dalej z nim rozprawiać, dysputować, kłócić się, choć nie było o co; ten powie czarne, ów białe, i nuż dowodzić, przytaczać jakies tam szpargały, nie raz azem chrapnął tak mnie unudzili. Ze mną sam na sam nigdyś go nie usłyszał, deszcz, pogoda, zielono w ogrodzie, kwitnie tam jakowa roślina, oto cała rozmowa; zresztą chodził zadumany jak rabin marmorajne, co to mówił mi raz żyd na popasie, kiedym zapytał, dla czego dwóch naprzeciw siebie siedzących siwych żydów nie do siebie nie mówiło: „Nu, na co oni mają mówić, kiedy jeden wie, co drugi myśli.“ Djabeł mi tam z takiego rozumu, gdzie niema praktycznego; rozsądek zdrowy, rozum naturalny, o to mi dawaj, to potrzebne w życiu, z tém to znajdzie się i pociecha w smutku i umiarkowanie w szczęściu i rada w potrzebie; ci zaś panowie dopóty tylko mądrzy, póki z książką w ręku, a niech no któremu za pozwoleniem urwie się guzik od surduta, już przepadł, już nie poradzi sobie; do tego państwo w głowie, fummy, ani pomysłić, że się służy i nie jest równym temu, co płaci.

— Jeżeli tak, jeżeli chcesz mieć sługę za guwernera, wybacz mi, ale mieć go nigdy nie będziesz.

— A to czemu, czyż guwerner nie służy, nie bierze płacy tak jak inny?

— Jeżeliby przyszło tylko na cwancygiery wartość ludzi redukować, dobrze mówisz, masz słusność niezaprzeczoną; służyć jednak a służyć jest wielka różnica. Człowiek, jako istota moralna i materyalna dwojakie ma przeznaczenie, dwojakie ma on wypełnić obowiązki: jedne dążą do utrzymania jego bytu fizycznego, drugie do wykształcenia moralnego. Dokładne wykonanie pierwszych czyni go tylko rozumném zwierzęciem, gdy tém czasem drugich wy-

pełnienie wznosi go do godności rozumnej istoty. Ludzie wyłącznie fizycznej oddani pracy, która im wiele zajmuje czasu, nie mają sposobności kształcić się umysłowo; wartość ich moralna zasada się ledwo na dokładnym pełnieniu podjętych obowiązków i na życiu cnotliwym, tego bowiem prawidła bez nauki, bez natężenia kaźden znajdzie w swém sercu wyryte. Wykształcenie zaś umysłowe, wiedza oparta na długoletnim zbiorze cudzych doświadczeń i wiadomości, wymaga wyłącznego oddania się umysłowej pracy; przez nią to człowiek podnosi godność swoje, przychodzi do poznania siebie samego i drugich, rozróżnia prawdę od błędu, złe od dobrego, a zbadawszy przeszłość, zgłębiwszy przyszłość, w krainie myśli owoc urwany podaje spragnionemu bratu w zamian za pracę. Bóg dozwolił moralnym ćwiczeniem stawać się jemu podobnym, a ty dziwisz się Piotrze, że guwerner twój chce się równać tobie.

— Ba! ba! panie Henryku, odezwał się z boku pan Grzegórz, wszystko co mówisz jest bardzo piękne; niezaprzeczenie ludzie nauki, ludzie myślący powinni być lepiej uważani jak najemny wyrobnik bez wychowania i oświaty, cóż kiedy najczęściej dzieją się z tém nadużycia, jak ci tu tysiączne przytoczę przykłady; exaltowane twoje wyobrażenia nie dadzą się użyc w praktyce, bo z ludźmi nie da się postępować według różowych teoryi.

— Kilka razy już z ust twoich, Grzegorz! słyszę zarzut exaltacyi, owój choroby umysłu, owój grzecznie przezwanój waryacyi, dążącój wszędzie do przesadnej ostateczności, bez względu na zdrowy rozsądek; ale wierzaj mi, jeśli ja przesadnie bujam po powietrzu, ty znów przesadnie brniesz w rzeczywistości. Są rzeczy, których niepodobna pociągnąć z sobą w odmet codziennego życia; są uczucia, myśli, są prawdy

wieczne, które nie bacząc osób ni wyjątków, niezmiennie przyświecają ludzkości jak gwiazdy stałe wpośród migoczących światel niebieskich.— Co powiedziałem o gubernatorach, tyczyło się ogółu, nie wchodząc w szczegóły; wiem, że są wyjątki.

— Ja ci tu tylko jeden przytoczę, przerwał p. Grzegorz: wiesz dobrze, co miał mój sąsiad p. Walenty z takim paniczem; pieścił, psuł, uważał za przyjaciela domu, cóż ztąd wynikło, oto paniczowi rogi rosły, począł w szlafroku z fajeczką do pokoju jejmości przychodzić, aż nareszcie ledwo że i samemu panu rogów nie przyprawił, szczęściem, że trafił na osobę tak godną jak jest pani Marya, i zaraz wyforowali z domu szalapatę.

— O takich ja tu nie mówię, rzekł Henryk. Człowiek nie umiejący zachować się przyzwoicie, nie umiejący szanować praw gościnności, nie dla tego że służy, ale dla tego że nie godzien szacunku, nie powinien być za przyjaciela uważany; potrzeba téż umieć zrobić wybór, trzeba znać się na ludziach, nie w konotatce pomiędzy sprawunki, nie w rejestrze przychodu i rozchodu pieniędzy, ale w sercu rodzicielskiem zapisać obowiązek starania się o nauczyciela rozumu, o kształciciela serca dzieci, owego to skarbu powierzonego nam przez stwórcę do przechowania owéj ziemskiej nieśmiertelności naszéj, przez którą byt nasz przedłużamy do potomności.

— Widzę, rzekł p. Piotr, mnie tu dajesz przyczynę, ale nie taję się z tém, tak jestem znudzony i zniechęcony do tych panów, że gdyby nie żona moja, co mi ciągle głowę kłopoci, już bym się wolał obejść bez żadnego.

— Nie masz się z czém chwalić, dziwię się nawet, iż przyznajesz się do tego.

— Lecz wracając do rzeczy, któż był ów panicz? jak go zowie pan Grzegórz. Znałem go doskonale, bez żadnych grutownych wiadomości, bez żadnego charakteru; ułożenie salonowe, niewczesna duma i zarozumienie, gładkie wysłowienie się, oto wszystko co posiadał. Oddany próżności i zabawom, obowiązek swój pełnił bez zamiłowania, bez powołania, li tylko jako zyskowne rzemiosło; dziećmi nie zajęty nigdy oprócz lekcyi, zbywszy je jak można najprędzej, wystrojony i wypomadowany myślał tylko o zabawach; chłopcy téż zostawieni sami sobie nie tracili czasu, przesiadywali w stajniach, jeździli konno po folwarkach, palili fajki i t. d. i t. d. — Taki człowiek choćby nawet posiadał wiadomości i talenta, nie zdolny jest być guwernerem i ledwo można nazwać go nauczycielem; *gouverner* bowiem po francuzku, znaczy rządzić, to jest rozrządzać dziećmi w każdej dnia porze, tak jak później, gdy te nieświadome istoty przyjdą do poznania, będzie niemi rządził własny rozum i doświadczenie: dla tego guwerner powinien być nieodstępny, obcować z dziećmi ciągle, uważać na ich postęпки, mowy, wyrażenia, wpływać na młode dusze własnymi przykładami, rozwijać młode umysły rozmową.

— O, dziękuję ci za to, powiedział p. Jan, sam miałem takiego guwenera w młodości, ten nigdy nie odstępował mnie, czyli raczej nie dał się odstąpić; ale téż za to gdzie on to i ja, on do kawiarni, ja za nim, on do cukierni, ja za nim, słowem wszędzie mu towarzyszyłem i wierzę mi nie wiele się zbudowałem.

— Dajmy już temu pokój, zniecierpliwiony rzekł Henryk, widzę nie rozumiemy się i nie zrozumiemy nigdy; powtarzam tylko, co już raz wyrzekłem, że nie wchodząc w szczegóły, nie biorąc na cel pojedynczych osób, co powiedziałem, ty-

czyło się ogółu, gdyby bowiem każdą prawdę, każdą zasadę przyszło stósować, rozbierać na części, wszelkie ustawy społeczne, wszelkie nawet prawa polityczne rozdrowniałyby na nic nie znaczące atomy i w niczem nie byłoby zasady. — Dla tego téż, co mówiłem, nie stosuję do ludzi niegodnych, zepsutych i krzywo rzeczy widzących, ale do tych, co zdolni pojąć powołanie swoje, przejęci jego wielkością, pojmując piękność jego, zyski piędzienne, utrzymanie bytu swego materialnego za rzecz podrzędną zważając, duszą i ciałem poświęcili się kształceniu małych przyszych pokoleń. — Ci ludzie godni są czci i uwielbienia, oni stoją na równi z najzacniejszymi obywatelami kraju.

— Kellner! podać mi rachunek! zawołał p. Piotr — godzina późna a do domu daleko.

DONIESIENIE BIBLIOTECZNE.

Nakładem Józefa Cypcra wyjdzie nie zadługo dziełko pod tytułem: Lesława Łukaszewicza Rys Dziejów Piśmiennictwa Polskiego poprawił, uzupełnił i do ostatnich czasów doprowadził Walerjan Kalinka. Wydanie trzecie.

W tym krótkim przeglądzie ojczyściej literatury umieszczeni będą wszyscy znakomitsi Autorowie po polsku piszący. Tak prędkie wyczerpięcie dwóch poprzednich wydań (co u nas rzadkim jest pojawem) jak i zaprowadzenie po szkołach jako elementarnej książki najlepszym jest dowodem użyteczności takowego dziełka. Te okoliczności, jako téż znaczny postęp i odmiana piśmiennictwa w ostatnich latach zmusiły wydawcę do obmyślenia trzeciej edycyi.

KRONIKA BIBLIOTECZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W WARSZAWIE:

Opis Marienbadu ułożony ze względu na potrzebę osób tam się udających, z dodaniem wiadomości o zachowaniu się przy używaniu wszystkich wód mineralnych, tak naturalnych jak sztucznych, podług dzieł J. Ad. Frankl in 12mo. W drukarni Dietricha w komisie P. Sennewalda.

Wspomnienia Rzymu dzieło M. B. Poujoulat, przekład Zenonima Ancyporowicza in 8vo nakład S. Orgelbranda. W drukar. pod firmą M. Chmielewskiego.

Kain rozbojnik Morski powieść w trzech tomach z francuzkiego (oryginał angielski Marryata) in 12mo, nakład wydawcy. W drukarni J. Dietricha.

Rys historii nowożytnej napisał Michelet. Dzieło przyjęte przez Radę Królewską Uniwersytetu i przepisane do wykładu historii nowożytnej w kolegiach królewskich i instytucyjowych wychowania publicznego przełożył Oskar Stanisławski, in 8vo Warszawa nakładem Redakcyi Gazety Warszawskiej.

Ukrainki z Nataju Tymka Padury in 8vo u Hustawa Ł. Hliksberha, w drukarni S. Strąbskiego.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W Cesarstwie Rosyjskiem, w Królestwie Polskiem, w Królestwie Pruskim i W. X. Poznańskiem w Urzędach pocztowych prenumerować można. W Galicyi są tylko księgarnie przedpłatę przyjmują.

DWUTYGDNIK

LITERACKI.

N. 10. KRAKÓW dnia 15 Sierpnia. 1844.

Treść: Kary i Meki w miastach dawniej Polski. — Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiej i wystawieniu jej na teatrze krakowskim, przez Józefa Kremera (dalszy ciąg). — Skarb ukryty, obrazek obyczajowy; przez Fr. Wiesiołowskiego.

MEKI I KARY

W MIASTACH DAWNIEJ POLSKI.

Prawo dawne miast polskich, które Kazimierz W. w 1356 roku zaprowadził, zwane prawem magdeburksiém, *Speculum Saxonum*, stanowione było różnemi czasy, w mieście Magdeburgu, w części osobiwie cywilnej, na zasadzie praw rzymskich, a w reszcie z prawa polskiego, saskiego i ustaw miejscowych; w Polsce przyłączono do nich niektóre urzędzenia krajowe. Szlachta prawem tém sądzoną być nie mogła.

Prawo magdeburskie kryminalne, nad którym się tu obszerniej zastanowimy, widoczne i nazbyt wyraźne piętno wieku swojego nosi. Srogie kary usprawiedliwionemi być mogły w owym czasie, gdy obyczaje narodów środkowej Europy, chrystyanizmem jedynie nieco złagodzone, zostawały jeszcze w stanie dzikości wieków rycerskich, z zabytkami koczującego życia; a napady ludów ze wschodu niszczyły każdy zaród cywilizacyi i dostatki krajowe, rozrywały towarzyskie stosunki mieszkańców, którzy nie myśląc już o

wspólném szczęściu, zaspokojenia własnych jedynie potrzeb szukali. Potworzono zatém kary bardzo surowe, wiele téż dzikich zaostreń przydały im wieki późniejsze, osobliwie w prześladowaniach błędnym fanatyzmu religijnego zapalem gorliwie kierowanych.

Przed wyliczeniem kar za przestępstwa i zbrodnie wspomnijmy wprzód o mękach czyli sądowych badaniach przy dochodzeniu winy.

M ę k i.

Na męki nikt nie mógł być danym bez pewnych i dostatecznych znaków czyli dowodów złoczynstwa jego. Dopiero gdy i wtenczas obwiniony nie zeznać nie chciał, lub téż fałszywe okoliczności zeznawał, po poprzedniem obiciu miotłami męczono go: „wodą gorącą, octem, laniem wrzącego oleju w gardło, smarowaniem siarką, smołą gorejącą lub słoniną, głodem, pragnieniem wielkiem, przyłożeniem na pępek myszy, szerszeni albo jakich innych robaków jadowitych, nakrytych bańką, ażeby tak wyjść nie mogły, ciało cierpiącego dręcząc: jako téż gdy zoczyńcę ku ławie przywiążą, nogi jego słoną wodą namażą, potem kozę przywiodą, która rada sól jada, aby pięty onego zoczyńcy lizała: który ból powiadają być okrutny, bez obrażenia cielesnego“ (1). Wszakże były to więcej wymysły kata lub nielitościwych Sędziów; podług zaś przepisów prawa męczono „ciągnięciem powrozami, (tortury), gdy nago zoczyńca, na węższej ławie niż ciało jest, bywa pod pachę przez piersi przewiązan, potem wielkie palce u nóg bywają związane, a powróż od nich około osi u koła okręca, aby tak obracaniem koła ciało zoczyńce ku wypowiedzeniu prawdy było ciągnięte. Nie-

(1) Porządek sądów miejskich etc. Kraków 1630 stron. 217. Jodacus Domaderius w Księdze: De Praxi rerum criminalium.

którem téż pierwój wszystkie włosy brzytwą ogolą dla opatrzenia, aby jakich kunsztownych pomocy we włosach nie miał, według czarnoksięstwa, albo czarów innych, za któremi więc żadnej męki nie czują“ (2).

Za każdém objawieniem chęci zeznań folgowano cokolwiek, nie wspominając niczyjogo nazwiska; trafiało się bowiem, iż męczona ofiara z bólu wywoływała w zeznaniach swoich nieznajome nawet osoby, zasłyszawszy tylko ich imię. Zapiérającego się po mękach męczono powtórnie, lżej jednak, i jeżeli tą razą zaprzeczał, już raz trzeci męczonym być nie mógł. Żadne zeznania nie były ważne bez dobrowolnego w sądzie potwierdzenia na drugi dzień po męce. Syna męczono wprzódy niż ojca, żonę wprzód niż męża. Gdyby męczony nie przyznał się, ani urząd ani skarżący nie ponosili kary żadnej za to, również nie wynagrodzono mu wynikłych ztąd krzywd lub szkód na zdrowiu i majątku, choćby się okazało że był niewinny, wyjąwszy gdyby przedsięwzięto mękę bez prawnych poszlaków. Wydatki na kata i oprawców ponosił urząd.

Wolni byli od mąk: doktorowie, rycérze, przełożeni, urzędnicy, starcy, kobiety czasu brzemienności, i małeoltni do czternastu lat; ostatnich smagano tylko różgami pod pręgą. W badaniach jednak o występki przeciw krajowi lub monarsze nikogo nie wyłączano: „téż nie czyni nikogo wolnym od męki, wydanie a zdradziectwo ojczyzny swój, poddanie miast, zamków nieprzyjaciołom, któżkolwiekby był takim“ (3).

Były częstokroć przykłady, iż złoczyńcy zadawali sobie wzajemnie i dobrowolnie męczarnie rozmaite, ażeby po pojmaniu snadniej takowe znosząc, zbrodnie swoje zataić.

(2) Porządek sądów miejskich etc.

(3) Tamże.

K a r y.

Zabójcę ojca, matki, syna, krewnego, zaszywano w skurę albo w wór razem z psem lub kunem, jaszczurką ⁽¹⁾ albo małpą i topiono w rzece; za zabicie własnego dziecięcia karano utopieniem: „a piérwój niżeli będzie utopioną, ma być w ogniu rozpalonemi kleszczami targana, według nauki a rady ludzi w prawie biegłych. Gdzie zaś podobne zabójstwa częściej się wydarzają, tam białogłowa taka ma być według obyczaju żywo zakopana, a pałem przebita“ ⁽²⁾. Za porzucenie dziecka, jeśliby umarło karano także śmiercią. Za zabójstwo rozmyślne, wplatanono w koło, włócząc wprzód koniem po rynku. Zabójstwo z gniewu, uniesienia lub z zawziętości popełnione karano mieczem; zabójcę jakiej znakomitěj osoby, pana swojego, krewnego lub przyjaciela, przed śmiercią targano jeszcze rozpalonemi kleszczami, lub téż włóczono konmi. Popełniający zabójstwo przygodne, płacili *wargielt*, to jest wynagrodzenie pieniężne. *Wargielt* podług prawa magdeburgskiego wynosił złp. 20; lecz według zachowywanego w Polsce zwyczaju ludzie możniejsi w większych miastach płacili grzywien 30, w mniejszych miastach 15, a na wsi za zabicie kmiecia grzywien 10 ⁽³⁾. Za małoletnich, którzy do lat 14 śmiercią karani być nie mogli, płacił opiekun. Zabójca niewolnika (Turka, Tatar a t. p.) odpowiadał jego panu; jeśli zaś niewolnik co

(1) „Jaszczurka znaczy nieszczęśliwość rodziców, albowiem jaszczurka samiec gdy się z samicą schodzi głowę swą w jēj usta włoży, którą potem samica w sobie ugryzie. A jaszczurzęta gdy się mają wylęgnać, wygryzają się z żywota samicy, tak, że i samica zdechnie (!?).“ *Porządek sądów etc. 234.*

(2) *Postępek wybrany z praw etc. Krakowских 1629 str. 67.*

(3) *Artykuły praw Magdeburgskich i Krakowских 1565.*

zawinił, pan powinien go wydać osobie skrzywdzonej, albo zań odpowiedzieć. Usiłowane zabójstwo karano tak, jako i dokonane, pomocnicy ponosili z głównými sprawcami równą karę. Morderca ukryty przez lat 10, wolny był od śmierci, a po 20 latach ukrycia od wszelkiej odpowiedzialności. Słudzy urzędowi uciekającego złooczyńcę mogli zabić; podobnież każdy w obronie własnej, gdy mu gwałt niebezpieczeństwem życia zagroził, i tylko trzema świadkami wywieść się później należało. „Dzieci nakształt bestyi jakich rodzące się mają być zarazem zadławione“ (*Porządek etc.*).

W napadnięciach przez wiele osób, tylko zadający ranę śmiertelną ponosił karę jako morderca.

Za podburzenia lub niechęcenie przeciw zwierzchności, bito u pręgierza miotłami, lub wyganiano z miasta. Gdy zaś kto w zbiegowiskach burzył publiczność, albo lżył urząd, chociażby ztąd żadna szkoda nie wynikła, karany był mieczem.

Złodziejów za kradzież wartości trzech złp. wieszano (Sp. Sax. L. 2, art. 3); za mniejszą zaś bito u pręgi. „Te złodzieje, którzy we dnie kradną, mieszkni, wacki, kalety kryjomie rzeżą, za pierwszém kradzieństwem, je na twarzy cechują; za wtórem obiedwie uszy urzynają; za trzecim krzyż na czole wypalają żelazami, a za każdym razem je miotłami w pręgi biją; a za czwartem już ma być powrozem na szubienicy nacechowany, aby więcej ludziom nieszkodził“ (?). „Zboża albo owce gdy kto w nocy z pola ukradnie, albo z sadu, albo z gumna, tedy ma być obwieszon, a zwłaszcza o zboże; a jeśliby we dnie kradł, tedy ma byđź ścięty“ (*).

(?) *Jus Municipale art. 38.*

(*) *Spec. Sax. L. 2. art. 39.*

Wspólnicy i pomocnicy kradzieży, ponosili też karę co i główny sprawca. (Jus. mun. L. 2, art. 13). „U kogo fałszywe kostki najdą, ma być karany jako złodziej⁽⁹⁾; bo gracz jest jako zbójca, gdyby mógł inak mieć tego pieniądze, z którym gra, iżby je mógł ukraść albo wydrzeć, tedyby nie grał: ale iż tego nie może uczynić, grą tedy dostać usiłuje.“

Podpalaczy karano podług prawa polskiego paleniem żywo; rabusia i zdrajcę wpleceniem w koło.

Za znieważenie panującej religii karano na zdrowiu i na gardle; uważając przy tém wielkość winy, stan i osobę przestępcy. Podług statutu Władysława Jagiełły z roku 1424 heretycy mieli być mieczem karani, majątek zabrany na króla, a dzieci ich praw cywilnych na zawsze pozbawione. Prawo to atoli nigdy w zupełnym nie było wykonaniu, owszem przez późniejszych monarchów niezawisłość opinii religijnych zaręczoną została; lubo zdarzyły się niekiedy nadużycia, w których gorliwość brudnego fanatyzmu skazywała różnowierców na stosy. Czarownicy bywali także paleni, czarownice zaś zwykle topiono. „Żyd gdyby chrześcianina na swoje sekte namawiał, będzie mieczem karany.“ (*Porządek etc.* 51).

Wina krzywoprzysięstwa dobrowolnego, albo tego, który z wiadomości krzywo przysięga jest, iż się staje bezecnym, i świadczyć nie może, a dla tego do żadnego dostojenstwa przypuszczon nie będzie: a jeśliby kapłan był w tém przekonany, straci kapłaństwo“⁽¹⁰⁾.

Wielonośćwo pociągało za sobą karę śmierci; za gwałcenie cielesne niewiast oraz za cudzołostwo, kara

⁽⁹⁾ *Spec. Sax. L. 2 art. 6. Artykuły prawa Ed. V. p. 20 str. 99.*

⁽¹⁰⁾ *Speculum Saxonum tłumaczenie Szczerbicza edy. Warszaw. r. 1646 str. 304.*

miecza; atoli w dwóch ostatnich przypadkach, prawie zawsze tylko na kary pieniężne skazywano ⁽¹¹⁾. Mąż zastawszy cudzołożnika na gorącym uczynku przy żonie swojej, w niemożności pojmania go, mógł zabić. Krewnego, księdza albo mnicha, niewolno było ani posądzać, ani oskarżać o cudzołóstwo ⁽¹²⁾.

„Grzeszący lubieżnością cielesną przeciwko przyrodzeniu, mają na gardle być skazani, a według obyczaju ogniem spaleni, bez wszelkiego zmiłowania i łaski ⁽¹³⁾.”

Sprowadzający komu na użytek cielesnych rozkosz swoje żony, córki, lub znajome kobiety, byli karani na czci, zdrowiu, a niekiedy i na gardle. (Postępek etc. str. 64). Trudniących się namowami, sprowadzeniem lub utrzymywaniem nierządnych kobiet, karano biciem miotłami u pręgierza, urzynaniem uszu, lub wygnaniem z miasta; niekiedy zaś pozbawieniem członków przyrodzonych.

Za fałszowanie monety (myńcy), puszczenie takowej w kurs, palono żywcem; zaś za bicie o mniejszej wadze lub obrzynanie, była kara śmierci, albo pieniężna. Fałszerze miar, wag, towarów bywali bici u pręgierza, potem wyganiano ich z miasta, wykraczający zaś częścię tracili życie. — Fałszywi świadkowie, jako też zarzucający czyn dobrej sławie szkodliwy, lub zbrodni, ponosili taką karę, na jaką był, lub być mógł skazanym ten, którego oni niewinnie oskarżyli.

Obronca (prokurator); gdyby broniąc w sprawie kryminalnej zdradził stronę, oprócz powrócenia szkód, był miotłami u pręgierza smagany, a potem wypędzony z miasta.

(11) *Porządek etc.* str. 229.

(12) *Spec. Sax.* L. 1 art. 50.

(13) *Postępek etc.* stron. 61.

sta, lub ziemi, „według wielości i występku a zasłużenia“ (Postępek etc. str. 61).

Pisarz, któryby niesłuszny zapis i t. p. sporządził, tracił rękę; za sfałszowanie zaś ksiąg miejskich palono przestępcę (Porządek etc. str. 26).

Kupcy, przekupnie lub rzemieślnicy, zmawiający się na podwyższenie cen, albo zmniejszenie wartości sprzedawalnej, karani byli zabranieniem majątku, za powtórne zaś występki wygnaniem.

Za proste skałeczenie obwiniony płacił pięć groszy i szeląg, za wyższe groszy 25 i szeląg; zaś za skrwawienie kogo w czasie dwuniedzielnego wielkiego sądu, gr. 40; za skałeczenie kalectwo pociągające, obrażonemu pół wargeltu (złp. 20) i dla sędziego szelągów 60; kobiety płaciły wargielt połową mniejszy od męzkiego. Gdyby kto nie z przygody lecz umyślnie drugiego ranił, prócz zapłacenia kary, obowiązany był wynagrodzić koszta kuracyi, potrzeb domowych, i szkód z tego wynikających.

Za obelgi słowne płacił przestępca trzy grosze winy (kary) dla sędziego; obowiązany był nadto skrzywdzonego w sądzie przeprosić, gdyby zaś niechciał, sadzono go w kunę, za szyje do kaźni, z kąd niemógł być wypuszczonym aż po przeproszeniu.

Rzemieślnik, któryby psa albo kota zabił, podług ustaw i zwyczajów cechowych, na zawsze tracił rzemiosło. (Tytuły etc. str. 264).

S a d y.

Sąd składał się z wójta albo burmistrza, przysiężników to jest sędziów przysięgłych, którymi zwykle bywali rajcy, i z pisarza; należeli także do sądu obrońcy stron, prokuratorami zwani, chirurg albo barwierz, kat ⁽¹⁴⁾, ce-

(14) *Kat* persona nad złoczyńcą sprawiedliwość skutkiem okazu-

klarze i oprawcy; wszyscy przysięgli. Na sąd dzwoniło przed ratuszem; przed zaczęciem przydujący brał do rąk łaskę urzędową lub miecz dobyty; potem jeden z rajców czytał oskarżenie, a dodany z urzędu adwokat obronę, za co płaciła mu strona 4 grosze ⁽¹⁵⁾. Następnie po rozważeniu sprawy, jeśli zapadł wyrok śmierci, wójt łamał swoją łaskę, albo kawałek różgi i zaraz zawiadomiono skazanego, iż za trzy dni głowę położy.

Drugiego dnia bywał publicznie okazywany na rynku pod pręgierzem; na plac śmierci towarzyszyło mu dwóch księży.

Niewiasty w czasie swój brzemienności osądzone, karanami były dopiero po rozwiązaniu.

Niemógł magistrat miejski sądzić szlachty jak tylko wspólnie ze starostą; w razie przestąpienia tego przepisu, burmistrza i jednego rajcę starosta karał mieczem ⁽¹⁶⁾.

Jeżeli więzień uciekł, a miał być na śmierć skazanym, sąd płacił temu który go oddał, cały wargelt; a pół wargeltu, jeżeli przestępstwo na areszt tylko zasługiwało.

Osób mających za sobą pewną rękojmnię nie wolno było więzić bez zupełnego o ich zbrodni przekonania: „bo to już bywa lekkość nie mała, gdy ceklarze kogo obstąpią, a potem go niepoczciwie do więzienia prowadzą, gdzie więcej drugiemu duszno bywa, gdy światła mało widzi, a bączy koło niego latają, żaby skaczą, tako się więc niedobrze wyśpi, i w głowie dziwne mu się sny roją ⁽¹⁷⁾.”

jąca: aczkolwiek imie prawie u wszystkich ludzi na sobie nienawistne niesie, dla tego że urząd jego zda się być leki, sprośny, okrutny, a krwawy, a wszakże uczynkiem swoim na sumieniu nic niegrzeszy (*Porsądek etc. str. 45*).

(15) *Ustawa płacy u sądów etc. Kraków 1629.*

(16) *Statut Zygmunta Igo z r. 1520.*

Ktoby z zanieśionego przeciw niemu zaskarżenia, w ciągu roku i sześciu niedziel nie oczyścił się, stawał się już winnym przestępstwa tego. Dzieci skazanego mogły odzyskać zabrany na króla albo na dziedzica majątek, jeżeli w ciągu roku i sześciu niedziel udowodniły niena-leżenie do winy ojca. (S. p. Sak. L. art. 38).

Apellacya od wyroków sądu miejskiego szła do *prawa wyższego* na zamku krakowskim, ztąd zaś do króla albo do kommissarzy sześciu miast uprzywilejowanych: Krakowa, Sącza, Kazimierza, Bochni, Wieliczki i Olkusa. Na kommissarzy takowych pomienione miasta wysyłały po dwóch radnych do Krakowa, gdzie razy trzy co rocznie zbierali się.

Od *prawa gorącego* nie było odwołania; gorącym zaś prawem sądzono tych, którzy na uczynku (in manu ali et recenti facto) schwytani byli, a przestępstwo ich zasługiwało na karę śmierci. Gorące prawo trwało 24 godzin od popełnienia zbrodni, i powinno być siedmiu świadkami poparte.

Tak surowe ustawy, wniesione do Polski przez przybylców niemieckich razem z prawem cywilnym, zatwierdzone od Kazimierza W. i następnych monarchów polskich, nie potrzebowały w całej swój obszerności wykonywanymi być w kraju, którego mieszkańcy znajdując się już na wysokim stopniu cywilizacji moralnej, nie tyle w zagrożeniu kar, jak raczej w powszechnym a wrodzonym sobie zamiłowaniu cnoty i ustalonych wyobrażeniach towarzyskich, powściągającą od przestępstw znajdowali pobudkę. Łagodne obyczaje, wielka liczba ludzi uczonych, silna wreszcie administracya krajowa, gdy kaźden prawie

(11) *Porządek etc. str. 178.*

dziedzic miał zamek i władzę nad swoją włością, utrzymywały pomiędzy ludem polskim surowe zasady uczciwości. — Wprawdzie kraj ten doświadczając częstych zmian politycznych, ulegając napadom ościennych barbarzyńców, wichrzony wewnątrz, smutny nieraz przedstawiał obraz; lecz to tylko chwilowe burze, po których błoga spokojność wracała znowu: bo dobre ziarno rzucone było, na téj dobrej ziemi od wieków. Dla tego nieznajdziemy tu prawie przykładu szarpania klęczkami, zakopywania żywo w ziemię, włóczenia końmi, i tyle innych kar potwornych, wcale u nas nieznanych, a które i w innych dziś narodach, łagodniejszymi acz i więcéj skutecznymi środkami zastępowane bywają.



KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIEJ,

I WYSTAWIENIU JEJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

(*Dalszy ciąg*).

Jeżeli atoli dotychczas widzieliśmy, jakie są warunki, by się stać rzetelnym artystą, toć następnie nasuwa nam się pytanie, jakim trybem artysta prawdziwy okazuje się we wykonaniu swéj sztuki, i po czém poznać można na scenie artystę skończonego? Szybki rzut oka na istotę samą téj sztuki będzie tutaj wystarczającym; a wyjawi się w całej postaci świetność i wysokość powołania artysty dramatycznego, a zarazem przekonanie, iż kto temu powołaniu nie podola, znajduje się w nieszczęśliwém i spaczoném położeniu do siebie, do sztuki, i do publiczności. A zaiste, zacna i godna czci głębokiej jest sztuka dramatyczna, byleby była w swéj wysokości pojętą. Bo co we-

wnętrz człowieka niby w tajnej świątynicy mieszka, ten ogień święty, który Bóg na cześć swoją i rodu ludzkiego w sercu naszym rozpałił, słowem, ta świadomość istoty wiekuiściej człowieka i godności jego, ta świadomość, mówię, występuje z głębin ducha naszego, a przybierając na się postacie materyalne, zmysłowe, staje się sztuką piękną, i żyje w onych cudach architektury, rzeźby, obrazach, tętni i przemawia w muzyki falach, albo występuje w czarownej szacie poezyi. Grono sztuk pięknych niby gwiazdy niebiańskie, składają się we wieniec nieśmiertelny nad głową człowieka; one nie dają mu utonąć w zapomnieniu swęj godności. Bo prawdy, których na inném polu ród człowieczy twardą dokupuje się pracą, do których przychodzi niesłychanym trudem i mazołem, których się dosługuje cierpieniem łzawém i krwawém doświadczeniem, te prawdy ubierając się w postać cielesną sztuk pięknych, przemawiają wprost do niego, bo przychodzą drogą *zmysłów*. Ale wszystkich sztuk pięknych pierworodną siostrą jest poezya; ona ich mistrzynią i panią, boć ona już nie ciosów, nie marmurów, nie kolorów lub dźwięków, jak inne sztuki za środek swój używa, ona nie ze świata materyi bierze swoją osnowę, która do duszy trafia, ale używa najzacniejszego środka, bo mowy, onego duchowego narzędzia ducha samego. Lecz ze wszystkich znów rodzajów poezyi na samym szczycie stoi poezya dramatyczna, bo łączy w sobie i plastyczność zewnętrzną Epopei, i grę wewnętrzną ducha, jaka jest w Lirze. Ale gdy to poezya dramatyczna ma uzupełnienie swoje, swoje uiszczenie dopiéro na scenie; więc téż wysokie i wzniosłe przeznaczenie téj sceny widzimy. Wszak dramat bez sztuki dramatycznej nie dopełniłby przeznaczenia swojego. Co w świecie idealnym poezyi się poczęło, co w kra-

nach nadziemskich wieszczą żyje i przebywa, toć wstępuje widocznie na scenę, i przybrawszy postać zmysłową, patrzy i przemawia do nas. Artysta dramatyczny jest czarodziejskiem ogniwem, co łączy świat czysto umysłowy ze światem ziemskim, co łączy dwie ostateczności, bo ducha i materją; on to sprowadza one dzieci niebiańskie poezji na nasz ziemski padół, i ulotnym widziadłom wieszczą nadaje krew i ciało. Lecz choć ten duch zjawia się w osobie widzialnej na scenie, toć przecież ta cielesność, którą na scenie widzimy, nie należy do zwyczajnej i codziennnej natury człowieka, bo ją ożywia tchnienie wyższego świata, bo świata poezji; ją to albowiem prześwieca promień wiekuistości i nigdy nie przemijających prawd. Jakoż co drga i pulsem bije w życiu narodów — one myśli, na których wykarmiły się niby dzieci, wieki całe — i te święte boleści, co płaczą i kwilą się na dnie serca całych ludów — to wszystko odziane majestatem sztuki występuje na scenę przed oczy nasze.

Sztuka sceniczna budzi pełnemi akkordy drzymiące uczucia w piersiach widzów, porywa je tchem swój wszechmocności i potęgą, której się już nikt oprzecz nie zdoła, bo ona jest wcieleniem myśli, a myśli pełnej nadziemskiego uroku, bo myśli wieszczą. Bez niej ta myśl jest bez życia, cicha, milcząca, byłaby nutą śpiącą wielkiego kompozytora; a gra sceniczna zamienia dopiero te nuty w dźwięki, harmonią, w czarowne melodye odzywające się aż na dnie duszy naszej, w spokrewnione tony. Z tego więc już widzimy bliżej istotę dramatycznego artysty. Bo jak architekt wyraża poetyczność swój duszy świątynią, tumem, rzeźbiarz posągiem, malarz we figurach swych obrazów, muzyk tonów harmonią, a wieszcz obrazami ujętymi w urok mowy; tak artysta sceniczny wyraża wła-

sną osobą swoją, całą swoją indywidualnością, myśl autora: a jak owocem każdej sztuki pięknej jest *dzieło jakowe*, tak *dziełem artysty dramatycznego jest stworzenie w świecie zmysłowym tego samego pomysłu, który stworzył wieszcz w świecie myśli*. Artysta dramatyczny jednoczy osobę swoją ściśle z myślą autora; on wskrós całą osobę swoją przejmując pomysłem jego, wciela go w siebie; jego osoba jest tedy jakby naczyniem dla obcej duszy, dla duszy téj osoby, którą on przedstawić ma. Gdy zaś ta dusza obca wstąpi w osobę artysty, już *téz* cała ta osoba artysty nabiera innego piętna, innej cechy, przeradza się wskrós, *bo dusza jest zawsze panią ciała, i w niem się odbija i wyraża*. Więc zadaniem artysty scenicznego jest właśnie to, by on przestał być sobą, a był tym, kim go autor mieć chciał: kto to zdoła, jest artystą; kto tego nie dokaże, nie jest artystą. Wyjawia się tedy już jasno, iż *dwa są warunki*, które w sobie gra prawdziwego artysty zawiera: naprzód artysta winien, gdy na scenę wystąpi, wyprzec się siebie, zrzec się swojej własnej indywidualnej natury, winien tedy, onego swojego zwyczajnego człowieka za kulisami zostawić; powtóre, gdy całą tę treść swoją właśnie z siebie wyrzuci, winien na jój miejsce wziąć treść i ducha figury, którą autor stworzył, a którą on wystawić ma. Kto te dwa warunki w sobie łączy, jest artystą: że zaś do téj artystyczności potrzeba i talentu przyrodzonego i teoryi, toć już wyżej powiedziano. Kto zaś jeden tylko z tych warunków dopełnia, to jest, kto zdoła wprawdzie wyprzec się swojej osobowości, swojej indywidualności, ale w tém chybia, że nie pojąwszy myśli autora skręca ją i paczy, wystawując zupełnie inną osobę, inny charakter, niż był w myśli autora, gra takiego aktora jest fałszywą, a on sam dopełniając

jednego tylko warunku gry, jedną jej połowę, nie jest artystą, ale może dawać nadzieję, iż kiedyś nim będzie; bo już tém samém, iż siebie się rzekł, dowodzi, iż sztukę pokochał, że tedy się uzupełnić może wchodząc w istotę swój roli i zamiast gry fałszywój przybierze prawdziwą, zgodną z myślą wieszca. Trzeci stopień, to jest najniższy, jest ten, gdy aktor niedopełnia ani jednej ani drugiej połowy swojego powołania; bo nie tylko nie przejmuje się rolą swoją, ale nawet nie rzeka się téj prywatnej jemu właściwój osobowości swojój: o takim człowieku ani nadziei nie ma, aby mógł być nawet kiedyś artystą. Aktor taki jest jedynie zawsze sobą, i jakim jest i w domu i w stósunkach społecznych i za kulisami, takim się téż i na scenie okazuje. Jego zaś postępowanie takowe pochodzić może albo ztąd, iż albo aktor taki nie zdoła inaczej, albo téż, iż nie chce inaczej postępować. W pierwszym razie okazuje zupełną niezdadność swoją, w drugim razie dowodzi, iż lekce waży sobie publiczność, że sztuce ubliża, i sam sobą poniewiera. Jakoż uważmy, każdy człowiek ceniąc siebie, za żadne skarby świata nie radby swoją osobą bawić publiczność i być jej widowiskiem. Prawdziwy artysta téż tego nie czyni; bo on swojój osoby prawdziwój, jakim on jest w życiu prywatném, nie pokazuje na scenie, on ją zostawia za teatrem; wystawia tedy na widowisko publiczne nie swoją osobowość, ale osobę inną, to jest tę, którą autor stworzył, więc on nie sobą publiczność bawi, ale tą osobą zmyśloną idealną. Więc już rzecz jasna, iż kto inaczej czyni, to jest, kto się na scenie takim przedstawia, jakim jest w życiu prywatném, ten już sobie ubliża, bo się widowiskiem robi: a z tego wypływa i to, iż zawsze sobą samym będąc, zawsze téż jest jednostajnym, a zatém wnet publiczności sprawi kli-

wość i znużenie, zwłaszcza, gdy gra taka dowodzi oziębłości i braku miłości dla sztuki. Takie to postępowanie było powodem, iż Europa przez długi czas poniewierała powołaniem aktorów, i że po dziś dzień w niektórych ludziach chowa się uprzedzenie niekorzystne przeciw stanowi osób poświęcających się teatrowi.

To uprzedzenie wtedy atoli będzie słuszne, bo przez samych aktorów usprawiedliwione, jeżeli oni nie uznają, że powołanie ich jest sztuką, własną osobę swoją, całą indywidualność prywatną swoją na widok wystawią, i za pieniądze uczynią ją środkiem dla zabawy publiczności. Wtedy też tacy aktorowie spadną poniżej skoczków liny, powołanie swoje tak piękne strąca poniżej sztuk łamanych. Bo skoczek choć także nie okazuje się w roli żadnej, choć nie przybiera obcego sobie charakteru i wprost z osobą swoją występuje na widok publiczny, toć przecież on nie dla pokazania téj swojej osoby to czyni, ale dla okazania swéj sztuczności, swéj zręczności, i dowodzi jakie zwycięzkie panowanie ma silna wola człowieka nad ciałem; jest to tedy także w swoim rodzaju tryumf umysłu nad cielesnością, tryumf ducha nad materją. Téj zalety nie dosięga aktor popisujący się swą osobą.

Uważmy, iż idąc do teatru, nie idziemy po to, aby widzieć grających tak, jak ich widzieć można codziennie w powszedniém ich życiu, albowiem człowiek nie jest zwierzem; idąc do menażeryi, pragniemy obaczyć zwierzęta tak, jak są z natury, a będą one tém ciekawsze, im mniej się obłaskawiły, im mniej utraciły swojej pierwotkowej przyrodzonej im natury — pragniemy je widzieć z całym ich typem naturalnym. Jeżeli aktor okazuje własną osobę swoją na teatrze, więc też żadnego dzieła nie tworzy, więc gra jego jest zupełnie pustą.

A biada aktorowi, jeżeliby przyczyną takiego postępowania jego była jakaś biedna miłość własna, jakieś dziecinne zakochanie się w swojej osobie, jakaś nikczemna kokieterya. Kokieterya takowa poniżyłaby już artystkę, bo choćby jej była prędkiej do przebaczenia, nie zjednałaby jej przecież szacunku; ale dla aktora, jak dla każdego mężczyzny, byłaby ubliżeniem wszetecznym. Aktor taki okazałby jawnie, iż nie ma najmniejszego zamiłowania ani poważania dla sztuki swojej, bo scena służyłaby mu jedynie do obrzydliwych celów. Tutaj wyjawiałby bezczyność, brak czci dla piękności, a miasto jej plugastwo uczuć i prostytutycę i brak pojęcia nawet godności i zacności człowieka; przytém zachowanie się jego podobne byłoby obrazą dla publiczności, którą on szanować, którą on cenić winien. Aktor taki stanąłby nieskończenie niżej, niż inny nie mający nawet iskry zdolności, bo takiego żalowałibyśmy tylko, iż tak był nieszczęśliwym w wyborze swojego powołania, ale moglibyśmy go poważać jako zacnego człowieka, jeżeli życie jego jest bez plamy moralnej: gdy tymczasem tamten mógłby być przedmiotem uwielbienia jakiejś rozwiązłej suberetki lub innej chałastry moralnej, stojącej zapewne i z obyczajów swoich i smaku na jednej linii z oną rozpustną suberetką. Ale i te chwały brudne, niedługoby trwały, czekałby go w perspektywie los zwyczajny wszelkiej kokieteryi na starość.

Niechaj tedy każdy poświęcający się scenie zamiłuje z całej duszy swą sztukę, i niechaj uwierzy, iż powołanie jego jest pełne zacności i wysokiego znaczenia; lecz niechaj wie także, iż sam talent, jeżeli jest jaki z urodzenia dany, nie wystarczy wcale, iż tutaj potrzeba bogatego ukształcenia umysłu, długiej pracy, mnóstwa wiadomości w różnych gałęziach nauk, że trzeba i teorii sztuki i myślenia, że trzeba przedewszystkiem wyrzeczenia się wszel-

kiej zarozumiałości o sobie, bo zarozumiałość jest dowodem cofania się w sztuce. Niechaj tedy każdy chcący być nie z imienia tylko, ale z rzeczy artystą, ma to przekonanie, iż poklaski pobłazającej publiczności nie są żadnym doskonałości dowodem, owszem, iż te oklaski mogą być upadkiem talentu, jakiego może udzieliła natura, bo one budząc uprzedzenie i pychę niewczesną, zdolają o śmieszność i zgubę przyprawić. Gdy to zachowa w pamięci i sercu młody artysta, w tedy dopiero się może spodziewać, że mu urośnie chwała i powszechne poważanie w kraju.

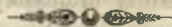
Wyżej powiedziałem, iż dawniej artyści dramatyczni nie pojmowali swojego powołania jako sztukę piękną, i właśnie że tego nie pojmowali, było przyczyną poniżenia ich powołania; tutaj jeszcze przypomnieć wypada, że niegdyś często bardzo same prowadzenie się osób należących do tego stanu przyczyniło się nie pomału, iż go dawniej tak lekko ważono. Bo jakież to dawniej było mniemanie publiczności w tym względzie? Ot uważano, iż człowiek który się niczego nie uczył, który do niczego już w życiu społeczném nie był zdolny, który wypadł z innego powołania i na niém się zwichrzył, właśnie jako ostatni środek utrzymania swojego, imać się jeszcze może powołania artysty dramatycznego. Nierzadko i rzeczywistość była smutném potwierdzeniem tego mniemania publicznego, a z tego smutniejsze jeszcze wypływały skutki; bo zarzucano artystom tym brak ładu i rzędu w życiu, lekkość obyczajów, brak powagi i łatwość układania się z przedsiębiorcami, a większą łatwość jeszcze w zrywaniu tych układów, lub lada jaką usilność w dopełnianiu wziętych na się powinności, i znieważania tak własnego zobowiązania się i danego słowa. Teraz to wszystko inaczej; zabierają się do téj świetnej sztuki ludzie z ukształceniem

znakomitým, uposażeni nawet w nauki uniwersyteckie, a grona artystów składają się zwykle z osób szanownego obyczaju i poważnego postępowania, z ludzi honoru. Artystki bywają wzorem małżonek zacnych i dobrych matek; więc teraz już nie tylko artystów, ale i prawych ludzi w tych artystach cenić umiemy. A że to samo mówić należy o zgromadzeniu naszych artystów, to już świadczy, żeśmy i pod tym względem poszli zarówno z cywilizacją Europy. Wszak życie pełne ładu i porządku, byłoby dla tego już koniecznym warunkiem do sztuki, iż ono samo nadać zdoła tę spokojność ducha, tak potrzebną w wykonaniu sztuki, bo życie rządne zabezpiecza od burz wewnętrznych i trosków, piędźnych zabijających wszelkie życie artysty.

Lecz i w tój mierze artysta znajduje się w stanie wyjątkowym, on nie powinien przestawać na tój powszedniej poczciwości życia, wystarczającej dla wielkiej części ludzi. Duch prawdziwego artysty wyżej jeszcze wznieść się powinien. Bo kto pragnie czuć co jest wysokiém, szlachetnym i prawdziwie piękným, winien tóż mieć duszę piękną i szlachetną; więc tóż do mistrzostwa każdej sztuki pięknej, a zatém i sztuki dramatycznej, wypada mieć duszę piękną, umiejącą czuć cały urok niebiański cnoty; zwyczajna poczciwość tu nie wystarczy. Wypada mieć serce czyste i bez skazy, nie dotknięte mętami życia. Wtedy się tóż artysta zanurzyć zdoła w głębi prawd poruszających świat, i wznieść się na wysokości, kędy zatknięte znaki godności człowieka, a które on ma wcielać na scenie. Niechaj tedy artysta uszlachetni się w sobie, niechaj będzie czujny, opatrny nad sobą, by żaden pyłek nie przyćmił mu przejrzystości duszy, i nie skaził jasności uczuć jego; a gdy do talentu wrodzonego i do teorii nabytėj przyłączy się wieniec zacnego obywatela kraju i szlachetne-

go człowieka, już wtedy artysta i po śmierci nie umrze, ale zaświeci jasną w przyszłości gwiazdą. Niechaj inni gromadzą bogactwa, niechaj inni pragną dostojenstw, dla prawdziwego artysty najdroższym skarbem jest sztuka, a najwyższym dostojenstwem, zapisane w sercu widzów imię jego.

Te słów kilka o sztuce dramatycznej w ogólności i o krytyce właściwej dla tego umieściłem, by wywołać jakie zdolne i swobodne pióro do zajęcia się krytyką naszego teatru; czego by tém więcej życzyć u nas wypadało, iż towarzystwo naszych artystów miejscowych zawiera w sobie wiele talentu, a co więcej zaleca się usilnym pragnieniem kształcenia się, miłością i poważaniem dla sztuki i pięknego powołania swojego: możnaby być prawie pewnym, iż gdyby artyści nasi i w literaturze samej i w krytyce mieli pomoc podobną, jak to gdzie indziej bywa, wnet by też urosli w sztuce i zdolności. Bo nikt zapewne nie zaprzeczy, iż jeżeli dziś mamy teatr w Krakowie, jakiego jeszcze u nas nie było nigdy, również jesteśmy to winni zasłudze pana Meciszewskiego, jak i gronu samych artystów. *(Dokończenie nastąpi).*



SKARB UKRYTY

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

przez *Fr. Wiesiołowskiego.*

Pewnego dnia jesieni 18.. roku do pana Stanisława B. zjechało się kilku znajomych na polowanie. Tylko co właśnie powrócili z lasu, a znużeni pozrucawszy przemokłą odzież bez ceremonii jak w domu kawalera, zasiadłszy przy wesołym na kominie ogniu rozprawiali o dzisiejszych łowach. Myśliwi ganili lub chwalili psy i strzelby; ten

szczyił się, jak zręcznie zabiegł wymykającemu się lisowi; tamten palnął na sto kroków kota; ów znowu pierwszy raz dziś chybił, co mu się nigdy nie trafia. Naśmiewano się przy tém dowoli z kilku tylko dla kompanii obecnych tam sąsiadów, zwąc ich nie myśliwemi, ale tylko amatorami sztuki łowieckiej.

— A wiesz kochany hrabio, w rocznikach myśliwskich zapiszemy, jak się dziś gracko spisałeś; żeby zaś zamiast lisa zastrzelić psa i to pstrokatego! mam ci honor powiedzieć, że to więcej jak być amatorem. — Dajcie już temu pokój, odrzekł Władysław, bo aż mi się chce płakać za moją sroczką. — Wierzcie mi, rzekł hrabia, w ziemię skryłbym się ze wstydu i żalu, własnego konia wierzchowego wolałbym zastrzelić; ale téż to już i ostatni raz pokusiłem się polować z wami. Oczy moje niegodziwe; pewny byłem, że to lis. — No no, przerwał Władysław, nie martw się tak, żałowałibyśmy znowu stracić tak dobrego kolegę. Co się stało, to się nie odstanie, mówmy o czém innym. — A wiesz ty Władysławie, odezwał się inny, co mi Julian zrobił, to prawie gorzej jeszcze; tu psy gonią wprost na mnie, wlepiłem oczy w gestwinę, że ledwo mi nie wyjdą na wierzch, aż tu za mną paf! i wiesz do czego, do dzięcioła. — Ha! ha! ha! śmiech się rozległ ogólny, nieszczęśliwych amatorów zaczęto brać na fundusz i znowu obracać na wszystkie strony, aż wreszcie stanął dekret, że jutro wszyscy zostaną przy zielonym stoliku, i co zepsuli na polowaniu, odbiją w karty.

Po myśliwskim obiedzie przy fajeczce rozmowa szła dalej, wesoła lub poważna, dowcipna lub płaska, jak się komu podobało; mówiono o koniach, o gorzelniach, kartoflach, aż wreszcie zwykłym trybem skończono na kobietach. Gdy rozmowa stawała się co raz głośniejsza,

z kąta pokoju wyszedł mężczyzna nie młody, wysoki i chudy, co dotąd jako amator znużony polowaniem drzymał na tłómoku jednego z gości. Był to pan Gagnon Francuz zpolaczący, od młodości trudniący się po różnych domach guwernerstwem; ztąd znał on prawie wszystkie rodziny, wiedział wszystko, co się gdzie działo, a uprzykrzywszy sobie siedzenie na jedném miejscu, zebrawszy do tego mały kapitalik, jeździł z miejsca na miejsce, zbierał nowinki, plótł prawdę i nie prawdę, a zawsze wesół i mówiący wszędzie był mile przyjmowany. — Posłyszawszy on tedy, o co rzecz idzie, powstał i krząknął jak gdyby teraz nań kolój przyszła. — Właśnie już znaczny zrobiono przegląd wszystkich panien i nie panien okolicy, chwalać, wyśmiewając, obliczając posagi bez miłosierdzia, — gdy któryś wspomniał sędziankę L. — Więcie co panowie, szkoda téj panny, poczciwe to, dobre, bez żadnych pretensyj, ale cóż kiedy de quibus nic, ale to zgoła, a tu i latka przychodzą, ha nawet djable zpaszowała. — O dajno pokój, rzekł Stanisław, gdzie ona tam zpaszowała, śliczna to zawsze osoba, co za oko pełne wyrazu, co za uśmiech miły, a do tego jaka płeć, figura; już to widać bardzo jesteś wymyślny mój Władysławie, kiedy ci ona zpaszowała. — No, ja tam jeszcze nie mówię, żeby była brzydka, ale przecie nie to jest co było; powiedz mi mój Stasiu, bo jako sąsiad wiész to najlepiej, zkąd człowiek tak loiczny, tak światły i majątny jak p. Grzegórz, mógł przyjsź do takiej biędzy. — Mój bracie, alboż to nie wiész, że łatwiej komu doradzać jak sobie. Właśnie téż ta loika, to światło zgubiło go. Mieszkając on w Radomskiém niezmiernie lubiony i poważany ogólnie, ustawicznie był wzywany to na marszałka sejmiku, na zjazdy obywatelskie, to na kompromissa; obrany nareszcie sędzią pokoju,

trawił czas na sprawach cudzych, zaniedbując swoje. Do tego skończyła się jakowa sprawa, pogodziły się za jego pośrednictwem dwie strony, nuż zapraszać i jedną i drugą do siebie, nuż częstować, poić; pamiętam byłem jeszcze bardzo młody, to jak się nas zebrała czereda, tośmy i tydzień na miejscu bawili, a co dzień na wyjeźdném stopniowego się upili i konie znów do stajni (broń Boże do oberży) a my nuż oświadczenia, nuż uściski, vivat zgoda! vivat jedność! kochajmy się i t. d. Tak bywało prawie przez cały rok, tymczasem w długi się zabrnęło, majątek poszedł na spłacenie towarzystwa kredytowego, a p. sędzia z całą swą loiką ledwo zdołał kupić tu lichą wioszcynę; przyjaciele się odsunęli, żona umarła, sam został z córką, jak go widzicie.

Francuz ledwie doczekał końca; przez cały czas opowiadania Stanisława uśmiechał się, jak gdyby wiedział co innego. — Ja powiedziałbym panom jedną rzeczę, ale proszę byś dyskretnym, bo to może byś sekreta. — I owszem, prosimy, mów. — On ma pieniądze — Kto ma pieniądze? zapytał Stanisław. — Pan Gregor. — A wiesz, że to prawdziwa sekreta, o której nikt nie wie prócz ciebie; chyba zakopał te skarby. — Nie zakopał, ale co innego się stało. — Może wygrał na loteryi? — Nie wygrał, ale złożył w depozyt w sązie. — A to ciekawym, na co miałby składać, czyż to pieniędzy lepiej użyć nie można? gdyby nawet tak było, na cóż tu tajemnicy, zwłaszcza mając córkę. — A ja powiadam panu, że jest sekreta, bo mnie mówiła pani starościna. — O jeźli starościna mówiła już o tém, nie lękaj się złamać tajemnicy, bo dotąd pewno ona już nie tylko złamana, ale stłuczona w mózdzierzu. Dziwna rzecz jednak, có to być mogło, czyby jakie resztki pozostały? bąkał Stanisław jakby sam do siebie. — I znów

wrócono do rzeczy, wypytując Francuza, a mowa o sędziance ciągnęła się w noc późną. Widać, że ona niemało całe to zgromadzenie interesowała.

I nie dziw. Aniela, był to wzór cnoty i dobroci. Spędziwszy pierwsze lata młodości w pieczyotach i dostatku, dzisiejsze swoje smutne położenie znośła z prawdziwym rozsądkiem i rezygnacją; poświęcona staraniom około ojca którego często zapadał na podagrę, resztę chwil obracała na zatrudnienie około małego gospodarstwa, nie szczędząc pracy, by ile możności nieść pomoc ubóstwu, opatrywać chorych, ociierać łzy nędzy to dobrą radą, wstawieniem się u możniejszych, to łagodnym słowem pociechy. Życie jęj było ciągłym poświęceniem, dla tego też nigdy nie spostrzegłeś chmurki na jęj czole, nigdy łzy w jęj czarnym ognistym oku, oprócz łzy litości. Czystość, spokojność duszy malowała się na jęj twarzy. O ileż skarbów ukrytych pod tą zasłoną, ileż świętych uczuć i myśli przemykało się po tęj duszy! szczęśliwy kto zdoła pojąć je i ocenić, szczęśliwszy kto pozyskać na wieki. Młodzieńcze, porzuć wyłącane gmachy, porzuć łudzącym światłem błyszczące salony, tam twoja dusza, jeżeli masz duszę, zwątleje, zblednie jako kwiat majowy zamknięty w ciasnej ogrodowej szklarni, którego wkrótce odróżnić nie można od kwiatu z płutna bez barwy, bez woni; jeżeli chcesz szczęścia, a to twoje szczęście chcesz znaleźć w sercu, co by cię kochało i z niem przebywać cierniste koleje, o złeś się udał. Ta, co w każdej chwili żyjąc w dostatkach we wszystko opływa, której skinienia zgađują do koła, która w całym swym życiu nie doznała, co to przeciwność, co to walka z losem, co to cierpienie, co to jest pokora, ta pewnie póty tylko dobrą będzie, dopóki wszystko pójdzie jęj po myśli; a niech no, tylko

stanie jój zawada, o co nie trudno, ba bez czego nawet życia tu niema, natenczas całe świetne wychowanie, i cała obcych języków nauka, i zgrabny taniec i włoskie rullady nie dadzą hartu, który się nabiera przez ciągłą walkę z przykrym losem. Posagowe szczęście minie jak mija młodość i wdzięki, zostanie znudzenie, gorycz, daj Boże nie co więcej.— Aniela stworzoną była na dobrą żonę i matkę, starannie wychowana, pełna wykształcenia, czynna, skrzętna, ona i kuchnię zarządzić, i ojcu głośno przeczytać i pamiętać o wszystkiém, tak, że ktoby niewiedząc w ten domek zajechał, myślałby, że jest w domu bogacza. A jednak tyle zalet i przymiotów leżało odłogiem, bo nie było posagu; rok dwudziesty piąty mijał, szczupły mająteczek ledwo wystarczał, sędziogo rozpacz brała, gdy patrzył na córkę.

Gdy myśliwi i goście rozjechali się a p. Stanisław sam został w domu, chodził on niespokojny i zadumany, widać jakaś go ważna myśl zajęła. Był to człowiek poczciwy z sercem i rozumem, majątek posiadał mierny ale dobrze zarządzony i zupełnie dostateczny na porządne kawalerskie życie; ależ żenić się bez posagu nie podobna, co wystarczy jednemu, z tego trudno jójmość dobrodziejkę i ubrać, i zabawić i dom sąsiedztwu otworzyć i zachować przyzwoite względy. Do tego p. Stanisław był już w tym wieku, gdzie trudno się decydować na odmianę stanu; zazwyczaj wtedy jakaś sąsiadka, ciotunia, lub mamunia dojrzałych córek bierze na siebie trudny obowiązek odsunięcia wszelkich przeszkód w wyszukaniu stósownej party i doprowadzenia do skutku oświadczenia i konkurencyi, a powoli wygodnie człowiek sam się nie żeni, ale go żenią, z czego najczęściej potem kontent. Pan Stanisław nie był wyjętym od téj reguły, kilkakrotne ataki odpięrał on mężnie, targając zastawione nań matni. Uporczy-

we przekonanie, że do ożenienia potrzeba znacznego majątku, nie odstępowało go; ile razy zaczynało mu się przykrzyć to życie samotne i bez celu, całą mocą charakteru odsuwał myśl szukania sobie towarzyski, którą, jak mniemał, miasto uczęściwić, tytkoby naraził na tysiączne przykrości; nawet i wiek swój poczytywał już za niestósowny do ożenienia i do rozpoczęcia nowego sposobu życia z zaniechaniem dawnych przywyczajeń.

Wiadomość powzięta od Francuza zajęła jego wyobraźnię. — Miałażby to być prawda? kto wie, p. Grzegórz nie w ciemię bity, może co i zachował, a dla pewnych powodów cicho z tym przycupnął, dziwna rzecz jednak na coby mu się to przydało. — Ale jak teraz przypominam sobie, parę razy nawet bąknął coś podobnego, bo kiedy raz mówiono o lokowaniu kapitałów, uśmiechnął się mówiąc, że ten tylko pewny jest swoich pieniędzy, kto je złożył w pewnym depozycie, a kiedy sprzedawano wieś Tułowy, widziałem jak skwapliwie przeglądał się w jej inwentarzach. — Anieli, to prawdziwy aniół; dawno myślałem już, że ona jedna mogłaby być moją żoną, żeby nie te przekłete pieniądze; ale jakże się bez nich obejść, mając tak mało, byłoby z méj strony rozsądnie, byłoby uczciwie brać pannę bez grosza; żeby choć cokolwiek, choć nie wiele, resztę możnaby pracą i oszczędnością przysposobić. — Gdy tak rozmyślał, na dziedzińcu zaturkotało, z bicza palnęło i dziarska czwórka przed ganek zajechała, z lekkiego powozu wyskoczył mężczyzna młody starannie ubrany i wszedł do pokoju. — Jak się masz Stasiu! chwala Bogu, że cię w domu zastaję, mam do ciebie prośbę. — Co każesz Adolffie, miło mi będzie służyć ci. — Oto wybrałem się dziś na wizytę do p. sędziego i proszę cię, byś mnie tam przedstawił; już dawno pragnę

poznać tego tak godnego człowieka, a dotąd jakoś nie przyszło mi do tego, córkę tylko jego widziałem parę razy w domu méj sąsiadki starościny, ale i do niej nie zbliżyłem się, lubo wiele o niej dobrego słyszałem.— Stanisław zakręcił się, hm, hm, kiedyż więc chcesz tam jechać?— Dziś zaraz po obiedzie; ale widzę coś ci to nie na rękę.— Nie i owszem pojedę, tylko mi dziwno, z kąd ci to tak raptem przypadło, kiedy dawno miałeś już czas na to.— No cóż ztąd, wiesz jak jestem zatrudniony, w lecie zawsze jadę gdzieś do kąpiel, bo cóż robić w domu, w zimie też miliej w mieście jak po sąsiedztwach się włóczyć; nie nudniejszego, jak te wiejskie wizyty, jedź parę mil po złej drodze, po co? oto wynudzić się doskonale i wypić filiżankę kawy z cykoryą.— Na cóż więc dzisiaj zachciało ci się téj kawy.— Cóż robić, jakoś wypada odbyć raz tę powinność. Szkoda tego sędziego, że się tak zakopał, słyshałem wiele o jego rozumie i dziwno mi mocno, żeby przytem być takim odludkiem, podobno bo tam koło kieszeni bardzo cienko było dotąd. — Dotąd? a czyż odtąd zmieniło się co?— Ja nie wiem z pewnością, ale.— Stanisław niecierpliwie przerwał, ale cóż? — Oto zaczynają mówić, że nie tak źle z majątkiem; całe to oddalenie, zamknięcie się w domu jest udane, żeby zataić majątek przed dłużnikami; jest pieniądz i to gruby, ale p. sędzia nie wydaje się.— Wątpię bardzo, mój Adolfe, za nadto on jest uczciwy, żeby uciekał przed dłużnikami, wiem nawet, że wszyscy są spłaceni. — Nie wierz temu Stasiu, szczwany to lis, prawnik, wie on, co robi. — Stanisława obeszła trochę ta mowa, bo inną miał opinią o sędzim, nie wdając się jednak w dalsze dysputy, począł się ubierać. Widząc niecierpliwść Adolfa, rzekł z przymuszonym uśmiechem.— Ej coś panie Adolfe sędzianka djable ci w głowie.— Gdzież

tam, nie znam jój prawie, a z resztą nie miałbym się z czém taić, wszak nie byłoby w tém nic złego, mam lat 33, a sam Trentowski wiek ten przeznaczają do ożenienia. Zupełnie nie mam planu ułożonego, ale cóż szkodzi poznać, zobaczyć, za to się nie płaci. — Stanisław zrozumiał się poprawiając wąsa i czupryny w zwierciadle. Niech kaci porwą tę szpakowaciznę, mrucał pod nosem, u niego jeszcze ani włoska, a u mnie co raz więcej.

Powóz zajechał, oba kawalerowie siedli i pojechali. W drodze Stanisław mało odpowiadał na gadaninę Adolfa, który w różnym humorze ciągle rozprawiał, przedrwiwał różne osoby, chwalił się rozpowiadając swoje tryumfy, rzecz zawsze naciągając ku sędziemu i jego kapitałom, o których myślał bardziej jak o wszystkim. Stanisławem dziwne uczucia miotają, jakaś bojaźń czy zazdrość opanowała jego duszę, sam nie umiał zdać sobie rachunku.

W dziedzińcu sędziego przed stajniami stało kilka bryczek i powóz; widać że jacyś goście tam już zajechali. Jakoż w istocie Stanisław z Adolfem wszedłszy do pokoju zastali tam starościnę, jój kuzyna Ludwika, Francuza, Władysława i Juliana znanych nam już na polowaniu. P. sędzia uprzejmie powitał przybyłych, Adolfa przedstawił kobietom, starościna przywitała go jak dawnego znajomego. Bawiono się wesoło, rozmowa była żywa, sędziemu aż się przypomniały dawne radomskie czasy, a w szczupłym pokoju bawialnym znać było, że nie zwykł mieścić tyle gości. Wieczór nadszedł, a nikt nie myślał o odjeździe. P. Sędzia bawił starościnę, reszta towarzystwa zasiadłszy około sofy wspólnie się bawiła. Stanisław tylko mało mówiąc przypatrywał się z boku wszystkiemu. Francuz skakał, kręcił się i plółł anegdotki. Ludwik, niezgrabny wysoki blondyn, kiedy niekiedy odzywał się nieśmiało,

patrzac na ciotunię, która chociaż zajęta rozmową z gospodarzem nie spuszczała go z oka, i to miną, to mrugiem potakiwała lub nakazywała milczenie; posłuszny siostrzeniec widać dopiero co wyszły ze szkół kończył edukacją pod okiem ciotuni. Starościna nie szczędziła starania, żeby Ludwiś pokazał wszystko, co umie; i tak pomiędzy innemi pochwałami długo zaczęła się rozwodzić nad jego pamięcią i szczególnie piękną deklamacją. — Powiedz Ludwiku panu sędziemu tę bajeczkę o szczerości i obłudzie, którą nie dawno ktoś napisał; śliczna powiadam panu dobrodziejowi. Ludwik zaczerwienił się, pomyślał trochę, nareszcie śpiewającym tonem deklamował.

Sędzia co raz uważniej słuchał, byłby wpaść w zapał, bo wiész ten wzbudził w nim jakieś mocne uczucie, ale deklamacja przesadzona i śpiewająca Ludwika zepsuła całe wrażenie, jedna tylko starościna klasnąwszy w dłonie zawołała: brawo! Adolf po francuzku zagadując do Anieli sypał jój tysiące grzeczności. Władysław szepnął w ucho Stanisława, wiész Stasiu, że śliczna *nec plus ultra*. — Czy tak? przerwał tenże; niedawno mówiłeś, że zpaszowała. — No cóż ztąd, dzisiaj lepiej się przypatrzyłem. — I znów siadłszy obok Anieli rozmawiał z nią długo. Sędzianka z godnością i taktem znosiła wszystkie te ataki, co było sztuką nie małą.

Po tych odwiedzinach nastąpiły i drugie i trzecie, kilku nowych gości uczęszczało w dom sędziego, aż dziwno było staremu kredencierzowi Szymonowi, co już dawno odwykł od tego. Apteczka zaczęła się wypróżniać. Anieli przykrzyło się, że ją ciągle od zwykłych zatrudnień odrywają. Dom sędziego stał się głośnym w całej okolicy. Aniелę nieustannie zabierano na bale, kuliki, pikniki i t. p. a lubo ją to serdecznie nudziło, wypełniając wolą ojca nie odmawiała łaskawym sąsiadkom, które jedna przed

drugą o nią się dobijały. Sędzia jak mógł biédcę łątał, a że i kredyt mu się od niejakiego czasu znacznie naprawił, pożyczył pieniądze, kupował stroiki, sukienki, rękawiczki, śmiejąc się w duchu, bo wiedział, z kąd to wszystko pochodziło. Cóż bo robić w tym świecie! samą prawdą, cnotą i rozumem nie daleko zajedzie, ludzie żądają mamidel; największe prawdy, najważniejsze korzyści łatwiej przyjmą, gdy im je ucukrzyć pozorem jak dziecku lekarstwo. Wszyscy przecież znali moję Aniolkę i piérwój, dla czegoż dopiero teraz ocknęli się z letargu, skoro wieść o depozycie rozeszła się wszędzie. Pocziwa starościna, w jój niezawodne ręce złożyłem moję tajemnicę, a w skutek jój małomówstwa stało się, co powiedziałem, że dziś wszyscy wiedzą o mych skarbach, ona zaś sama tak liczy na nie, że siostrzeńcowi nie dała dokończyć ostatniego roku prawa, by powiększył liczbę adoratorów méj Aniolki. Wszystko to dobrze, ale i mnie téż w pole nie wyprowadzi tak łatwo, dziecka mego pewno lada komu nie zaprzędam ani nie poświęcę. Po prawdzie nie bardzo téż jest w czém i wybrać. Adolf miejski wietrznik już 15cie razy się oświadczał, a nigdy nie ożenił, teraz podszarawszy majątek chciałby go może poprawić moim. Władysław jeszczeby uszedł, gdyby nie to wieczne polowanie; o Julianie nie warto i wspominać. Stanisław podobno najprędzej będzie mojm zięciem. Anielka dosyć go lubi, przytém pocziwy człowiek, dawny mój znajomy, jak tylko zechce, dam mu ją z ochotą. Choć prawdę mówiąc i on dopiero dla pieniędzy zaczął myśleć o tém, ale cóż robić! gdyby przyszło tak wybierać, trudno byłoby wybrać, doskonałości nie ma, a gradus superlatus w tym względzie powinienby być z grammatyki wymazany; nie ma najlepszych, są tylko lepsi od złych. Tak dziwnym zbiegiem okoliczności ten,

co przed rokiem ani mógł o tém pomyśleć, dzisiaj i szczęściu mógłby mieć zięciów, w których przebierał jak w ułęgalkach. Dowiedziano się bowiem z pewnością, że znaczna summa przez p. sędziego złożona jest w depozycie, a nawet procent od depozytu z góry zapłacony.

Nie chcąc dłużej rozwodzić się nad opisem rozlicznych intryg, zazdrości, swatów, plotek kobiecych i t. d., pominiem znane te okoliczności, by stanąć wraz z Stanisławem przed ołtarzem parafialnego kościoła, gdzie tenże Aniele poprowadził. Wesele było ciche, kilku z obydwóch stron przyjaciół i Francuz, bez którego się nigdzie nie obeszło, składali całą weselną drużynę. Starościna rozgniewana na kuzynka, któren dostał odkosza, odmówiła swój bytności. Władysław pojechał gdzieś na polowanie, inni dawno już zarzucili bywanie u sędziego; tak dzień wesela odbył się ciszej jak nie jeden oświadczenie Stanisława poprzedzający. Kto bliżej znał naszą parę rokował jój przyszłość szczęśliwą. Francuz ręce zacierał tryumfując, że on pierwszy przyczynił się do tego, a wzięwszy podany mu kielich w rękę, krzyczał: vivat państwo młodzi!

Kilka lat upłynęło. Stanisław wziął ojca do siebie, wioseczkę sprzedano, by zapłacić w ostatnich czasach poro-bione długi, a szczęśliwie żyjąc razem stan majątku Stanisława coraz się polepszał, o depozycie już i zapomniano. Stanisław zadowolniony kochając żonę i dzieci dwoje nad życie, żałował tylko, że nie piérwój zaczął być szczęśliwym.

Zdrowie p. sędziego tylko co raz stawało się gorsze; ostatniego ataku podagry znieść nie mógł, uderzenie na mózg pozbawiło go przytomności a wkrótce i życia. Żal Anieli i Stanisława był nie do opisania; była to piérwsza ale okropna zasłona, która padła na szczęście ich; tylko czas i konieczność ocuciła ich z tego stanu. Pomiędzy

papiérami p. sędziego znaleziono list zapieczętowany z napisem: *ostatnie moje zeznanie*. Stanisław ze łzami począł czytać, co następuje: Kochane dzieci! gdy przyjdzie czas, gdzie porzuciwszy to życie stanę przed sądem najwyższego, do wielu grzechów moich policzę i ten, że was tak długo zwodziłem. Rozgłoszona przeze mnie wieść o depozycie jest zupełnie fałszywa, w kufrze złożonym prócz piasku i kamieni nic się nie znajduje. Rozpacz przywiodła mnie do tego kroku, widziałem wszystko stracone, siebie w kalectwie i nędzy lada chwila oczekującego zgonu, by moję Anielę bez opieki zostawić, krewnych nie mam wcale, przyjaciół wraz z majątkiem utraciłem, resztki pozostałe poświęciłem na wychowanie jedynej córki mojej. Bóg niech jęj stokrotnie nagradza, że praca moja nie była daremna, a skarby zamknięte w jęj duszy staną jęj pewnie za największy posag. W tém przekonaniu, w myśli że tylko przymioty serca prawdziwe szczęście stanowią, zdawało mi się godziwém użyć fortelu, pewnym będąc, że kto jęj serce pozyska, nie będzie oszukany. Jakoż w istocie kochany Stanisławie wiem, że dzisiaj żony twój nie oddałbyś za wszystkie skarby ziemi: jeśli Bóg dozwoli mi patrzeć na ustalenie szczęścia waszego, sam za życia wyznam wam winę moję; jeśli inaczej zechce przeznaczenie, niech to pismo, zeznanie i szczęście wasze będzie jedyną po ojcu spuścizną.“

Stanisław rzucił się w objęcia Anieli. Tak jest, rzekł, ty moja droga jesteś mi wszystkiem, ja niegodny ciebie, własnego szczęścia niegodny, potrzebowałem do niego podłęj zachęty. Ojcze! jeżeli słyszysz głos mój, ty mnie przebaczej patrząc tam z góry, o ile będę się starał twe dzieć uszczęśliwić.

DWUTYGODNIK

LITERACKI.

N. 11.

KRAKÓW dnia 1 Września.

1844.

Treść: Bernard z Lublina, napisał J. Muczkowski. — Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiej i wystawieniu jej na teatrze krakowskim, przez Józefa Kremera (dokończenie).

Redakcyja Dwutygodnika uprasza *Szanownych Prenumeratorów*, którzy jeszcze przedpłaty nie włożyli, ażeby się w niej wicili do dnia 15 Września r. b. Prenumerujący zaś na pocztach w Król. Polskiem i W. X. Ponnańskiem sechcą sawczasu napisy na drugie półroczie przesłać, albowiem mała liczba egzemplarzy nad napis drukować się będzie.

BERNARD Z LUBLINA.

Jak imiona wielu zapadłej przeszłości mężów, mimo ich prawdziwej zasługi, bądź przez niechęć współczesnych, bądź przez naganną obojętność następnych, jeżeli nie na wieczne, to przynajmniej na długie zapomnienie wskazane zostały, tak i o Bernardzie z Lublina, aczkolwiek niepoślednim i w literaturze naszej godnym wspomnienia mężu, nicbyśmy nie wiedzieli, gdyby z rozległej nauki słynny w XVIym wieku Flakcyusz Illyryjczyk, w ojczyściej mowie Frankowiczem zwany, tudzież Stanisław Pułdowski, professor w uniwersytecie krakowskim, w swych rozmaitych zapiskach, nie byli nam dochowali kilku o nim szczegółów, z których o jego życiu i naukowych pracach jaką taką wiadomość usnuć możemy.

Bernard z Lublina urodził się w przedostatnim dziesiątku piętnastego stulecia. Odebrawszy, jak się domyślać

można, w rodzinném mieście początkowe nauki, pod okiem swego ojca Jakuba, już w r. 1501, za rektorstwa Mikołaja z Pilicy (Pilicy), w letniém półroczu, zapisał się w poczet uczniów szkoły jagiellońskiej, która w tych czasach wielce słynęła (1). Jak długo tu na naukach zostawał, nie podobna teraz wysledzić; to atoli pewna, że o uczone stopnie wcale się tu nie ubiegał: gdyż w księdze promocyj imienia jego nigdzie nie znajduję.

Czyto odznaczające go zdolności i usposobienie w naukach, czyli téż względy Mikołaja z Pilicy, za którego rektorstwa nasz Bernard w poczet młodzieży akademickiej był się zapisał, wyjednały mu wkrótce korzystne sekretarstwo przy boku Jana Pileckiego, lubelskiego i parczowskiego starosty, który go i szczególniemi względy zaszczycał i w potrzebne zaopatrywał księgi. Jakoż ze wspomnienia o nim Flakcyusza Illiryjczyka (2) dowiadujemy się, iż to sekretarstwo w r. 1515 sprawował, i że w tym czasie w niedzielę środopostną napisał był nader ciekawy list do Szymona, skąd inąd nawet z imienia nieznanego, krakowskiego księgarza. List ten, w którym Bernard twierdzi, iż w rzeczach wiary, ewangelii nie zaś ustaw ludzkich, bez których człowiek może być zbawiony, słuchać należy, w téj tylko treści przez rzeczonygo Flakcyusza w *Zbiorze świadków prawdy* umieszczony, zachował nam imię tego znakomitego ziomka, które następnie przez Węgierskiego mimochodem dotknięte, później

(1) *Metricae studiosorum Univ. Crac. pars prima.*

(2) Z pięciu wydań jego dzieła pod tytułem: *Catalogus testium veritatis*, w którym wyjątek z listu Bernarda zachował, biblioteka uniw. jagiellońskiego trzy posiada, w latach 1597. 4., 1606 f. i 1666. 4. ogłoszone. Z tych pierwsze i ostatnie w dwóch miejscach o naszym Bernardzie wspomina.

dwukrotnie się, ale zbyt słabo, w dziełach pisarzy naszych odbiło (3).

Czyli Bernard ciągle na dworze Pileckiego zostawał, lub też jaki inny urząd publiczny bądź świecki, bądź duchowny w dalszych czasach sprawował, o tém żadnej nie masz pewności; zdaje się jednak, że, jeżeli nie obowiązki, to przynajmniej wdzięczność i życzliwość z osobą Pileckiego zawsze go łączyła: dowodem tego zachowany przez Stanisława Pudłowskiego, profesora uniwersytetu jagiellońskiego w jego zapiskach ustęp, który ze względu na jego ważność w całości tu umieszczamy. „Bernat z Lublina, mówi Pudłowski (4), przed stem i dwunastom lat o księżey pisze do pana Jana trzeciego Pileckiego w przemowie na Ezopa:

Nie patrząc na biskupy,
Którzy mają złotych kupy;
Boć nam ci wiarę zeszyli,
Boże daj, by się polepszyli.
Dwór nam pokaził kapłany,
Kanoniki i dziekany.
Wszystko w kościele zdworzało,
Nabożeństwa bardzo mało.“

Ponieważ te Pudłowskiego własnoręczne zapiski w bibliotece uniwersytetu jagiellońskiego pod znakami DD. X. 18. zachowane, w roku 1634 były czynione, wypada

(3) WĘGIERSKI w *Slavonia reformata lib. I.* str. 74 z *Catalogus testium veritatis* przywodzi kilkowięzowy ustęp z owego listu Bernarda do Szymona księgarza; Krasieński zaś w swojej historii reformacyi w Polsce przez Lindau'a na niemiecki język przełożonej na str. 44, a za nim Wiszniewski w *Hist. lit. pol. T. VI.* na str. 54 w kilku tylko wyrazach wzmiankę o Bernardzie uczynili.

(4) STANISŁAW PUDŁOWI *Collectanea. Lms. 4. 77 f. r.*

przeto, że Bernard w r. 1522 te wiersze był napisał, a zatem że i Ezopa w tym czasie na język polski przełożył. Sama okoliczność, że autor swą pracę przypisuje Janowi Pileckiemu, który według Paprockiego ⁽⁵⁾ w r. 1527 żyć przestał, naprowadza na wniosek, iż to Ezopa życie do najdawniejszych dzieł w języku polskim, a Bernard do najstarszych poetów naszych należy. Ale czyliby ta książka już w tym roku była drukowana, a później przez czas i niechęć zatraconą została, tego z pewnością twierdzić nie można; bo Pudłowski nie wspomina, czyli ten ustęp z drukowanego dzieła lub też z dawnego wyjął rękopismu.

Juszyński w spisie dzieł poetów bezimiennych, w drugim tomie jego dykcyonarza umieszczonym, na stronicy 417, przywodzi dwa Ezopa wydania; ale ich wcale nie opisuje. Z tych jedno z r. 1585, które niesłychanej rzadkości być mieni, za pierwsze; to zaś, które z dodatkami i poprawami, ale bez oznaczenia miejsca i druku jest wydane, za wtóre i w Rakowie ogłoszone uważa. Wiszniewski ⁽⁶⁾ wspomina wydanie z r. 1578, które się, jak mi wiadomo, w bibliotece Tytusa hrabi Działyńskiego znajduje.

(5) Herby rycerstwa polsk. str. 382.

(6) *Hist. lit. pols.* T. VI. str. 535. Przywiedzenie to świadczy z pod prasy wyszłego tomu, ważnej historii literatury naszej, wkłada na mnie obowiązek, bym, zostawiwszy innym ocenienie całego dzieła, sprostował niektóre pomyłki, które w niem tu i owdzie dostrzegłem, a tak zwrócić uwagę uczzonego Autora na to, że pospiech z jakim około historii literatury pracuje, nie tylko nie dozwala mu należycie obeznać się ze źródłami, które, że tak powiem, ma pod ręką; ale nadto staje się powodem licznych pomyłek, z wielu względów szacownemu dziełu nie mało ujmujących zalety.

W przedmowie do tego tomu na str. IX mówi Autor, że, kiedy Francuzi i Włosi mają całe zbiory ksiąg pergamin-

Tak niedokładne bibliografów o tém dziele podania, możeby w ten sposób sprostować wypadało. Tłumaczenie Ezopa przez Bernarda z Lublina, najprzód bezimienne z ukryciem miejsca i druku, pod tytułem:

wych, my trzy tylko posiadamy: *Statut Jaskiego*, *Mowę legata Malespiny*, i *Jana Tarnowskiego Consilium rationis bellicae*. Tu należało wspomnieć o zachowanym w bibliotece uniwersytetu jagiell. pergaminowym exemplarzu *Speculum Saxonum* przez *Jaskiera* w r. 1535 wydanego. Być może, że to jest jedyny exemplarz, o którym mówi przywilej przez *Zygmunta I.* na wydanie tego dzieła udzielony, (zob. w Archiwum uniw. rękopism z bibl. Szastra str. 569 f. v. tudzież *Księgi bibliogr.* T. I. str. 173), może też, że *Jaskier*, każdy z trzech oddziałów rzeczonoego *Speculum* przypisując komu innemu, to jest *Zygmuntowi I.*, bisk. *Tomickiemu*, i *Senatowi krakowskiemu*, całego dzieła tyleż exemplarzy pergaminowych wytłoczyć kazał. Exemplarz o którym tu mówimy, z podpisem: *Successores Nobilis ac Spectabilis olim Christinae Krolikowa Consulissae Cracoviensis volumen hoc publicae utilitati D.D.D. Anno Dni 1725*, pięknie oprawny, drugą przemowę kartę, tudzież cztery w texcie (2—5), także na pergaminie dopisane mający, pochodzi z archiwum miasta naszego. W dalszym ciągu przemowy czyniąc rzecz o tém, iż u nas książki niszczone, na str. XII dodaje: „*Prażaci, kommentaryusze wytępilli całym benedyktyna Szczygielskiego książkę liber penticus (pentichus), że jęj teraz nigdzie znaleźć nie można; jedyny jęj exemplarz zachował się w cesarskiej bibliotece w Petersburgu.*“ Aczkolwiek książka ta, również jak i inne *Szczygielskiego* dzieła, nie jest pospolita, stémwszystkiém nie należy ona do owych fenixów, któreby tylko w bibliotece petersb. znaleźć można. Wszakże znajduje się i w bibliotece Uniwersytetu naszego, i ja mam ją w swym zbiorze, i zapewne nie jeden z licznych miłośników starych ksiąg polskich cieszy się z jęj posiadania. Spalenie jednego exemplarza *Gratia Szembeka* nie zasługiwało na wspomnienie, nie zniszczone

Ezop, to jest opisanie żywota tego to mędrca obyczajnego, przydane są ktemu przypowieści jego, z przykładami osobliwemi niektórych filozofów dawnych

ogłoszone, następnie tu i owdzie, snąc ze względu na okoliczności, i z obawy podpisującego się drukarza, obcięte;

bowiem przez to całego dzieła; podobnie jak i inne książki bądź z polecenia królów, bądź też przez wyroki trybunalskie w jednym egzemplarzu na ogień wskazane, bynajmniej dla tego rzadkiemi się nie stały.

Co się tyczy wątpliwości względem czasu pierwszego wydania ortografii Seklucyana (Przedm. str. XIV i przypis 577 na str. 399), tę byłby sobie Autor usunął i nie potrzebowaby czynić mylnych domysłów, tudzież nie byłby na str. 552 napisał, iż ortografia Seklucyana 2 arkusze (w Ringeltaube' m *Nachr. v. poln. Bibeln str. 51. stoi 2 Blätter* podobnie i w Tschepiusu *Preussische Zehenden T. III. str. 613*) zajmuje, gdyby się był lepiej rozpatrzył w ostatnim autorze, którego kilkakrotnie przywodzi. Z niego bowiem (*l. c. T. III. str. 614*) byłby się dowiedział, że umieszczona przy wydaniu z r. 1551 Nowego Testamentu przez Sekl. tłumaczonego, jego ortografia, jest też sama, którą przy ogłoszonej przedtém ewangelii Mateusza ś. był umieścić. *Equitis Poloni in Jesuitas Actio prima* (Wiszn. str. 94 przypis 92) nie jest płodem Stan. Zawadzkiego, akad. krak. rektora, ale Sebastjana Klonowicza (zob. Rękop. Radym. p. Muczковского str. 118).

Ten pospiech niezmordowanego Autora, niedozwalający mu należytego rozpatrzenia się w źródłach, był przyczyną, że jak dawniej Marcina z Przemyśla w XV wieku żyjącego astrologa pomieszał z teologiem XVI wieku Marcinem z Pilzna (T. IV. str. 158 przypis 156), i Jana z Latoszyna prawnika XV w. astrologiem uczyniwszy (tamże str. 164) dzieło Jana Latosza XVIIgo wieku pisarza (Sołt. str. 269) mylnie mu przypisał, i wielu innych autorów pomieszał, tudzież bez zasady zapewnił, iż przekazane bibliotece uniwersyteckiej przez

w latach 1578 i 1585 zostało wydane u Szarfenbergera pod tytułem:

Żywot Ezopa Fryga mędrca obyczajnego y z przypowieściami jego: z niektórymi też innych sławnych mędrców przykłady osobliwymi a bardzo śmiesznymi i też krotochwilnymi etc. (Drzeworyt: Karzeł coś opowiada), w Druk. Stan. Szarfenb. 1578. 4. kart. niel. 72.

Czyli to wydanie, ogłoszone drukiem gockim, w dwóch kolumnach z drzeworytami do życia Ezopa odnoszącemi się, które w tekście umieszczono, zgadza się co do treści i

Macieja z Miechowa rękopisma (*Histor. lit. pol. T. IV. str. 169 przyp. 173*) już się w niej nie znajdują, oraz powtórzył za Kołłątajem z rzeczywistością mijające się szczegóły o kanonizacyi ś. Jana Kantego (*Hist. lit. T. V. str. 10*), tak i teraz to sprawił, że w niniejszym tomie nie wspominał o *Herennii philosophi Enarratio in Metaphysica Simone Simonida interprete (gr. et lat.) 4.* w Zamościu bez przypisów, o których tłumacz na str. 15 wspomina, bo tylko do 160 strony wydanej, a nigdy nie ukończonej, (jak świadczy napis ręką Jana Broscyusza, na nader rzadkim w bibliotece uniwersyteckiej zachowanym exemplarzu, według zapewnienia Kaspra Solickiego (Solicius) med. dokt. i akad. Zamojskiej rektora oraz po siostrze Simonidesa wnuka); ale też mówią o przekładzie biblij na język polski, przez jednego Leonardowi dominikanowi, przez drugich zaś Janowi Leopolicie, akad. krak. profesorowi, przypisywanym, nie korzystając ze źródeł jakie mu miejscowość nastroczała, tylko wiadome rzeczy powtórzył. Wszakże gdyby był Autor zajrzał do archiwum tutejszego klasztoru OO. Dominikanów, byłby mu tam, równie z nauki, wymowy kaznodziejskiej i uprzejmości powszechnie oceniony JX. Wincenty Plebankiewicz, wskazał szacowny rękopism *Necrographia fratrum Ord. Praedicator. auctore Valeriano de Cracovia Lithranide anno 1615*, z którego byłby się dowiedział nader ważnego

tytułu z wydaniem z r. 1585, z pewnością twierdzić nie mogę; bo tego nigdy nie widziałem, a Juszyński przywo-
dzi je tylko z Zamojskiego Indexu ksiąg zakazanych, gdzie
jak się zdaje, przez opieszałość piszących, tytuł nieco jest
zmieniony.

o Leonardzie szczegółu, iż ten *dicitur biblia sacra ex bo-
hemico idiomate in nostram linguam polonicam prinus
non minus erudite quam utiliter transtulisse*; a pominąwszy
zwykle przez wszystkich bibliografów na świadectwo w tym
względzie powoływanych Ruszla (*Tryumf ś. Jacka* str. 100
u Wisz. mylnie str. 102), tudzież Siejkowskiego (*Świą-
tnica* r. 1743 str. 310), wsparty powagą zapomnianego przez
nich, aczkolwiek większej wiary godnego, Bzowskiego (*Pro-
pago D. Hyacinthi. Venetiis 1606. str. 76*), który wyra-
źnio mówi, iż Leonard bakałarz, pierwszy na język pol-
ski biblią przełożył, imię swe z pokory utaiwszy, za po-
mocą tak ważnych skazówek, przy świetle przez grunto-
wnego Tschepiusa na tę część bibliografii rzuconém, uczony
Badacz, byłby wyprowadził niewątpliwe i ważne wnioski,
któreby dzielące w tym względzie bibliografów zdania spro-
stowały i ustaliły. Że bowiem Jan Leopolda nie jest tłu-
maczem tej biblii, z pewnością wnosić można stąd, iż prócz
akademika Witeliusza (*Vindiciae scripto in Academicos 4.
karta B. 3. f. v.*) nie tylko żaden z Leopoldy współczesnych,
pomimo, iż wielu o nim tu i owdzie wspomina, nie przy-
znaje mu tego przekładu; ale co większa, sam nawet Sta-
nisław Marzeński z Marzenina, w gnieźnieńskim, (nie zaś
z Marzenin jak Wiszniewski czyniąc o nim wzmiankę z ob-
szerniejszej wiadomości w *Index lectionum Univers. Jag.
a. 1843/44* w VI-tym tomie swój hist. lit. na str. 186 mylnie
podaje), który w kilku pięknych elegiach zgon swego nau-
czyciela i przyjaciela rzewnie opłakuje, lubo w jednym kol-
legium z nim mieszkający, oraz ścisłym węzłem przyjaźni
połączony, wychwalając go z innych zalet (Stan. Mare-
nii *Poëmata Lms.* str. 162), o mniemanym jego przekładzie
biblii na język polski najmniejszej wzmianki nie czyni.

Że ten drukowany Ezop jest Bernarda z Lublina dziełem, utwierdzają mię w tym domysle dwie okoliczności: 1od: Iż przywiedziony wyżej ustęp z przypisania Pileckiego Ezopa, podobnie jak ogłoszone drukiem rzeczone dzieło, ósmiozgłoskowym wierszem jest napisany. 2re: Że treść powyższego ustępu zgadza się z duchem niektórych bajek w samem dziele umieszczonych, o czem przekonać się można z następującą, którą, dla pokazania czytelnikowi poetyckiego Bernarda usposobienia, wyjętą z *Historji literatury pol. przez Wiszniewskiego* (T. VI. str. 535) w całości tu umieszczamy.

Wilk wełnisty złodziej czysty.

Wilk na się owczą skórę wdział,

Y pokorną postawę miał;

Takoż się między owce wkradł,

Tajemnie ich wiele poiadł.

Potym więc pasterz obaczył,

Zdraycę w owczey skurze łuczył (ścigał),

A natychmiast go uchwycił,

Swey się szkody nad nim pomścił.

Bowiem na drzewie wysokim

Obwiesił go na kaźń wszystkim;

Aby nań drudzy patrzali,

Jego się dzieła wystrzegali.

Ludzie kiedy to widzieli,

Na dziw się wszyscy zbieżeli,

Pytając przecz to udziałał,

Iż tak owcę uwiązał?

On im rzekł, łatwi przyczyna,

Iż mi była bardzo winna;

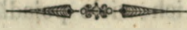
Pasterzom ci owcą była,

A wilcze skutki pełniła.

Takieżci w Bożej Owczarni,
Są wilcy szarzy i czarni:
Wilczą sierć wełną przykryli,
Aby tak rychlój zdradzili.

Czyliby nakoniec przywiedzione przez Jpszyńskiego (T. II. str. 417) *Zwierciadło żywej prawdy, w Warszawie u Schreybera r. 1686.* 8. wydane, a w roku 1703 pod tyt. *Fabuly Ezopowe* w Krakowie przedrukowane, tłumaczenia Bernarda było przerobieniem, lub tylko jako bezimienny przekład Ezopa bajek, przy powyższych wydaniach przez Juszyńskiego umieszczone zostało, wątpliwość tę mogą rozstrzygnąć znawcy, którzy w swych zbiorach dzieła te posiadają.

J. Muczkowski.



KIEKA SBÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIEJ,

I WYSTAWIENIU JEJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

(*Dokończenie*).

Nie tu zaiste miejsce, bym się rozszerzał nad istotą tragedyi i jój wysokiém znaczeniem; w krótkich wyrazach napomknę tylko, jakie winno być jój pojmowanie. Wypada nam atoli zacząć z góry, i sięgnąć istotę człowieka i całą jój głębię, a wnet obaczymy, co stanowi osobę czyli figurę tragiczną, która to śmierć jest tragiczną, a zatem co jest piętnem prawdziwój tragedyi; obaczymy, iż przedmiotem tragedyi nie może być każda śmierć ani walka każda.

Przypominam jedynie, iż tutaj schodzi się wiekuista prawda, prawda trwała i niewzruszona jak sklep gwiazdzysty nieba, z istotą wątłego człowieczego rodu; bo prawda, która nigdy nie ginie lecz trwa, która jest we wszystkim i wszystko sobą obejmuje, ta prawda, mówię, promieniem niezgasłym nigdy świeci i w duchu człowieka. Uważmy następnie, iż człowiek z dwojakięj składa się istności. Jedna jest ziemska, przemijająca, rozsypująca się w proch; jęj dziedziną jest wszystko, co w człowieku przemija, jego uczucia, namiętności, ochoty ulotne, krewkość i wąłość, jego natura i nastrój indywidualny jego. Drugą istnością jest jego duch nieśmiertelny, iskra ducha wiekuistego, która trwa wiecznie i nie zmienia się nigdy; dziedziną tęg drugięj jego istności jest potęga w poznaniu tęg co wielkie i niezienne: jest to ta siła jego, która mu każe poświęcić właśnie i radości doczesne i żywot swój za to, co w duszy stało się przekonaniem i prawdą. Ale właśnie dla tęg iż człowiek składa się z dwojęg tęg natury, właśnie dla tęg, iż w nim duch wiekuisty obłożony jest ciężarem cielesności, która go cisnie; więc tęg on nie może być wyrażeniem całej prawdy wiekuistęg, w nim nie zdoła się odbić cała prawda panująca ponad gwiazdami, i piastująca świat w swém łonie. W człowieku tedy wyrazić się może jeden tylko promień tęg prawdy, jedna jęg częśćka: a ponieważ każdy człowiek jest inny, więc tęg każdy będzie wyrażeniem innęg części prawdy wiekuistęg, innym jęg promieniem, będzie wyrażał jednę tylko prawdę szczegółową. Takim pojedynczym promieniem, taką prawdą szczegółową jest np. *miłość dla enoty, cześć dla honoru, poświęcenie za kraj swój, świętość związków rodzinnych, chęć sławy, miłość, poważanie swych obowiązków, uszanowanie dla prawa i sprawiedliwości*, i tym

podobne cnoty; toć są prawdy szczegółowe, mające wszystkie swoje źródło w onej jednej prawdzie wiekuistej ogólnej; ta prawda je wszystkie w sobie zawiera, więc jest jedna i trwała. Ale w rzeczywistości ludzkiej, ta prawda ogólna nie znajdzie się w piersiach jednego człowieka zebrana: tu nie znajdziemy tego równoważenia się szczegółowych prawd między sobą, nie znajdziemy tego umiarkowania mającego wszystkie za równo we czci, a tém samém uznające ich zjednoczenie w onej ogólnej prawdzie. Człowiek albowiem nie jest ogólnym; sam jest szczegółem, zatem podlega namiętnościom, więc téż jedną szczegółową prawdę w sobie chowa, i bez względu na inne aż do ostateczności w sobie ją rozwija, ją tylko ma na oku, dla niej wszystkie inne poświęca. Nie dziw tedy, iż party nią do ostateczności obraża inną jaką prawdę szczegółową równie mającą prawa do uznania, i nie dziw, że ta prawda się na nim mści, a to może się dziać w dwojaki sposób: albo sam w sobie uczuje, że ją obraził a to uczucie rozdwoja boleśnie istotę jego i rodzi walkę *wewnętrzną*, albo téż, iż tę szczegółową prawdę, którą obraził, spotka wyrażającą się i wcieloną w innym człowieku, z tym więc wstępuje we walkę; rozpoczyna się tedy walka *zewnątrzną*. W niej obie strony mają w tém słusność, iż istotnie poświęcają się za przekonanie swoje, a za przekonanie mające za grunt prawdę, i dla tego téż ich cierpienia i skon porusza spólczeniem głębię duszy naszej, bo w duszę naszą Bóg włożył spokrewnione tony; ale w tém walczący mają niesłusznie, iż nie pojmując, że to przekonanie ich, za które ważą wszystko, nie jest całą prawdą, że nie zachowują miary w swém przekonaniu, że nie dają innym prawdom ostać się, mającym równe prawo do istnienia, i to właśnie stanowi ich niedostatek i błąd, za ten błąd téż giną. Śmierć

kończąc istnienie tych osób, kończy téż ich błędne i mylne przekonanie, i znosi te szczegółowe prawdy, które się w nich wyrażały; a na miejsce tych prawd szczegółowych, staje prawda owa wiekuista ogólna, a staje dla tego, bo ona jest całością, bo ona jest wiekuistą. Ona się unosi nad bojami ludzi w swym majestacie niezmiernym, bo ona ma stolicę swoją w wieczności, w nadziemskim świecie; tamte zaś prawdy szczegółowe są córami ziemi, bo mają początek swój w pierwiastku przemijającej istoty człowieka. Skon tych osób poświęcających się za to, co nie jest samą i jedyną prawdą, jest że tak powiem rehabilitacją onej prawdy, jój zadosyć uczynieniem.

Z tego widzimy, iż osoby będące wyrażeniem prawd szczegółowych, a poświęcające się tak za nie, iż je krwią, cierpieniem i życiem swoim płacą, są dopiero figurami *tragicznymi*, a śmierć, którą ponoszą w téj walce, jest śmiercią *tragiczną*, a zawiązanie téj walki i rozwiązanie jój stanowi dopiero duszę *tragedyi*.

Stosując te zasady tak w krótkości tutaj dotknięte do Dziewicy Orleańskiej, obaczymy i geniusz Szyllera i istotę téj jego tragedyi. Myśl całej tragedyi w krótkości wyrażona jest następująca: Joanna z bronią w ręku chwala wojenną i męstwem pragnie obronić Francją, to jest tą prawdą, która ją prze i porywa, i w tém znajduje spólcucie nasze; ale w tém błądzi, iż choć kobietą jest, nie uznaje powołania niewieściego, wyrzeka się miłości, wyprzysięga się szczęścia poznania uczuć macierzyńskich, i ślubuje, że nie chce być kobietą, że nie chce być matką, a w tém obraża święte powołanie kobiety będące zarówno prawdą na cześć jój zasługującą: dla tego tu we własnych piersiach zdradza jój się wróg, zniecka miłość ją ogarnia, i ta ją gubi i staje się przyczyną jój upadku i śmierci. Joanna tedy

nie upada w ten sposób, iż w kim innym znalazła inną jaką prawdę różną od téj, której się ona sama poświęca, ale upada dla tego iż ją znalazła we własnych piersiach; jéj skon, jako zniweczenie jéj doczesnego życia, godzi także to rozdwojenie, tę walkę wewnętrzną. Ze zrozumienia takowego całej téj tragedyi wypłynie téż wprost zrozumienie osób w nią wchodzących, i ocenienie ich charakterów.

Przejdźmy w myśli cały rozkład tego arcydzieła, a wnet go wskróś zrozumieć zdołamy. Kto zaś nie ma w żywej pamięci treści jéj, jak się rozwija w aktach i scenach po sobie następujących, a nie ma pod ręką książki, zechce przejrzeć rozkład tu przytoczony, a umieszczymy go w przypisku, by nim nie przerwać toku całego wywodu naszego (*).

(*) Rzecz otwiera się prologiem. Okolica wiejska — dąb stary — kaplica, w niej obraz święty — Tibaut ojciec Joanny — trzy córki jego i trzech narzeczonych — Thibaut narzeka nad losem ziemi — niepewna przyszłość zniewala go, by życie zabezpieczył, dając im małżonków. Jakoż zaręcza dwie swoje córki, a pełen żałości, iż córka Joanna szuka samotności i w całym postępowaniu nadzwyczajna — wyrzuca jéj, iż pogardza Rajmundem zacnym młodzianem — zaklina ją by unikała dębu tego, co lęk i zgrozę szerzy koło siebie — wspomina, że w marzeniach nocnych widzi Joannę w dziwnej postaci, a król i pany państwa i on sam, czołem biją przed Joanną — Rajmund kochanek Joanny daremnie ją usprawiedliwia przed ojcem — wchodzi Bertrand z hełmem w rękę, opowiada, jak dziwnym sposobem on dostał się w ręce jego, a przytém rozwodzi się żalem nad niebezpieczeństwem kraju — Joanna wyrывa mu hełm z zapalem, sobie go przywłaszczając i milczy — Bertrand opowiada dalej kłeski kraju, przerao straszną nieprzyjaciół, słabość wiatła króla — Joanna porwana natchnieniem, przepowiada

Joanna jest w ten sposób bohaterką całej tragedyi, iż jęj kolęj jest zarazem wysnuciem sztuki całej. Jęj postać oddał mistrz rzeźbą tak wydatną, bogatą, iż inne figury giną przy nięj: są to blade gwiazdy toczące się

błogą przyszłość i oswobodzenie — nikt nie pojmuje tęg nadziei dziewicy — Joanna zostaje sama — w monologu cudownym żegna wioskę oczyszłą i błonia i góry, doliny i gaje, bo duch wyższy ją prze, duch który przemówił z gałęzi staroego dębu, zakazując, by żadna miłość ziemska nie tknęła jęj serca, by nie zaznała nigdy szczęścia zostania matką, bo wawrzyny wojenne wyniosą ją nad ród kobiety; że ona zniszczy najezdzców, Orleans uwolni, i w Rheims koronę włoży na głowę króla. Tak prolog się kończy, zawiązawszy w zarodzie rzecz całą: i dla tego ten prolog jest raczję pierwszym aktem tragedyi całej i tłem ogólném, w którym się wysnuwa dalszy wątek tragedyi.

Akt I. Dunois i inni wodzowie francuzcy. — W scenach tych maluje się barwą posępną nieszczęśliwy stan Francyi, coraz przylatują okropniejsze wieści o nowych klęskach, za każdą gaśnie jeden promień nadziei, nakoniec La Hire przynosi wiadomość iż ksiązę burgundzki odstąpił króla, że Elżbieta wyrodna matka Karola posadziła na tronio królewica angielskiego — Karol nie widząc z niskąd zbawienia, chce opuścić koronę i żyć w zaciszu za Loirą, ale w tęg chwili przybywa wiadomość o zwycięztwie — Roal rycerz francuzki opowiada, iż zjawieniem się cudu zwycięztwo odnieśli Francuzi, że im przewodniczyła dziewica nieznana, że rzecz powszechna w szeregach Anglików padła na nich niby grom — W tęg odgłos krzyku ludu — wchodzi Joanna — potwierdza posłannictwo Boże — bo lubo dla doświadczenia jęj, Dunois siada na tronie a król obok niego stanął, dziewica poznaje króla i wyjawia mu modlitwę jaką czynił Bogu w cichęj i niesłyszanej od ludzi tajemnicy — wszyscy wierzą w jęj cudowność — Joanna opowiedziawszy posłannictwo swoje: przyrzeka królowi dwio rzeczy: bo uwolnienie Orleanu i koronacyą w Rheims — poseł od Anglików wchodzi, mówiąc,

kołem około niej, jakby około słońca swojego. Tragiczność Joanny jest pragnienie oswobodzenia kraju swojego; jestto ta prawda, za którą ona się poświęca, wszystkie inne prawdy już nie mają w jej oczach znaczenia. Joanna uboga i prostoty pełna pastérka, wśród boleści ludu

iz jest posłany od hrabiego Salisbury — Joanna oznajmia mu, iż Salisbury już nie żyje, i żąda wydania kluczków od twierdz przez nieprzyjaciół zdobytych, i grozi zniszczeniem i wjazdem króla do Paryża.

Akt II rozpoczyna się wśród Anglików. Talbot, Lionel, Filip książę burgundzki, Fastolf i t. d.

Święta klęska odniesiona przez Anglików jest powodem niechęci Talbota i Lionela przeciw sprzymierzonemu im Filipowi — obie strony przypisują sobie przyczynę hańby i ucieczki — Filip odszczepieniec kraju swojego jest w złém położeniu, bo zdradziwszy kraj swój, nie ma wiary u Anglików swoich przyjaciół — wchodząca królowa Izabella matka Karola VII godzi zwaśnionych; lecz w końcu sama jako matka wyrodna, jako kobieta rozwiozła, staje się przedmiotem pogardy i Anglików i Filipa (*odchodzą*). Joanna okazuje się ze swoimi na szczytach skał — bitwa — Angliki uciekają przez scenę — Talbot nadaremnie chce wstrzymać swoich — z daleka widać obóz angielski ogarniony płomieniem — Montgomery jeden z wodzów angielskich występuje na scenę — przejęty zgrozą i przestachem, zatrważa się widząc, iż w koło ni krzaku ni jaskini, któraby go ukryć mogła — rzuca myśl ku ojczystem stronom, kędy zostawił matkę kochającą i oblubienicę — trwoga jego różnie widząc zdaleka Joannę — Joanna występuje — Montgomery klękając przed nią obiecuje drogi wykup — wylicza bogactwa i włości swojego ojca — nadaremnie zaklina ją na wielkość wrodzoną sercu niewiasty, na *ucscucie święte miłości*, na pamięć rodziców — Joanna nieugięta wzywa młodziana, by bronił życia swojego, Montgomery po krótkiej walce pada. Książę burgundzki Dunois i La Hire wpadają z różnych stron — Joanna wstrzymuje ich walkę i wymową pełną natchnienia

swojego ma widzenia święte; miłość swego kraju uosabia się jej w postaci Matki Przenajświętszej, i miłość ta w duszy Joanny zlewa się w jedność z religią i wiarą; wiara w Matkę Cudowną jest zarazem wiarą w oswobodzenie

z księcia będącego wrogiem Francji czyni prawego syna kraju swojego.

Akt III. La Hire i Dunois zwyciężeni wielkością Joanny i obydwa przejęci miłością dla niej, żądają jej ręki w obliczu króla — dziewica nie czyni im żadnej nadziei — król pasuje ją na rycerstwo — scena odmieńca się na plac bitwy — Talbot ranny i wsparty na Pastolfe — Lyonel — Talbot umiera i złożyć, mówiąc: „Niechaj będzie przeklęty, „kto życie swoje na wielkość i zacność sadza; głupotą świat „się rządzi“ a następnie: „Oddaję ziemi atomy, które się „złączyły na radość i boleść w istotę moją, a z Talbota „potężnego zostanie garstka lekka prochu. Tak się kończy „kolej człowieka, a jedyną korzyść jaką odnosi z walki trudnej „życia, jest wiadomość nicości i pogarda tego, co „nam się wielkiem i zacnym zdawało.“ Król i wodzowie Francuzcy oddają cześć zwłokom Talbota. — *Widownia się „zmienia w okolicę pustą, odludną.* — Rycerz w czarnej zbroi, z wycierem zamkniętym, ścigany przez Joannę, staje, i przestrzega Joannę, by zbyt nie ufała szczęściu, przestrzega by nie należała więcej do bitew. — Joanna przysięga, iż nie złoży miecza, póki nie obali dumnej Anglii, i podnosi oręż by go ugodzić — rycerz dotyka się jej z lekka ręką — Joanna nieporaszona staje — czarne widziadło znika. Lionel wpadając wzywa dziewicę do boju, uderza na nią — Joanna wytrąca mu miecz, i w chwili, gdy go ma poświęcić swój zemście, widzi twarz jego — ręka z mieczem opada — Lionel wzywa ją by mu życie odebrała, nie chce życia z jej ręki — Joanna rozkazuje mu by uciekał, i w okropnym lęku wewnętrznym wyznaje sama sobie, iż złamała swoje śluby — Lionel poruszony współczuciem, bierze ją za ramię i powiada, że boleść okropna, że niewypowiedziana tęsknota prze go by ją uratował, i zaklina by z nim poszła —

nie Francyi, a tak już w prologu Joanna zyskuje stanowisko swoje. Jój miłość do kraju nie wypływa z zasad powinności, honoru, nie jest wyrozumowaną prawdą, ani tradycją przodków; ale odziewa się we formę mającą

Joanna wskazuje na Dunois zbliżającego się w dali, i wyznaje że śmiertć jego byłaby jój własnym skonem — Lionel wzdiera jój miecz na zakład, że ją znów obaczy — oddala się.

Akt IV. Sala ustrojona — flety i oboje. Joanna sama. W monologu cudownej piękności, porównywa uciechy powszechnie, tryumf narodu, z niepokojem trapiącym duszę jój. Pamięć Lyonela uważa za zgrzyzotę sumienia; wyrzut ciężki ciśnie jój duszę. Agnieszka wchodząc obaczywszy Joannę, a przejęta dla niej czcią najwyższą i podziwieniem serdeczném, klęka przed nią. Joanna mając jad zarzutu w duszy, z lękiem słucha hołdów Agnieszki, i myślami przerwaniem wspomina o winie swojej; a gdy Dunois i la Hire przynoszą chorągiew Joannie prosząc ją imieniem króla, by mu towarzyszyła i w czasie koronacyi. Joanna drząc dotyka się chorągwi. Orszak koronacyjny przepychu pełen udaje się do katedry, — w końcu Joanna trzymając w ręku chorągiew, za nią król pod baldakinem. Po skończonym obrzędzie król w przytomności wszystkich rycerzy, całego dworu i zgromadzonego ludu dziękuje Joannie i oddaje jój cześć; lecz w tém wśród tłumów zjawia się ojciec Joanny i oskarża córkę swoją o związki z piekłem; wyrzuca królowi i ludowi całemu zaślepienie — zaklina Joannę by do Boga się nawróciła. Wszyscy błagają Joannę by się usprawiedliwiła, by ich jedném słówkiem zapewniła o swój niewinności, przyrzekają że jój wszyscy uwierzą. Dziewica nuleczy — prośby, namowy, zaklęcia, daremne, ona trwa w milezeniu niemém. Słychać gromy. Wszyscy uchodzą przejęci zgrozą, jeden Dunois pozostaje, on jeden jeszcze w nią wierzy, on ją błaga by mu podała rękę na znak że jest niewinna. Joanna nieporuszona. W końcu i Dunois się oddala, a Rajmund jój kochanek ze wsi rodzinnej uprowadza ją z miasta.

pierwszy przystęp do serca dziewiczego pastérki, bo we formę Matki Przenajświętszej, przemawiającej do niej z gaworów gałęzi starego dębu. Ta mocna wiara oddziela ją już od reszty świata, i nadaje jej potęgę wznoszącą ją nad innych. Lecz świat ten nadziemski, który tchnął na Joannę poświęceniem swoim, z początku objawia się jej samą tylko; ale wnet rozléwa swój urok wszechwładną potęgą na całe rozwinięcie sztuki, na wszystkie osoby do niej należące. Tak już w prologu samym, Bertrand przynosi przyłbicę, którą otrzymał cudownym sposobem. Tutaj równie należą późniejsze sceny, jako: zgadywanie osoby króla, którego nie widziała nigdy; wyjawienie mu skrytej, tajemniczój modlitwy jego, którój nikt nie słyszał; następnie, zjawienie się ducha w postaci czarnego rycerza w akcie trzecim; gromy piorunne w akcie czwartym, zdające się niby potwierdzać okropne oskarżenie ojca w obliczu króla, dworu i całego ludu; tu nakoniec należy zerwanie cudowne kajdan w końcu samym sztuki. Ta cudotworność w Dziewicy Orleańskiej, często przez najcelniejszych estetyków uważana była za wadę sztuki; przecież nie mógłbym się bezwarunkowo na te nagany zgodzić. Bo lubo prawda

Akt V. W puszczy Ardeńskiej w óród burzy Joanna przez Anglików pojmana, zawiedziona do więzienia, gdzie w kajdanach staje się pośmiewiskiem królowej Elżbiety. Lud otaczający więzienie buntuje się żądając śmierci dziewczoy. Lyonel staje w jej obronie wołając, iż całym ludem francuzkim pogardza, jedną Joannę ma we czci wysokićj. Żołnierz stojący na straży u okna, donosi osobom znajdującym się w więzieniu o losach bitwy; gdy Joanna słyszy, że francuzi zwyciężeni, że król pojmany, w tedy po rzewnój modlitwie targa okowy, wylatuje do walczących, wśród osłupienia wszystkich. Akt kończy się śmiercią Joanny konającej w objęciu króla i mężnego Dunois. Na niebie tęcza.

jest, iż póki cuda i zjawienia nadprzyrodzone wywierają swój wpływ na samą Joannę tylko; póty też łatwiej usprawiedliwione być zdołają, bo je można uważać jako jój własną mocną wiarę, jój przekonanie religijne i święte, iż zbawić kraj zdoła. Gdy zaś ta potęga nadprzyrodzona roztacza się na inne osoby, na cały poemat, więc jużby się zdawać mogło, że tém samém osłabia się jedność artystyczna całego poematu. Bo właśnie ta jedność artystyczna na tém zależy, by dramat rozwijał się sam z siebie, by własny czyn człowieka wywoływał skutki sobie właściwe; gdy zaś obca siła, jaką jest cudotworność, wmięsza się w to rozwijanie się drammatu, już wtedy téj jedności nie będzie, bo nie czyn człowieka samowolny będzie rządzić wypadkami, ale potęga nadprzyrodzona, a całość organiczna dzieła zniknie i spaczy się w swój jedności. Przecież przypatrzwszy się bliżej naszemu poematowi, widzimy, iż zarzuty podobne tu zastosowane być nie mogą. Bo naprzód: cudotworność ta bynajmniej nie wpływa na pochodź rzeczy. Jakoż scena w akcie I, gdzie Joanna rozpowiada królowi tajemnice snu, nie jest stanowczą; bo Joanna już raz zwyciężyła nieprzyjaciół, a tak dowiodła posłannictwa swojego; dodajmy jeszcze, iż scena ta jest historyczna, bo z podań wzięta. Rycierz czarny także nie wpływa na pochodź sztuki; podobnież i i gromy piorunne w onój stanowczej chwili wcale nie rozwiązują losu dziewicy: bo nie tak te gromy świadczą przeciw niej, jak raczej jój milczenie, gdy właśnie na nalegania ojca, króla, Agnieszki i Dunois, ona nie odpowiada. Równie i zerwanie kajdan nie może mieć wpływu na wątek rzeczy, bo dzieje się już w samym końcu sztuki i wtedy, gdy już od upodobania autora zależało tak lub w inny sposób ukończyć dzieło swoje; w każdym ra-

zie śmierć Joanny była jedynym rozwiązaniem dzieła całego. To złamanie okowów oznacza potęgę wiary i mocną wolę biorącą górę nad siłą zewnętrzną, fizyczną; jest to zwycięstwo ducha nad materią i ślełą przemocą.

Tak cudotworność ta wcale nie przeszkadza jedności artystycznej całego poematu, ale co więcej ta cudotworność jest tu zupełnie na swoim miejscu i wprost z istoty dzieła wypływa. Bo osoby wchodzące do gry dla tego właśnie tak są zawisłemi od Joanny, iż one wszystkie wierzą, że dziewica istotnie ma z nieba posłannictwo swoje, więc choć nie wprost przez siebie, toć już przez pośrednictwo Joanny są w związku ze światem nadprzyrodzonym. Jeżeli zatem pozwolimy, iż sama Joanna jest siłą nadziemską natchniona, już tém samém pozwolić także musimy na całą potęgę nadziemską rozlewającą się na sztukę naszą. Ta nadprzyrodzona potęga jest nakoniec najwyborniejsze tło całej bajki dramatycznej odbywającej się w wieku XIV, tak pełnym wiary w dziwy i cuda.

Powiedzieliśmy wyżej, iż myślą panującą w całej sztuce naszej jest przejęcie się Joanny jedną prawdą wyłącznie, bo chęcią oswobodzenia kraju z mieczem w rękę, i choć jest kobietą, rzeka się uczuć kobiécie wrodzonych, pomniata miłością i uczuciem macierzyńskim. Ale miłość, ale uczucia macierzyńskie, stanowią wskrós świętość kobiety i jój powołanie; rzekając się ich Joanna, nie uznaje powołania swojego. Powołanie niewiasty, to nieuznanie jój się, karze. Dla tego wszystkie sceny początkowe ku temu się mają, by Joannę po coraz wyższych szczeblach do najwyższego szczytu potęgi i chwały doprowadzić i postawić ją z nienacka nad przepaścią. Zbliżające się nieszczęście rokuje scena z czarnym rycerzem. Po bitwie zwyciężkiej następuje walka, w której Talbot ciężko ranny

umięra; zlorzeczy życiu, oddaje atomy naturze, i mówi o nicestwie ogólném wszech rzeczy. Daremnie Lyonel napomina, by się z niebem pogodził. Zupełnie tedy stósownie z duchem romantycznym, dusza bezbożna Talbota błąka się po świecie i zjawia się Joannie, przepowiadając nieszczęście, które ją czeka. Joanna nie znając miary, powiada, iż *nie piérwój złoży miecz z ręki swojej, póki nie powali dumnej Anglii*. Otóż tutaj Joanna sama na siebie wydaje wyrok — grzeszy — bo ona wzięła się do miecza, by obroniła własny kraj swój. Ta obrona jest świętą, a zarazem okazuje granice, w których się ona zachować powinna. Gdy zaś pragnienie oswobodzenia kraju zamienia się na chęć podboju, już myśl jęj staje się niesprawiedliwą, grzeszną, przestępuje powołanie swoje, a tém samém sobie upadek gotuje; dla tego téż, gdy podnosi miecz, by zgładzić czarnego rycerza, zaledwie dotknięta lekkim położeniem ręki jego, staje nieporuszona — duma ziemiska bezwładna za dotknięciem ducha. Poczém téż następuje spotkanie z Lyonelem i kara. Joanna zwycięża młodego rycerza; lecz zaledwie strąciwszy mu przyłbicę, widzi oblicze jego, już staje bezwładną; miłość ją ogarnia — ślub złamany. Miłość jest wrogiem, który powstał we własnej jęj duszy. Cała jęj potęga cudowna i jęj chwała, stała na rzeczeniu się uczuć natury; gdy te się rodzą, jęj wielkość upada; kobięta mści się na bohaterce. Widzimy tedy, iż ta scena z Lyonelem jest stanowczą w całej tragedyi. Cały poemat istotnie tedy ma dwie części: piérwsza trwa do téj sceny, druga się od nięj zaczyna i trwa do końca.

Tutaj jeszcze wypada powiedzieć, iż najcelniejsi estetycy, a na czele ich Tieck, zgodzić się nie mogą na tę miłość Joanny dla Lyonela, a zwłaszcza, iż Lyonel dla

samój Joanny nie ma prawie znaczenia żadnego, jest zupełnie dla niej zerem; uważają, iżby było rzeczą stósowniejszą, gdyby się była zakochała w innym rycerzu tój samój sztuki, mającym więcej treści w sobie. Niechcąc bynajmniej podnieść głosu przeciw wyrokowi tak poważnych krytyków, rozumiem przecieź, iż im mniej powodów ma ta miłość za sobą, im mniej znaczący jest dla Joanny Lyonel, tém téż ironia tój miłości jest okropniejsza, tém i głębszy upadek i gwałtowniejsze jest wrażenie. Bohatérka, od której los kraju zależał, która groziła powaleniem kraju nieprzyjaciół, upada pod jedném spojrzeniem, a z niém wali się cały gmach jój potęgi. Zgodzilibyśmy się zaiste na inny zarzut uczyniony Szyllerowi w tój mierze: powiadają, jak mniemam bardzo słusznie, iż przykry jest widok Joanny walczącej z sobą, chcąc nadaremnie obronić się namiętności wciskającej się jój mimowolnie w serce. Walka ta jak jest przykrą dla nas, tak ma jeszcze tę wadę, iż nie ma prawdy za sobą. Bo prawda na tém stoi, by okazać tryumf uczciwój i cnotliwój woli nad złą namiętnością, bo namiętność korzyć się winna, a wola zacna tryumfować, gdyż najwyższém piętnem majestatu istoty człowieczej jest wolna jego wola. A cnota nie zależy na zupełnej uiewinności, bo i zwierzę każde i niemowlę jest niewinne, istotą cnoty jest obronienie się od złych chęci, a tój obronie każdy człowiek wydolać winien. Wola zacna usiłująca zgnać złe uczucia, a nie mogąca wydolać im, jak jest bolesna dla widza, tak nie ma myśli filozoficznej w sobie; bo mocna i pocziwa wola zgąębienia w sobie winy zawsze zwyciężką być winna.

Po mistrzowsku w akcie IV Szyller wprowadza scenę koronacyi, a im świetniejsze w koło chwały otaczają ze-

wnątrz Joannę, tém okropniejsze wyrzuty wewnętrzne ją pożerają. Następuje bowiem scena z ojcem w obliczu króla i całego ludu. Milczenie Joanny przy tej sposobności było i jest również przedmiotem licznych zarzutów uczynionych autorowi. Powiadają, iż tylko jednego słówka trzeba było z ust dziewicy, a los jój byłby się skierował zupełnie inaczej; więc tego uporczywego milczenia zrozumieć nie mogą; przecież mniemam, iż to milczenie wprost winno było wypłynąć z całej istoty Joanny i z nastrojenia jój duszy. Jakoż ze świadomością swój winy słucha milcząc oskarżenia ojca, i samowolnie naraża się na okropne skutki, uważając w tych cierpieniach odpokutowanie swój winy i pogodzenie się z Niebem, bierze na siebie brzemie całego oskarżenia, w przekonaniu, że je Bóg na nią zsyła, by na ziemi jeszcze odpłaciła karę za złamanie ślubu, więc się téż i bronić nie chce i milczy, a milczenie jój wymowniejsze niż wszelkie przemowy. Milczenie to dopiero dopełnia charakteru całej figury Joanny. Takie wytłumaczenie potwierdzone nawet jest z treści rozmowy Joanny z Rajmundem w czwartej scenie aktu V. Zniesienie winy i pogodzenie się z sobą (z Niebem), następuje w całej mocy w końcu całego poematu. Joanna śmiertelnie ranna umiera, porzuca i świat cały i rzeczy ziemskie, a z niemi i miłość owę zgubną: a tak, ze skonanem płaci za swoje winy, i ze śmiercią zmiata i pył doczesnego żywota. Na niebie panuje tęczą przymierza, łącząca związkiem świat wiekuistości ze światem ziemskim pełnym winy i biedy.

Taka w krótkości jest postać Joanny uważana z jednej strony, to jest sama w sobie; lecz jój uzupełnienie skończone znajduje się dopiero w innych figurach poema-

tu, bo te dla niej stworzone, są dopiero rzeczywistością jej dopełnieniem.

Tak Karol VII król, dla Joanny jest wcieloną Francją; ona jako niewiasta, jako pasterka, nie ma na oku państwa, bo to jest abstrakcją, ogólnym pojęciem należącym do rozumu, do czystej myśli, Joanna pojmuje państwo w osobie króla. Dziewica tedy w szczęściu i podniesieniu króla widzi uratowanie Francji, a w tém historyczna postać Karola, dziwnie dobrze posłużyła Szyllerowi. Karol i w poemacie nie ma woli silniejszej, nie sam przez się nie działa, choć zdolny by czuł co wielkie i piękne. (Akt I. sceny początkowe). Nieczynność Karola wypływa tutaj z konieczności; bo im mniej sam działa, o tyle też jaśniej świecą czyny Joanny; a nadto, skoro Karol jest uzmysłowieniem abstrakcyjnego wyobrażenia Francji ojczyzny Joanny, więc też Francja sama przez się nie może występować czynem. Jej czynami są dzieła tych, którzy w nią wierzą i za nią się poświęcają. Ona umarła, gdy ją opuścili Francuzi; odżyła, gdy w nich Joanna wskrzesiła wiarę i nadzieję. Kraj o tyle żyje, o ile żyje w sercach i w nich ma rzeczywistość swoją: inaczej jest martwą i nieodderwaną abstrakcją, myślą bez rzeczywistości, a takim właśnie jest też Karol.

Agnieszka Sorel, figura dowodząca genialności autora; bo choć kochanka Karola i wprost przyznaje się do tych z nim stosunków, toć przecież postawiona obok dziewiczości Joanny tak czystej i anielskiej, jest jeszcze postacią rzewną, lubą, mającą tyle świetnych zalet, iż radzi zapominać o owej słabej jej stronie.

Królowa Elżbieta, kobieta rozwiązła, matka wyrodna, królowa zdradzająca własny kraj swój, słowem postać ohydna, jest drugą ostatecznością Joanny, niby

piekło obok nieba, i podnosi i uzacnia zbrodniami swojemi figurę Agnięszki.

Filip książę burgundzki choć upadł w powinnościach swoich względem kraju, a tak sam odstąpił zacniejszej dążności swojej; przecież na dnie duszy żyje uczciwość, więc i nawrót jego ku dobrej sprawie i upamiętanie się nie trudne.

Dunois jest synem miłości, więc i miłość u niego tak potężna i silna; bo choć z krwi królewskiej, prosi o rękę pastérki, on w nią wierzy mimo pierunów i gromów.

Lyonel butny i zuchwały, poniewiéra i Francuzami i księciem burgundzkim, a jest przejęty serdeczną pogardą dla Elżbięty, Wszak na duszę tak hardą i żelazną, niby gromem działa widok i poznanie Joanny. On jest tym między Anglikami, kim Dunois między Francuzami. Z wroga gwałtownego Joanny, staje się czcicielem jęj wielkości i przed nią się korzy.

Theobald ojciec Joanny jest jednym z tych ludzi o ciasnej duszy i o ciemnej głowie, którzy nie pojmują potęgi wszechwładnej żyjącej w sercu człowieka; a gdy obcych czynów pojąć nie zdołają, więc téż nadzwyczajną wielkość, gdy ją w świecie spotykają, nie przypisują zacnym źródłom, ale w niej widzą pobudki nieczyste i złą wolę. Tak i Theobald oskarża córkę o związki z piekłem, bo nie pojmuje, iż jęj dzieła świetne mogą mieć początek swój w niebie.

Z tego choć lekkiego zarysu osób, wypłynęłoby téż już łatwiej ocenienie pracy naszych artystów dramatycznych. Mniemam atoli, iż czytelnik z początkiem artykułu tego zrozumiał, iż nam bynajmniej tutaj nie chodziło o prostą recenzją teatralną, albowiem recenzja takowa winna być napisaną tuż po odegranej sztuce, póki

i dramat sam i wystawienie trwa jeszcze w świeżej pamięci publiczności i powinna być krótką w swjej treści. Wszak tyle już czasu ubiegło od chwili wystawienia ostatniego *Dziewicy na teatrze naszym*, iż artykuł niniejszy nie mógł uważać za główną treść swoją, grę samą artystów, lecz raczej przedmioty, na które bynajmniej nie wpływa późniejsze lub wcześniejsze pojawienie się artykułu. Z tego powodu z kolei wzięliśmy za treść: *Szyllera*, *Joannę d'Arc*, jaką była w rzeczywistości, dalej powołanie aktora, w końcu *Dziewicę Orleańską*, jaka jest w poemacie *Szyllera*, a o wystawieniu zaś i o grze, możemy mówić jedynie sposobem bardzo ogólnym.

Wystawienie samego drammatu w porównaniu z całą przeszłością teatru w Krakowie, było tak celujące, iż wszelkie porównanie nawet miejscaby mieć nie mogło, a zwłaszcza pod względem zewnętrznego uposażenia sceny. Wszak i gra sama, była prawie zupełnie zadowalniająca.

Artystka wystawująca rolę *Joanny* zarazem tak trudną i nużącą, dowiodła swjej usilności chwalebnej i zamiłowania w powołaniu swoim, a co więcej, dowiodła, iż pojmuje rolę *Joanny* i wie, jak ją grać wypada. Przecież jak we wielu innych sprawach, tak i w sztuce dramatycznej, co innego jest wiedzieć jak co dobrze czynić należy, a co innego jest samemu dobrze się z rzeczy uiścić; bo do tego oprócz wiadomości, trzeba mieć i indywidualność potemu: i dla tego mniemałbym, iż gdyby nasza artystka miała uczennicę z talentem, wyborniejby jęj w tej roli przewodniczyła. Dla niej samej inne role nierównie są właściwsze, co okazała bardzo często na scenie naszej. Artystka posiada szkołę, a to jest zaleta pewno bardzo rzadka; ale szkoda, że ta szkoła może zbyt znacznie wstępuje. — *Joanna* jest dziewczicą pełną prostoty; ją unosi

natchnienie, co na nią z góry spłynęło; cała jęj postać tak jak ją Szyller utworzył, jest widziadłem nadziemskim, eterycznym, lekkim. Tu wiejska niewinność zléwa się z potęgą niebiańską, a z duszy dziecięcęj wylatują czyny niby gromy. Największém tedy zadaniem dla artystki, byłoby ukrycie wszelkięj sztuki; bo sztuka okazujęcą się na jawie, wyradza się w sztuczność i manierowanie. Żalowaliśmy podobnie, iż wylewania się liryczne duszy jak np. owe pożegnanie ze stroną ojczystą w prologu, lub monolog na początku IVgo aktu tracił w deklamacyi.

Wytykajęc grę artystki, o ile jęj podzielać nie możemy, chętnie jęj przyznajęc niezaprzeczone zasługi położone na scenie naszęj, a przekonani jesteśmy, iż w roli Joanny nawet niktby jęj u nas wyrównać nie zdołał.

Theobald. Rola ta odegrana przez jednego ze znakomitych artystów, była jednak za krótko trwającą, by w nięj rozwinął swój talent objawiony nam przy innych i licznych sposobnościach. Radzibyśmy jednak byli, aby tą razą gra jego była w ściślejszym związku i z rolą samą, i z całą myślą sztuki. Artysta w roli Theobalda, czyli to okazuje podejrzenie z postępowania Joanny, czyli ją jawnie i na zgubę jęj o czary oskarża, przemawia głosem wewnętrznego i niewątpliwego przekonania, głosem człowieka, który nie tylko to przekonanie swoje za prawdę uważa, ale którego przekonanie jest w samęj rzeczy istotną prawdą. Artysta używa głosu i tonu, jakiego zwykł był używać w innych rolach, gdy mu przychodzi mówić z tą godnością, jaką przybięra przeświadczenie wewnętrzne wsparte na jasnej prawdzie. I w tém się z artystą zgodzić nie mogłem. Bo co innego jest myśl urojona w czyjęj duszy a błędna, a co innego przekonanie, które nietylko dla niego jest prawdą, ale i prawdą samą przez się, i

dla wszystkich innych ludzi. Przekonanie urojone inaczej się wyraża, inaczej zaś objawia się prawda. Wszak Theobald staje wręcz przeciw Joannie; więc albo ona, albo Theobald był w błędzie. Lecz o niewinności Joanny jesteśmy przekonani; więc téż dla tego właśnie tém więcej w głosie i w całym mieniu się Theobalda, obłąd jego okazałby się być powinien, a to tém więcej, żeśmy powyżej wytknęli, iż osoba Theobalda wyraża po prostu niskość uczuć, niepojmująca, iż człowiek bez pomocy piekła zdoła coś wielkiego i nadzwyczajnego sprawić. Że Joanna sama w Theobaldzie czci tylko ojca a nie człowieka, toć już mógł się artysta przekonać z tego, iż w prologu samym, ile razy Theobald zwraca mowę do Joanny, ona nie odpowiada mu nigdy, bo przeczuwa, iż on jój nigdy zrozumieć nie zdoła, a nie chce mu się sprzeciwić, mając uszanowanie dla niego jak dla ojca. Nakoniec sam Szyl-ler w pewnym liście nazywa Theobalda człowiekiem przesiąkłym podejrzliwością i zółcią.

Montgomery. Trwoga, bojaźń, strach, ubolewanie nad rodziną i kochanką, wybornie się wyrażało w artyście naszym, i z przyjemnością trzeba było się patrzeć na grę jego, którejby może nic nie było do zarzucenia, gdyby nie jedna drobna okoliczność, przeszkadzająca wrażeniu gry całej. A nie wspomnielibyśmy nawet o niej, gdyby właśnie dla drobiazgowości swojej nie była dowodem, jak często małe rzeczy brózdzą i stają się ważnym błędem. Tym błędem artysty są przypięte wąsy i broda. Przy lęku i przy tym przestraszu Montgomeryego, przy téj bojaźni śmierci, te wąsy i broda oznaczają obrzydliwe tchórzostwo będące wszędzie śmieszném i pogardy godném, a cóż dopiero u rycerza srożącego się wąsem i brodą? Ta uwaga byłaby już dostateczną, by dowieść niestoso-

wność i tych oznaków wojownika; ale nastęcza się nam jeszcze inna. Scena z Montgomerym, jak sam Szyller wyznaje, wcale nie jest dramatyczna, ale silnie się zbliża dla plastyczności swój do epopei, a co więcej, scena ta wypracowana na wzór sceny Iliady Homerowej, jak się łatwo przekonać można, porównywając ją z Ks. XXI Iliady. Tu znajdziesz Likaona w tém samym położeniu do Achillesa — i Likaon kłeka i o życie prosi i on obiecuje bogaty okup i o ojcu swym wspomina, jak tam Joanna tak tutaj Achilles powiada, iż go czeka śmierć. Tutaj wszędzie Homer nazywa Likaona *młodzianem*, a zatem tak jego trwożliwość ułagodzona drobnym wiekiem jego. Tę scenę przeniósł Szyller do poematu swojego, Montgomery także jest *młodzianem*, a zatem jemu niewłaściwe wąsy i broda. Ale uważmy wreszcie, iż Szyller w jednym ze swych listów powiada, iż Montgomery powinienby być granym przez *kobiętę*. Przecież mimo tych drobnych zarzutów tu uczynionych tym dwom artystom, wyrzec wypada, iż P. Rychter i P. Królikowski są młodymi artystami, pełnemi zdolności, mającemi piękną przyszłość, gdy nie ustaną w swój usilności rozwijania darów przyrodzonych i kształcenia się artystycznego.

Lyonel. Lubo sama rola krótka, bo przesuwana się niemal po scenie, przecież ta figura nie zasługuje bynajmniej aby była lekceważona. Wszak cały tok poematu naszego, jakieśmy to powyżej rozwinęli, dowodzi jawnie, iż Lyonel jest w grze samą jedną z najważniejszych osób, na nim się wszystko opiera. Pierwsza połowa sztuki, jest ciągły wzrost chwały i potęgi Joanny; ona coraz wyżej się dźwiga, a jej szczytem jest scena przed obaczeniem się z Lyonelem: zaledwie go ujrzała, gdy spada w przepaść i zgubę własną. Wypadalo tedy całą siłę, całą sztukę

zwrócić ku temu, by ją odegrać stósownie z myślą autora. Rola krótka nie zawsze jest rolą nieważną. Nie wątpimy też, iż artysta zrozumiał całość sztuki, i uczył się charakteru Lyonela ze scen, które opuszczone były na teatrze naszym, a w których mógł zrozumieć piętno rycérza tego. Mógł tedy widzieć, iż Lionel jest szlachetny i zuchwały, wzniosły a czuły, umiejący cenić prawdziwą wielkość choćby w najokropniejszym wrogu, jakim była Joanna: dla tego gorąca nienawiść ku niej kończy się u niego w cześć, w miłość pełną uszanowania a daleką od poufałości. Obeszło nas tedy, gdy w scenie, w której Joanna powaliła na ziemię Lyonela, gdy od jój woli zależy odebranie życia, i gdy on jeden z najmężniejszych rycérzy zwyciężony od dziewicy, w nią koniecznie widzieć musi czyli wpływ nieba, czyli piekła, gdy w téj mówię chwili artysta wstawszy, obejmuje ją poufale w pól; podobnie też scena z umierającym Talbotem i ostatnia w więzieniu nie miała właściwego sobie koloru. Życzylibyśmy także z serca młodemu artyście, by wydobył z siebie deklamacyą właściwą dla każdój roli, będącą że tak rzekę ąkompaniamentem myśli i czynu, a która winna być tak różną, tak rozmaitą, jak są różne charaktery osób, jak rozmaite i czyny i położenie; bo inaczej, ta deklamacya wyrodziłaby się w jakieś stereotypowe zmienianie głosu, zostające zawsze jedną i tą samą, bez względu na różnicę ról, w jakieś afektowane wymawianie. Toż samo powiedziec wypada o całym układzie ciała i gry fizyonomii; wszak taż sama namiętność wedle różnych charakterów indywidualnych ma inne wyrażenie swoje, inną deklamacyą, inne ułożenie i mimikę ciała. Gdy téj wady unikać będzie artysta nasz, spodziewać się można, iż uiści piękne nadzieje uczynione nam już przed kilką laty.

Tutaj mile wspomnieć wypada o artyście młodym, przedstawiającym rolę Karola VII. Powierzchowność przyjemna, ułożenie zgrabne, głos dźwięczny, wzbudzają w nas życzenie, by do tych zalet połączyło się ściśle spływanie ze swą rolą, by ona nie była zewnątrz niego, ale przenikała go zupełnie.

Słowem mówiąc, całość wystawienia była wcale zadawalniająca, życzylibyśmy jedynie więcej artystyczności w postawach i ułożeniu ciała, a zwłaszcza w ugrupowaniu się w scenach, gdzie wiele osób razem występuje na widok. Wszak rysunki Retscha do sztuk Shakspeara są pod tym względem niepospolitą nauką dla artystów dramatycznych, a zresztą przypatrzenie się litografiom jakimkolwiek, wywieszonym nawet przed księgarniami naszymi, a wystawującym obrazy wielkich mistrzów, najlepiejby uczyły, jak wiele figur ułożyć się może w artystyczną całość.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W **Cesarstwie Rosyjskiem**, w **Królestwie Polskiem**, w **Królestwie Pruskiem** i w **X. Poznańskiem** w Urzędach pocztowych prenumerować można. W **Galicyi** zaś tylko księgarnie przedpłatę przyjmują.

DWUTYGODNIK

LITERACKI.

N. 12. KRAKÓW dnia 15 Września. 1844.

Treść: Czy znasz ty łyzy? przez Paulinę z L. Wilkońskiej. — Początek biczowania się w Polsce, napisał J. Muczkowski. — Sama jedna, przez P. z L. W. — Kronika bibliograficzna.

Redakcyja Dwutygodnika uprasza Szanownych Prenumeratorów, którzy jeszcze przedpłat nie włożyli, ażeby się z nią wzięli do dnia 15 Września r. b. Prenumerujący zaś na pocztach w Król. Polśkiem i W. X. Poznańskiem zechcą nawczasu napisy na drugie półroczu przeczytać, albowiem mała liczba exemplarzy nad napis drukować się będzie.

CZY ZNASZ TY ŁYZY?

Chłopczyk skakał wesoło pomiędzy krzewiną,
Barwioną polnóm kwieciem i bujną trzmieliną,
A w tém nagle przystanął: — gołąbek skrwawiony.
Leżał przy dzikiéj róży, wystrzałem trafiony.
Zadrzało serce dziecka, żale je ścisnęły,
Zbladły młodzieuchne lica, z oczu łyzy płynęły.

O znasz ty łyzy?

Litości łyzy?

Czy znasz je ty?

Tęsknotą wytrawiona plakała dziewica,
Jak białej róży listek, tak blade jéj lica,
Pochylona jéj postać zdradzała cierpienia,
Pierś bólem przepalona tłumiła westchnienia;

Bo serce krwawią rany, rany niezgojone,
Biedne serce, w swój szczerój miłości zdradzone.

O znasz ty łyzy?

Zawodu łyzy?

Czy znasz je ty?

Ponad wioską, na wzgórzu, gdzie stérczy dąb stary,
Gdzie pobożni przy drodze wzniesli krzyż, znak wiary,
Stał wędrowiec ponury, z smutkiem w ciemném oku,
Z okolic u stóp jego nie spuszczał wzroku:
Tam nad rzeczką — tam niegdyś stała chatka mała,
Tam go z dwojgiem aniolków żona wyglądała.
Dzisiaj chatka zwalona, Marya nie żyła,
Jego dwoje dziatczek, chłodna ziemia kryła.
I zapłakał wędrowiec, łza po licu ścieka,
Nie zastał swoich, domu, wróciwszy z daleka!

O znasz ty łyzy?

Znasz męskie łyzy?

Czy znasz je ty?

Krwawa wojna zniszczyła złotorodne niwy,
Na zarzę powietrzną marł lud nieszczęśliwy,
Wszędzie wioski i miasta w gruzy zamienione,
Nawet świątynie Pańskie stały znieważone.
Lud ze łzami do nieba żale swe zanosił,
I Bóg modły wysłuchał, bo lud Boga prosił!

O znasz ty łyzy?

Znasz ludu łyzy?

Czy znasz je ty?

Paulina z L. Wilkońska.

POCZĄTEK BICZOWANIA SIĘ W POLSCE

NAPISAŁ

Józef Muczkowski.

Aczkolwiek już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa żarliwie pobożni, pomni na to, że Zbawiciel był biczowany, w czynieniu podobnej pokuty pochop stąd brali; stém-wszystkiém biczowanie się, które Baroniusz w swych rocznikach kościelnych *chwalebnym zwyczajem* nazywa, dopiero od roku 1056 upowszechnić się zaczęło. W tym bowiem czasie benedyktyński zakonnik ś. Dominik, od noszenia na gołym ciele pancerza, pancernikiem (*loricatus*) zwany, wielce sobie upodobał ten rodzaj pokuty ⁽¹⁾; a współczesny mu opat tegoż zgromadzenia Piotr Damiani

- (1) Wiadomość o życiu ś. Dominika pancernika przez Piotra Damianiego z Rawenny do Alexandra II, papieża, napisana, znajduje się w Żywotach Skargi pod dniem 14 października. W niej czytamy, iż ten pobożny mąż nie tylko że gołe swe ciało pancerzem okrywał, ale też dwie żelazne obręczce w pasie, a dwie drugie na ramionach nosił, i liczbę ich w podoszłym wieku podwoił. Dalej pisze Piotr o nim, iż raz na początku postu wielkiego prosił się Dominik, żeby mu rzezony opat 1000 lat pokuty na on post naznaczył, które nim się post skończył Dominik wypełnił. Później zaś, będąc już w podoszłym wieku, tak się do takich pokut zapalił, iż stojąc, ani się ruszając, dwakroć psalterz z dyscypliną odprawiał i w onym pancerzu tysiąckroć przez jeden psalterz przyklekał. Co większa, trafiało się iż dwa-naściekroć, nie przestając, psalterz z śpiewaniem, a różgami się bijąc, przebiegał nocą i dniem bez przestanku. Jego przykładem wielu się innych takiego biczowania i czyszozu nauczyło, a nie tylko mężowie, ale i białogłowy. Skarga l. c. Baronii *Annales. a. 1056 n. 7.*

z Rawenny, później kardynał i biskup ostyjski, całemu chrześcijaństwu, szczególnież zaś zakonnikom, biczowanie się, jako zbawienny środek do uzyskania grzechów odpuszczenia, najusilniej zalecał, nauczając, że trzy tysiące razy siebie zacinający, a przytém psalmy odmawiający, rok odpustu otrzymuje ⁽²⁾. Ta nauka utwierdzona ostrém Damianiego życiem, którego żywe uczynki silniej na ogół działają, niż marne uczące słowa, gdy przy swój ozdobności tylko cnotę kłamią, tudzież głośna jego świątobliwość, wielu do naśladowania pobudziły. Odtąd duchowni i świeccy, mężczyźni i kobiety różnego stanu i wieku poczęli różgami, rzemieniami i łańcuszkami smagać swe ciało; a ten rodzaj pokuty nazywano dyscypliną, podobnie jak i użyte do niej narzędzie, które to z trzech, to z czterech, najpospoliej zaś, na pamiątkę pięciu ran Chrystusowych, z pięciu się pasków składało. Panujący, jak np. Henryk II, cesarz († 1056), używali do téj posługi swych spowiedników; a ś. Ludwik, dziewiąty tego imienia król francuzki, nosił przy sobie puszkę ze słoniowej kości z żelazną dyscypliną i sumnienia swego przewodnika nader często do silnego smagania się zachęcał. Pobożny ten monarcha i książętom i księżniczkom rozdawał dyscypliny, jako szczególniejsze swój łaski upominki ⁽³⁾.

(2) „Sto lat pokuty liczym z mówienia psalterza, w którym jest 150 psalmów, dwadzieściamiakroć z dyscyplinami czyli z biczowaniem, licząc sto zacięcia na każdy psalm, a 3000 zacinania za rok jeden pokuty“. Piotr Damiani w Żywotach Skargi pod 14 października.

(3) *Post confessionem a confessorio suo disciplinam semper recipiebat cum quinque catenulis ferreis* i t. d. mówi o nim dwudziestoletni jego spowiednik dominikan Gaufridus de Bello loco, który z polecenia Grzegorza X. pap. jego ży-

Taki przykład źle pojętej pobożności, z postępem czasu coraz więcej upowszechniał się, zwłaszcza kiedy w następnych wiekach, wielu nieszczęściami dotknięte, przez ucisk znikczemniałe, a przez nadmiar niedoli z wszelkich uczuć swobody, godności i ludzkości wyzute narody, przy swém umysłowém uspieniu, nie znajdowały innej pociechy w religii, którą w ciemnościach grubego nieuctwa zanurzeni jęj kapłani fanatyzmem skazili i zamęcili.

Przekonanie, że przez takową pokutę odpuszczenia grzechów i wiecznego zbawienia dostąpić można, natchnęło w r. 1260 pustelnika Rainera z Perugia (Perudży), iż pod brzemieniem nieszczęść i wewnętrznych wojen upadającemu i wielce sobą trwożącemu ludowi ten sposób prześlągania Najwyższego szczególnieź zalecał, oraz napominał, że jeżeli się do pokuty nie uda, i korny o pokój i miłosierdzie Boga prosić nie będzie, to wszystek wkrótce od powietrza niezawodnie wyginie. Te słowa przerażenia i trwogi wskróś przejęły niedolą znękanę umysły i ściśnione serca. Chęciwie więc rzucono się do pokuty przez Rajnera wskazanęj. Jakoż, już późno w jesień, mężczyźni i niewiasty wszelkiego stanu i wieku, niezwłocznie jakby z namowy, po pas obnażywszy się, po mieście chodząc i gołe ciało dyscypliną siekąc, rzewnemi głósy N. Maryę Pannę błągali, by u Syna swego odpuszczenie grzechów wyjednać im raczyła; a wyzuwszy się z dawnych niechęci i nienawiści, przepraszali się i przez wzajemne uściski jednali. Następnie wychyliwszy się z rodzinnego grodu, z długim na czele rzędem chorągwi, obiegali sąsiednie miasta, do których wchodząc, z powszechném zdumieniem

wot napisał. Ś. Ludwik panując od r. 1226 do 1270 w tym czasie w Tunis życie zakończył. *Acta Sanctorum Augusti T. V. str. 547 §. 23.*

to na drodze, to w świątyniach tę nową pokutę czynili. Tym widokiem zachęceni miejscowi naśladowali ich żarliwość, a biczując się, i o pokój i miłosierdzie Boga gorąco błagając, do dalszych miast wrzaz z przychodniami spieszyli, i podobnie jak biegiem wezbrane rzeki, coraz tłumniej, z biskupami i rządcami na czele, okoliczne miasta przebiegając, ludzi obojęd płci i wszelkiego stanu i wieku do naśladowania siebie wielce zagrzewali. Nowy ten rodzaj pokuty tak licznych znalazł naśladowców, że w piérwszym dniu listopada, tegoż roku (1260), do Modeny już około 20,000 biczowników z chorągwiami przybyło ⁽⁴⁾, skąd się następnie nie tylko po innych stronach ziemi włoskiej, ale téż i po sąsiednich krajach rozlali; zwłaszcza, kiedy Manfred, który się królem Sycylii i Apulii był uczynił, i część tuskiego i ankońskiego zawojował, tudzież margrabia Palavicinus w Kremonie, i innych posiadłościach swoich, nie tak ze względów religijnych, jako raczej z obawy, żeby za pomocą tego zwolennictwa nie wyzuto ich z władzy, którą sobie byli przywłaszczyli, wiązania się z biczownikami pod karą śmierci zakazali ⁽⁵⁾.

Skoro przy schyłku tego lata (1260), i w roku następnym, tłum ten, ze steku różnych narodów złożony, przeszedłszy Alpy, i po Niemczech się rozlał, wtedy i sąsiednią Polskę dotknął swą zgubną zarazą. Jakoż według świadectwa spółczesnego Baszkona, kustosza poznańskiego, w r. 1261, wszczęło się między wieśniactwem naszym zwolennictwo biczowników, których zgraje, mając na czele po dwóch z chorągwiami i świecami, obnażone, i tylko płatem w biodrach przepasane, idąc jeden za drugim i jakieś

(4) Sigonius *de regno Italiae lib. IX. p. 97.*

(5) *Monachus S. Justinæ Paduanus Chron. lib. III. ap. Urstium part. I. p. 613.*

pienie śpiewając, dyscyplinami srodze się siekli, a dwa-kroć na dzień t. j. o 1wszej i 9tej godzinie przez 30 dni tę pokutę czynili, zapewniając, że, ktoby się przez tak długi czas biczował, ten wszystkich grzechów odpuszczenie otrzyma. Janusz, arcybiskup gnieźnieński, w całej metropolii pod karą klątwy tych zbiegowisk zabronił, oraz usilnemi przełożeniami do tego przywiódł panujących książąt, iż ci zagrożeniem kary więzienia i utraty majątku zwolennictwo to przytłumili ⁽⁶⁾. Długosz ⁽⁷⁾, a za nim Maciej z Miechowa ⁽⁸⁾ i Naruszewicz ⁽⁹⁾, mylnie podają, jaboby się ta sekta we Francyi wyklęła. W pierwszym z nich czytamy, że tłumy tego zwolennictwa, przybywszy do Polski, przebiegały kraj w uroczystym porządku, obyczajem mnichów zakapturzone. Pokutnicy ci, po pas obnażeni, dyscyplinami o czterech paskach z węzełkami na końcach jeden drugiego srodze po plecach smagali, każdy w swym języku nabożne pieśni śpiewając. Zgraja ta nie przed kapłanami, ale przed sobą nawzajem spowiedź czyniła, a nawet od śmiertelnych grzechów rozwiązywała się, twierdząc, iż jej zwolennictwo, i Bogu nader miłe; i duszom krewnych, nawet w piekle będącym, pomocne; i dla umierających w tej pokucie, wielce jest zbawienne. Zaledwie te pobożnisie, przybywszy do Krakowa, niektóre kościoły zwiedziły i pokutę w nich uczyniły, alіści Prandota, biskup krakowski, zagrożeniem więzienia z miasta je wypłoszył. I w innych ziemiach Polski, jak się wyżej wspomniało,

(6) *Baszko ap. Sommersb. Silesiacar. rerum scriptt.* T. II. p. 74, a w tłumaczeniu Kownackiego str. 270.

(7) *Hist. pol.* T. I. lib. VII. p. 764.

(8) *Chronica polonorum. Crac.* 1521 pag. 166.

(9) *Hist. pol.* wyd. I. T. V. str. 73, wyd. Most. T. V. str. 104.

nie lepiej byli przyjęci. Tak więc skoro na ziemi polskiej stanęli, zaraz *ich wysmiano i niemi pogardzono* ⁽¹⁰⁾.

Lubo to zwolennictwo, z przyczyny szkodliwości swych zasad ⁽¹¹⁾, tak przez władze świeckie jak i duchowne, niemal wszędzie, było ścigane i wytępiane, jednakże pomimo surowych postanowień przeciw sobie, i w późniejszych czasach przed rokiem 1347 we Włoszech i w Niemczech wielokrotnie się tu i owdzie wynurzało ⁽¹²⁾.

Ale początek prawdziwej biczowników sekty niektórzy pod r. 1340 odnoszą. Jakoż w tym czasie w d. 25 marca zbiegowisko ludu różnej płci pod Kremoną w wiosce Korrigisiorda w liczbie około 10,000 z różnych dyecezyj zebrane, zwolennictwu temu początek dać miało. Ludzie ci, bosy i w łachmanach, włócząc się po wsiach i miasteczkach, biczowali się i jałmużnę wyciskali. Przewodniczyła temu stekowi, dziwnej urody dziewica, w udawaniu świętoszki wyćwiczona przez złego życia kapłana, z którym w niecnym była stosunkach. Ta, z rozkazu biskupa kremonskiego ujęta, naganne swe życie w płomieniach zakończyła ⁽¹³⁾.

⁽¹⁰⁾ *Secta ipsa irrisa et spreta est. Dług. Hist. pol. t. c. p. 765.*

⁽¹¹⁾ Szkodliwe biczowników zasady skreślił Teodoryk Urie w swej *Historia concilii Constantiensis lib. IV. distinc. 13*, a von der Hardt w swoim *Concil. Constant. T. I. part. I. p. 127* seqq. tudzież Christianus Schoettgenius w piśmie *de secta flagellantium commentatio Lips. 1711. 8.* na str. 45 i następnych znowu je powtórzyli.

⁽¹²⁾ *Schoettgenius l. c. p. 62—64.*

⁽¹³⁾ Bernardin. *Cor. hist. Mediolan. parte 3. w Bzovii Annales eccl. pod r. 1340. n. 24. In agro Cremonensi ad XXV diem Martii in pago Corrigisiordae ad decem millia hominum promiscui sexus— flagellantium sectae initia aperuere.*

Nic atoli do wznowienia i upowszechnienia tego szczególnego rodzaju pokuty tak bardzo nie przyłożyło się, jak owo straszne powietrze, którym Europa w 1347 r. i latach następnych dotkniętą została. Zaraza ta z Azji przyniosłszy się na zachód, we wszystkich niemal krajach naszej części świata tak bardzo się srożyła, iż, według powszechnego dziejopisów podania, w miastach, miasteczkach, wsiach, świątyniach i wszelkich posiadłościach, a nawet po całych prowincjach, wkrótce grobowa cisza osiadła; a w wielu okolicach rozkoszne niegdyś niwy w dzikie zamieniły się zarośle. Wąliły się wyludnione miasta, do których obietnicą wielkich korzyści nowych osadników zwabiano; a ulewne dęszcze niszczyły domy i świątynie, bo nie było, ktoby je od zagłady zasłonił (14).

Te okropne, w niektórych okolicach z wielkiem trzęsieniem ziemi połączone, klęski, które, według podania, połowę ówczesnej ludności pochłonęły, wywarły nadzwyczajny wpływ na owe ciemne, zdziczałe, brzemieniem nieśćczęść stłumione, i do rozlewu krwi nawykłe, atoli głęboko wkorzenioną i silną wiarą ożywione ludy. Jakoż szczególnie w tym czasie, chcący przez modły uchylić od siebie zagrażające niebezpieczeństwo, zwolennicy nowój pokuty, biczownikami zwani, wylali się z Węgier do Polski, i sąsiednich jój Niemiec, Francyi, Włoch i Anglii dosięgli. Ale ta tłuszcza nie długo u nas gościła, bo oburzające jój dziwactwa i zdrożności, zdrowy większej części narodu obrażały rozsądek (15).

(14) *Leander de viris illustribus Ord. Praed. in Rajmundo XXIII. Generali.*

(15) *Pestis a cerba, duobus illis annis Poloniam omnem pervasit, tanta vi grassata, ut pagos atque oppida hominibus vacua redderet* i t. d. *Crameri Polonia ed. Colon. p. 212.*

Biczownicy, których do téj obłędliwości najwięcej przywiódła wieść, jakoby przez aniołów z nieba przyniesiony i w Rzymie na ołtarzu ś. Piotra złożony list, szczególnież zalecał 33chdniowe biczowanie się, jako jedyny środek pokuty przez Zbawiciela, na złość chrześcian zagniewanego, wskazany, gdy za nimi N. Marya Panna prosiła, na głowie z przodu i z tyłu, lub téż na odzieniu czerwone krzyże mający, boso i po pas obnażeni, po dwakroć we dnie, raz zaś w nocy aż do krwi siekli swe ciało. Nikomu z nich nie wolno było żebrać, i dla tego ludzi bez zasobów wcale nie przypuszczali do swojej społeczności, do której należeć chcący, wypowiadać się i winowajcom swoim wszelkie winy odpuścić powinni byli. Niemcy z początku, wielką czią dla nich przejęci, w zawody ich zapraszali do swego stołu. Ale oni nigdzie dwa razy nie jedli, ani téż dłużej nad noc lub jeden dzień nie bawili. Liczne zgraje ludzi, różnego powołania, czepiały się tych nabożnisiów, którzy często do tłumu przemowy czynili, a gardząc kapłanami i lekce ważąc słowo Boże i nabożeństwo, przenajświęszemu Sakramentowi należnej czci nie oddawali i w swym obłędzie jedyną ufność pokładali. Mężczyzni z kobietami pomieszani, boso, na poły obnażeni i tylko w biodrach płatem przepasani, z zakapturzoną głową i drewnianym krzyżem w rękę, każde w swoim języku pieśni o męce pańskiej, i inne wierze chrześciańskiej przeciwne, śpiewając, to po kościołach, to na miejscach publicznych, dyscyplinami, na końcu po trzy węzły z żelaznymi kolcami mającemi, nielitościwie się siekli, albo téż, krzyżem leżąc, modlitwy czynili, lub nabożne pieśni śpiewali; kiedy tymczasem przez tak leżących każdy z bi-

Długosz w T. I. ks. IX. str. 1094. okoliczność tę pod rokiem 1351 umieszcza.

czowników przeskakiwał i raz ich dyscypliną uderzał. Pomimo tylu zdrożności i nagannych zasad, pomimo iż w niektórych krajach połączył się z nimi stek ludzi najgorszego zachowania się, biczownicy dziwną swą pokutą tak dalece wielu ujęli, że tu i owdzie nie tylko kapłani, ale nawet i biskupi z nimi się łączyli (10).

Kiedy ogrom nieszczęścia częstokroć najoświecześnie umysły i najmocniejsze dusze osłabia, kruszy i do upokarzającego rozum wiedzie przesądu, nic więc dziwnego, że ówczesne ludy pod nadmiarem niedoli upadające, a w swém ograniczeniu umysłowém prawdziwego jój źródła odkryć nie umiejące, w grubym przesądzie jój początku szukały. Wszakże, bądź przez powszechne zaślepienie i nienawiść obudzone, bądź też przez złośliwą i za korzyściami goniącą chciwość rozgłoszone mniemanie, jakoby żydzi, z których wielu w owych czasach było lekarzami lub przez swą zabiegliwość do znacznego przyszło majątku, studnie i wszystkie wody zatrąwszy, chrześcian wygubić usiłowali, było hasłem w niektórych krajach, szczególnież zaś w Niemczech, do srogiego i powszechnego prześladowania tych nieszczęśliwych. Skoro bowiem przez ciężkie katusze na wielu z nich, tu i owdzie, wyciśnięto fałszywe zeznanie czynu, o którym i nie myśleli; zaraz ich wszędzie mordować, wycinać i palić zaczęto. Jakoż w samėj Bawaryi do 12,000 nicwinnych wymordowano (11), a w Kolonii, gdzie się i okoliczni żydzi byli schronili, według podania społecznego kronikarza Limmuisis do 25,000 wyciąć ich miano (12). Te okrucieństwa do takiej rozpaczy

(10) Bzovii *Annales eccles. a. 1349 n. 2.*

(11) *Naucler. generat. 45. ap. Bsovium a. 1348. n. 18.*

(12) E. C. de Gerlache *Notice sur un manuscrit de Li Muisis Abbé de St. Martin de Tournay; zob. Nouveaux mémoi-*

nieszczęśliwych przywiodły, że kiedy, jak pisze dopełniacz Wilhelma de Nangis, biednych żydów palono, żony ich, własne dzieci, by je zachować od przyjęcia przesładującej siebie wiary, w ogień za nimi miotały, a potem same się weń rzucały ⁽¹⁹⁾.

Kiedy miasta niemieckie, w skutek poważnych swych narad, żydów, za sprawców powszechnej zarazy uznawszy ⁽²⁰⁾, nielitościwie paliły i wycinały, naród nasz z łagodności znany, dał bezpieczny nieszczęśliwym przytułek. Tu nie tylko chroniący się swe bogactwa wnosili, ale też i obcy ich bracia ogromne przesyłali summy, które Kaziemięrzowi W. podnoszenie miast ułatwiały ⁽²¹⁾.

Aczkolwiek zwolennictwo biczowników i w następnych latach, pomimo doznawanego przesładowania, kiedy niekiedy w Niemczech wynurzało się, stémwszystkiem w r. 1454 po raz ostatni wzmiankę o nich znajdujemy; bo przybyli tam z Włoch w r. 1501 i przez opata Trithemiusza opi-

res de l'Acad. royale des sciences et belles lettres de Bruxelles. Bruxelles 1837. T. V. str. 18.

(19) In Alemannia et alibi per diversas partes mundi, ubi Judaei habitabant, fuerunt trucidati et occisi a Christianis, et cremati passim et indifferenter multa millia Judaeorum, et est mirandum de eorum et suarum uxorum fatua constantia; nam dum cremarentur, ne eorum parvuli ad baptismum convolarent, matres eorum primo in ignem projiciebant liberos, deinde post ipsos caedem matres super ipsos in ignem se praecipitabant, ut cum maritis et eorum parvulis cremarentur. D'Achery *Spicilegium* tom XI. str. 807.

(20) Schöpflin *Alsacia illustrata. ed. Colon. 1761. f. T. II. str. 343*, w *Czackiego Rospr. o żydach. Wilno 1807. 8. str. 62.*

(21) Wacł. Grabowski *o żydach w koronie 1611 r. 4 str. 9*, w *Czackiego Rozprawie o żydach. str. 74. 75.*

sani pokutnicy, w niektórych względach od biczowników znacznie się różnili ⁽²²⁾.

W Polsce, jakśmy wyżej wspomnieli, chroniąc się przed powietrzem z Węgier, powtórnie w r. 1351 mnóstwo biczowników obojęt pici przytułku szukało; ale i teraz po krótkim bawieniu, za usilnym biskupów naleganiem, zgraje te ustąpić musiały; bo ten rodzaj pokuty, obrażający naturę i świętości religii chrześcijańskiej uwłaczający, nie trafiał do przekonania zdrowo wówczas myślących i w czystości nauk Zbawiciela zachowujących przodków naszych. Trzeba więc było Jezuitów, żeby, zwiódlszy naród z drogi rozsądku, wprowadzili do kraju obyczaj, którym się w dawnych wiekach słusznie brzydono. Jak bowiem, ci wymyślacze nęcących w obrządkach religijnych nowości, przedtem we Włoszech, a w r. 1574 i we Francyi bractwa biczowników zaprowadzili, i nietylko chciwego wyniesienia się kardynała Karola Lotaryńskiego ⁽²³⁾, ale też i Henryka III, najprzód polskiego, a potem francuzkiego króla, do téj zakonnej zabawy wciągnęli ⁽²⁴⁾; tak i do nas, jak

⁽²²⁾ *Chron. Sponheim p. 415.*

⁽²³⁾ Karol Lotaryński z zaciębnia się podczas processyi w wozie, i biczowania się o życie został przyprawiony. *Thuanus Historiar. sui temp. ed. Francof. 1610. T. II. p. 29.*

⁽²⁴⁾ Król ten tak żarliwym był zwolennikiem téj nowości, iż nietylko że sam processyj z biczowaniem się bywa uczestnikiem, ale w r. 1583 bractwo biczowników swą władzą królewską utwierdził. Powstawali na te gorszące nowości oświeceni i prawdziwie pobożni kapłani i bez ogródki ganili je w swych kazaniach, szczególniej zaś uczony teolog *Mauricy Poncet*, który za uszczypliwe przeciw biczownikom wyrażenia się pod czas kazania, uległ karze osadzenia go w klasztorze ś. Piotra w Melun. *Thuanus Hist. sui temp. ed. Francof. 1625. lib. 78 pag. 475.*

się z tego chełpi ich pisarz Szembek, w *Gratisie* przeciw akademii krakowskiej wydanym (str. 455), piérwsi wnieśli w r. 1587 obyczaj ohyduego biczowania się, oraz noszenia włosiennic i łańcuszków; na czém przodkowie nasi przez dwa wieki pobożność swą obłądliwie zasadzali. „Jezuickie dyscypliny, i włosiennice, mówi rzeczony pisarz, wiem dowodnie, że są tak twarde i ostre, że się drugich zakonów dyscyplinom przynajmniej równają. Łańcuszki albo paski żelazne takie mają, jakich ledwie które tylo zakony okrom nich używają. Od dyscyplin i trapienia ciała nietylko ludzi nie odwodzą, jako niektórzy o nich twierdzić ważyli się; ale téż najpiérwsi ze wszystkich byli, którzy do Polski wprowadzili dyscypliny, które się w kościołach i po ulicach w processyach od bractw dziać zwykły: oni najpiérwój chodzenie w kapach w piątek wielki wnieśli przez bractwo miłosierdzia, któremu téż dla tego samego ś. p. kardynał Radziwiłł († 1600), napiérwsze miejsce we wszystkich processyach bractw w kapach chodzących naznaczył; na którym po dziś dzień chodzi. Między młodzią, która się w ich szkołach uczy, a w kongregacyach abo bractwach Panny Maryj w nabożeństwie ćwiczcy, jako często dyscypliny, włosiennice i paski z powrózków z węzełkami ostro nawiązanymi uwijają się⁽²³⁾, a w piątek wielki, i ile razy

(23) Nieludzki, a zatem i niechrześcijański, zwyczaj dręczenia się przez noszenie pasków i powrózków z węzełkami ostro zawiązanymi lub drutem przeplataneimi, przez żarliwość Jezuistów tak dalece upowszechnił się w Polsce, że jeszcze w końcu zeszłego, a nawet i na początku bieżącego wieku i świeccy i duchowni tu i owdzie tej dzikiej, żagodności świętej wiary chrześcijańskiej uwłaczającej, pokuty żarliwie używali, jak to świadczą wiarogodne podania o zakonnikach

potrzeby pospolite koronne abo miast jakich to wyciągają, jak wiele dyscyplin w kościołach od ich studentów czynionych, wszyscy jawnie widzą.“

Wielewicki, Jezuita, w swym szacownym rękopismie dzieje domu Jezuitów professów w Krakowie obejmującym, podaje wiadomość, kiedy po raz pierwszy biczowanie się w Polsce zaprowadzono. Byłoto w r. 1587, kiedy, jak pisze, dla ubłagania Wszehmocnego, by miłosierném okiem na kraj wejrzeć raczył, czterdziestogodzinne nabożeństwo, tudzież biczowanie się, oboje dotąd ledwie z posłuchu znane, a bynajmniej nie używane w całym Królestwie, z powszechném uwielbieniem i zapałem Jezuici zaprowadzili, i temu nabożeństwu, w czasie oblężenia w tym roku Krakowa, i zwycięstwo oblężonym, i szczęśliwe Zygmunta III. na tron wstąpienie przypisywali ⁽²⁰⁾.

Odtąd nie było supplikacyj lub processyj w kapach, z któremiby biczowania się nie łączono. I tak: kiedy w r. 1595 kraj od Tatarów był zagrożony, podczas czynionych po różnych kościołach supplikacyj, w niezliczoném zebraniu pobożnych, a szczególniej bractwa miłosierdzia, znajdowali się najznakomitsi stanu rycerskiego mężowie, wszyscy worami czyli kapami pokryci; był téż i król Zygmunt III, podobnie jak inni worem okryty, i z wielkiém wszystkich

i innych osobach, na których po ich zgonie, wrosnięte paski znalezione.

(20) Ad numen regno nostro propitiandum singulis mensibus supplicationes quadragenarias et flagellationes publicas (utrumque genus vix auditum nedum usitatum Regno toto) magna approbatione et favore instituimus. Wielewicki *Historici Diarii domus professae Cracoviensis Societ. Jesu.* T. I. pag. 81.

zbudowaniem krzyżem leżał ⁽²⁷⁾. A kiedy w roku następnym (1596) w różnych czasach czterykroć odprawiano supplikacye dla odwrócenia nieszczęść chrześcijaństwo dotykających, bractwo miłosierdzia, w którym się znajdowało wiele najznakomitszych osób duchownych i świeckich, tak rycerskiego jak i senatorskiego stanu, nowym obyczajem, długim rzędem, boso postępując ⁽²⁸⁾, biczowało się; przez co prócz korzyści jaką dla dobra powszechnego i dla siebie wyjednać usiłowało, i ten swój pobożności odniosło owoc, że odtąd i inne bractwa przejęły biczowanie się, i takowe na zawsze zachowały ⁽²⁹⁾.

Ale najokwieciej lała się krew biczowników w Krakowie w r. 1603, podczas jubileuszu przez Klemensa VIII papieża na prośbę Zygmunta III na miesiąc jeden pozwolonego, a później na powtórne tegoż monarchy przełożenie, w d. 18 stycznia 1603 roku na trzy miesiące przedłużonego, który Maciejowski bisk. krak., d. 22 lutego t. r. ogłosił. Wtedy bowiem król Zygmunt III, nie tylko, że kaplice na modlitwy jubileuszowe przeznaczone, niemal najpierwszy, obchodził; ale też z bractwem miłosierdzia, worem okryty, szczególnież zaś w wielki piątek, processyie przykładowie z biczowaniem się i leżeniem krzyżem odprawiał; przez co i senatorów i innych do żarliwego siebie naśladowania pobudził i zachęcił ⁽³⁰⁾. Bractwo męki

(27) *Wielewicki l. c. str. 139.*

(28) Że i we Francyi pod czas takich processyj boso chodzono, świadczy to wyżej przywiedziony *Thuanus* w księdze 78 na str. 475, gdzie wraz przywodzi tę okoliczność: że Jerzy *Joussa Sandesiderius* z chodzenia boso dostał dyaryi, i z niej życie zakończył.

(29) *Wielewicki l. c. str. 162.*

(30) *Compendium jubilei et rerum cognitu dignarum, quae circa ejus celebrationem Cracoviae a. d. 1603 gerebantur a*

pańskiej, przez czas trwania jubileuszu, co piątek, w worach i boso, uczęszczało do kościoła katedralnego, w którym po siedmkroć, to jest: pierwszy i ostatni raz przy grobie ś. Stanisława, pięćkroć zaś w pięciu kaplicach jubileuszowych, ostrą dyscyplinę czyniło ⁽³¹⁾. Przybyli z dalekich stron kapnicy, miejscowym w żarliwém sieczeniu się bynajmniej nie ustępowali ⁽³²⁾. Najwięcej atoli biczo wano się podczas processyj jubileuszowych, wtedy bowiem mnóstwo osób worami z grubego płótna okrytych, boso idąc, to dyscyplinami, to różgami przez całą drogę aż do krwi z powszechném rozrzewnieniem srodze się siekło ⁽³³⁾.

W r. 1607 zaczęli Jezuici w kościele ś. Barbary po raz pierwszy, dotąd jeszcze nie widziane w Polsce, przez trzy dni mięsopustne t. j. dnia 25, 26 i 27 lutego odprawiać nabożeństwo, na którym codziennie biskupi celebrowali, a w pierwszym dniu król z królową i królewiczem Władysławem był obecny ⁽³⁴⁾. Przywiązane do tego nabożeństwa odpusty, zwabiły tłumy ludzi różnego stanu, zwłaszcza że i inne zakony, jakoto: Karmelici trzewickowi i Bernardyni wielkie z sobą do kościoła jezuickiego przywiedli rzesze, którym przykładem swoim przewodniczyli w oznaczonych do modlitwy godzinach. Wszystkie bractwa, mówi dalej Wielewicki, w mieście będące, przybywszy na to nabożeństwo w worach pokutnych, żarliwie

Joan. Janussocio polonice conscriptum. Et a Mag. Stanisł. Nigritio publico Philosophiae in Acad. Crac. Prof. in lat. idioma conversum. Cracoviae. in off. Lazari. 1603. 4. str. 31.

(31) Tamże str. 34.

(32) Tamże str. 34, 35.

(33) Tamże str. 37.

(34) *Coepta hoc anno tridui bacchanalium precatio egregium habuit et apparatus et successum in nostro s. Barbarae templo.* Wielewicki l. c. str. 347.

się smagały. Szczególniej atoli, tak gorącą pobożnością jak i piękną muzyką, tudzież usilném biczowaniem się, odznaczyło się bractwo ś. Anny, na końcu XVI w. tutaj zaprowadzone, to z mistrzów i bakałarzy, których większa część boso była, to z młodzieży do przesławnej akademii tego miasta uczęszczającej złożone⁽³⁵⁾. Nie dosyć bowiem że podczas śpiewania psalmów pokutnych bractwo to trzykrotnie najmocniej się siekło, ale też, kiedy odśpiewywano gorzkie żale, rodzaj umartwienia czwarty raz powtórzyło; aby potokami swój krwi i Najwyższego ubłagało i szalony gmin odwiodło od rozkoszy, której nagrodą są wieczne kary⁽³⁶⁾. I w roku następnym (1608) w czasie mięsopustu od 17 do 19 lutego odprawiało się w kościele ś. Barbary z wielką skrucą i biczowaniem się połączone trzechdniowe nabożeństwo, po którym po raz pierwszy przez cały post gorzkie żale codziennie śpiewano⁽³⁷⁾. Odtąd i w latach następnych w dni mięsopustne w kościele ś. Barbary podobne pokuty czyniono, które się z czasem tak dalece upowszechniły, że kiedy ten kościół nie mógł wszystkich pomieścić, i w innych świątyniach a nawet i na publicznych miejscach biczowano się. I tak w r. 1637 nie tylko przez czterdziestogodzinne nabożeństwo smagano się, ale też w d. 24 lutego podczas konkluzji nabo-

(35) Przywilej na to bractwo, na prośbę kapituły kościoła ś. Anny w Krakowie, przez Sulikowskiego arcybiskupa lwowskiego w październiku 1590 temuż kościołowi udzielony, w r. 1593 w listopadzie przez Kardynała Radziwiłła był potwierdzony.

(36) Wielewicki l. c. str. 348.

(37) *Coepta est hoc anno per quadragesimam decantatio passionis Dominicae singulis diebus, sicut et ceremoniae Parasceves, quae antea in nostro templo non fiebant.* Wielewicki l. c. str. 365.

żeństwa, bractwo rzemieślnicze od ś. Piotra, nie mogąc się do kościoła ś. Barbary docisnąć, najprzód u ś. Macieja, a następnie w świątyni N. Maryi Panny, dokąd przybyło z chorągwiami cztery ostateczne rzeczy przedstawiającymi, żarliwie się dyscyplinami siekło ⁽³⁸⁾. Podobnie w dniu 7go marca 1638 roku w czasie mięsopustu Jezuita z kollegium ś. Piotra z témże bractwem na rynku kazi-miérskim przy stojącej tam kamiennéj figurze dyscyplinę czynili, podczas, gdy z towarzyszących jeden Jezuita mówił do ludu stósowne nauki. I w dniu następnym po zakończeniu nabożeństwa w kościele ś. Piotra z uroczystą processyą, bractwo rzemieślnicze, już wieczorem, wyszło na rynek krakowski, gdzie się wielościanem biczowało, a każący tu i owdzie Jezuita zebrany lud do pokuty zagrzewali ⁽³⁹⁾.

Na tém końcu wspomnienie o biczowaniu się w Polsce, bo dzieje zgromadzenia Jezusowego w Krakowie przez Wielewickiego opisane, tylko do końca maja r. 1639 dochodzą; lubo nie masz wątpliwości, że ten rodzaj pokuty utrzymywał się aż do końca zeszłego wieku, jak mié o tém zapewniły osoby, które biczujących się w tym czasie w różnych stronach Polski widziały, lub téż same tę pokutę czyniły.

Jak we Francyi przykład króla Heuryka III. wielu zwabiał do zaciągania się pod chorągwie biczowników, tak i u nas, nie pomalu zachęceno się do téj szczególnéj pokuty, kiedy najprzód Zygmunta III., a następnie dwóch jego synów Władysława i Jana Kazimierza, między kapnikami widziano. Wszakże już w r. 1633 obadwaj kró-

⁽³⁸⁾ Tenże I. c. str. 1111.

⁽³⁹⁾ Tenże tom IIgi str. 81.

lewicze w kapach obchody czynili ⁽⁴⁰⁾; a o pierwszym z nich wspomina Albrycht Stanisław Radziwiłł, sam najzarliwszy biczownik, że w roku 1638 dnia 2 kwietnia w Warszawie niektóre groby Pańskie odwiedził, a wieczorem w publicznej processyi między kapnikami nieznanymi dyscyplinę czynił ⁽⁴¹⁾.

Aby czytelnik tój wiadomości o biczownikach dokładne mógł mieć pojęcie, jak dalece dziwny ten akt pokuty w XVIIym wieku był się u nas upowszechnił, dosyć tu będzie przytoczyć szczegóły tego rodzaju, o wspomnianym wyżej księciu Albrychcie Radziwiłł, kanclerzu wielkim litewskim, które pisarz jego żywota starannie nam zachował; z nich bowiem poznawszy w jaki sposób Radziwiłł, wśród Jezuitów wzrosły, i szczególniej od nich miłowany, pobożność pojmował, niemylnie stąd powźmiemy zdanie o całym w owych czasach albo przez spaczoną edukacją na umyśle stłumionym i zwichniętym, albo, co bezwątpienia mniej niż tamto jest szkodliwe, żadnego oświecenia nie mającym narodzie. „Dyscypliny u niego, mówi o Albrychcie rzeczony pisarz, niesłychane były, i ledwo do wiary podobne, ale *sic me Deus adjuvet*, że to prawda. Trzeba było przed starszym pokojowym obligować się na sekret, który po śmierci księcia, jego pozostali teologowie, wyjawić pozwolili. Sam się nie dyscyplinował, chyba z młodu; i znać, gdy na oczy począwszy falować, wziął tę przestrożę, aby grzbietu nie dyscyplinował; jakoż żyjąc wiek długi, nie zażywał okularów, wiele nieustawnie czytając

(40) „Władysław IV i Jan Kazimierz w kapach na obchody chodzili, dali 100 świec na processyą.“ *Acta Confraternitatis Compassionis Jesu Christi Crac.* Rękopism na karcie 55. f. r.

(41) Pamiętniki Albr. Stan. Radziwiłła kancl. w. Litew. w Poznaniu 1839. T. I. str. 372.

i pisząc. Sposób dyscypliny był ten: czasem kazał starszemu pokojowemu, aby o tój a o tój godzinie, różgi świeże mając, dał mu dyscyplinę, rachując zawsze plagi; czasem dwieście, trzysta, pięćset, tysiąc, półtora tysiąca, dwa tysiące plag siebie dać naznaczywszy, dwóch ze dwóch stron siekło, a czterech albo sześciu trzymało nas pana kanclerza książećcia Radziwiłła, bez ulitowania, bo tak chciał. Co sto plag, to świeże różgi brano, i ci, co bili, odnawiali się, Gdy krzyczał, to poduszką głowę narzucano. Po wytrwaniu, zawsze był wesół. Co większa, miał to w mocy każdy starszy pokojowy, za rozkazem, a raczej za prośbą samego pana, że go powinien był śpiegować, jeżeli w czémkolwiek p. Boga obrażającego spostrzegł go, żeby podobnym sposobem, ile razy (tak), i każdego czasu, karał pana swego, nie przechodząc jednak nad dwa tysiące plag. I działało się to często z wielkiem ukontentowaniem księcia pana, bo zwykł był starszego pokojowego za to czém obdarować, albo koniem ze stada, albo parą soboli z skarbcia, lub parą sukien. Gdy krew do koszuli po takiej łaźni przywrzała, ze skórą ją oddzierali; i to aby tajno było, starszy pokojowy kazał koszulę i chusty przepłukać, aby się ten u nikogo nie wyjawiał sekret. Skoro rzekł starszy pokojowy: miłościwe Książę, pójdź do tego pokoju albo do tój sali, trzeba Waszę Książęcą Mość skarać i bić, nigdy pan pobożny nie rzekł: a to za co, albo nie mam czasu; ale poszedł zaraz. A jeżeli się kiedy z rąk trzymających pan wyrwał, byleby mu starszy pokojowy rzekł, że jeszcze nie doszło tyle a tyle set plag, jako postanowił, bez sprzeciwiania się, bez wyrzeczenia słówka, dobrowolnie zaraz się znowu położył, aby odebrał liczbę plag od starszego pokojowego naznaczonych. Pasek żelazny we wtorek zapustny w wieczór powinność była sta-

rego pokojowego położyć mu na stole między książkami, rzadko kiedy przez cały post chyba w niedzielę, i to w dzień, widywaliśmy go tam leżący“ (42).

Takito rodzaj pobożności nastał w Polsce z Jezuitami. I tożto było owo *czyste światło nauki, wiary i życia* do ciemnych zakątków kraju przez nich zaniesione, za które ich Siarczyński w obrazie wieku Zygmunta III., tak bardzo wysławia (43). Inaczej sądził przypatrujący im się z blizka Siemek, kiedy o nich napisał: „Cokolwiek grozi niebezpieczeństwem, to w Rzeczypospolitej niebawem stłumiać należy; złe bowiem zniemagła się wzmacnia. Z którym duchowieństwem wzrosła Rzeczypospolita, z tém niechaj żyje i ginie, jeżeli tak los zdarzy“ (44).

(42) *Żywot ks. Albrychta Radziwiła z rękopismu przes Edw. Raczyńskiego, w Poznaniu. 1840. 8. str. 27.* Radziwił, którego szczególniejszą zabawą były medytacye, włościanice, łańcuszki i dyscypliny (tamże str. 4), prócz Pamiętników przez Edw. Raczyńskiego w dwóch tomach w r. 1839 ogłoszonych, napisał w języku łacińskim siedm dzieł ascetycznych, które za jego życia były wydane. O nim też pisze Rostowski *Litvanicarum Soc. Jesu Historiarum lib. X. §. 25.*, a za nim Niesiecki w tomie 3cim *Korony polskiej* na str. 827, iż wymyślił był taką machinę, w której się pewnych czasów zamykać kazał. Ta tak misternie zrobiona była, że się w niej ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł, albowiem zupełnie był zamknięty, oprócz tyłu, w który go, uczynionym ku temu celowi otworem, użyte do tego osoby różgami siekły.

(43) *Obraz wieku panowania Zygmunta III. przes X. Fran. Siarczyńskiego. w Poznaniu 1843. T. I. str. 28.*

(44) *Quidquid non vacat periculi suspicione, illud a republica mature removendum, sensim mala excrescunt. Cum quo clero crevit respublica cum eodem vivat et moriatur, si fata jusserint. Siemek Civis bonus. Crac. in off. Matth. Andreovien. 1632. 4. karta R³ f. r.*

Atoli pomimo najnieprzyjazniejszych postępowi zasad zakonu jezuickiego, nigdyby synowie Lojoli narodowi naszemu nie byli tyle szkodzili, gdyby los Polsce zawistny na jej tronie nie był posadził i przez 48 lat na nim nie utrzymywał ich wychowanka Zygmunta III. Kiedy bowiem tylko własne widoki na celu mający Jezuiaci, krokami powolnego sobie króla, według swęj woli, kierowali, natenczas duma i chciwość, to źródło dworskości od przewrotnych roztropnością zwanęj, wlokły za zjezuciałym władcą długi poczet różnego powołania możnych, co dla marnych widoków stłumiwszy w sobie przekonanie, tę jedyną myślącęj istoty cechę, z postępowania królewskiego brali dla siebie wzór układności, którą chciwie naśladował gmin, pozoru od rzetelności odróżnić nie umiejący; boć, jak mówi Fryderyk wielki:

Zawsze przykład monarchy zbyt przeważnie działa,

Kiedy pił August, Polska rozpila się cała;

Gdy Ludwik wielki czułą miłością rozplonął,

Paryż stał się Cyterą, dwór wszystko ozionął;

Skoro zaś znabożnisał, dworaki i dworki

Układnie snuły w ręku swe długie paciorki ⁽⁴⁵⁾.

SAMA JEDNA

I ty utoniesz w zapomnienia fali,

Ale smutniejsza — ale sama jedna!

A. M.

1.

Rzym! odwieczne miasto, miasto zawierające pamiątki od półtrzecia tysiąca lat! pamiątki wielkiej chwały i podbojów!... Świadek minionych swobód, następnie ujarzmie-

(45) *Oeuvres de Frederic II. T. IV. str. 3.*

nią, rzadkiego męztwa, poświęceń się bohaterskich — potem zbytków, występków, a nakoniec zniewieściałości!.. Miejsce dziwnym urokiem poczerniałej przeszłości owiane — piękne, czarowne pomnikami swemi — świadczącemi o mistrzowskiej doskonałości sztuk pięknych, wieków oddawna ubiegłych! Władczyni niegdyś świata, a dzisiaj omszona pamiątka swój przebrzmiałej świetności!!

Tutaj to zamieszkał w pobliżu kapitołskiego pagórka przybyły wędrowiec z swoją jedyną córką, dziewicą kilkanaście dopiero wiosen liczącą. Rycerska jego postawa i wyraz nieugiętej lecz szlachetnej dumy wydatnych rysów, spowodowały, że go wszyscy *il capitano* nazywali. Włos śnieżnej białości wieńczył wysokie zmarszczkami zorane czoło, lecz spotkawszy jego spojrzenie ogniste, rzekłbyś, że nie lat wielość, tylko trudy i znoje życia, to piętno przedwczesnej sędziwości wyryły.

Il capitano w chwili, gdy powieść ta się wysnuwa, niespokojnym w swoim mieszkaniu przechadzał się krokiem; a rysy jego, większą jeszcze aniżeli zwykle pośpnością osłonięne, zdradzały cierpkich uczuć walkę. Przy oknie siedziała dziewczica: wysoka i pełna wdzięku kibić naprzód pochylona — o drobną wsparta rękę — smutek na lubém obliczu i załzawione oczy, wszystko świadczyło, że z ojcem współcierpi, że głęboka boleść młodej jej o władnęła życie.

— I wieszże ty Klaro! — zawołał ojciec nagle stawając przed nią — że do najnieszczęśliwszych liczę tę chwilę, w której powziąłem zamiar zamieszkania w Rzymie; że złorzeczę godzinie, w której znajomość z Alfonsem zrobiłaś, że....

Lekkie drzenie przebiegło całą postać dziewczicy i głosem pełnym boleści wyrzekła:

— O mój ojcze! mój ojcze

— Ty go pokochałaś, biedne dziecko!... Klaro! on jest bogaczem, panem rozlicznych włości, on dzierży imię znakomite! — szydzący wyraz zabłysnął w oczach mówiącego — Jemu droga do wszelkich dostojeństw otwarta, kroków jego nic nie tamuje, on dla rozrywki po cudzych błąka się krajach... Ja zaś... ja jestem... obcym pomiędzy obcymi!... A jednak Klaro, jednak — szlachtnie starca oblicze dziwnym zajaśniało blaskiem, cała postawa jego wyrażała uczucie uznania własnej wartości — żebrak, tułacz... bezdomy, odmówiłby synowi znakomitego bogacza, potomka wielkich przodków, ręki swój córki, bo ten bogacz, ten dzierżyciel dostojeństw jest moim wrogiem.

— Ojcze mój! o wielki Boże! ja z całej duszy, z całego serca kocham Alfonsa, miej litość nade mną mój ojcze! — błagała dziewica stłumionym głosem, i z załamanemi rękoma schyliła się do nóg starca, jak lilia podmuchem wiatru nagięta.

Ojciec dłoń szeroką do zachmurzonego przycisnął czoła, drugą ręką ujął wiotką postać klęczącą.

— Czyliż nie znasz zbrodni ojca Alfonsa?

— Ojcze! Alfons jest dobrym i szlachetnym! jego nie powinny plamić czyny ojca! on....

— Nie daleko pada owoc od jabłoni... bywają wprawdzie wyjątki... ale czemuż Alfons udowodnił te cnoty, które mu przyznajesz?

— On hojną ręką wspiera nieszczęśliwych....

— Ha! może bogaty panicz nie idzie za popędem serca i uczuć, ale....

— O mój Boże! mój Boże! bądź sprawiedliwym drogi, ukochany ojcze!

— Alfons patrzył z założonemi rękoma, gdy....

— O wielki Boże!

— Ty mglejesz nieszczęsne dziecię! Klaro! córko moja!—
Przestraszył się starzec, widząc jój zblednienie i siność
powlekającą usta i przymknięte powieki — otworzył na-
gle okno, szkło z brzękiem wypadło, świeżość wieczorne-
go powietrza orzeźwiła mglejącą.

— Moje dziecię! moja córko! ukochana córko! jedyne
moje szczęście na ziemi! — zawołał z uniesieniem — Nie-
chajże Alfons przychodzi, niechaj bywa jak najczęściej,
przyjmę go za syna, kochać go będę, jak mego Tadeu-
sza kochałem, byle tylko ciebie uszczęśliwił!... Nigdy już
nie wspomnę o tém, co tyle twoje serce i duszę zraniło;
będę usiłował we własnym umyśle cierpką zatrzeć pa-
mięć, byleś ty tylko odzyskała spokój! Klaro! dziecię
moje, czyliż ci lepiej? czyliż się uśmierzyła żalosc two-
ja? Pochylił się z troskliwości oznaką ku wspartej na
jego ramieniu, śledził wyraz jój rysów, i drżącą dłonią
pogłaskał białe jój czoło. Był to rozrzewniający widok,
ta czułość, ta miłość macierzyńska, że się tak wyrażę,
w sędziwym wojowniku. Klara z anielskiem spojrzeniem
zwróciła piękne ku niemu oczy, uśmiech nadziemski miłe
owionął rysy.

— Zupełnie mi dobrze, mój ojczu, tak jestem szczęśli-
wa, drogi, ukochany ojczu! i ucałowała rękę jego z u-
czuciem.

— Tadeuszu! cicho poszepnął starzec — i twojeż to miej-
sce ma mi syn nikczemnika zastąpić! Po chwili zbliżył
się znowu do Klary, ujął jój głowę obiedwoma dłońmi i
przytulił do piersi, w której najszlachetniejsze biło serce.
Klaro! wielką, olbrzymią jest moja miłość ojcowiska dla
ciebie. Odtąd Alfonsa jako własne dziecię uważać będę.

Klara ły wdzięczności, ły szczęścia ronila. Zdawało się, że się i jój ojciec uspokoił, gdy młodzieniec nader ujmującej powierzchowności we drzwiach się ukazał.

— Cześć i uszanowanie! Jakżeż zdrowie dzisiaj pułkownika?

— Nicco lepiej, panie Alfonsie.

— A pani? zawsze swoją piękną pracą zajęta?— dodał zbliżając się do Klary; dziewica lekko zapłoniona, miłym wyrazem powitała młodziana.

— Klaro! wyrzekł Alfons zaledwie dosłyszalnym głosem, pochylając się ku krosienkom, jak gdyby krzyżową oglądał robotę — Klaro! moja luba! ty i dzisiaj znowu płakałaś?

Tymczasem widocznie cierpieniem wewnętrzném tłoczony pułkownik wydał się z pokoju.

— Klaro! ty milczysz i jesteś smutna? Nie powiesz mi przyczyny waszego zmartwienia? bo i twój ojciec więcej zachmurzony, jak zwykle....

— Mówiliśmy o... ły przerwały dalsze wyrazy.

— Klaro! moja Klaro! ja te smutki wasze usmierzę: zostań ty tylko moją, a wszystko się zmieni.

Pochwycił jój ręce i do ust swoich przycisnął. Klara spojrzala w stronę, gdzie był grób jój matki, brata, dokąd wszystkie myśli ojca i córki szybkim zmierzały polem, i tęschna rzewność młode ścisnęła serce.

2.

Już słońce pożegnało czarowne Włoch niebo, już skwarne powietrze zachodni orzeźwił wietrzyk, a miasta *Siedmiupagórków* mieszkańcy z rozkoszą po dziennym upale wieczornym napawali się powiewem, gdy pułkownik po kilkodniowej słabości, wraz z Klarą ze swego wyszedł

mieszkania. Najwięcej ulubione miejsce było i dzisiaj celem niedalekiej przechadzki: spoczął na odłamku jednej z ozdób wiekopomnego kapitolu. W około leżące szczątki i gruzy zgadzały się z posepnością sędziwych rysów, i mógłby był malarzowi posłużyć za wzór bolejącego Jeremiasza na zwaliskach świątyni niegdyś Jerozolimy. Opośdał usiadła Klara, wywołując smutne dźwięki z strun lutni, którą jej młoda Rzymianka podała.

Kilku sąsiadów, zbliżających się chętnie w to miejsce, gdy je *il capitano* odwiedzał, nadeszło niebawem. Jakież to był urok, który ich nęcił do szukania towarzystwa nieznanego przychodnia? Jeden z nich zapytał: czyli daleko od pięknych Włoch krainy, jest jego strona rodzima?

Starzec ręką i okiem ją wskazał, po chwili ponurym dodał głosem — głosem, co jak ton grobowej zabrzmiał pieśni.

— *Sono un povero infelice...* skłonił głowę na piersi, głuche nastąpiło milczenie, bo niema żalność nieszczęśliwego dotknęła się struny współczucia w łonie potomków dawnych Rzymian.

Po dłuższej dopiero chwili zapytała Klary rzymska dziewczica: czyli kraj, w którym się urodziła, równie jest pięknym, jak Italii ziemia?

— Wy macie pogodniejsze niebo, które tak uroczym kryształem wód waszych się odbija; czarowne okolice wasze srogości zimy nie znają; u was słońce weselę przyświeca, od skwarnych jego promieni złoty owoc pomarańczy dojrzewa; wasze migdałowe gaiki i laski oliwne dziwną wabią ponętą, kwiaty u was cudniejsze, krzewy wdzięczniejszy przedstawiają widok; pyszne gmachy wasze podziwienie budzą, w zachwycenie wprawiają, u was wszystko piękniejsze, pyszne i pełne powabu zarazem!... Ale,

Giovanno luba, nam miłsze bory ciemne, nasze mętne rzeki, nasze łany, skromne kwiatki i owoce, strzechy słomiane, wiatry i śniegi, byle tylko w Ojczyźnie!

— Zanuć im piosenkę Klara, zanuć ulubioną śpiewkę moję.

Zadźwięczyły struny lutni pod drobnemi palcami dziewczicy, złączył się z ich brzmieniem głos pełen czucia i słodyczy: śpiew był jakoby bojowy, jakoby dziwną tchnący nadzieją, to rzewny, to radosny, znowu ponury, cichy i tajemniczy... — a w lubym jego oddźwięku odgadłbyś smętność uczuć śpiewającej, tęsknotę! I gdy ostatnie tony ulubionej ojca nuty przewionęły, ozwały się rzewniej jeszcze i smętniej z lekka pochwycone struny, i żalosa piosenka zaległa w uszach słuchaczy, i może w nie jednym sercu odgłosiły się smutne jój dźwięki:

I ty utoniesz w zapomnienia fali,

Ale smutniejsza.... ale *sama jedna!*

Klara umilkła, niezdolna ostatnie zwrotki dośpiéwać; zdawało się, że we łzach boleści koniec piosenki utonął!... Obecni nie zrozumiawszy wyrazów, odczuli je w rzewnności nuty — cichość nastąpiła, którą tylko brzęczenie komara lub listka *pinii* poszmer przerywał. Starzec podparł ręką głowę ubieloną, a myśli w daleką uniosły go stronę.

Jakiż promyk wesela rozwiął tak nagle chmurki z gładkiego czoła dziewczicy? — Cóż spowodowało zabłysek radości czerwonych jój oczu? dojrzała baczny wzrokiem już w oddali zbliżenie się lubego, za którego przybyciem od dni kilku tęskniła. Inne dźwięki, inne tony w śpiewną zlały się strojność, i nuta z nad Wisły, ochoczy krakowiak obił się o posiwiałe mury kapitolu!

— Daleś na siebie tak długo czekać, Alfonsie, tak długo... A każda chwila bez ciebie spędzona jest dla mnie

wiekim udręczeni i tęsknoty! wyrzekła Klara stłumionym głosem, witając Alfonsa.

— Znajoma nasza, rodaczka, pani N. przybyła z całą swoją rodziną do Rzymu, poszukali mię zaraz, i cały ten czas dla nich poświęcić musiałem. Zamówili mię zuowu na jutro, i zaledwie schwyciłem dzisiaj chwil kilka, ażeby je z tobą luba kochanko przepędzić. Nie mogę się od towarzyszenia im wyłamać; byłiby u was, ale twój ojciec możeby to niechętnie widział.

— Nie, nie, o bo mój ojciec.....

— I cóż panie Alfonsie? nie pokazałeś nam się przez dni kilka — przerwał dalszą rozmowę kochanków przystępujący do nich pułkownik.

— Przybyli do Rzymu ziomkowie i...

— Któż taki?

— Hrabina N.

— A!... hrabina N!... — starzec chciał coś więcej jeszcze dodać, lecz zamilkł, i tylko uśmiech goryczy usta jego okrążył.

3.

Odwiedziny Alfonsa stawały się od pewnego czasu coraz rzadszemi; nareszcie przeminęło kilkanaście dni, a jego widać nie było! Klary lica pobladły, przygasł blask jój oczu, usta pożegnał uśmiech, głos rzewny zdradzał smutek i przytłaczającą serce tęsknotę. Dni kilkanaście oczekiwać, jaka olbrzymia przestrzeń czasu dla kochającego serca!... O to są całe wieki cierpienia i żalu! Nicraz przez długie godziny śledziła wzrokiem okolice, czyli jój luby nie przybywa; ucho najlżejszy chwyciło poszmer: w wyciężonym słuchu, w utrudzonóm oku całe jój skupiło się życie! Każde stuknięcie, kaźden odgłos zbliża-

jącej się stopy, wprawiał ja w drżenie nadziei, i to zawsze zwodniczej nadziei! Zwodniczej, bo to był albo żebrak swoim podartym okryty *pallone*, który rękę ku oknu wyciągał, albo zakapturzony, spiesznie biegnący zakonnik; czasem żyd, starych rzeczy handlarz, albo nakoniec młoda wieśniaczka z koszykiem pięknych owoców. I pomimo tych częstych, tyle dręczących złudzeń, Klara ciągle tęsodne wysyłała spojrzenia; słuchała, czekała!... A kto czeka, tęsodni; kto tęsodni, cierpi — ależ cierpieć, tęsodnić i czekać zawsze jeszcze jest szczęściem, bo jest nadzieja! Klarę pocieszała nadzieja: ufała w serce swojego Alfonsa!

Sędziwy ojciec widział boleść ukochanego dziecięcia, i upatrując zawsze same tylko wady w charakterze młodego spółziomka, nieszczęsny dla swój córki wróżył wypadek, lecz milczał; a Klara, kryjąc w sercu żale, pozabawiła się i téj ulgi, wynurzenia ich przed kochającym ją ojcem: nie chciała mu zmartwieniem swoim nowych zgryzot przyczyniać, a zarazem pragnęła i kochanka oszczędzić.

Dnia jednego, pułkownik przywdział swój dawny mundur, surowym wyrazem szlachetne osłonił rysy, potem przystępując do córki, z rozczuleniem dłoń swoją, jakoby błogosławiąc ukochanemu dziecku, na jój dziewiczym położył czoło.

— Dokąd wychodzisz mój ojczy? zapytała Klara obawą przejęta.

— Interes zbyt wielkiej wagi wywołuje mię z domu. Bądź spokojną moje dziecie, mam szczęście twoje na celu.

Wyszedł, a Klara zgięła kolana przed obrazem Matki Zbawiciela, drogą z Częstochowy pamiątką! i łyzy przez tak długi czas tłumione, ulżyły wraz z modlitwą zakrwa-

wionemu sercu. Krótkotrwałą jednak była ta pociecha, bo gdy wieczór nadszedł, a ojca widać nie było, niepokój i trwoga z całą gwałtownością na nowo przytłoczyły duszę dziewczycy. Same smutne obrazy, same tylko zatrważające domysły były nieodstępnymi towarzyszami znękanój. Wreszcie, gdy już oddawna księżyc swoje srebrzyste rozesał promienie, posłyszała Klara zbliżające się, ociężałe stąpanie ojca; wybiega naprzeciw niego z drżącym sercem.

— Ojcze! ojcze mój! cóż się stało? — zawrzała i zachwiała się: był bladym jak mieszkaniec grobu; usta zsiśniały; wzrok jego osłupiał.

— O mój ojcze! jakież stało się nieszczęście? — powtórzyła Klara błagalnie załamując ręce.

— Nieszczęśliwa!... Alfons ujechał! nikczemnik ujechał, jako narzeczony hrabianki N.! Silna postawa starca zadrzała; mroźny pot oblał mu czoło, twarz cała zczerniała....

Na zawrzask rozpaczy nieszczęśliwej córki nadbiegli sąsiedzi, wysłano po lekarzy: nadaremna była ich pomoc!

Klara, z rozdartém sercem, sierota, została *sama jedna* — *sama jedna* wśród obcej ziemi, pomiędzy obcymi!

4.

Trzy lata później, Alfons z żoną zwiędzając Włochy, wychodził właśnie z pałacu *Lanfreducci* we Florencyi, gdy im kobieta wysokiej postaci, w czarne przybrana suknie, drogę zabiegła. Była młoda, ale tak wychudła, tak blada i od upalnego słońca ogorzała, że widok jęj przerażał; lecz przyjrząwszy się zbliżka, uwielbiałbyś anielską piękność rysów, których rzadkiego wdzięku nawet i wzrok błędny wielkich oczu nie był w stanie oszpecić.

Spojrzała na Alfonsa, wstrząsła się lekko postać — z oczu prysnęły żary — rysy skrzywiły się kurczowo — potem się dziko, okropnie rozśmiała — i zanuciła głosem podobnym do strun zerwanych brzęku:

I ty utoniesz w zapomnienia fali,

Ale smutniejsza.... ale *sama jedna!*

— Tak, tak, *sama jedna!* bo ojciec już tam! — i wskazała ku niebu — a matka oddawna w zimnym śpi grobie... i brat mój.... tam daleko.... w piaseczku.... i serca już nie mam, tu pusto i głucho.... słuchajcie ludzie, nie sztuka! on! on! wziął mi serce, i zdeptał, zamordował.... słuchajcie ludzie!... puk, puk, ale to nie serce, to robaczek, maleńki robaczek.... a ten robaczek mózg mi wyjadł, tu! tutaj, gdzie tak pali! i ścisnęła dłońmi skronie.

— A wiecież wy ludzie, że ja po dwóch matkach żalobę noszę.... a ta jedna nie ma mogiły, biedna matka! Potrząsała głową, jakoby z politowaniem, umilkła na chwilę, potem ognistym w około rzuciła wzrokiem, poruszyła się z żywością i zawrzała przeraźliwie:

— Ale po ojcu nie noszę żaloby, nie! nie! bom ja go zabiła!.... I on! i on! co to ztamąd przybył, szczęśliwy, bogaty.... przybył pastwić się nad nami!.... Wy go znacie?... Tak, tak, on mi zabił ojca.... on!.... Ależ nie! nie! nie wiercie mi ludzie.... mnie robaczek mózg wyjadł.... to ja! to ja!.... jam ojcobójczyni! — pochwyciła długie swoje włosy obiedwoma rękami, targnęła niemi, zajęczała okropnie, rozśmiała się, i jak błyskawica zniknęła z przed oczu obecnych.

La maniaca! la maniaca! zawołano, i kilkanaście osób pobiegło w jej ślady.

— Cóż tobie się stało Alfonsie? jesteś bladym jak mara, czyliż cię widok téj obłąkanéj tyle przeraził? zapytała go żona.

Alfons milczał; on wiedział, kto była ta nieszczęśliwa, on ją poznał od razu, on wszystko zrozumiał! On nie zapomni straszliwego obrazu! jéj słowa na zawsze w duszy jego zawiechną! — wszystko, wszystko na wieki w pamięci jego zostanie, bo musi być kara za zbrodnię!

Paulina z L. Witkońska.



KRONIKA BIBLIOTECZNA

Rok 1844.

DZIEŁO WYSZŁE W WROCŁAWIU:

Pamiętniki księdza Pstrokońskiego kanonika katedralnego gnieźnieńskiego z rękopismu wydane przez Edwarda Raczyńskiego, in 12mo, nakładem J. Schlettera.

DZIEŁO WYSZŁE W BERLINIE:

Zywoť Pana naszego Jezusa Chrystusa z czterech ewangelistów zebrany i ułożony, potrzebnym wykładem powiązany, a uwagami objaśniony; tudzież dzieje apostołskie dzieło X. De Ligny, S. J. na język polski przetłumaczone, z zachowaniem tekstu X. Wujka, S. J. przez kościół potwierdzonego in Svo, nakładem B. Behra.

Dwutygodnik literacki wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W Cesarstwie Rosyjskiem, w Królestwie Polskiem, w Królestwie Pruskim i W. X. Poznańskiem w Urzędach pocztowych prenumerować można. W Galicyi są tylko księgarnie przedpłatę przyjmują.

SPIS RZECZY

W TOMIE PIÉRWSZYM ZAWARTYCH.

POEZJA:

- Alleluja przez Edmunda Wasilewskiego str. 65.
Czy znasz ty łyżę? przez Paulinę z L. Wilkońską str. 353.
Do Alfreda M** przez Fr. Jakubowskiego str. 101.
Do Filona, pieśń Franciszka Karpińskiego (zabytek niedrukowany z autografu), str. 130.
Do Wodospadu, napisał — ski — str. 98.
Gałązka, przez Paulinę z L. Wilkońską str. 97.
Krakowiak przez E. W. str. 1.
Na przesilenie dnia z nocą, przez R. W. Berwińskiego str. 226.
Rozświt pieśni, przez Franciszka Żyglińskiego str. 258.
Wyobrażenia, przez Franciszka Żyglińskiego str. 193.
-

PROZA:

- Bernard z Lublina, przez J. Muczkowskiego str. 321.
Józef K. N. Bogucicki, napisał Józef Muczkowski str. 12, 47, 75.
Grób w Nowym Yorku, przez Paulinę z L. Wilkońską str. 149.
Guwernery, przez Fr. Wicsiołowskiego str. 279.
Humorystyka p. Hilarego Meciszewskiego str. 2, 33, 68.
Kary i męki w miastach dawnéj Polski str. 289.
Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy orleańskiej i wystawieniu jéj na teatrze krakowskim, przez Józefa Kremera str. 202, 241, 266, 299, 330.
Krótka wiadomość o towarzystwach religijno-naukowych u Żydów, przez F. Trojańskiego str. 227, 260.

- Lud nieznan, czyli Marya Sybilla Morian, str. 251.
Napoleon i pułkownik Deléée str. 88.
O dwóch rzadkich medalach polskich przez T. Ż. 23.
O Hussie i Hieronimie z Pragi, str. 131, 164.
O prawie załogi w Polsce przez J. H. S. Rzezińskiego, str. 120,
145, 178.
Panna Mars str. 58.
Początek biczowania się w Polsce, nap. J. Muczkowski str. 355.
Początek przysłówia: „Siedzi jak na niemieckim kazaniu“ napisał
J. M. str. 27.
Sama jedna, przez P. z L. W. str. 375.
Skarb ukryty, obrazek obyczajowy p. Fr. Wicsiołowskiego str. 308.
Słowo o muzyce, str. 100.
Szkice psychologiczne niektórych ludzi - zwierząt napisał Au. Wi.
chirurg filozofii str. 107.
Wiadomość o związku filantropijnym w Krakowie, napisał Józef
Muczkowski str. 53.
Wielki gość w Tatrach, obrazek obyczajowy, napisał K—ski str.
184, 217.
Założenie w r. 1643 szkoły Władysławsko-Nowodworskiej w Kra-
kowie, przez J. Muczkowskiego str. 195.

Doniesienia literackie i Kronika bibliograficzna, str. 95, 128, 190,
191, 222, 256, 287, 298, 386.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



P.I

521